

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Witold Biengo**

**BARDZO DŁUGI CZERWIEC**

Copyright by Witold Biengo, Gdańsk 2000

1.

Obudziłem się później, ale z lekką głową, bardziej ubawiony niż zły z powodu przespanego południa. W końcu po to również decyduje się człowiek na wolny zawód, żeby pracować tylko wtedy, kiedy mu przyjdzie ochota. Jeżeli oczywiście malowanie obrazów można nazwać pracą, a cóż dopiero - zawodem. Moi koledzy mieli bardziej pragmatyczny stosunek do naszej wspólnej profesji. Robili kariery, zabiegali o intratne zlecenia, zarabiali pieniądze. Ja malowałem nie więcej niż dziesięć obrazów rocznie, z czego powyżej połowę sprzedawałem. Nie miałem problemów z przesadną ilością pieniędzy, ale obce były mi również kłopoty z urzędem finansowym. W ogóle nie miałem żadnych kłopotów i nie chciałem mieć. Naprawdę lubię wstawać około południa.

Zadzwonił telefon. Po drugiej stronie był Ed, grafik, którego nie lubiłem, mimo iż kleił się do mnie i udawał przyjaciela. Nie był nim. Ja o tym wiedziałem i on o tym wiedział. A jednak zadzwonił, by po paru ploteczkach rzucić mi swoją bombę.

- A wiesz... Agnieszka wróciła.

Zatkało mnie kompletnie. Nawet nie dlatego, że Agnieszka... po prostu nie mogłem znieść- tego przymilnego grubasa po drugiej stronie z takim smakiem żerującego na moich uczuciach. Ed wyuczł moje zmieszanie i kontynuował temat, rozzwlekając i smakując każde zdanie.

- No tak, wróciła. Widziałem ją w Sopocie. Kto by się spodziewał. Tak ją wszyscy lubiliśmy i kiedy wyjechała... co ja mówię! Zniknęła bez śladu - wszyscy bardzo żalowali. Ty pewno też? Aha, wyobraź sobie - wróciła zmieniona. Zupełnie nie ta sama. Do nikogo nie zadzwoniła, mnie ledwie kiwnęła głową na ulicy. A najlepsze - że jeździ teraz jakimś szalowym wozem, zupełnie niesamowitym. Wielki chrysler, tegoroczny model w błękitnym kolorze. Trzeba mieć fioła, żeby kupować coś takiego. No, ale ona

pewno tego nie kupowała, za kierownicą siedział jakiś brunet, niemłody i...

Odłożyłem słuchawkę. Ed nie miał mi już nic więcej do zakomunikowania, byłem tego pewien. I rzeczywiście - telefon nie zadzwonił więcej. Ed wsączył mi w ucho wszystko co chciał. Nawet nie zastanawiałem się, po co to robił, zapewne z bezinteresownej złośliwości.

Zacząłem się ubierać, golić, przyrządzać śniadanie. Lubilem te rutynowe czynności, ale dzisiaj wszystko leciało mi z rąk. Zaciąłem się przy goleniu, włożyłem sweter na lewą stronę. Szklanka, do której wlewałem kawę pękła, oblewając mnie wrzątkiem. Wcale się nie dziwiłem, wiedziałem, że mój niezachwiany spokój został zburzony i nie odbuduje go żadna rutyna. Nie pomoże też praca i alkohol. Zwłaszcza alkohol. Po prostu musiałem zacząć działać.

Agnieszkę poznałem przed dwoma laty, które dla mnie były wiekiem. Poznałem ją jesienią w studenckim klubie na jakiejś dyskusji o poezji, a może wernisażu. Wtedy byłem jeszcze ruchliwy, obracałem się wiele w tak zwanym środowisku. Robiłem scenografię dla studenckiego teatru, jeździłem z nim po świecie. Pisałem nawet manifesty anti-modern-artu. Ba - nosiłem (jak wszyscy) długą brodę, rudą i zmierzwioną. Wtedy jeszcze mi się chciało; to nawet nie sprawa motywacji, a wewnętrznej energii. Potem poznałem Agnieszkę i właściwie nic się nie zmieniło: nadal buszowaliśmy po klubach i hałaśliwych przyjęciach, chodziliśmy na premiery i jeździli w góry. Tyle, że razem. Właśnie w górach, już w zimie, w małym prywatnym schronisku, w pokoju o drewnianych ścianach, z Agnieszką śpiącą na moim ramieniu - poczułem po raz pierwszy, jak bardzo ją kocham. Obudziwszy ją ruchliwymi dłońmi i tym niespodziewanym wyznaniem, nagrodzony zostałem – ja, cyniczny już trochę trzydziestolatek, który dawno zwątpił w naturalność odruchów i uczuć - nagrodzony zostałem tak szczerymi dowodami wzajemności, że wspomnienia wszystkich moich przygód i miłości zbladły wobec tego niesamowitego, szalonego poczucia wspólnoty, którym tak hojnie mnie obdarowano.

Wyjechaliśmy stamtąd odmienieni. Oboje. Z Agnieszki promieniował niezwykle spokoj i powaga; każde słowo, każdy gest

utwierdzał mnie w poczuciu ważności tego, co się rozgrywa między nami.

Musieliśmy wracać do Gdańska. Agnieszka była na ostatnim roku polonistyki, którą traktowała bardzo serio. Kończyła się prze-rwa semestralna, w Gdańsku czekała obrona pracy magisterskiej. Następne miesiące nic nie zmieniły, choć widywaliśmy się rza-dziej. Agnieszka pracowała bardzo dużo i mimo moich prośb i nalegań nie chciała zamieszkać ze mną. Wołała swój wynajęty pokoi-k w Sopocie i potrafiła przekonać mnie, że tak będzie lepiej. Niczego zresztą nie musiałem się obawiać. Nie miałem żadnego powodu, by wątpić w jej miłość, a pewność siebie, z jaką odpra-wiała zaloty fagasów, którzy ciągle się wokół niej kręcili - uspo-kajała mnie ostatecznie. Wcale się im zresztą nie dziwiłem. Agnieszka naprawdę była wspaniała: wysoka, ruda jak ja, brązo-wooka, o bardzo jasnej karnacji. Nosiła zawsze w lewym uchu stary kolczyk z granatów. Tylko jeden, ale taki był jej styl. Gdy pozowała mi do aktów - nigdy, ani razu nie udało nam się skoń-czyć nawet rysunku. Po całej pracowni poniewierały się rzucone byle gdzie szkice tuszem i węglem, rysunki flamastrowe, zarysy jej ciała na płótnie. Jej sylwetka na tych rysunkach wylaniała się z nicości zawsze tylko częściowo: w każdej wersji brakowało czegoś - twarzy, nóg, bioder, dłoni. Wypływała z nicości, by żywa, praw-dziwa, cała - odnaleźć się w moich ramionach. Tak przeżyliśmy zimę, pracując, rozmawiając całymi godzinami, kochając się. Nie myśląc o przyszłości.

Z wiosną nasz tryb życia zaczął się zmieniać. Agnieszka mniej się uczyła, częściej za to jeździła do domu. Mieszkała daleko, w małym miasteczku na Mazurach, tylko z matką, która teraz często chorowała. Ojca nie było z nimi od dawna. Dla Agnieszki, bardzo z matką związanej, wciąż jeszcze mazurski domek był kosmosem wolności, innym i lepszym od „więzienia wielkiego świata”, jak, nie bez racji, nazywała uniwersytet, Sopot, moje mieszkanie w wielkim bloku na gdańskiej Zaspie.

Cierpiałem z powodu tych ciągłych wyjazdów Agnieszki, drę-czyłem się niepokojem o przebieg długich samotnych podróży. Najchętniej jeździłbym razem z nią, ale nie odważyłem się wnikać w ten intymny świat dwóch kobiet, tak bliskich i tak odległych;

samotnych w swej małej rodzinie. Rozumiałem zresztą dobrze kłopoty Agnieszki - i ja wychowałem się bez ojca, i dla mnie niezycząca już matka była człowiekiem ważniejszym niż przyjaciele i dziewczyny.

Po każdym powrocie Agnieszka dręczona przedtem podskórnym, silniejszym od niej niepokojem, uspokajała się, piękniała, wracała jakby w moich ramionach do rzeczywistości. Nie mówiła wiele, już w godzinę po powitaniu zajęta jakąś książką lub maszynopisem, pisząca coś w grubym kajecie, którego nigdy nie pozwoliła mi nawet otworzyć. Stawałem wtedy za sztalugami i markowałem pracę, zerkając od czasu do czasu na jej zmierzwione włosy, wpatrzone w kartki oczy, na wąskie stopy w zawsze eleganckich pantofelkach. Robiłem się w swej kryjówce za sztalugami sentymentalny i łapałem na westchnieniach, które mógłby wydać zakochany młokos. Nie odrywało to zresztą Agnieszki od pracy aż do momentu, gdy zdecydowanym ruchem zgarniała szpargały i przeciągając się z zadowoleniem szła w moją stronę.

Nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości i choć w moich artystycznych kręgach uchodziliśmy, nie bez racji, za stałą parę, jej przyjaciele z uczelni niewiele o mnie wiedzieli. Wrócono jej tam karierę naukową, a profesor Bohomolec - sława krytyki literackiej - widział w niej swą przyszłą asystentkę. Opowiadała mi o tym nie bez dumy, z buńczuczną przechwałką. Śmiała się czasem ze mnie, nazywając niedouczonym rzemieślnikiem pędzla, ale niepisana umowa skrajnej lojalności, jaka obowiązywała nas oboje, kazała jej zawsze poważnie traktować moje opinie i poglądy (oczywiście wtedy, gdy ja sama wygłaszałem je na serio).

Minęła wiosna, przerywana częstymi rozjazdami Agnieszki, która tymczasem zasiedziała się u mnie na dobre, wpadając do Sopotu tylko po niezbędny skrypt lub zmianę bielizny. Przyszła sesja, która nie sprawiła jej większego kłopotu, wreszcie egzamin magisterski, zdany na piątkę z wyróżnieniem. Nie bardzo wiedziałem, kiedy zdążyła napisać tak świetną pracę i dopiero przypadkowo podsłuchana rozmowa na egzaminacyjnej giełdzie uświadomiła mi, jak bardzo zdolna jest Agnieszka: jej koledzy twierdzili, że pracę napisała jeszcze na trzecim roku i wszystko, czym zajmowała się ostatnio, było przygotowaniem do doktoratu. Wkrótce po

egzaminie otrzymała oficjalną propozycję asystentury, którą przyjęła i - zaczęły się wakacje. Był czerwiec, mieliśmy trzy miesiące czasu, trochę odłożonych pieniędzy. Ja miałem mieszkanie i samochód. Ale nie miałem Agnieszki. W trzy dni po egzaminie zdecydowała, że miesiąc musi poświęcić matce (nie bez wpływu był tu na pewno list, który właśnie dostała) i pośpiesznie, prawie się nie żegnając wyjechała. Może to nieładnie, ale pocieszyły mnie jej niespodziewane, gwałtowne łzy przy rozstaniu.

Ten miesiąc był dla mnie trudniejszy, niż się spodziewałem. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca, nie ciesząc się pracą ani lekturą, zacząłem znów łązić po studenckich klubach i artystycznych kawiarniach, odświeżać nieco zapomniane znajomości, popijać. W miarę, tyle by sen przychodził łatwo. Jakiś przetrwałem aż do powrotu Agnieszki, opalonej, szczuplejszej, ale chmurnej. Uściskaliśmy się jak wróceni sobie spośród martwych i następnego dnia wyjechaliśmy z Gdańska. Od tego czasu dotychczasowa nasza harmonia zaczęła zanikać. Agnieszka straciła dawną pewność siebie, była posepna, milcząca. Na moje wyrzuty, być może gwałtowne, że przez miesiąc nie napisała do mnie żadnego listu, oświadczyła, iż literaturę ma w zwyczaju czytać, nie pisać. Gdy niepotrzebnie nalegałem - rozplakała się. To nie zdarzyło się jej jeszcze nigdy. Byłem zaszokowany, ale mimo usiłowań nie dowiedziałem się niczego. Agnieszka milczała. I mnie raptem zabrakło słów: wiedziałem jednak o niej wciąż mało, za mało, by znaleźć punkt zaczepienia dla poważnej rozmowy, która nie zamieniłaby się szybko w gorzkie wylewanie żalów. Milczeliśmy więc oboje, kontemplując mijane krajobrazy. Z półsłówek, które udało mi się z niej wydobyć, wywnioskowałem, że matka jest już zdrowa i Agnieszka może mi poświęcić resztę lata. A jednak czułem, że w mazurskim domku zaszło coś niedobrego.

Podróżowaliśmy po zawsze mi bliskich Kaszubach, mając główną bazę w pożyczonym od kolegi letniskowym domku nad jeziorem Mausz. Dni słoneczne i podobne jeden do drugiego nie przywróciły nam wewnętrznego ładu. Monotonia, powtarzalność gestów i zachowań, która budowała nasze gdańskie życie, teraz ciążyła i doskwierała. Zdobyłbym się zapewne wcześniej na zasadniczą rozmowę, gdyby nie noce, podczas których znikają gdzieś



uprzedzenie i żal, a odnajdywane w ciemności ciało było bliskie i serdeczne jak dawniej.

Nigdy jeszcze Agnieszka nie była tak wspaniałą kochanką, czułą, oddaną bez reszty. Te noce pozwalały mi zapomnieć o rankach, kiedy wracało uprzedzenie i mur milczenia, którego Agnieszka nie chciała lub nie mogła przerwać. Po dziesięciu może dniach tych męczących wakacji, gdy zdecydowałem się już ulec, o nic nie pytać i czekać jaśniejszej przyszłości - Agnieszka wyraziła chęć pojechania do Sulęcyna, na pocztę. Tam czekał na nią adresowany na poste-restante telegram. Wynikało z niego, że matka jest znów ciężko chora i wzywa córkę do niezwłocznego przyjazdu. Tym razem ubłagałem Agnieszkę, by pozwoliła się odwiedzić na Mazury. Była smutna i przygnębiona, ale rozgadaliśmy się w drodze i niespodziewanie powróciła atmosfera dawnych czasów. Agnieszka zażądała jednak kategorycznie ode mnie, bym natychmiast po przyjeździe do jej domu wracał do Gdańska i czekał spokojnie na wiadomość. Nie przekroczyłem nawet furki małego domku pod Bartoszcami. Zniknęła szybko w drzwiach, jakby nie chcąc przedłużać ani o chwilę pożegnania.

Od tego czasu nie widziałem jej już nigdy i nigdy też nie uwierzyłem w realność listu, który przyszedł w dwa tygodnie później. Agnieszka prosiła mnie, bym jej nie szukał i nie czekał. Musi wyjechać na długo, bardzo długo, i lepiej będzie, jeśli nie zobaczymy się już więcej.

2.

Telefon Eda przypomniał mi to wszystko, choć właściwie niczego nie zapominałem; wszystko, co w jakiś sposób wiązało się z Agnieszką było dla mnie nadal najważniejszą sprawą w życiu. Przez rok, który minął od jej wyjazdu, żyłem samotnie, opancerzając się narzuconym spokojem, bezpamięcią i miłością do drobnych przyjemności, które - sądziłem - wrócą mi z czasem radość życia. Nie byłem szczęśliwy, ale też nie cierpiałem zanadto. Malowałem trochę, ale bez większego zainteresowania. Spotykałem się z różnymi ludźmi, by tym bardziej cieszyć się samotnością.

Piłem bez umiaru wódkę i przez następny tydzień cieszyłem się smakiem mleka.

Był to żywot pozbawiony większego sensu, ale też - chroniący pozorną aktywnością przed całkowitym bezsenssem. zaraz po otrzymaniu listu Agnieszki pojechałem pod Bartoszyce. Na próżno: mały domek zastałem zamknięty na cztery spusty. Od sąsiadów dowiedziałem się, że Agnieszka wyjechała z matką za granicę. Pisałem listy, ale pozostawały one bez odpowiedzi. Jeździłem jeszcze cztery razy do Bartoszyce - zawsze bez skutku. Jesienią spotkałem dawną przyjaciółkę Agnieszki. Twierdziła, że ktoś widział ją w Londynie w towarzystwie jakiegoś Anglika. Agnieszka nie miała podobno ochoty na rozmowę. Ponadto Wisia dowiedziała się, że Agnieszka przysłała list na uczelnię, w którym zrezygnowała z proponowanego jej etatu.

Wisia, głupiotka, zgrabna lala, zalewała mnie tymi rewelacjami ze współczującą miną. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Agnieszka przyjaźniła się - i to blisko - z taką gąską. Teraz Wisia wyraźnie miała ochotę spełnić rolę pocieszycielki. Powiedziałem jej o tym - wzruszyła ramionami i odeszła kręcąc tyłeczkiem. Próbowalem przekonać sam siebie, że jej ciało jest ponętne. Próbowalem przekonać sam siebie do wielu jeszcze innych rzeczy. Bez skutku.

Tak mniej więcej wyglądał ten rok, o którym chciałem jak najszybciej zapomnieć. Teraz była na to szansa - wiedziałem, że muszę działać, że muszę odnaleźć Agnieszkę.

Nie było to zapewne ani zbyt proste, ani też całkiem niemożliwe. Sopot wypełnił się już czerwcowymi gośćmi, ale błękitny chrysler to nie zapalniczka. Ktoś musiał go widzieć. I zapamiętać. Dość długo krążyłem po mieście bez planu, objeżdżając swoim maluchem wszystkie parkingi i okolice pensjonatów. Odwiedziłem dawne mieszkanie Agnieszki - wynajmował je już ktoś inny. Zadzwoiłem nawet do profesora Bohomolca, który nic nie wiedział o Agnieszcze i sam wyraził chęć jej spotkania. Bez sensu.

Następnego dnia od rana krążyłem po stacjach benzynowych. To już był lepszy pomysł - pamiętano tu błękitnego chryslera o niesamowitych kształtach. Ktoś dorzucił, że wóz miał angielską rejestrację i - tyle. Uzyskałem więc pewność, że Ed nie kłamał.

Nadal jednak nie miałem cienia tropu, wątego nawet śladu, niczego. Zresztą nie nadawałem się na detektywa.

Po co w ogóle Agnieszka przyjechała do Trójmiasta? Nie wiązało ją z Gdańskiem nic poza studiami. Z Sopotem - nic poza mieszkaniem. Dawniej byłem jeszcze ja. Ale przecież nie przyjechała po to, by się ze mną spotkać?

Zmartwiałem. A jeśli? A jeśli tak? Cóż właściwie jej powiem? I czego powinienem od niej oczekiwać? Nie potrafiłem pozbierać myśli. I wtedy pomyślałem o łysawym, grubym Edzie, który wystrzelił tak niespodziewaną wiadomością. Jeśli on widział Agnieszkę - zwyczajnie na ulicy, w samochodzie, to mógł ją widzieć ktoś jeszcze. Ale kto? Nie mogłem się zdecydować na telefon do żadnego ze znajomych. I wtedy przypomniałem sobie spotkanie jesienią Wisię, polonistkę, marnującą swój dyplom po sopockich kawiarniach. Jeśli w ogóle ktokolwiek cokolwiek wie - to na pewno ta mała plotkarka. Znalazłem ją bez trudu w mansardowym mieszkanku - mimo południa odsypiającą jakąś bibkę. Była sama i ucieszyła się niespodziewaną wizytą. Wyraźnie mówiła mi o tym rozchylonymi połamami szlafroka i bezczelnym spojrzeniem.

Nie była to dla mnie miła rozmowa, bo też Wisia była ostatnim chyba człowiekiem, którego chciałyby pytać o Agnieszkę. Ale przyjąłem szklankę kawy, papieros, przypadkowy dotyk ciepłej dłoni. Wreszcie zdobyłem się na pytanie, które od początku wisiało w powietrzu. Wisia nie była zresztą zaskoczona.

- Owszem, widziałam Agnieszkę. Przyszła raz na obiad do „Grandu” ze starszym, siwiejącym brunetem, który jeździ szpanerskim chryslerem. Nie wiem, co robi w Sopocie ani gdzie mieszka. Nie rozmawiałem z nią, a i ona nie ma chyba ochoty na odświeżanie dawnych znajomości. Ja osobiście zawsze najbardziej sobie ceniłam te najnowsze...

Nie wątpiłem w to. Nie wątpiłem też, że sam jestem kandydatem na kolejną znajomość. Po raz pierwszy w życiu pomyślałem, że może się jednak kiedyś na nią zdecyduję. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie. Wstałem, żeby się pożegnać. Schodziłem już po schodach, gdy Wisia dorzuciła przez uchylone drzwi:

- Siedziałam przedwczoraj cały wieczór w barze „Bravo”. Ten samochód stał przez kilka godzin naprzeciw. zaparkowany przy

takiej wielkiej, nowobogackiej willi. Wiesz, gdzie to jest?... Na Cienistej.

Pamiętam „Bravo” z czasów, gdy nie znałem jeszcze Agnieszki. Zbiegając szybko po schodach obejrzałem się jeszcze. Drzwi mansardy były uchylone, a Wisia patrząc na mnie przez ramię, eksponowała znów symboliczny już dla mnie tyłek. Wzruszyłem ramionami.

Na Cienistej nie było chryslera, za to bar „Bravo” prosperował jak za dawnych lat. Usadowiłem się w oknie z kieliszkiem koniaku i gazetą. Poczulem się w pewnym momencie jak detektyw z powieści Macdonalda: idiotycznie. Tyle, że on miał swój zawód, który, cóż - zawsze można zmienić. A ja życie, z którym nie zawsze jest co zrobić.

Okna „Bravo” rzeczywiście wychodziły na nowobogacką - jak ją nazwała Wisia - willę. Wielkie, rozparte w zarośniętym ogrodzie gmaszysko - budowane niedawno, jeśli sądzić po architekturze, elewacji, materiałach budowlanych. Musiało kosztować gigantyczną sumę jak na nasze stosunki.

Po nieco zaniedbanym ogrodzie biegał wielki pies - nowofundland z znudzonym pyskiem. Pojawiał się i znikał koło ogrodzenia. I tak wciąż - przez dobrą godzinę. Zamówiłem drugi koniak, ziewnąłem, zacząłem w końcu czytać gazetę. Byłem zmęczony, a moje wewnętrzne podniecenie zamiast przybierać na sile, słabło.

Była już czwarta, gdy pod willę zajechał niespodziewanie tak gorąco wyczekiwany przeze mnie samochód. Błękitny chrysler! Zerwałem się z miejsca, pobiegłem w stronę drzwi. Jeszcze rachunek - trzeba było płacić z góry!

Gdy wypadłem z baru, samochód niknął już w drzwiach garażu a Agnieszka - tak, to na pewno była ona! - otwierała drzwi willi. Nie zdążyłem nawet zawołać, uchylić furtki - jakby czując na plecach mój wzrok, odwróciła się wolno. Obrzuciła mnie długim, niewidzącym spojrzeniem, z którego nie potrafiłem nic wyczytać. Staliśmy tak chwilę patrząc na siebie, znieruchomiali i odgradzeni rokiem rozstania, nagle Agnieszka odwróciła się i szybko, jakby uciekając, wbiegła do domu.

Próbowałem przekreślić gałkę furtki, ale nawet nie drgnęła - musiała być sprzężona w jeden system z drzwiami domu. Zacząłem

rozpaczliwie naciskać dzwonek, słysząc daleko pogłos hałasu, jaki robiłem. We wnętrzu domu gwałtownie zaszczekał pies, nacisnąłem dzwonek ponownie i... poczułem, że ktoś na mnie patrzy.

Z głębi ogrodu, od strony garażu szła w moją stronę przystojna kobieta o pięknej figurze i zmęczonych oczach czterdziestolatki.

- Czy szuka pan tu kogoś?

Była grzeczna, ale zdecydowana.

- Tak, chciałbym się widzieć z Agnieszką. Z Agnieszką Wereszycką. Widziałem ją przed chwilą.

- Chyba się pan pomylił - w głosie kobiety zabrzmiała stanowcza nutka - nikt taki tutaj nie mieszka.

- Jestem pewien, że widziałem ją przed chwilą. Proszę jej przekazać, że tu jestem.

- Jeszcze raz powtarzam, że się pan myli. I proszę już iść.

- Nie pójdę, dopóki nie zobaczę Agnieszki - nalegałem czując coraz wyraźniej, że stoję na straconej pozycji. Piękna pani milczała. Zrozumiałem, że nic nie zdziałam.

- Proszę jej chociaż przekazać, że tu byłem. Nazywam się Janusz Smólski.

- Do widzenia.

Nie miałem już nic do dodania. Piękna pani też - uśmiechnęła się łagodnie i nie czekając na odpowiedź zniknęła w drzwiach. Jak zawstydzony uczeń bąknąłem cicho „do widzenia”. Stałem jeszcze chwilę bezmyślnie przed zamkniętą furtką, łowiąc uchem dalekie skomlenie psa, gdy mój wzrok padł na wizytówkę, na której jak byk stało: „Dr Czyżewski”.

Bardzo mało i bardzo dużo jak dla kogoś, kto nie ma żadnego punktu zaczepienia.

Zjadłem obiad w dość paskudnym barze mlecznym o wymyślonej nazwie „Zdrój”, w Oliwie, i wróciłem na Zaspę. Cóż, jeśli mam się bawić w detektywa - spróbuję. Otworzyłem książkę telefoniczną. W sopockiej części nie było żadnego Czyżewskiego. W Gdańsku i Gdyni - paru, ale żaden nie miał tytułu naukowego. „Mój” doktor Czyżewski mógł niedawno zamieszkać w Sopocie albo wręcz nie mieć telefonu. spróbowałem w informacji, podając adres domu na Cienistej. Mieli taki numer - ale zastrzeżony.

Poczułem się bezradny. Jedyne co mi zostało to pikietować willę. No i spróbować zebrać informacje o doktorze, błękitnym chryslerze, Agnieszce. Pomyślałem z niechęcią o Wisi i innych znajomych, którzy mogliby służyć mi informacjami. Mam łączyć po kawiarniach, wysłuchiwać plotek i sam dostarczać do nich tematu? To nie wchodziło w rachubę.

I wtedy przypomniałem sobie Artura, jednego z nielicznych przyjaciół, których zachowałem w cieplej pamięci. Tak, w tej sprawie Artur nadawał się na powiernika. Chwyciłem za słuchawkę telefonu. Rozmawialiśmy dość długo, po czym z nowymi siłami zacząłem układać plan działania.

Przede wszystkim spokój. Luz. Szpan. Nic się nie stało, nic się nie dzieje. Obracam się między ludźmi, rozmawiam, bywam. Łowię informacje. Czekam, aż coś się zdarzy. W odpowiednim momencie zaczynam działać. Miałem już pewien pomysł. Równocześnie pracuje Artur - sam. Spotykamy się jutro. A teraz między ludzi. Na moment odżył we mnie dawny, zapomniany już trochę, dandys. Spojrzałem w lustro. Nie jest jeszcze tak źle, panie Smólski!

Za ramą lustra wetknąłem tydzień temu karteczkę - zaproszenie. Teraz dopiero przypomniałem sobie jej treść. Wernisaż rzeźby w szkłe. Galeria „Panorama”. Sprawdziłem datę. Dziś wieczorem! Bardzo dobrze - spróbujemy spojrzeć na problem „panoramizmie”.

Galeria, w której miał się odbyć wernisaż Justyna Czeladzkiego mieściła się w Sopocie, w starej kamienicy na Chopina. Znałem dobrze ten snobistyczny lokal, który szczególną aktywność przejawiał zawsze w sezonie letnim, kiedy do Trójmiasta spływała fala potencjalnych dewizowych klientów. Znałem też Justyna z jego surrealistycznymi formami wytapianymi ze szklanych brył.

Samochód zaparkowałem przed pensjonatem „Irena”. Justyn witał już gości w progu. Nie było ich wielu, znałem prawie wszystkich. Przez moment pożałowałem decyzji - co będzie, jeśli spotkam Wisię albo Eda Uhnalika? Na szczęście nie było ich, Sopot u progu lata oferował większe atrakcje. Ale i tu nie było nudno. Justyn miał wyraźną ochotę na mały happening, więc wino piliśmy prosto z plastikowych butelek, program był wydrukowany na celo-

fanie, a ostatnia salka galerii zamknięta na wielką kłódkę i otoczona tłumkiem ciekawskich.

Krażyłem wśród znajomych, witając się i zamieniając z niektórymi po kilka słów. Nie byłem dawno w towarzystwie i właściwie z przyjemnością stwierdziłem, że jednak mnie pamiętają, że cieszy ich chyba moja obecność. Uwagi na temat twórczości Justyna i nowinki artystyczne sypały się jak z rękawa, wszyscy przekrzykiwali się nawzajem, tubalnie śmiali albo robili ponure miny. Zgodnie z rytuałem takich spotkań. Powszechnie zastanawiano się nad tajemniczą atrakcją wieczoru ukrytą przez rzeźbiarza za opatrzonymi kłódką drzwiami.

Niestrudzenie krażyłem wśród ludzi, popijałem wino, wymieniałem ukłony, wypytywałem o wspólnych znajomych. Zalewano mnie potokami informacji - byłem atrakcyjnym, bo dawno nie widzianym słuchaczem, ale nikt nic nie wiedział o Agnieszce. Albo - nie chciano mi mówić.

Nadszedł wreszcie kulminacyjny punkt wieczoru. Zgasło światło, z głośnika zaczęła się sączyć łagodna i nieco niesamowita muzyka syntetyzatorów (poznałem „Incantations” Mike’a Oldfielda), Justyn z promienną twarzą podszedł do zamkniętych drzwi.

- Drodzy goście i przyjaciele, pozwólcie, że zaprezentuję wam dzieło swego życia. Wierzcie, że w tym sformułowaniu nie ma przesady. Oto „Kobieta kosmiczna! - rzeźba, nad którą pracowałem przez ostatni rok.

W milczeniu, namaszczonym gestem, otworzył ciężką kłódkę. Uchylił drzwi. Ostry reflektor przeciął półmrok i głośnie westchnienie przebiegło salę. W trzymetrowym bloku przezroczystego szkła o nieregularnych, opływowych kształtach zatopione zostało kobiece ciało. Nie, nie ciało - piękna żywa kobieta, naga i niesamowita w wielobarwnych refleksach reflektorów, falujących między warstwami szkła. Jej wąskie stopy, pochylone pod ostrym kątem w dół nie opierały się na żadnej podstawie, co sprawiało, że cała sylwetka wisiała jakby w przezroczystej, gęstej materii. Rzeźba silnie, może do przesady, rozjaśniona od dołu, stopniowo ciemniała w amarantach i fioletach, aż po wzniesione w górę ręce i zarys twarzy, ginące całkiem w roku. Tylko włosy, te rude, miedziane włosy, ledwie widoczne w zamglonym (chyba naumyślnie)

materiale rzeźby przyprawiły mnie o bicie serca. To były włosy Agnieszki. A reszta? Zarys stóp, bioder, piersi? To ciało na pewno nie należało do niej...

Pierwsze wrażenie, szok niemal, zaczęło mijać. Nad salą galerii buchnął gwar rozmów, Justyna otoczył tłumek śpieszących z gratulacjami. To naprawdę była udana i niesamowita rzeźba. Ale jak została zrobiona? Jaka zagadka się w tym kryła? Justyn opierał się pytaniom z tajemniczym uśmiechem, jednak kategorycznie zatrzymał kilku ciekawskich, którzy chcieli obejść rzeźbę dookoła. Zamknął drogę do ostatniej salki sznurkiem.

- Wenus z Milo, pomyślałby kto. Brak jeszcze fotokomórki - syknął ktoś z boku. Ktoś inny skarcił go głośno. Wrażenie było powszechne, a zawiść uzasadniona. Trzeba przyznać, że na inaugurację sezonu Justyn przygotował sensację trudną do przeliczowania. Tylko jak z dalszą ekspozycją? Czy „Kobieta kosmiczna” będzie pokazywana przez dłuższy czas?

Justyn potwierdził. Rzeźba jest rzeźbą - będzie stała tu tak długo, aż znajdzie się w posiadaniu tego, kto ją kupi. Nie ma tu żadnej sensacji tylko pomysł i wykonanie. To odpowiedzi nie usatysfakcjonowały ciekawskich, ale Justyn wyraźnie nie chciał powiedzieć nic więcej. Wernisaż się kończył, rozgadany tłumek topniał. Zastanawiałem się właśnie, co z sobą zrobić, gdy podszedł do mnie gospodarz.

- Nie wychodź jeszcze, poczekaj trochę. Chcę cię zaprosić na małe obławanie wieczoru, ale pójdziemy, gdy większość tej bandy się zmyje.

Podziękowałem, choć w pierwszej chwili chciałem odmówić. Cóż miałem właściwie lepszego do roboty?

- Dawno cię nie widziałem - usłyszałem znajomy głos po prawej.

Stał za mną Łukasz, wielki, czarnobrody poeta, niedysyjszy kolega z teatru i partner wielogodzinnych dyskusji.

- Witaj sopocki wikingu!

Uściskaliśmy się z radością. Łukasz Czarny (takim pseudonimem artystycznym podpierał swój imponujący wygląd i niewątpliwy talent) wyjechał przed dwoma laty w góry. Miał zamiar osiąść



tam na stałe wzorem Witkacego, ale zniechęcony klimatem wrócił. Perspektywa spędzenia z nim reszty wieczoru nie była taka zła.

Wyszliśmy na nagrzaną ulicę. Szarzało dopiero, od mola niosło gwar rozbawionych głosów, klaksony aut przebijały się przez odświeżający morski wiatr.

Justyn miał pracownię w Sopocie, na Kościuszki, blisko galerii. Spore mieszkanie w starej kamieniczce zatłoczone było ponad ludzką miarę; rozgorączkowany sensacją wieczoru ściągnęli tu proszeni i niepożądani goście. Łukasz był gadatliwy, serdeczny, ciekawy. Spytał o Agnieszkę. Chciałem zmienić temat, ale nalegał:

- Wiem, że wyjechała i że ty nie mogłeś się z tym pogodzić. Czy to prawda?

- Tak, to prawda, ale właściwie nic więcej nie jestem w stanie ci powiedzieć. Agnieszka mnie opuściła i nie wiem nawet, gdzie jej szukać.

Był dyskretny, nie ponawiał pytań, choć zachował na mój użytek dziwną - cierpiętniczą i współczującą minę. Przy drzwiach wejściowych zrobił się ruch, wchodzili nowi goście. Łukasz poszedł szukać jakiegoś znajomego, ja wyrwałem się do kuchni. Zrobiłem krótki przegląd ekwipunku potrzebnego mi na planowaną wyprawę. Latarkę, narzędzia i rękawiczki miałem w samochodzie. Przypomniał mi się wielki pies, nowofundland. W kuchni nie było nikogo, przewyciężając skrupuły szybko zająłem do lodówki. Chowałem właśnie kawałek kielbasy, gdy za moimi plecami rozległ się głośny śmiech i gwar.

- Coś zimnego do picia, bo umieram!

- O, Janusz, patrzcie, jak myszkuje po lodówce. Jasne, nikt się nie naje tartinkami z żółtym serem.

Czułem jak rumieniec wpełza mi na policzki. Na szczęście nikt nie zauważył mojego zmieszania. W kuchni rozgościło się grono świeżych gości, przyprowadzonych przez Łukasza. Jakiś nie znany mi młodzieniec, dwie dziewczyny, które pamiętałem i... przez moment myślałem, że mam halucynacje. Obok Łukasza stała ze szklanką coli w ręku pani z Cienistej. Wszyscy zebrali się w ciasnym kółku, Łukasz dokonywał prezentacji.

- Teresa Brzeska - powiedziała wyraźnie piękna pani, podając mi dłoń. Nie wyglądała na zmieszaną, patrzyła na mnie obojętnie,

jakby nie widziała mnie nigdy przedtem. Wybąkałem swoje nazwisko, uściśnąłem dłoń młodzieńca w skórzanych spodniach, który zaraz zaczął opowiadać jakąś anegdotę. Dziewczyny zaśmiewały się głośno, Brzeska - starsza od nich, ale młodzieńcza w ruchach i figurze, wtórowała, opierając się na ramieniu Czarnego. Ona, czy nie ona - tłukło mi się po głowie.

Twarz ta sama, a przynajmniej bardzo podobna. Fryzura inna, inny makijaż, inny strój. Ale to nic nie znaczy. Postanowiłem za wszelką cenę doprowadzić do spotkania sam na sam. Nie było to proste, bo Łukasz i Teresa wydawali się interesować tylko sobą. Poeta rzucił nawet w moją stronę przepraszające spojrzenie „sam, stary, rozumiesz”... Czekałem.

W dużym pokoju, gdzie głośno grał magnetofon i krążyło kilka par, spostrzegłem ku swemu zdumieniu Wisię. Koncentrowała na sobie uwagę zebranych i najwyraźniej dobrze się z tym czuła. W drugim pokoju Justyn - święcący dziś swój wielki triumf - perorował coś z przejęciem, gromadząc stadko wiernych uczniów. Wycofałem się i stąd, wróciłem do kuchni.

Przeczędziło się tu, w progę minął mnie młodzieniec w skórce i - zostaliśmy sami z Łukaszem i Teresą. Chciałem się wycofać, ale Czarny przywołał mnie skinieniem.

- Chodź, chcę żebyś poznał bliżej moją przyjaciółkę. Teresa zajmuje się historią sztuki. A Janusz jest jednym z najoryginalniejszych malarzy w tym mieście - zwrócił się do kobiety. Przemawiał dalej w tym stylu, reklamując mnie niczym marszand kupcowi. Piękna pani słuchała go uważnie, patrząc na mnie jak na muzealny obiekt. Zrewanżowałem się jej podobnym spojrzeniem.

- No, skoro się już znacie, opuszczę was na chwilę i poszukam czegoś do picia - skończył Łukasz. Zostaliśmy sami. Poczulem przyspieszone bicie serca, ale nie zwlekałem z pytaniem. Chciałem je zadać, nim ona wyskoczy z jakimś neutralnym tematem.

- Czy my się już skądś nie znamy? - Zabrzmiało to idiotycznie, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Brzeska ironicznie zmrużyła oczy i zaciągnęła się długim papierosem.

- Nie, nie sądzę, ale przypominam sobie, że wiele o panu słyszałam.

- Od kogo?

Powiedziałem to obcesowo, może nawet brutalnie, ale Brzeska nie przestała się uśmiechać.

- Od naszych wspólnych znajomych z Londynu.

Zaskoczyła mnie.

- Nie mam żadnych znajomych w Londynie.

- Och, ludzie ciągle zmieniają miejsce. Nie jesteśmy w stanie wiedzieć, gdzie są dziś ci, których znaleźliśmy przed laty. Nie możemy też zapewne wiedzieć, jacy są dzisiaj. Nasza pamięć jest zawsze okropnie tendencyjna. Jak pozytywistyczna powieść.

To porównanie coś mi przypomniało. Ależ tak! - używała go czasem Agnieszka. Zresztą cały monolog pięknej kobiety zabrzmiał jak wielka aluzja.

- Nie rozumiem pani. A bardzo chciałbym.

- Nie mówię nic, co domagałoby się komentarza.

- Mimo wszystko chciałbym z panią pomówić o... tych wspólnych znajomych.

- Cóż - pomówimy, jeśli będzie pan chciał. Nie wątpię, że jeszcze się kiedyś spotkamy.

Styl, który znałem aż za dobrze. Skończyła rozmowę, zanim ja ją zdążyłem zacząć. Wszedł Łukasz. Niósł butelkę zytnej i śmiał się od progu. Pożegnałem ich, obiecując sobie, że nasze spotkanie odbędzie się dużo wcześniej, niż to sobie wyobraża piękna pani Brzeska. Łukasz nie starał się mnie specjalnie przekonywająco zatrzymać.

Wróciłem do pokoju. Była północ, miałem więc jeszcze trochę czasu. Usiadłem przy oknie. Jak spod ziemi wyrósł przy mnie niestety komplementów Justyn.

- I co? Duża rzecz?

- Duża! - potwierdziłem, co tylko zachęciło go do rozwodzenia się nad własnymi sukcesami. Mówiłby tak z kwadrans, ale przerwałem mu w pół słowa.

- Wybacz stary, przypomniałem sobie, że chcę cię o coś spytać.

- No, wal...

- Czy znasz tę babkę -Teresę Brzeską, którą tak się zajął Łukasz?

- A, tu cię mam - roześmiał się Justyn. - Więc tobie też zaalazła za skórę?

Milczałem, ale rzeźbiarz mówił nie popędzany:

- Pojawiła się w Sopocie niedawno. Nie jest już młoda, ale ma wielką klasę. Właściwie nie wiem, kto ją wprowadził w nasze sfery. - Te „nasze sfery” powiedział tak, jakby miał na myśli dwór petersburski. - Zresztą nikt nie wie, co ją tu interesuje, czego szuka. Zawsze ma pieniądze i wszystkim pożycza, chodzi na wernisaże, znika przed końcem każdego przyjęcia i mogę dać głowę, nie przeszła jeszcze przez niczyje łóżko. Przynajmniej w tym gronie. Łukasz jako niej skacze, ale nic z tego nie będzie. Wiesz, ona chyba naprawdę interesuje się sztuką? - dodał, wybałuszając komicznie oczy, jakby zajmowanie się sztuką było procederem dwuznacznym moralnie lub świadczącym o chorobie psychicznej.

Ktoś go wywołał. Wyrzałem przez okno na ciemną ulicę. Z bramy wychodzili pierwsi goście, zmęczeni tłokiem panującym w Justynowej pracowni. Zobaczyłem wśród nich Łukasza z Brzeską. Zbiegłem szybko po schodach, wyszedłem na ulicę. Musiałem przystanąć, żeby nie wpaść na Teresę. Stała przy furgcie, Łukasz na chodniku - zatrzymując przejeżdżającą taksówkę.

Cofnąłem się pod rozłożysty krzak bzu. Łukasz szarmancko otworzył drzwiczki fiata, został łaskawie pocałowany w policzek i... piękna dama odjechała samotnie. Poeta zawrócił. Wyszedłem ze swej kryjówki, rzuciłem pośpiesznie „cześć” i nie zważając na jego prośby podbiegłem do mojego samochodu.

Zdażyłem dogonić taksówkę jeszcze na Kościuszki. Zakładałem, że z Dzierżyńskiego skręca w prawo, bo tak jechało się na Cienistą. Taksówka stała pod czerwonym światłem. Ustawiłem się bezpośrednio za nią. Brzeska siedziała na tylnym siedzeniu, kierowca zapalał papierosa. Światła się zmieniły, jechałem tuż za taksówką, która ku memu zdumieniu skręciła w lewo, w stronę Gdańska.

Aleja Grunwaldzka była o tej porze prawie zupełnie pusta, dałem więc taksówkarzowi dwieście metrów przewagi i omal go nie zgubiłem. W Oliwie znów skręcił w lewo, Kołobrzeską pojechał na Zaspę i najspokojniej w świecie stanął pod jednym z nowych szaf na ulicy Pilotów. Dwieście metrów od mojego bloku! Brzeska wysiadła, zanim podjechałem pod dom. Wszedłem za nią do klatki, by usłyszeć hałas ruszającej windy. Spojrzałem na spis lokatorów.

Nie było na nim Brzeskiej. Nie było doktora Czyżewskiego. Nie było również Agnieszki Wereszyckiej. Jej zwłaszcza nie było.

Wróciłem do samochodu. Najważniejsza część planu na dzisiejszą noc pozostała nie zrealizowana. W dwadzieścia minut później zaparkowałem samochód na Cienistej, pięćdziesiąt metrów od willi i baru „Bravo”. Z lokalu sączyła się muzyka, ale dom po drugiej stronie ulicy stał cichy i spokojny. Przesadziłem ogrodzenie i okrążyłem willę. Przypomniawszy sobie o psie, wyciągnąłem z kieszeni kawałek kielbasy. Jeszcze rękawiczki, latarka. Wszystkie okna były ciemne albo zasłonięte roletami. Nic, żadnej szparki, szczeliny.

Spróbowałem nacisnąć klamkę kuchennych drzwi. Zamknięte. Zobaczyłem, że jedno z piwnicznych okienek jest uchylone. Popchnąłem je silnie, puściło. Z trudem przecisnąłem się przez wąski otwór. Piwnica była przestronna i pusta. Wyszedłem na korytarzyk. Omiotłem światłem latarki ściany. Schody pozbawione poręczy, nie były nawet wykończone. Zresztą cały dom pachniał cementem i farbą. Wszedłem na górę. Nie od razu zdałem sobie sprawę, że jestem już na parterze, w hallu, do którego wchodziło się przez zamknięte na cztery spusty drzwi wejściowe.

Hall, korytarz, przyległe pokoje były zupełnie puste. Pachniało wapnem, świeżym tynkiem. Między poszczególnymi pomieszczeniami nie było nawet drzwi. Dom był po prostu nie wykończony. Śmiało zacząłem przemierzać pokoje. Wszedłem na piętro. Nigdzie ani żywej duszy. Tylko te okna - firanki, rolety.

Dopiero w małym pokoiku na piętrze znalazłem ślad czyjejś bytności. Na stoliczku o trzech nogach stała popielniczka pełna niedopałków, obok leżała gazeta. Zgasilem latarkę i zbiegłem na dół. Po drodze zajrzałem jeszcze do garażu, który miał bezpośrednie połączenie z wnętrzem willi. Był pusty, ale na podłodze znalazłem małą plamkę jeszcze mokrego oleju.

Wróciłem na Zaspę. Dochodziła trzecia, odłożyłem więc ciąg dalszy do spotkania z Arturem. W mieszkaniu czekała na mnie niespodzianka: otwarte drzwi wejściowe. Czy zapomniałem je w podnieceniu zamknąć, czy miałem nieproszonego gościa? Byłem zbyt skonany, by szukać odpowiedzi na to pytanie. W każdym

bądź razie w mieszkaniu panował niczym niezmałony ład. Poszedłem spać, bo nawet zakochani detektywi bywają zmęczeni.

3.

Artur Dembowski był moim przyjacielem od tak dawna, że początki tej znajomości ginęły w mrokach niepamięci. Poznaliśmy się na pierwszym roku studiów, a połączył nas wspólny pokój w akademiku. On studiował wówczas ekonomię, ja - polonistykę, ale obu nam nie było sądzone pozostać przy owych wyborach. Ja po dwóch latach przenieśliem się na PWSSP, Artur zaliczył ekonomię, potem jeszcze socjologię i skończył (sam to tak nazywał) jako dziennikarz. Był utalentowanym, ale pechowym publicystą. Ciągłe się komuś narażał, wchodził na odcisk notablom, nie potrafił być grzeczny, kiedy go o to proszono. Miał jakiś dziwny talent dowiadwania się o tym, o czym co kilkakrotnie już przyplacił utratą posady.

W końcu, zrezygnowany, zdecydował się na zawodową samodzielność i został „wolnym strzelcem”, co w dziennikarskim zawodzie ma swoje zalety, ale cóż - na pewno nie zapewnia stałego chleba. Toteż Artur stopniowo minimalizował swoje potrzeby i nawet po latach, kiedy już się wybił i nie musiał wieść przesadnie oszczędnego żywota, pozostał przy zwyczaju chodzenia w połatanych dzinsach, przedpotopowych kozuchach i buciorach przypominających ryszczunek stróża.

Ci, którzy go nie znali łatwo dawali się na owe pozorny nabierać, próbując traktować Artura z góry i tu - czekało ich kolejne zaskoczenie. Artur nie był ani łatwym, ani grzecznym partnerem rozmowy, a jeśli już postanawiał się zająć jakąś sprawą, to przeprowadzał ją zawsze do końca. Zwalczając różne przeciwności losu i zmagając z kolejnymi przygodami, wyrobił sobie szczególny rodzaj odporności na świat „w ogóle”. Był generalnym i maksymalnym pesymistą, zrzęda, zawsze niezadowolonym ze wszystkiego i manifestującym swe złe humory. Ale pod tym, uciążliwym co prawda, sposobem zachowania ukrywał się wielki intelekt, prawdziwy talent i autentyczna życzliwość. No, powiedzmy, nie dla

wszystkich. Ale na pewno dla mnie. Zdecydowałem się prosić go o pomoc z jeszcze jednego względu: Artur był człowiekiem, o którym z niewielką przesadą można było powiedzieć, że wie wszystko. A jeśli nie wie, to bez trudu może się dowiedzieć. Znał w Trójmieście stki ludzi różnej profesji, a nawet, hmmm... konduity, miał swe tajemnicze kontakty i interesy, pierwszy wiedział zazwyczaj o tym, co się zdarzyło, a czasem i o tym, co się dopiero miało zdarzyć. Naprawdę nie mógłbym znaleźć lepszego człowieka do pomocy w tej sprawie.

Artur przyszedł o dziesiątej, dość wcześnie by mnie obudzić, obsztorcować i zniknąć w kuchni. No tak, by uzupełnić charakterystykę, trzeba dodać, iż Artur pasjami lubił jeść. Zanim skończyłem toaletę, przerył się przez lodówkę i najspokojniej w świecie zaczął przyrządzać jajecznicę na sobie tylko znany, wyborny oczywiście sposób. Mimo nalegań nie chciał mi powiedzieć ani słowa. Dopiero po śniadaniu rozsiadł się wygodnie z papierosem, popsioczył na pogodę, zaduch, tłumy turystów, sytuację polityczną, po czym... kazał mi zreferować całą sprawę. Nie miałem na to wielkiej ochoty, ale w miarę mówienia poczułem potrzebę zwierzeń i opowiedziałem w miarę szczegółowo całą historię.

Nie wydawał się zaskoczony, zdziwiony czy przejęty. Dolał sobie kawy.

- Spodziewałem się czegoś takiego. Nic nowego. Zresztą jeszcze się nad tym zastanowię.

- Pora na ciebie. Miałeś już dzisiaj coś wiedzieć.

- Wiem już „coś”, choć kosztowało mnie to wiele trudu. Musiałem się najechać po mieście, a samochód wymaga przeglądu. Zresztą sam wiesz, jak teraz robią samochody.

Machnął ręką. Zrobiłem w duchu to samo. Tak czy inaczej Artur musiał odbyć swój mały rytuał. Tym razem poprzestał na samochodach i niespodziewanie szybko przeszedł do konkretów. Potrafił być rzeczowy.

- Wiem już, kim jest ten twór doktor Czyżewski.

- No?

- To lekarz, ortopeda. Podobno bardzo dobry fachowiec. Ale prawie nikt go w Trójmieście nie zna. Wyjaśniłem tę tajemnicę. Facet nie był przez wiele lat w kraju. W sześćdziesiątym pierw-

szym czy drugim wyjechał na kontrakt do Kenii. Pomagał zorganizować wydział medyczny uniwersytetu i objął tam katedrę ortopedii. Siedział w tropikach blisko dwadzieścia lat i wrócił z górą pieniędzy. Kupił tę willę w Sopocie przez pośredników. Na ślepo, był jeszcze wtedy w Londynie. W Polsce jest od niedawna. Nie szuka pracy, ale nawiązuje dawne znajomości na nowo. Dostał już propozycję ordynatury z Akademii Medycznej i chyba ją przyjmie. Nie wiem nic o jego rodzinie. Podobno nigdy nie był żonaty, ale nic bliższego na ten temat nie wiem. Aha, jego numer telefonu: 51-16-88.

Byłem oszołomiony tym zalewem informacji.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

Artura nigdy nie cechowała przesadna skromność. Teraz też zrobił lekceważący ruch ręką.

- Och, to drobiazg. Zresztą - na tym nie koniec. Dowiedziałem się też czegoś o twojej Agnieszce. A propos - przypominam sobie, że widziałem ją raz czy drugi, razem z tobą. Ładna dziewczyna, choć trochę egzaltowana. No, ale w tym wieku to jest wybaczalne.

Miałem ochotę go walnąć. Nie tylko za ten epitet, który zupełnie nie pasował do Agnieszki. Przede wszystkim za zwłokę.

- No więc słucham. Co wiesz?

- Niewiele. Agnieszka rzeczywiście jest lub była na Wybrzeżu. Po prostu pojawiła się w uczelni i długo rozmawiała z profesorem Bohomolcem. Nie ma wątpliwości, że to była ona. O czym rozmawiali - nie wiem, ale postaram się dowiedzieć.

- Jesteś wspaniały: - wyrwało mi się.

Nie wyczuł w moim głosie ironii, skinął poważnie głową.

- Wiem. Ale ty niestety nie, dlatego musimy się wspólnie zastanowić, co będziesz robił dalej.

- Prawdę mówiąc, nie mam żadnego sensownego pomysłu.

- A czy byłeś wczoraj wieczorem na Cienistej?

Chcąc nie chcąc, musiałem opowiedzieć Arturowi historię mojej eskapady. Nie wydawał się zbyt zadowolony. Żeby go więc zastrzelić, opowiedziałem o otwartych drzwiach mieszkania. Nie omyliłem się: to był dla Artura rzeczywiście łakomy kąsek. Rozejrzał się bacznie po kuchni, przybierając minę Sherlocka Holmesa. Nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem. Skarcił mnie wynio-



słym spojrzeniem, po czym zaczął myszkować po moich włościach. Po chwili, już spokojniejszy, wrócił do kuchni.

- Czy jesteś całkowicie i bezwzględnie pewny, że nic z mieszkania nie zginęło?

- Nie mogę mieć całkowitej pewności, dajże spokój... W tym rozgardiaszu?

Mieszkanie było rzeczywiście w stanie niezwykle uporządkowanego bałaganu. Nikt zapewne poza mną nie zdołałby tu niczego znaleźć.

- więc musimy wszystko dokładnie sprawdzić. Gdzie trzymasz pieniądze, kosztowności, dewizy? - Artur stanowczo wstał z miejsca.

Znów wybuchnąłem gromkim śmiechem.

- Dajże spokój, Arturze, za kogo mnie masz? Pieniądze są na książeczce, a jedyną moją kosztownością jest samochód - bo dużo kosztuje.

- No tak - zreflektował się nieustraszony dziennikarz - w każdym razie zobowiązuję cię stanowczo do sprawdzenia całego mieszkania. Wszystko może być ważne, każdy zaginiony papierek albo szkic. Pamiętaj! Jak się już z tym uporasz - pojedź jeszcze raz na Cienistą. Posiedź w „Bravo”, pogadaj z barmanem i kelnerkami. Może się czegoś dowiesz, może coś zobaczysz. Ja pójdę swoimi ścieżkami.

Po jego wyjściu zacząłem od przeszukiwania mieszkania. Zmęczylem się, zanim doszedłem do drugiego pokoju. Łatwo powiedzieć „każdy papierek, każdy szkic”... Gdyby towarzyszyło mi nowe i niepokojące poczucie braku - jakby rzeczywiście coś ważnego zniknęło z mojego mieszkania. Machnąłem na to zmartwienie ręką i pojechałem do Sopotu.

W barze „Bravo”, mimo wczesnej popołudniowej godziny, kilka miejsc było już zajętych. Tym razem usiadłem przy kontuarze, zamówiłem koniak. Barman, krępy brunet z imponującym wąsem, przyjrzał mi się badawczo - musiał zapamiętać mój wczorajszy „dyżur”.

- Ładny wóz tu czasami stoi - powiedziałem od niechcienia.

Barman wzruszył ramionami.

- To co? W lecie, w Sopocie, trafisz pan i rolls royce`a.

- Ale to był taki niebieski chrysler. Wielki jak karawan.

- Nie widziałem.

- Myślałem, że może zna pan właściciela.

Spojrzał na mnie pytająco.

- Nooo... mógłby to być stały klient.

- Nie lubimy stałych klientów.

Powiedział to zbyt stanowczo, bym nie zrozumiał aluzji. Postanowiłem zmienić taktykę.

- to co, pewnie ludzie z „Kameralnego” już tu nie przychodzą?

Przed paru laty, gdy interesowałem się żywo teatrem, „Bravo” było ulubionym miejscem spotkań aktorów z pobliskiego teatru. Bywało tu wesoło, ale spokojnie. Teraz knajpa jakby podupadła.

- Żeby pan wiedział, że nie. To już nie te czasy - barman wyraźnie stopniał. Trafiłem niezłe, facet był kiedyś chórzystą w „Muzycznym” i mówił o artystach z estymą. Postanowiłem wrócić do tematu.

- Ale, ale, nie pamiętam pana z tamtych czasów?

Znów się nachmurzył.

- Bo ja tu wtedy bywałem jako gość. Przekwalifikowałem się później, ale trafiłem fatalnie. Akurat lokal zmienił właściciela i wszystko zaczęło iść ku gorszemu.

Wyszedł zza baru, skinął na mnie palcem. Podeszliśmy do okna.

- Widzi pan ten pałac pozłacany?

Wskazał willę doktora Czyżewskiego. Zamieniłem się cały w słuch.

- To przez to pieprzone budownictwo. Poprzedni szef był równy gość, ale miał wygórowane ambicje. Co zarobił na artystkach - łądował w tę budę. W końcu popadł w dług, więc byle jak wykończył kilka pokoi i wynajmował je paru małym kurewkom z Monciaka na godziny. Reklamował je jako artystki, bo wszyscy wiedzieli, że jest właścicielem „Bravo”. Ale frajer wziął się za nie swój fach i wpadł z wielkim hukiem. Jego przymknęli, lokal zamknęli i tak... rozsypało się wszystko. Dawniej dziwki były naprzeciwko a artyści tutaj, teraz tutaj przyłażą dziwki a artyści poszli sobie precz.

- A co stało się z chałupą?

- Dom był na żonę, więc po śledztwie, kiedy Fabjańskiego zamknęli, pozwolono kobiecie zrobić z tym co zechce. To co miała robić - wzięła i sprzedała. Nawet nie wiem komu.

Wróciliśmy do baru. Byłem trochę rozczarowany jego rewelacjami i nie miałem ochoty na dalszą rozmowę, ale pan Henio (przedstawił mi się, a jakże) wmusił we mnie jeszcze „kieliszczek”.

- Nie da się ukryć, lubiłem artystyczną atmosferę. Teraz już prawie nikt tu nie przychodzi. Czasem wpadnie ten poeta, Łukasz Czarny, zna pan?

Przytaknąłem ze zdziwieniem.

- Nawet lubi to samo miejsce co pan. Posiedzi przy oknie, coś popisz, poczyta. Nie to, panie, co te szpanusy - koniaczek, piwko i zaraz po mordach albo z młodych siks dziwki robić.

Gadał dalej, ale już go nie słuchałem. Coś niecoś jednak mi sprzedał. Łukasz! O nim wcześniej nie pomyślałem. A przecież jest jedynym tropem wiodącym do Brzeskiej. Trzeba go przycisnąć do muru.

Zapłaciłem. Barman przyjął pieniądze tylko za jeden kieliszek. „Drugi na koszt firmy! I zapraszamy”. Pomyślałem, że pewnie jeszcze skorzystam z tego zaproszenia, ale nie podzieliłem się tym przypuszczeniem z byłym chórzystą.

Wyszedłem na ulicę. Słońko grzało pięknie, ale w wielkiej willi wszystkie okna były szczelnie zasłonięte. Chyba nic się tu nie zmieniło od wczoraj? Mimo wszystko postanowiłem poczekać. Może pojawi się błękitny chrysler? Albo pies zaświadczy o obecności mieszkańców?

Wsiadłem do samochodu, oparłem głowę o kierownicę. Mimo woli zacząłem myśleć o Agnieszce. Nigdy nie uwierzyłem w to, co było najbardziej prawdopodobne: że po prostu przestała mnie kochać. Nie uwierzyłem, że mógł zjawić się ktoś inny, że była postawiona w sytuacji wyboru i wybrała na moją niekorzyść. Za zniknięciem Agnieszki kryła się jakaś tajemnica, jakieś przekleństwo losu. Dramat, który wchłonął ją całą, nie stwarzając alternatyw. Musiało zdarzyć się coś bardzo ważnego, wciągającego ją bez reszty. Ale co? Nigdy nie rozmawialiśmy zbyt wiele o naszych

własnych, intymnych, osobnych światach. Ja bodaj nie miałem takiej sfery życia, do której chciałbym bronić Agnieszce dostępu, byłem gotów dopuścić ją do każdej swej myśli i każdego mrocznego sekretu. Może zbyt łatwo się jej poddałem, może był to rodzaj ubezwłasnowolnienia? Agnieszka zachowała przecież do końca sferę intymności, do której nie miałem wstępu. Właściwie wiedziałem bardzo mało o jej wcześniejszym życiu, o mazurskim domu, rodzinie. Znałem jej zainteresowania, gusty, przyjaciół, wiedziałem nad czym pracuje, co ją pochłania. Potrafiłem się nawet często domyśleć, co ją zajmuje, co wciąga w lekturze. Ale przeszłość, ta niedawna przecież i nieodległa, wszystko, co wiązało się z jej rodziną i dzieciństwem było tematem niechętnie przez nią poruszonym, spychanym na marginesy naszych rozmów. A przecież w ostatnich razem spędzonych miesiącach to właśnie matka i częste wyjazdy do domu odsuwały mnie na dalszy plan, absorbowały jej myśli i czas. Wracała chętnie, to prawda, ale po każdym powrocie musiała się na nowo otrząsnąć z przygnębienia, powracać jakby do innej rzeczywistości, którą tworzyłem ja i nasze wspólne życie.

Pożałowałem, że tak mało wiem o tej sferze jej życia, w której zapewne tkwił klucz do całej zagadki. Zawsze sądziłem, że wiedza, którą posiadam w pełni mi wystarczy, że ważny jest tylko czas teraźniejszy i przyszły, który sam mogę stworzyć i za który sam tylko będę odpowiedzialny. Tymczasem zagadka zdawała się tkwić w przeszłości, o której wiedziałem bardzo mało. Zbyt mało, by szukać w niej rozwiązań. I Agnieszki.

Co właściwie wiedziałem? Pochodziła z Bartoszyc, tam się wychowała i skończyła szkołę średnią. Ale urodziła się w Warszawie, gdzie jej matka studiowała medycynę i dopiero później przenieśli się na Mazury. Właściwie krótko była to pełna, prawdziwa rodzina. Już w sześćdziesiątym piątym, kiedy Agnieszka miała ledwie osiem lat, jej rodzice rozwiedli się, a ojciec wyjechał na stałe na Zachód. Chyba nawet do nich nie pisał i nie utrzymywał żadnych kontaktów. Agnieszka mówiła o nim bardzo niechętnie, z tajoną urazą. Twierdziła, że wszystko zawdzięcza matce. Rozumiałem jej żal, ja też pochodziłem z niepełnej, kalekiej rodziny...

Ocknąłem się z rozmyślań. Jeszcze kilkanaście godzin temu czułem się całkowicie zagubiony, a teraz ta wielka zagadka mego życia, którą była Agnieszka, zaczęła się konkretyzować w ciąg wyraźnych pytań.

Po pierwsze: Łukasz, jego znajomość z Brzeską i zainteresowanie willą na Cienistej.

Po drugie: rodzice Agnieszki, o których nic właściwie nie wiem.

Po trzecie (przypomniałem sobie): profesor Bohomolec i jego minięcie się z prawdą, gdy spytałem go o Agnieszkę.

Po czwarte i najważniejsze: sama Agnieszka, która jest przecież gdzieś obok, niedaleko, chodzi tymi samymi co ja ulicami. Może nawet chce się ze mną spotkać? Może chce, ale coś stoi nam na przeszkodzie?

Poczułem nowy przypływ sił. Jeszcze raz spojrzałem na zwalistą bryłę willi. Nic nie zmieniło się w rysunku fasady, ogród trwał nadal nieporuszony w świetle ostrego jeszcze, choć popołudniowego słońca. Włączyłem starter.

Zatrzymałem samochód na Starym Mieście, na Szerokiej. Łukasz mieszkał za rogiem, w małej klitce wynajmowanej za grube pieniądze. Płacił i był zadowolony, twierdził, że musi mieszkać wśród starych murów, bo w innych się dusi. Wdrapałem się po wąskich schodach na czwarte piętro, zadzwoniłem. Ktoś krzyknął „otwarte” więc pchnąłem drzwi i... znalazłem się oko w oko z Edem Uhnalikiem. Musiałem mieć zdziwioną minę, ale i Ed wyglądał na zaskoczonego. Przywitaliśmy się niepewnie.

- Co ciebie sprowadza?

- Właśnie się zastanawiam, jak mogłem się pomylić. Szukam Łukasza Czarnego.

- Aaaaa... Łukasza... Na napiętą twarz Eda powrócił wyraz życzliwości - nie mieszka tu już od dwóch lat. Wyjeżdżając w góry odstąpił mi tę norę. Razem z komornym, ma się rozumieć.

- A gdzie teraz mieszka?

- Nie wiem dokładnie, ale zdaje się, że wynajął coś na Zaspie.

- A gdzie teraz mieszka?

- Nie wiem dokładnie, ale zdaje się, że wynajął coś na Zaspie.

- Coś takiego... Wygląda na to, że niedługo wszyscy będziemy tam mieszkać.

- No tak - przypomniał sobie Ed - ty przecież też mieszkasz na Zaspie.

Mimo pozorów błażej rozmowy czułem w głosie Uhnalika dziwne napięcie, które i mnie się udzieliło.

- No, a co tak w ogóle? Widziałeś się z Agnieszką? - spytał Ed tonem zbyt lekkim, bym uwierzył w bezinteresowność tego pytania.

- Jeszcze nie, ale chyba spotkamy się wkrótce. Na razie mam ważniejsze sprawy.

Staralem się, by mój głos zabrzmiał stanowczo i tak chyba zrozumiał mnie Ed. O nic więcej nie pytając, otworzył drzwi. Wyszedłem szybko.

Wracałem na Zaspę niemal wściekły. Wszystko rozgrywało się gdzieś blisko, obok mnie - może nawet w sąsiednim bloku, a ja byłem bezradny jak osesek, który najgłośniejszym nawet krzykiem nie jest w stanie zmienić czegokolwiek w biegu spraw tego świata. Byłem ubezwłasnowolniony przez własną niewiedzę i jak prawdziwy osesek mogłem najwyżej krzyczeć. Lub czekać. Pierwsze nie miało żadnego sensu, drugie - było ponad me siły. Postanowiłem wrócić do domu i telefonicznie poszukać Artura.

Nadciągał wieczór. Słońce przezierало jeszcze grzbieciem swej tarczy zza poszarpanych morenowych wzgórz, które od zachodu otaczają Gdańsk łagodnym łukiem, ale jego promienie wpadały już tylko do okien najwyżej położonych mieszkań. Nieznośny kurz wielkiego miasta, który tak bardzo dawał się wszystkim we znaki przez cały gorący dzień, rozwiewał się teraz pod stanowczymi podmuchami morskiego wiatru.

Chłodna obrazą. Wiatr przeszeleścił przez lipową Aleję Zwycięstwa, spadł na wzgórze. Oddychałem pełną piersią, odruchowo nacisnąłem mocniej pedał gazu. Prowadziłem samochód mechanicznie, pochłonięty myślami gorączkowymi i logicznymi zarazem. Zjeżdżałem już z wiaduktu ulicy Pilotów na dawną płytę lotniska, na której zbudowano moje osiedle, gdy z ostrego wirażu wpadł prosto na mnie wielki samochód. Nie od razu zdałem sobie sprawę, że to niebieski chrysler. Zahamowałem gwałtownie, szybkim ru-

chem kierownicy zjechałem na pobocze. W przelocie przed maską samochodu mignęła mi twarz Teresy Brzeskiej. Chrysler przyspieszył i zniknął na wiadukcie. Chciałem natychmiast zawrócić, ale za niebieskim krążownikiem szos ciągnęła kłopotliwa kawalkada - dwie syrenki i trabant. Wjechałem im na ogon, ale i tak, zanim dojechałem do Grunwaldzkiej po chryslerze i Brzeskiej nie było nawet śladu spalin w powietrzu.

Stałem bezradny. Mogła skręcić w prawo do Sopotu. Lub w lewo do Gdańska. Mogła też pojechać prosto, do Oliwy. Znów, raz jeszcze dałem się zaskoczyć. Zniechęcony zawróciłem.

W domu nie zastałem nic, co mogłyby mnie jakkolwiek pocieszyć. Nie było Agnieszki, nie było Artura. Nikt do mnie nie napisał ani nie przysłał telegramu. Pod drzwiami nie było nawet butelki mleka, która być powinna, bo na Zaspie mleko roznosi się po południu. Cóż, widocznie któryś z sąsiadów miał pragnienie. Na zdrowie.

Zacząłem się bawić w telefonistkę. Niestety, numer domowy Artura milczał jak zakłęty. Dyżurny redaktor twierdzi, że Artur nie był dziś w pracy. Nie było go też w klubie SDP i ZLKP. Zawahałem się, czy zadzwonić do trzech przyjaciółek, których istnienie (i numery telefonów) Artur najchętniej ukryłby przed światem. Niecierpliwość przeważyła, zadzwoniłem. Wszystkie trzy były zdziwione. Wszystkie nie widziały Artura od tygodnia. Poszedłem spać, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Obudziłem się w środku nocy trzeźwy i zdumiony realnością swego snu. Śniło mi się, że wydzwaniam do wszystkich znajomych szukając Agnieszki i prawie ogłuchłem od monotonnego sygnału telefonu, na który nikt nie odpowiada. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że to nie ja dzwonię, lecz do mnie ktoś dzwoni. Telefon musiał brzęczeć natrętnie już od dłuższego czasu. Spojrzałem na zegarek: dochodziła pierwsza. Podniosłem słuchawkę.

- Przepraszam, że tak późno - miły, nieznanym kobiecym głosem.

- Nie szkodzi.

- Mówi Teresa Brzeska. Czy zechciałby pan się ze mną spotkać? Wiem, że pora jest niecodzienna, ale mam wyjątkowo ważną sprawę.

- Proszę bardzo, czy będziemy rozmawiać o wspólnych znajomych z Londynu? - mimo zaskoczenia zdobyłem się na żart. Wydawała się zmieszana.

- Niech pan przyjedzie jak najszybciej, wszystko panu wytłumaczę. Będę czekała w Gdyni, proszę stanąć na parkingu Teatru Muzycznego. Umówimy się o drugiej. Jeśli się spóźnię kwadrans, chyba mi pan wybaczy.

- Wybaczę, wybaczę... - uśmiechnąłem się w słuchawkę, ale rozmowa została przerwana.

Byłem w Gdyni za piętnaście druga. Opustoszały parking blisko morza wydał mi się osobliwym miejscem na spotkanie z kobietą, ale nie dziwiłem się już niczemu. dość w tej sprawie było zagadek, bym miał się zastanawiać nad drobiazgami. Czekałem. Minęła druga, piętnaście po, wpół do trzeciej.

Potem mijały kolejne godziny, ale prawda jest taka, że nic o tym nie wiem: zasnąłem. Spałbym tak może do południa, gdyby nie szkolna wycieczka, która rozsiała się na ławkach wokół parkingu; dzieciaki jazgotały nie gorzej niż silnik zepsutego trabanta, którego ktoś obok reperował. Spojrzałem na zegarek - dochodziła dziesiąta. bolała mnie głowa, trzeszczało w stawach. Przypomniałem sobie Brzeską. Nie przyszła. Jak to rozumieć? I jak rozumieć ten niecodzienny telefon?

Zjadłem śniadanie w kawiarni na rogu i chcąc nie chcąc wsiałem do samochodu. Wracać na Zaspę, czy pokręcić się trochę po mieście? Kusilo mnie, by zajrzeć na Cienistą, ale przeważyło jakieś wewnętrzne lenistwo, które podsuwa rezygnacja. Zacząłem wątpić w celowość swych zabiegów, z wczorajszego entuzjazmu nie zostało już prawie nic. W końcu jeżeli Agnieszka nie chce mnie widzieć, unika, to czy mam prawo jej szukać, prześladować swoim zainteresowaniem?

Poczucie bezradności, to samo, które z takim uporem towarzyszyło mi przez ostatni rok, powróciło teraz falą gniewu przechodzącego we wściekłość. Coś dzieje się wokół mnie, ale mnie nie dotyczy! Jestem na marginesie zdarzeń, które wyreżyserował ktoś inny, nie przewidując mojego w nich udziału. czy mogę jeszcze cokolwiek zrobić? Tylko jedno - czekać cierpliwie na Artura, który



i tak działał dotąd więcej niż ja. Ale przecież Artur też, jak Agnieszka, jak Teresa Brzeska, rozplynął się w powietrzu.

Wracałem na zaspę niechętnie. Mój dom przestał być moim zamkiem, stał się więzieniem. Ale czy mogłem pójść gdziekolwiek indziej?

#### 4.

Przekręciłem klucz. Zamek stawiał opór - po prostu nie był zamknięty. Czyżbym po raz drugi zgrzeszył roztargnieniem? Pchnąłem drzwi i wszedłem do przedpokoju. Widok, który ujrzałem pogłębił mą wściekłość i wybił z marazmu. Zrozumiałem, dlaczego Brzeska dzwoniła w nocy, zrozumiałem, dlaczego nie zjawiała się w Gdyni. Zrozumiałem, że Artur miał rację, nie wierząc w moje roztargnienie, a ja byłem zwykłym głupcem, nie przejrzawszy dokładnie mieszkania.

Było ono teraz zdemolowane w sposób tak dokładny i gruntowny, że nie potrafiłem nawet pomyśleć o trudzie sprzątnięcia mego skromnego dobytku, który teraz w kilku warstwach zaścielał podłogę. Meble poprzewracano, popruto pościel, ubrania obłano farbami, podarto rysunki i szkice.

Żywiół zniszczenia, który przeszedł przez moje czterdzieści parę metrów kwadratowych nie oszczędził niczego. Nie, naprawdę nie podejmowałem się tego uprzątnąć.

Następne kilka godzin zajęły mi rozmowy z milicją. Porucznik Leszczuk był sympatyczny, ale zmęczony. Miał takich włamań po kilka tygodniowo i nic, nawet sprośny rysunek, który włamywacz namalował na kuchennej ścianie keczupem, nie był go w stanie zdziwić.

- Żąda zniszczenia nieodmiennie towarzyszy patologicznemu poczuciu wolności, jakiego doznaje początkujący włamywacz. Bo nie wątpię, że to amator. Zresztą to źle panu wróży - takiego najtrudniej złapać - podsumował, kończąc notatki do protokołu.

- Teraz najważniejsze. Zanim pan przystąpi do generalnych porządków, proszę orientacyjnie stwierdzić, co zginęło.

Nie było to proste, ale porucznik, pełen dobrej woli, pomógł mi swoimi pytaniami uzmysłowić sobie, co właściwie należało do mojego dobytku. zginął aparat fotograficzny, magnetofon, bransoletka po matce, pięć tysięcy gotówki i tak dalej z džinsami włącznie. „Amatorska robota” pomrukiwał pod nosem porucznik. Nie wyprowadzałem go z błędu, choć był naprawdę sympatyczny. Wiedziałem, że to nie może być amatorska robota - nie wierzyłem w takie zbiegi okoliczności. Rację miał Artur - nieznanymi włamywacz szukał w moim mieszkaniu czegoś konkretnego. Nie znalazł raz - przyszedł drugi. Być może przy okazji połakomił się na co cenniejsze przedmioty, być może zabrał je tylko po to, by upozorować włamanie rabunkowe. Ale w rzeczywistości chodziło mu o coś innego. I chyba nawet wiedziałem o co.

Porucznik Leszczuk skończył oględziny i spisywanie protokołu. Jego pomocnicy z ekipy technicznej wyszli już wcześniej.

- W sumie jest to dość typowe włamanie mieszkaniowe, choć - prawdę powiedziawszy - zawiera kilka niespodziewanych elementów. Przede wszystkim nie jest to właściwe włamanie - nikt przecież nie wyważał zamka ani nie używał wytrycha. Z naszych oględzin wynika, że posłużono się kluczem lub jego duplikatem. Kto jeszcze ma klucze do tego mieszkania?

Serce zabiło mi mocniej - musiałem skłamać, choć tego nie chciałem i nie lubiłem.

- Myślałem o tym już wcześniej i nawet sprawdziłem, co się stało z drugim kompletem kluczy.

- No i?

- Nic - wisi na gwoździu w kuchni, jak wisiał. Pierwszy komplet mam przy sobie - wyciągnąłem klucze z kieszeni - a więc duplikatów nie ma.

- Czy te drugie klucze do kogoś należą?

- Tak, dałem je matce, wkrótce po zamieszkaniu na Zaspie. Ale to był gest symboliczny. Matka mieszkała w Szczecinie i nigdy tu nie przyjeżdżała, była schorowana. Zresztą zmarła kilka lat temu.

- Rozumiem - porucznik zanotował to sobie w notesie. - Cóż, klucze to ważny element całej sprawy. Ktoś musiał zrobić duplikat jednego z tych dwóch kompletów, a ten fakt zawęża krąg naszych

personalnych zainteresowań do ludzi z pana otoczenia. To włamanie przestaje być przypadkowe. Będziemy w kontakcie.

Pozegnał się i poszedł. Usiadłem ciężko na krześle. Tak, to włamanie na pewno nie jest przypadkowe. I na pewno dokonał go ktoś z moich znajomych, ktoś z kręgu Agnieszki i Teresy Brzeskiej. Bo przecież chyba nie one? Okłamałem porucznika Leszczuka, który i tak w tej banalnej sprawie wykazał więcej przenikliwości, niż tego wymagała rutyna. Trzeci komplet kluczy istniał - jakaś nutka w głosie porucznika kazała mi przypuszczać, że i on się tego domyśla. Trzeci komplet istniał i miała go Agnieszka.

Wstałem z krzesła i wziąłem się za Augiaszową stajnię, w którą zmieniło się moje mieszkanie. Nie po to, żeby sprzątać: chciałem się tylko upewnić, czy moje wcześniejsze, nie ujawnione przed milicją przypuszczenie jest słuszne.

Kiedy po wejściu do mieszkania spojrzałem na spustoszoną półkę z książkami - uderzył mnie brak jednego ważnego przedmiotu. Ale od razu też zdałem sobie sprawę, że tego przedmiotu nie było już wówczas, gdy niechętnie penetrowałem mieszkanie na polecenie Artura. Tak, w milicyjnym protokole zabrakło jednej skradzionej rzeczy: małej, misternie rzeźbionej szkatułki, w której przechowywałem nieliczne pamiątki osobiste. Były tam moje zdjęcia z dzieciństwa, dokumenty matki, listy od niej. Był miniaturowy portrecik Agnieszki, który namalowałem kiedyś na porcelanie. Kilka moich dokumentów - metryka, świadectwo pierwszej komunii, legitymacja ZPAP-u. I jeszcze jedno: pamiątka, mająca dla mnie znaczenie szczególne. Jedyne zdjęcie ojca, którego nie znałem. Pochodziło z lat czterdziestych z obozu dipisów. Na zażółconym miękkim kartoniku uśmiechał się łagodnie barczysty mężczyzna w drelichowej kurtce wojskowego kroju. Słońce rozjaśniało i tak już jasne włosy. W tle szarzał mur z fragmentami jakiegoś niewyraźnego napisu. Była to reklama przedstawienia, które w amatorskim teatrze przygotował mój ojciec. Tak przynajmniej opowiadała matka. Tego wieczoru się poznali: w dwa lata przed moim urodzeniem i niecałe dwa lata przed jego śmiercią. Więcej nic nie pozostało mi po ojcu, nawet lit, nawet wiersz. Bo przecież pisał wiersze, on, młody, wreszcie uwolniony od karabinu, pisał

dla mojej matki, która tego wieczoru uwierzyła naprawdę, że wojna się skończyła.

Otrząsnąłem się ze wspomnień. Szkatułki nie było. Miała dla kogoś wielkie znaczenie. Większe zapewne niż aparat, magnetofon, kozuch. Roześmiałem się głośno. Zapomniałem o kozuchu! Chyba naprawdę narażę się porucznikowi Leszczukowi.

Poszedłem do kuchni, zrobiłem sobie mocną kawę i jajecznicę z wszystkich jaj, które nie podzieliły losu keczupu i nie spływały teraz po ścianie. Wziąłem do ręki notes i ołówek. Coś, co było w szkatułce miało wielką wartość dla włamywacza. Były tam same dokumenty, a więc jeden z nich był komuś bardzo potrzebny albo komuś szalenie zależało na tym, bym ja został go pozbawiony. Któryś z tych świstków papieru musiał zawierać bardzo cenną informację lub być kompromitującym kogoś dowodem. Dowodem na co? Postanowiłem odtworzyć zawartość szkatułki.

Moje zdjęcia z dzieciństwa nie mogły mieć większego znaczenia. Chyba również zdjęcia matki i jej dokumenty. A także portret Agnieszki.

Moja metryka? Świadeństwo pierwszej komunii? Nieprawdopodobne. Już raczej listy matki - dwie paczki przewiązane wyblakłą wstążką. Jedna zawierała kilkanaście listów adresowanych do mnie, nielicznych, zachowanych w sentymentalnym odruchu. Druga paczka należała do matki. Nie były to właściwie jej listy, a listy adresowane do niej. Również nieliczne, oboje nie mieliśmy zwyczaju przechowywania korespondencji. Usiłowałem przypomnieć sobie, co zawierała ta druga paczka. Przeglądałem ją tylko raz, z zainteresowaniem, ale pośpiesznie. Było to wkrótce po śmierci mojej matki, kiedy likwidowałem nasze szczecińskie mieszkanie i niespodziewanie dla samego siebie znalazłem w szufladzie z bielizną ozdobną szkatułkę, której nigdy przedtem nie widziałem, i schowane w niej listy.

Najstarsze spośród nich pochodziły jeszcze z okresu wojny, był tam nawet gryps z Pawiaka, od mojego stryjcznego dziadka - ostatnia po nim pamiątka, bo mimo usiłowań rodziny nie wrócił już z Oświęcimia. Kilka listów, bardzo długich, pisanych tym samym, nerwowym charakterem, które podpisane były tylko imieniem Ryszard. Uśmiechnąłem się na to wspomnienie. To był tajemniczy

adorator matki, przed którym, jak mi kiedyś wyznała, uciekła z Wrocławia do Szczecina. Byłem za mały, by go zapamiętać, by go zapamiętać, miałem parę miesięcy, gdy przenieśliśmy się nad morze i właściwie dopiero po wielu latach zdałem sobie sprawę z poświęcenia mojej matki, której wcale nie musiały by- niemiłe adoracje „pana Ryszarda” i jego długie listy zaczynające się niezmiennie „najmilsza moja Aniu”. Zresztą matka je zachowała. Teraz przypominałem sobie więcej szczegółów. Datowane nadawcy nie było znane - matka powyjmowała listy z kopert, a „pan Ryszard” podpisywał się tylko imieniem. Czytałem je kiedyś pobieżnie, ale teraz nie potrafiłem wywołać z pamięci żadnego interesującego szczegółu.

Potem następowała dość znaczna kolekcja listów ode mnie i - nieco mniejsza od ciotki Julii, jedynej naszej krewnej, która mieszkała w Zamościu. Pomędzy nimi był jeden list, który ogromnie mnie zaskoczył przy pierwszej lekturze. Nic nie wiedziałem o jego istnieniu i nie podejrzewałbym nigdy matki o takie znajomości. Był to list z Francji, datowany w 1954 roku i podpisany przez tajemniczą Nathalie de Villars-Bourdon. List był pisany najczystszą polszczyzną, króciutki i zupełnie dla mnie niezrozumiały. Zaczynał się od „Szanowna Pani” i oschle informował o tym, że nadawczyni nie dowiedziała się w „sprawie Michała” nic, co pokrywałoby się z informacjami uzyskanymi od „szanownej pani”, jak również w „sprawie wdowca” po „nieszczęsnej Zosi”. List zawierał również informację, że nadawczyni podejmie własne kroki i nie życzy sobie żadnych kontaktów w przyszłości. Zamyśliłem się. Tym Michałem z listu nieznannej Francuzki mógł być mój ojciec - nosił właśnie to imię. Ale „nieszczęsna Zosia”, „wdowiec”... nic mi to wszystko nie mówiło. Przebiegłem w pamięci pozostałą zawartość szkatułki. Może więc portret ojca - jedyna chyba jego podobizna, jaka była w Polsce? I w tym momencie zaczęło mi coś świtać. Agnieszka podobnie jak ja wychowywała się bez ojca, który rozwiódł się z jej matką i wyjechał z kraju. Wyjechał z kraju również doktor Czyżewski, właściciel willi na Cienistej i - być może - ów szpakowaty mężczyzna z chryslera. Więc może doktor Czyżewski to ojciec Agnieszki. A nazwisko? Cóż - jej matka mogła po rozwodzie powrócić wraz z córką do nazwiska panieńskiego, to się zdarza.

Wreszcie mój ojciec, który był głównym „bohaterem szkatułki” (przypomniałem sobie, że również „pan Rysiek” wspominał o nim w swoich listach, pisząc, że „nic go nie wskrzesi” itd.), mógł przecież należeć do tego samego pokolenia co ojciec Agnieszki i doktor Czyżewski, jeśli jest nim ów mężczyzna, którego opisywali mi Ed i Wisia. I jeszcze jeden szczegół wyskoczył z pobudzonej pamięci - matka Agnieszki jest lekarką. Tak jak Czyżewski. A jej ojciec? Nic nie wiedziałem na ten temat. Jeśli jednak, po latach, rodzice Agnieszki znów się ze sobą zbliżyli, to dlaczego musiało się to tak dramatycznie odbić na jej związku ze mną?

Przypomniałem sobie nieliczne listy Agnieszki, które przechowywałem gdzieś indziej - w małym pudełeczku na karty z kości słoniowej, równie pięknym i nawet cenniejszym niż drewniana szkatułka. Sięgnąłem do szufladki nocnego stolika. Pudełeczko leżało tam spokojnie a w nim - wszystkie listy Agnieszki. A przecież z tej samej szuflady zginęły pieniądze i stary kolczyk z granatów zapomniany niegdyś u mnie przez Agnieszkę i nigdy już nie odebrany.

Tym razem los ofiarował mi spokojną noc, czego nie omieszkalem wykorzystać. Nie zdążyłem jeszcze zaparzyć kawy i pokroić resztek czerstwego chleba, gdy u wejściowych drzwi rozległ się dzwonek i wkroczył Artur, naburmuszony jak zwykle, ale tym razem uzbrojony dodatkowo w tajemniczy uśmiešek. Skrytykował jakoś naparu, pogrzebał w kuchennej szafce i - znalazłszy malinowy dżem, którym obdarzyła mnie ciotka Julia podczas swego ostatniego pobytu w Gdańsku, rozsiadł się wygodnie z pajdą chleba i kubkiem kawy. Krztusiłem się ze śmiechu, bo Artur usiadł pod nieprzyzwoitym malowidłem, które na pamiątkę zostawił mi włamywacz. Chciałem zmilczeć - do czasu - na temat wczorajszych rewelacji, ale Artur wcale nie zamierzał przedwcześnie zwracać mi się ze swych osiągnięć. Chcąc nie chcąc, opowiedziałem mu po kolei wszystkie swoje przygody od rozmowy z barmanem w „Bravo”, poprzez spotkanie z Edem, nocny telefon Brzeskiej, aż po włamanie i moje związane z nim odkrycia. Tym razem Artur słuchał spokojnie, nie przerywał mi, nie zdradzał się żadnymi emocjami. Gdy skończyłem, zadał mi jeszcze kilkanaście szczegóło-

wych pytań, po czym pomilczał chwilę i samokrytycznie westchnął.

- Właściwie powinienem mieć niejaki wyrzuty sumienia. Można się było spodziewać takiego właśnie obrotu sprawy. Ja - powinienem się być spodziewać. Gdybym był bardziej czujny, nie doszłoby do tych niepotrzebnych szkód, no i - na pewno wiedzieli-byśmy więcej, niż wiemy. Ale i tak wiemy niemało.

- Może ty wiesz - powiedziałem nie bez goryczy - ale najwi-doczniej nie chcesz sprzedać mi swych rewelacji.

- Zaraz się wszystkiego dowiesz. Zanalizujmy jednak najpierw to, co zaszło tutaj. Nie wątpię ani przez chwilę, że do właściwego włamania doszło wcześniej, w przeddzień naszego pierwszego spotkania. To była zdaje się niedziela? Nie wierzę w twoje roztar-gnienie i jakieś tam nie zamknięte drzwi. W niedzielę ktoś tu wszedł i zabrał to, co mu było potrzebne. Być może szkatułkę, o której mówiłeś...

- Jestem tego prawie pewien - przerwałem mu. - Zauważ, że ten dziwny włamywacz wybierał cenne rzeczy zupełnie przypadkowo. Sam właściwie dopiero dzisiaj rano zdałem sobie z tego sprawę. Wziął na przykład stary magnetofon, a ominął zegarek elektronicz-ny. Połakomił się na kozuch, choć w czerwcu musiał dziwnie wy-głądać, niosąc go pod pachą, a zostawił czapkę z lisa, którą kiedyś zapomniała u mnie ciotka.

- Właśnie, sądzę, że drugie włamanie było upozorowane. Chciał nie tylko coś zabrać, ale i zrobić to tak, byś ty nie wiedział o swojej stracie. O swej istotnej stracie - dodał.

- No tak, ale przecież właśnie dzięki drugiemu włamaniu do-myśliłem się, o co mu szło.

- Może go przeceniamy, a może nie doceniamy? Oczywiście, nie możemy wykluczyć, że wrócił tu po jeszcze jeden przedmiot lub informację. Ale sądzę, że w rzeczywistości było inaczej - po pierwszym włamaniu zrobiłeś coś, co go spłoszyło. Musiał się panicznie przestraszyć, że zaraz wpadniesz na jego trop. Poszedł na całość... i przeholował. Przecenił ciebie, ale my nie doceniliśmy jego determinacji i wagi całej sprawy. Bo zauważ - podjął Artur bardzo poważnym tonem - że zajmujemy się w tej chwili zupełnie inną historią niż ta, od której zaczęliśmy. Prosiłeś mnie o pomoc w

odnalezieniu dziewczyny, która mogła nie chcieć cię widzieć, ale też nie miała powodu się ukrywać. A ty miałeś prawo jej szukać. Po tym włamaniu wszystko się zmieniło - afera robi się tajemnicza i - no cóż - nie jest już tylko prywatną sprawą dwóch osób. Zwłaszcza od momentu, kiedy nakłamałeś milicji. Zajmujemy się więc jakąś dziwną sprawą, nie wiedząc w czym rzecz. Bawimy się w detektywów, choć nie znamy stawki tej gry. Czy obstajesz przy prowadzeniu prywatnego śledztwa?

Skinąłem poważnie głowę.

- Zgoda - podjął Artur - ale chciałbym, żebyś miał świadomość najdalszych konsekwencji tej zabawy. Niech nie opuszcza cię wyobraźnia i odpowiedzialność.

W milczeniu uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym Artur podjął przerwany wątek.

- Przede wszystkim musimy odpowiedzieć sobie na kilka pytań. A więc: jeśli włamywacz był amatorem, musiał mieć pewność, że zostanie puste mieszkanie, inaczej nie ryzykowałby. Ty nie prowadzisz regularnego trybu życia, więc nawet jeśli cię śledził i widział że, powiedzmy, wyjeżdżasz gdzieś samochodem, nie mógł mieć gwarancji, że nie jedziesz do kiosku po gazetę, z którą wrócisz za dziesięć minut. Pierwszego wieczoru nie było cię w domu do późna. Pamiętam, pamiętam - najpierw galeria, potem mieszkanie Justyna, potem powrót na Zaspę i Cienista. Włamywacz miał dużo czasu, ale musiał o tym wiedzieć. Nikogo nie informowałeś o swoich planach?

Wzruszyłem ramionami:

- Kogóż miałbym informować?

- No właśnie - podjął Artur - pozostaje więc ktoś, kto widział cię w Sopocie - na wystawie albo na przyjęciu i, być może, zawiadomił telefonicznie kogoś drugiego, kto z kolei złożył ci wizytę. Pasowałyby do tego ta Brzeska, pod warunkiem, że Justyn ma telefon.

- Ma.

- Więc Brzeska. Być może. Za nią przemawia również nocny telefon, który wywabił cię z domu następnego wieczoru, no i fakt, że ona i jej towarzyszka wyraźnie starają się coś przed tobą ukryć.

- Nie coś, nie coś, po prostu Agnieszkę.



- Która pasuje znakomicie do tej układanki, bo tylko ona miała trzeci komplet kluczy - wpadł w słowo Artur.

Milczałem.

- Ale jest też coś jeszcze, co przemawia za kandydaturą pani Brzeskiej. Coś, o czym nie wiesz.

- Więc jednak czegoś się dowiedziałeś?

Artur wyniośle wzruszył ramionami.

- W tym bloku, przed którym zatrzymała się taksówka Brzeskiej wynajmuje mieszkanie Łukasz Czarny. To tam nocowała Agnieszka...

- Dwieście metrów stąd! - nie mogłem się uspokoić.

- Nie przerywaj mi; jeszcze nie skończyłem. Nie mieszkała sama. Swoją wizytą na Cienistej spłoszyłeś całe towarzystwo, które w komplecie przeniosło się na Zaspę. Poza Agnieszką - Brzeską i szpakowaty, starszy mężczyzna.

- Doktor Czyżewski?

- Być może. Poza tym był tam oczywiście sam Łukasz.

- Więc on albo ten drugi mężczyzna mogli mnie śledzić i włamać się tutaj. Mieli wyjątkowo blisko.

- Mogli albo i nie. Pamiętaj, że Łukasz został u Justyna, kiedy ty już wyszedłeś. Ale jest poważniejszy argument za kandydaturą tego towarzystwa. Niebieskiego chryslera spotkałeś na Zaspie w poniedziałek po południu?

- Tak.

- A już następnego dnia rano całe towarzystwo załadowało się do samochodu z wielkimi walizami i odjechało... W siną dał. Łukasz oświadczył sąsiadom, że jedzie na wakacje i nie wie, kiedy wróci. We wtorek rano... czyli zaraz po włamaniu. Inna rzecz, że ktoś - wiedząc o planowanym wyjeździe - mógł podszyć się pod Brzeską.

- rzeczywiście, nie poznałem jej głosu przez telefon, ale w końcu rozmawiałem z nią tylko dwa razy w życiu.

- Sprawa nie jest jasna, jednak na użytek śledztwa - zabrzmiało to szalenie pompatycznie, ale pasowało do Artura - musimy przyjąć pierwszą hipotezę i obarczyć odpowiedzialnością za wizyty u ciebie panią Brzeską et consortes.

- Możemy przyjąć hipotezę, jaką tylko zechcesz, Arturze. Ale skąd właściwie masz te wszystkie wiadomości?

- Och, to banalnie proste. Brzeska wysiadła na Zaspie, więc musiała mieć jakiś związek z kimś, kto tu mieszka. Na Zaspie mieszka szczęśliwie paręnaście tysięcy ludzi, spośród których ja znam co najmniej ze stu. Poszedłem tym tropem. O tym, że pod adresem, który mi podałeś mieszka Łukasz Czarny dowiedziałem się bardzo prędko od pewnej znajomej dziewczyny, która zajmuje mieszkanie w sąsiedniej klatce i bardzo się interesuje życiem swoich sąsiadów, zwłaszcza jeśli są znanymi artystami. W podobny sposób obstałem jeszcze kilka punktów, które wydały mi się interesujące. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że na Zaspie mieszkają również dwie bliskie koleżanki Agnieszki ze studiów, żona byłego właściciela „Bravo” - pani Fabjańska, no i z dziesięć osób o nazwisku Brzeski. Jeszcze tego samego dnia miałem wiadomość o chryslerze, którym pod blok Łukasza zajechał starszy pan. To było przedwczoraj wieczorem, a już wczoraj towarzystwo wyjechało. Żałuję teraz, że nie zainteresowałem się nimi bliżej, ale sądziłem, że będzie na to czas. Poszedłem zupełnie innym tropem.

- więc masz jeszcze inne wieści?

- Oczywiście, choć nie bardzo wiem, jak je interpretować.

- W każdym razie opowiadaj.

- Poprosiłem Halinkę, to ta miła dziewczyna, która nieco mi pomogła swoją spostrzegawczością - żeby zwróciła uwagę na to, co robią goście Łukasza. Ona ma dużo czasu, wychowuje małe dziecko, a Agnieszkę pamięta nawet z uniwersytetu, bo przez rok studiowała historię. Może ją znasz, potem wyszła za mąż i nazywa się teraz Waniewicz, ale studiowała pod panieńskim nazwiskiem Szewczyk?

- Znam jakichś Szewczyków, ale nie wiem skąd.

- Nieważne, w końcu to dość popularne nazwisko. No więc Halinka zauważyła Agnieszkę przedwczoraj, jeszcze zanim prosiłem ją o pomoc. Widziała przez okno, jak Agnieszka wychodziła z domu. Nie poszła do tramwaju, lecz skręciła w stronę kolejki elektrycznej. Halinka ma okna na obie strony i widok rozległy, widziała więc, jak Agnieszka minęła wiadukt nad torami i nie zeszła na peron. Powędrowała dalej piechotą. Co z tego wynika?

- Milczałem, nic sensownego nie przyszło mi do głowy.
- Zastanów się, chłopie! Dokąd mogła pójść Agnieszka piechotą z Zasy?
  - Już wiem, na pewno poszła na uczelnię. Czasem urządziła sobie taki spacer. To przecież tylko trzy przystanki tramwajowe lub jeden kolejką.
  - No właśnie, poszła na uczelnię. Sądziłem, że chciała się spotkać z Bohomolcem, ale nie - profesora nie było tego dnia w instytucie. Pod koniec czerwca nie ma już tam wiele roboty. Agnieszka zwyczajnie poszła do czytelnicy. I siedziała tam dość długo, jeśli sądzić po ilości rewersów, które wypisała.
  - Ale skąd ty o tym wiesz, na Boga?
  - Och, nic prostszego. Tak się przypadkowo składa, że znam dobrze bibliotekarkę, która akurat wtedy miała dyżur.
  - Znam ja te twoje przypadki. Jeśli się okazuje, że znasz jakąś dziewczynę, to na pewno nie ma w tym przypadku.
  - Pozwolisz, że nie będziemy się zajmowali moim życiem osobistym - uciał Artur - wystarczy, że ja pomagam ci w twoim.
  - No dobrze, już dobrze, opowiadaj dalej.
  - I tu zaczyna się kolejna zagadka. Wiesz, jakie książki studiowała Agnieszka w czytelnicy?
  - Skąd miałbym wiedzieć?
  - Wszystkie bez wyjątku dotyczyły tego samego tematu: powojennej repatriacji Polaków z Zachodu i w ogóle losów Polaków na Zachodzie. Takich opracowań jest niewiele, więc Agnieszka przestudiowała je prawie wszystkie.
  - Ale po co?
  - Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Po wysłuchaniu twojej opowieści widzę jednak wyraźny związek między zainteresowaniami Agnieszki a zawartością szkatułki twojej matki. Twoi rodzice poznali się na Zachodzie i tam zginął twój ojciec, prawda?
  - Tak.
  - Zawartość szkatułki przynajmniej w części odnosiła się właśnie do niego. sądzę, że Agnieszkę interesowała właśnie jego osoba i stąd dobór lektury.
  - Ale nie rozumiem, czego mogłaby się dowiedzieć Agnieszka o moim ojcu, studiując historyczne opracowania?

- I ja tego nie wiem. Dlatego musisz mi opowiedzieć wszystko, co o nim wiesz. Może coś nam przyjdzie do głowy.

- Ale Arturze, przecież sam wiesz najlepiej, że ojciec zginął jeszcze przed moim urodzeniem. Jestem pogrobowcem i nie wiem o nim prawie nic.

- A jednak prawie nic, to więcej niż nic. Opowiadaj.

Przez chwilę zbierałem myśli. Miałem opowiedzieć, chyba po raz pierwszy w życiu, o człowieku, który był mi najbliższy, mimo iż go wcale nie znałem. Który istniał dla mnie tylko w samotności matki, w miecie, w jednej starej fotografii.

- Wiem naprawdę niewiele. Ojciec pochodził z Warszawy, urodził się w 1919 roku. Jego ojciec był lekarzem, ale umarł na początku lat trzydziestych. Moja babka wychowywała dzieci w duchu patriotycznym, nic więc dziwnego, że ojciec od pierwszych dni okupacji działał w konspiracji, a równocześnie studiował medycynę na tajnych kompletach UW...

- Więc miał rodzeństwo? - przerwał mi Artur. - Wspomniałeś o dzieciach...

- Tak, ojciec miał dwie siostry. Jedna zmarła zaraz po wojnie, ciężko chorowała, a o drugiej moja matka nigdy nic mi nie mówiła.

- Dobrze, opowiadaj dalej.

- Ojciec brał udział w Powstaniu Warszawskim, był oficerem - bodaj porucznikiem - w zgrupowaniu „Radosława”. Walczył najpierw na Woli, potem na Starówce. Po upadku Powstania siedział w oflagu, potem w obozie dipisów. Tam poznał matkę.

- A z nią co się działo?

- Jej rodzice pochodzili z Wilna. W 1942 Niemcy wywieźli ją do Oświęcimia, potem do Gross-Rosen. Wzięli ją z ulicznej łapanki. Ojca poznała w Sindelfingen - tam był obóz dipisów, o którym mówiłem. Aha, jeszcze jedno. Ojciec miał talent literacki, podobno nieprzeciętny. Jeszcze przed Powstaniem redagował efemeryczne podziemne pismo literackie „Wolność i Słowo”, potem w oflagu i obozie prowadził teatr amatorski i dalej pisał. Niestety, nie znam żadnych jego wierszy.

- Najważniejsze wiadomości zostawiłeś na koniec. Bardzo dobrze.

Artur z przejęciem wyciągnął notes i zapisał w nim parę zdań. Potem zarzucił mnie pytaniami tak gwałtownie, że z detektywa zmieniłem się w przesłuchiwanego.

- A co z matką twojego ojca?

- O ile wiem, nie przeżyła wojny.

- Czy masz jakichś krewnych z jego strony?

- Nie, a przynajmniej nic o nich nie wiem.

- A co z twoimi dziadkami z Wilna?

- Byli strasznie uparci i nie chcieli opuszczać rodzinnych stron. Babka zmarła w 1946 i dziadek postanowił, że pozostanie na zawsze w miejscu, gdzie jest pochowana. Zresztą dużo moich krewnych jest do dziś na Wileńszczyźnie. Dziadek zmarł dopiero w 1968, miał już wtedy dziewięćdziesiąt lat. Poznałem go na dwa lata przed śmiercią, gdy matka zabrała mnie do Wilna. To był wspałały staruszek.

- A inni krewni w Polsce?

- Mam trochę dalekich kuzynów matki, z którymi raczej nie utrzymuję kontaktów. No, ale najważniejsza jest ciotka Julia.

- Kto to taki? Zaraz, zaraz, czy ja jej nie znam?

- Ależ tak, spotkałeś ją kiedyś u mnie. To rodzona siostra mojej matki. Jest już wdową i mieszka w Zamościu.

- Czy twoja matka utrzymywała z nią bliższe stosunki?

- Zaraz po wojnie nie. Były skłócone, choć nie znam powodu. Potem stopniowo znów się do siebie zbliżyły i w ostatnich latach życia mojej matki utrzymywały bardzo ożywione kontakty. Ale o tym wiem mniej, bo mieszkałem już wtedy w Gdańsku. Ciotka przelała swoje uczucia do siostry na mnie i wyobraża sobie, że się mną z daleka opiekuje. - Przypomniał mi się malinowy dżem ciotki Julii, który Artur z taką przyjemnością zjadał.

- Tak, to by było nawet sporo. - Artur zamknął swój notes. - Przyjmujemy teraz następujący tryb postępowania. Ja pójdę tropem lektur Agnieszki i twojej opowieści. Może na coś trafię. Ty - pojedziesz do Zamościa, do ciotki. Starzy ludzie wiedzą zawsze więcej, niż sądzimy. Musisz z niej wyciągnąć maksimum informacji na temat twoich rodziców i ich losów w latach czterdziestych. I pamiętaj, że wszystko, każdy szczegół może być ważny!

Westchnąłem, wcale mi się nie uśmiechała daleka i - jak sądziłem - niepotrzebna podróż.

- Januszk, musisz tam pojechać - Artur jeśli chciał, potrafił być bardzo przymilny - zrozum, że ja i tak w Gdańsku więcej zdziałam. Ty jesteś odludkiem, z nikim się nie widzisz, a ja mam wielu znajomych. Zresztą mnie łatwiej pytać o Agnieszkę i całą resztę.

Tu musiałem mu przyznać rację, ale wspomnienie Agnieszki zabolalo.

- Nie myśl, że nie umiem czytać w myślach - uciał moje wahania wyraźnie uznający się za Sherlocka Holmesa dziennikarz. - To, że Agnieszka wyjechała jest jeszcze jednym argumentem na rzecz również i twojego wyjazdu. W Gdańsku będziesz się tylko denerwował i frustrował. A tak - może zdziałasz coś konkretnego.

Mimo wewnętrznych oporów przystałem na jego argumentację. Podnieśliśmy się od stołu, śniadanie zostało zjedzone już dobre dwie godziny temu. Dochodziło południe.

- Kiedy mam jechać?

- Głupie pytanie - zachnął się Artur - czy ja jestem kolejowy rozkład jazdy? Pojedziesz, kiedy zechcesz, ale ja - zaakcentował to „ja” - sądzę, że powinieneś to zrobić natychmiast. Był stanowczy, a ja dałem się już i tak ubezwłasnowolnić jego energii. Sięgnąłem po atlas samochodowy, zacząłem pakować neseser.

- I pamiętaj, żebyś zaraz po powrocie odezwał się - dodał nieustraszony dziennikarz, kierując się do wyjścia.

Wzruszyłem ramionami - dotąd tylko artur miał zwyczaj kontaktowania się ze mną. I to jak z łaski.

5.

Wyjechałem z Gdańska wczesnym popołudniem. Warszawska szosa, bardzo zapchana o tej porze, zmęczyła mnie, więc zaraz za Elblągiem zjechałem na boczną drogę, postanowiwszy ominąć zatłoczoną Warszawę wielkim łukiem.

Mój fiacik spisywał się wspaniale, zapewne tylko dlatego, że nigdy się nie przejmowałem jego stanem i nie zwracałem uwagi na

drobne usterki. zawsze uważałem, że samochód powinien jeździć, nie wyglądać. Sześćset kilometrów, które dzieliło mnie od Zamościa rozplanowałem na dwanaście godzin, musiałem więc jechać szybko, ale bez przesadnego pośpiechu. Mądrzej zapewne byłoby wyruszyć w taką podróż pociągiem, ale dość miałem już bierności, na jaką skazywał ten środek lokomocji. Dojechałbym na pewno do Zamościa trochę po północy, gdyby nie kicha, którą złapałem jeszcze przed Lublinem.

Było już ciemno, a śruby dziurawego koła przerdzewiały i nie chciały puścić, więc zmagalem się z usterką blisko godzinę. Mimo późnej pory przeważyło zmęczenie - zahaczyłem o Lublin, żeby coś zjeść i odpocząć.

Do Zamościa dotarłem już przed drugą w nocy, trochę późno jak na wizytę u statecznej ciotki. Byłem u niej zaledwie dwukrotnie - przed laty, z matką, raz jako mały berbec, drugi raz - młodzieniec przed maturą.

Ta druga wizyta przedłużyła się - spędziliśmy w Zamościu dwa wakacyjne tygodnie. Moja matka ze swą siostrą i jej żyjącym jeszcze wówczas mężem, mecenasem i dżentelmanem w przedwojennym stylu, przypominali sobie zapomnianą młodość, odżywali w przywróconej sobie przyjaźni. Ja, znudzony wspominkami i wspólnymi wycieczkami za miasto, znalazłem sobie młodzieżowe towarzystwo i - pierwszą miłość, gorącą i niespokojną, która sprawiła, że wyjechałem z Zamościa młodym mężczyzną, tak jak moja matka - ożywiona wspomnieniami - wydawała się zmieniać w młodą kobietę, taką, jaką musiała być, nosząc mnie w sobie przed dwudziestu laty w odległym kraju, do którego ja teraz chciałem powrócić swoimi pytaniami i dociekliwością.

Czy ciotka Julia mogła mi w czymkolwiek pomóc? Czy nie zdziwią jej moje pytania dotyczące spraw, którymi nigdy się nie interesowałem? Wahalem się przez moment, zanim przycisnąłem dzwonek u drzwi. Cóż, jeśli się już zdecydowałem na rodzinne wizyty to trzeba być konsekwentnym. Ciotka powinna jednak być z mojej obecności zadowolona.

Ciotka Julia była nawet bardziej zadowolona, niż mogłem się tego spodziewać. Obsypała mnie pocałunkami, wyściskała, zakrzętnęła się wokół herbaty, później kolacji, pościeli, toalety. Nim

to jednak nastąpiło, dzwoniłem przez dobre dziesięć minut, powątpiewając w obecność ciotki za masywnymi drzwiami, a potem długo tłumacząc, kim jestem i czego chcę.

Wreszcie zrozumiała, że to naprawdę „Januszek przyjechał” i teraz siedzieliśmy przy wielkim stole nad szklankami herbaty - ja opychający się kanapkami i konfiturami, ciotka - monologująca bez ustanku. Nie była już młoda, dobijała siedemdziesiątki, wieloletnie matkowanie młodszej siostrze, mnie, swemu mężowi i zresztą każdej wymagającej opieki istocie, która pojawiła się w promieniu kilometra - przydało jej rysu dobroćliwości i troskliwości, który zawsze ją postarzał, nawet w oczach najbliższych.

Mimo zmęczenia i później pory chciałem od razu przystąpić do rozmowy, ale ciotka obezwładniła mnie spokojną atmosferą swego domu, pogodą ducha, plotkarskim monologiem, który niezbyt mnie interesował, choć słuchałem go z przyjemnością. Nie sposób było burzyć ten nastrój zbytnią natarczywością. Pozwoliłem więc ciotce dokończyć, sam wspomniałem zdawkowo o „nowościach” i - poszedłem spać, odkładając decydującą rozmowę na jutro.

Wstałem wcześniej - już od paru dni nie mogłem spać dłużej niż sześć godzin. Ciotka czekała ze śniadaniem i gotowym planem rozrywek na ten dzień i bodaj - następny tydzień. Musiałem zjeść jajecznicę, kiełbaski, zupę mleczną, szarlotkę. Ciotka przedstawiła mi plany wizyt i brydżów, wycieczek za miasto i garden-party miejscowej śmietanki towarzyskiej, które swą obecnością niewątpliwie uświetnię.

Zrozumiałem, że jedynym wyjściem jest szczerłość i przerwawszy ciotce Julii dość stanowczo, wyłożyłem całą swoją historię, kłopoty i przejścia ostatnich dni, wreszcie - cel mej wizyty. No, powiedzmy, że nie opowiedziałem wszystkiego, nie chcąc przerazić starszej pani takimi przestępstwami, jak zatajenie prawdy przed milicją, ale to, czego się dowiedziała wystarczyło w zupełności, by ciotka zrozumiała wagę sprawy, zadeklarowała swą pomoc. Znała już zresztą wcześniej Agnieszkę, wiedziała o naszym rozstaniu, współczuła mi z daleka. Teraz spoważniała nagle, zamyśliła się, westchnęła.

- Postaram ci się pomóc, Januszeku, ale naprawdę nie wiem, czy potrafisz. Bez względu na to, jaki przyświeca ci cel, samo zainteresowanie



sowanie przeszłością i osobą twego ojca jest godne pochwały i pomocy. Wy młodzi tak łatwo zapominacie o nas, nie chcecie poznać prawdy naszej młodości, mimo iż sami ją powtórzycie swoim doświadczeniem. Ale ostrzegam cię - ta prawda, czy raczej - te jej ułamki, które znam - nie muszą być ani piękne, ani szlachetne. Są czasem okrutne i niełatwo jest żyć ze świadomością, iż wyidealizowany mit konkretyzuje się w prawdzie brutalnej bądź banalnej.

- Nie rozumiem, ale przecież zdaję sobie sprawę, że czasy wazszej młodości nie były ani łatwe, ani bezgrzeszne. Przecież wiem, jeśli o tym mówisz ciociu, że jestem w istocie nieślubnym dzieckiem, przecież nawet noszę nazwisko mojej matki a nie ojca.

Powiedziałem to zdanie odruchowo, nie zastanawiając się nad jego treścią. Wypełzło ono z mroków podświadomości, w którą spychałem, nie wiedząc nawet o tym, tę prawdę o sobie, towarzyszącą mi przez całe życie i nie będącą przecież tajemnicą. Nosiłem nazwisko mojej matki, bo urodziłem się już po śmierci ojca, a przed ślubem, którego nie zdążyli wziąć. Zmartwiałem. Przecież tej informacji, bodaj najważniejszej, nie udzieliłem nawet Arturowi, który idzie teraz tropami nigdy nie istniejącego Michała Szmólskiego. Ciotka Julia nie zauważyła mojego zamyślenia, mówiła wolno, z niespodziewaną goryczą.

- To dobrze, że wiesz o swoim pochodzeniu, ale niestety nie znasz całej prawdy. Dobrze, że przyszedłeś sam z tymi pytaniami. Twoja matka nie żyje, a ja i tak postanowiłam kiedyś to wszystko opowiedzieć ci. I teraz nadeszła odpowiednia pora. Kochałam bardzo twoją matkę, nie tylko dlatego, że była moją młodszą siostrą, no i najbliższą mi osobą. Widzisz, Anna była człowiekiem niezwykłym, o wielkim sercu i ogromnej woli życia. Potrafiła znieść wiele, ale też bardzo wiele miała do zaoferowania. W naszym siostrzanym związku to ona górowała, nie ja - starsza i bardziej doświadczona. Tak było już przed wojną, a potem - Anna poszła do obozu, rodzina się pogubiła i wszystko się rozsypało. Annę wyzwolenie zastało daleko, w Niemczech. Po obozie chorowała bardzo długo, ponad rok kurował ją Czerwony Krzyż, potem wysłano ją do sanatorium w Szwecji. W Uppsali poznała siedziałego tam od 1939 roku Polaka, który koniecznie chciał się z

nią ożenić i nawet przez jakiś czas się wahała. Ja w czasie wojny wyszłam za mąż za Konstantego, nieboszczyka, ale wtedy mieszkaliśmy jeszcze w Grodnie. Zaraz po wyzwoleniu zaczęłam szukać Anny przez PCK, ona zresztą robiła to samo i już w 1946 zaczęłyśmy korespondować. Chciała wracać do Polski, ale najpierw przeszkodziła w tym choroba, później ów amant z Uppsali, wreszcie twój ojciec, którego poznała w Sindelfingen - pracowała tam jako pielęgniarka tuż przed planowanym powrotem. Michała Widurskiego znam tylko z opowiadań Anny, nie widziałam go nigdy. Z tych skąpych informacji, jakie o nim posiadam, wyłania się postać mężczyzny inteligentnego, silnego, odważnego, ale cóż... trochę niezrównoważonego życiowo. Taki prawdziwy „Kolumb”. Wiele przeszedł i tak jak rówieśników, i jego odmieniła wojna. Po wyzwoleniu długo nie potrafił się odnaleźć, a przede wszystkim - zdecydować, czy wraca do kraju, czy zostaje na Zachodzie. Rozumiem ich dobrze, tych wszystkich młodych ludzi z mojego pokolenia, których nagle zaskoczyła wolność zupełnie inna od tej, jaką sobie wymarzyli i wywalczyli. Twój ojciec miał przy tym powody, by lękać się powrotu do kraju. Jak może wiesz, jeszcze przed Powstaniem redagował czasopismo literackie, w którym często wyrażał poglądy, mówiąc eufemistycznie, niezbyt popularne w nowej ojczyźnie. Sądzę, że gdyby wrócił, to teraz po latach tamte sprawy nie miałyby żadnego znaczenia, ale cóż - wtedy było zupełnie inaczej, a całą sprawę pogarszała opieszałość twego ojca, który wahał się tak aż do 1948 roku, kiedy to powrót już naprawdę robił się niebezpieczny. Kiedy poznał Annę, nie był w najlepszym stanie psychicznym, wciąż pełen wahań i obaw, które podsycali różni jego koledzy i dawni przełożeni zdecydowani nie wracać do Polski. Twoja matka poznała go w 1948 roku i ku mojej rozpaczce również ona zaczęła odwlekać powrót, decydując się połączyć los z losem tego mężczyzny. Po pewnym czasie okazało się, że Anna jest w ciąży. Był to moment szalenie ważny, przełomowy dla ich związku. Mimo iż zapowiedź przyjścia na świat dziecka jeszcze bardziej komplikowała ich sytuację, oboje uspokoili się, odzyskali chęć życia i wewnętrzny spokój. W końcu zdecydowali, że ich miejsce jest w kraju. Mieli wziąć ślub i wrócić tu jeszcze przed rozwiązaniem. O tym, co działo się dalej wiem właściwie bardzo

mało i da się to zrekapitulować w kilku słowach. W przeddzień ślubu twój ojciec uległ ciężkiemu wypadkowi samochodowemu, ale wbrew temu, co sądzisz - nie zginął. zaraz zresztą zrozumiesz motywy, dla których matka nigdy nie powiedziała ci całej prawdy. Ojciec przeżył, ale był ciężko pokaleczony, miał połamane nogi i zebra, poranioną twarz. Ponieważ nic nie zagrażało jego życiu, wymógł na Annie, że wróci do Polski sama - oboje pragnęli, żebyś urodził się tutaj. Michał miał przyjechać za kilka miesięcy, zaraz po ukończeniu niezbędnej kuracji. Twoja matka, pełna złych przeżyć, wyczerpana ciążą i niespokojna o ich losy w kraju - uległa mu i wróciła. Nie powiadomiła mnie o swojej decyzji, nie napisała do mnie nawet po powrocie. Zamieszkała z tobą we Wrocławiu - urodziłeś się w trzy dni po przekroczeniu granicy - u szwagra Michała, wdowca po jego młodszej siostrze. Anna była szalenie nieufna wobec wszystkich i wszystkiego, zachowywała się jak konspiratorka oczekująca w każdej chwili aresztowania, cierpiała z powodu obsesyjnych lęków. Było jej wtedy bardzo ciężko, ale mimo to nie zwróciła się do mnie o pomoc. To właśnie było powodem późniejszego ochłodzenia stosunków, prawie rozstania, nad którym bardzo bolałam. Tymczasem twoja matka „konspirowała się” i czekała na ojca. Nie doczekała się. Nigdy już więcej go nie zobaczyła, nie dostała nawet od niego żadnego listu. Milczenie Michała, które początkowo kładła na karb choroby lub przesadnej ostrożności, przyprawiało ją samą wręcz o chorobę. Umierała z tęsknoty i strachu. We Wrocławiu opiekował się Anną ten mężczyzna, o którym wspomniałam. Nie widziałam go nigdy w życiu i nawet nie pamiętam jego nazwiska... Zdaje się, że miał na imię Ryszard. Stanowił dla twojej matki znaczne oparcie, ale musiało między nimi zajść coś niedobrego, bo nie mieszkała we Wrocławiu nawet przez rok, przeniosła się do Szczecina. zaczęła wtedy poszukiwania przez Czerwony Krzyż, ale nawet ta organizacja okazała się bezradna - nigdy nie natrafiono na żaden ślad twojego ojca. Listy Anny, które początkowo pozostawały bez odpowiedzi, ale chyba były odbierane przez adresata, zaczęły wkrótce wracać z adnotacją „adresat nieznan” i to dla Anny było jak ogłoszenie wyroku śmierci. Musiało minąć wiele lat, nim wróciła jej radość życia i nastąpiło nasze ponowne zbliżenie.

Ciotka zamilkła. Ja milczałem również, przytłoczony tą niespodziewaną prawdą o moich rodzicach i tragicznym losie matki - tak bliskiej mi, a tak odległej w swym cierpieniu, przed którym potrafiła mnie uchronić.

- rozumiesz chyba sam - podjęła ciotka Julia - dlaczego matka nigdy nie powiedziała ci całej prawdy. Przede wszystkim dlatego, że sama jej nie знаła. Gdzieś na początku lat sześćdziesiątych, kiedy zaczęliśmy na nowo korespondować, Anna napisała, że odebrała wiadomość, z której wynika, iż twój ojciec naprawdę zmarł wtedy w szpitalu w Sindelfingen. Miały nastąpić jakieś powikłania, ogólne zakażenie... cóż, antybiotyki nie były jeszcze w powszechnym użyciu. Podobno zmarł. Kiedy przy najbliższym spotkaniu wróciłam do tego tematu, Anna unikała rozmowy, ale wyczułam, że nie wierzy w tę wiadomość bądź nie ma zaufania do informatora. Jeśli jednak mówiła o śmierci Michała, to zapewne sądziła, że i dla niej samej lepiej będzie pogodzić się z tą wersją. Cóż zresztą mogła zrobić - opuszczona, samotna, cierpiąca, obawiająca się represji, które zresztą jej nie spotkały, choć musiała się tłumaczyć z długiego pobytu na Zachodzie. Anna nigdy nie uwierzyła w śmierć twojego ojca, ale też nie mogła dopuścić myśli, że po prostu uciekł od was, wyjechał gdzieś daleko do Kanady, Australii, zapomniał o swej polskiej rodzinie. Ten brak wiedzy był straszniejszy nawet od najgorszej wiadomości; być może to niepewność kazała jej pozostać na zawsze samotną, choć przecież nie brakowało mężczyzn, którzy tracili dla niej głowę.

Ciotka Julia zauważyła, jak silnie podziała na mnie jej opowieść. Z wielkim taktem i czułością, którą tak bardzo u niej ceniłem, zmieniła temat, zaczęła mówić o czasach wspólnej młodości w Wilnie, wspominać mojego dziadka; zdobyła się nawet na jakąś anegdotę. Nie potrafiłem wydobyć z siebie banalnych słów podzięk. Objąłem starą kobietę i przez chwilę trwaliśmy tak nieruchomo. Poczułem na dłoni wilgotną kroplę - ciotka Julia płakała. Starałem się ją pocieszyć, ale uspokoiła się sama, osuszyła oczy koronkową chusteczką i powiedziała:

- Nasza młodość minęła tak dawno, że nie przywołamy jej żadnym seansem spirytystycznym. Żadnych duchów nie ma poza tymi, które żyją w nas. Szczęśliwy, kto może z nimi rozmawiać. Ale

skończmy już naszą rozmowę. To dobrze, że dowiedziałeś się wszystkiego. A teraz szukaj dalej Agnieszki, bo w przeciwieństwie do swojej matki masz szansę ją znaleźć.

Zacząłem przygotowywać się do drogi powrotnej. Ciotka Julia nie oponowała. Zamyślona dorzuciła przed samym rozstaniem:

- Postaram się jakoś pomóc ci, choć nie bardzo jeszcze wiem jak. Sądzę, że przydałoby ci się nazwisko tego mężczyzny z Wrocławia, który zapewne wie bardzo dużo o tym, co działo się z wami zaraz po powrocie do Polski. Niestety - słyszałam kiedyś jego nazwisko, ale nie potrafię go sobie przypomnieć. Będę o tym myślała.

Uściskałem serdecznie starą kobietę i zbiegłem do samochodu. Zapomniałem już prawie o swojej zabawie w śledztwo, ale wiedziałem, że mam już dwie zagadki do rozwiązania: Agnieszki i Michała Widerskiego, mego ojca.

Wracałem do Gdańska nieśpiesznie, rozmyślając o opowieści ciotki Julii i znaczeniu nowych informacji. Potem zacząłem wspominać dzieciństwo i Szczecin mojej wczesnej młodości, matkę, pracowitą i zapobiegliwą, ale zawsze mającą czas dla mnie i moich, najbliższych nawet, spraw. Jeszcze przed wojną zrobiła maturę. W czasie okupacji zaliczyła trzy semestry architektury na tajnych kompletach i później, już w Szczecinie, powróciła do przerwanych studiów. Wciąż pracując zdobyła dyplom. Zawsze pięknie rysowała i malowała, talent odziedziczyłem zapewne po niej. Talent? No tak, skończyłem szkołę plastyczną i ja miałem dyplom artysty; potrafiłem narysować i namalować wszystko, na co miałem ochotę. Ale przecież nigdy nie udał mi się żaden portret Agnieszki. Może poza tym jednym, namalowanym na porcelanie, który zniknął razem z rodzinną szkatułką. Poczułem ogromny żal za straconą w życiu szansą, zgubioną miłością, dziewczyną, po której nie został mi nawet portret. Nawet kolczyk, i tak nie darowany - zapomniany.

Zapadał wieczór. Słońce świeciło jeszcze wysoko, ale drogi zasnuwała lekka mgła - wspomnienie po gorącym dniu. Poczułem się nagle zawieszony i zagubiony w obecnej przestrzeni, której nie mogłem i nie potrafiłem oswoić. Zdało mi się, że wszyscy kierowcy mijanych samochodów śpieszą do swych jasnych, ciepłych

domów, że każdy ma swoje miejsce, swój własny punkt na ziemi, należący tylko do niego i zadomowiony przez jego bliskich. Tylko ja byłem pozbawiony swego miejsca, skazany na wieczne zawieszenie w czasie i nieskończone poruszanie się po drodze, która nie prowadzi do żadnego celu, punktu, w którym ktoś na mnie czeka.

Mijałem Olsztyn, kiedy niespodziewanie dla samego siebie, chyba z podszeptu podświadomości, skierowałem samochód na drogę wiodącą do Bartoszyc. Nie miałem żadnego pomysłu, nie przyszedł mi do głowy żaden plan: wiedziony jakimś tajemniczym instynktem jechałem do miejsca najbliższego mojej umęczonej duszy, spodziewając się jakby znaleźć u kresu podróży Agnieszkę, czekającą, pełną oddania i uspokojenie, które mogły mi ofiarować tylko jej dłonie.

Była chyba dziewiąta, kiedy zajechałem pod domek Agnieszki. Zapuszczony ogród i ciemne okna z daleka oznajmiły mi brak mieszkańców. Zatrzymałem samochód. W ogrodzie sąsiedniej posesji usłyszałem jakiś ruch: stara kobieta, z którą rozmawiałem już kiedyś, przed rokiem, podlewała zmęczony upałem ogród. Podeszedłem do płotu, nie bardzo wiedziałem, jak sformułować pytanie, kiedy przypomniałem sobie, że matka Agnieszki jest lekarką.

- Przepraszam, czy nie wie pani, gdzie mogę znaleźć panią Wereszycką?

Kobieta spojrzała na mnie badawczo.

- Znaczy się, pyta pan o Agnieszkę?

Postanowiłem być ostrożny - o Agnieszkę pytałem już przed rokiem. Nie chcąc wzbudzać nieufności kobiety, postanowiłem z uporem pytać o lekarkę, do której w końcu wielu ludzi może mieć jakiś interes.

- Nie, chodzi mi o panią doktor Wereszycką.

Kobieta uśmiechnęła się, nie przerywając swojej pracy.

- Chyba pan jest nietutejszy. W Bartoszykach wszyscy wiedzą, że pani doktor nazywa się inaczej. Wereszycką - to po mężu, a z domu - Brzeska. Teresa Brzeska. Pani doktor używała obu nazwisk, ale wszyscy tutaj znają ją od małego, więc utarło się przy panińskim. Zwłaszcza, jak Wereszycki zwiął od młodej pani

doktor i zostawił ją z córeczką. Agnieszką właśnie - dorzuciła, widząc moją osłupiałą minę.

Milczałem.

- A ja chyba pana znam. Gdzieś z rok temu pytał pan już o Agnieszkę, ale matki widać pan nie zna?

- Znam, znam, powiedziałem szybko, żeby podtrzymać rozmowę - ale nic nie wiedziałem o tych nazwiskach.

- No właśnie - podjęła kobieta - Brzeskich wszyscy tu znali od dawien dawna. Całą rodziną mieszkali w Bartoszycach od samego wyzwolenia. Pani doktor była jeszcze studentką jak wyszła za mąż, więc żeby nie komplikować nazywała się Brzeska-Wereszycka. Zresztą taka moda była. Agnieszka normalnie, po ojcu.

- A co się z nimi dzieje - bo widzę, że dom pusty?

- Co z pana za znajomy, jak pan nie wiesz, gdzie ich szukać? Coś myślę, że pana Agnieszka interesuje, ale ona już od dawna o chłopakach nie myśli. Rok będzie jak wyjechały do Anglii obie i strasznie nagle. - Kobieta zakręciła kran i podeszła do płotu. Widać chęć plotkowania przeważała wreszcie nad nieufnością. - Ja tam nie wiem, po co pojechali, bo gdzieś mi kobiecie prościej pchać się do interesów pani doktor, ale ludzie w miasteczku mówili, że Brzeska po latach męża znalazła, gdzieś za granicą ponoć i obie do niego pojechały. Myślałam już, że nigdy nie wrócą, a tu patrzę - z dziesięć dni temu pod dom zajezdza taki wielki błękitny samochód zachodniej produkcji i pani doktor z Agnieszką i jeszcze jakimś panem wysiadają. Ale to nie był Wereszycki, nie, przecież go znałam dobrze. Następnego dnia poszłam się z sąsiadką witać. Owszem, przyjęły gościnnie, ale już się z powrotem zbierały do drogi. Zaraz wyjechały. A wczoraj znowu - przyjechali we trójkę, pobyli - i z powrotem jechać. Szkoda domu - taki piękny stoi i się marnuje. A ludzie w okolicy najbardziej pani doktor żałują, bo wszyscy ją lubili, specjalnie dzieci. Bo pani Brzeska jest doktorką od dzieci.

Pogawędziłem jeszcze chwilę z kobietą, ale nie wiedziała już nic więcej. Pożegnałem ją i wsiałem do samochodu. Więc Brzeska jest matką Agnieszki! Było to nieprawdopodobne, choć teraz wydało mi się, że istnieje fizyczne podobieństwo między tymi dwiema kobietami. Jednak Brzeska była taka młoda! Wyglądała

najwyżej na czterdzieści lat, a przecież Agnieszka miała dwadzieścia trzy. Nawet jeśli dałem Brzeskiej rok-dwa mniej, niż ma w istocie, musiała urodzić Agnieszkę jako bardzo młoda dziewczyna. Kiedy zdążyła zrobić studia? I to medyczne, długie przecież?

Przypomniałem sobie nieliczne opowieści Agnieszki o wczesnym dzieciństwie. Urodziła się w Warszawie, gdzie studiowała jej matka. Do Bartoszyc wrócili, kiedy dziewczynka skończyła dwa lata. A więc kiedy Agnieszka się urodziła, jej matka musiała być na drugim - trzecim roku studiów. Mogła mieć wtedy około dwudziestu lat, a teraz - ponad czterdzieści. Wszystko to było prawdopodobne. Ale informacja sąsiadki, choć rewelacyjna, nic nie wyjaśniała. Nawet bardziej komplikowała całą zagadkę. Kim bowiem jest mężczyzna z chryslera, skoro nie Wereszyckim - ojcem Agnieszki? Może być to doktor Czyżewski, ale jeśli jest dla obu kobiet - wbrew naszym przypuszczeniom - człowiekiem obcym, to skąd ich wielka zażyłość? No i wreszcie, pomijając wszystkie zagadki, rozmnożone i tak ponad miarę, bez rozwiązania pozostaje ta najważniejsza - gdzie u diabła, jest w tej chwili Agnieszka z całą kompanią? Pomyślałem, że mógłbym zostać w Bartoszykach, znaleźć jakiego lokum i czekać spokojnie na ich powrót do domu, który, jak się okazało, nie jest jednak całkiem opuszczony. Ale takie rozwiązanie znów skazywało mnie na bierność. Nie, właściwym miejscem, w którym rozgrywa się jakiś tajemniczy dramat jest z całą pewnością Gdańsk. I do Gdańska, w którym również czeka na mnie Artur, powinienem jak najszybciej wracać.

Wymęczony dwudniową podróżą i godzinami spędzonymi nad kierownicą dotarłem do domu dobrze po północy. Na wschodzie wczesny świt rozjaśniał już horyzont. Myślałem tylko o łóżku, kiedy w skrzynce na listy znalazłem kopertę zaadresowaną tak dobrze mi znanym charakterem pisma. List był ostemplowany w Gdańsku we wtorek, o numer poczty wskazywał, że wysłano go z Zaspy. Poczujęm na plecach zimny dreszcz i z wahaniem rozdarłem kopertę.

*Miły! wiem, że mnie szukasz i myślę, że mnie znajdziesz, jeśli będziesz uparty. Nie chcę się zresztą ukrywać przed Tobą i jestem w rozpaczy myśląc o Twoim cierpieniu. Ale uwierz mi, że tak będzie najlepiej. Może kiedyś mnie zrozumiesz. Ale wybaczyc mi*



*możesz już teraz. Wybacz mi miły, bo miłym być mi nie przestałeś.  
Zegnaj. Agnieszka.*

Powoli wszedłem na górę, zapominając o windzie. W drzwiach była jakaś kartka, którą nie czytając schowałem do kieszeni. Wszedłem do mieszkania, odnalazłem w kuchennej szafce butelkę koniaku wypróżnioną tylko do połowy. Usiadłem w wygodnym fotelu i w kwadrans uporałem się z jej zawartością. Myślałem o liście Agnieszki prawie bez emocji - wiedziałem, że i tak nie mogę przestać jej szukać, że nie spocznę dopóki nie rozwiklam tajemnicy mojego i jej życia.

Przypomniałem sobie wetkniętą w drzwi kartkę. Był to liścik od Artura, w którym donosił, że nie zdobył żadnych informacji o moim ojcu, ale trafił na trop Łukasza i przez najbliższy dzień będzie nieuchwatywny. Kazał na siebie cierpliwie czekać. Będę cierpliwy, będę bardzo cierpliwy - powiedziałem na głos do mieszkania, które wydało mi się bardziej puste niż zwykle - w końcu, czy mam jakąś możliwość wyboru?

Potem poszedłem spać. Zresztą - byłem pijany.

6.

Pijany byłem również, kiedy się obudziłem, czy raczej - kiedy obudził mnie gwałtowny, powtarzający się dzwonek u drzwi. Spojrzałem na zegarek - była ósma rano, więc spałem najwyżej cztery godziny. Idąc do drzwi zerknąłem w lustro; wyglądałem strasznie - alkohol i nawarstwione zmęczenie wystawiały mojej twarzy rachunek za brak szacunku do własnego ciała. Dzwonek zabrzmiał alarmująco, więc pośpiesznie nacisnąłem klamkę.

W drzwiach ku mojemu zaskoczeniu stało dwóch umundurowanych milicjantów.

- Obywatel Janusz Smólski?

Skinałem głowę.

- Mamy dla pana wezwanie na przesłuchanie - jeden z milicjantów z naszymi sierżantami wręczył mi papier opatrzony wielką pieczęcią. - Ze względu na wagę sprawy musimy pana prosić o niezwłoczne udanie się z nami do komendy.

- Oczywiście, ale pozwolą panowie, że się trochę ogarnę.

- Proszę bardzo, poczekamy. Ale proszę o pośpiech - dodał, patrząc krytycznie na moją zmęczoną twarz.

Milicjanci byli grzeczni, ale milkliwi. I ja zresztą nie miałem ochoty na rozmowy. W komendzie na Okopowej czekał na mnie oficer w cywilnym ubraniu, który przedstawił się jako kapitan Pietraszek. Byłem trochę zdziwiony, bo spodziewałem się, że zobaczę tu porucznika Leszczuka, ale nadal sądziłem, że wezwanie dotyczy włamania do mojego mieszkania. Tymczasem kapitan wypytawszy mnie o personalia, wezwał z sąsiedniego pokoju protokolanta i uprzedził o karze grożącej za składanie fałszywych zeznań. Zdziwił mnie ten groźnie brzmiący wstęp do rozmowy, ale jeszcze większą niespodzianką było pierwsze pytanie milicjanta:

- Proszę powiedzieć, co pan robił przez dwa ostatnie dni i noc?

- Byłem u mojej ciotki w Zamościu. Ale nie rozumiem, dlaczego to pana interesuje i jaki może mieć związek z włamaniem do mojego mieszkania.

- Włamanie? Jakim włamaniem? - zdziwił się z kolei kapitan.

- Myślałem, że przesłuchuje mnie pan w związku z włamaniem, którego parę dni temu dokonano do mojego mieszkania. Śledztwo w tej sprawie prowadzi porucznik Leszczuk.

Kapitan wyszedł do sąsiedniego pokoju, słyszałem, jak wydaje tam jakieś dyspozycje. Po krótkiej chwili wrócił.

- Nie interesuje mnie bezpośrednio sprawa włamania, ale dobrze, że pan o tym powiedział. A wracając do sprawy...

- Jakiej sprawy? - przerwałem kapitanowi. - Jestem zaskoczony i chciałbym wiedzieć, dlaczego pan mnie przesłuchuje?

- Dowie się pan w odpowiednim momencie. Na razie interesuje mnie pana alibi na dwa ostatnie dni. Tak, alibi, nie przesłyszał się pan.

Chciałem zaprotestować, ale kapitan był stanowczy.

- Proszę pana, niech pan nam ułatwi życie. Jeśli sprawdzimy pana alibi i będzie ono przekonujące, to będziemy mogli rozmawiać spokojnie i bez emocji. Prawda?

- Proszę bardzo... Jak mówiłem byłem w Zamościu u ciotki.

- Adres?

Podałem adres i wszystkie szczegóły mojej dwudniowej podróży, nie wspominając jednak o wyskoku do Bartoszyc. Kapitan zanotował coś na kartce i znów wyszedł do sąsiedniego pokoju.

- Sprawdzimy pana informacje. Czy w Zamościu nie spotykał się pan z nikim poza ciotką?

- Nie. Przecież byłem tam właściwie tylko jedną noc.

- A nie odwiedzał pan żadnych znajomych, jadąc tam lub z powrotem?

- Nie, nikogo. Śpieszyłem się.

- No, ale z kimś musiał pan rozmawiać, bodaj przez chwilę.

- Owszem - opowiedziałem kapitanowi o swym postoju w Lublinie, podałem miejscowości, w których nabierałem benzynę.

- A czemu tak bardzo śpieszył się pan do Zamościa? - Miałem prywatną sprawę do ciotki. Musiałem z nią porozmawiać.

- Jaka to była sprawa?

- Nie mam ochoty o tym mówić.

- Nie musi pan.

Do pokoju wszedł znany mi porucznik Leszczuk. Przywitał się ze mną i z kapitanem, usiadł.

- Czy zna pan Justyna Czeladzkiego? - podjął przesłuchanie Pietraszek.

- Tak - opowiedziałem w paru słowach o naszej znajomości. Potem nastąpiły pytania o różne osoby z gdańskiego światka artystycznego. Odpowiadałem mechanicznie. Ktoś wywołał kapitana do drugiego pokoju. Wrócił po chwili.

- Pana ciotka potwierdza pańskie zeznania. Oczywiście sprawdzimy jeszcze informacje o Lublinie i stacjach benzynowych, ale sądzę, że możemy panu wierzyć.

- Czy teraz dowiem się o co właściwie chodzi?

- Tak, teraz mogę, a nawet muszę panu wszystko powiedzieć. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa młodej dziewczyny, którego dokonano przedwczoraj. Nie znamy jej tożsamości i niełatwo będzie ją ustalić, bo morderca zniekształcił rysy twarzy tej kobiety. Zniekształcił - to słabo powiedziane, ale nie chcę wdawać się w szczegóły. Istnieje poważna możliwość, iż zamordowaną jest dziewczyna, która, jak wiem, odegrała pewną rolę w pana życiu - Agnieszka Wereszycka...

- To niemożliwe! - zerwałem się z krzesła.

- Proszę się uspokoić, jeszcze nie skończyłem.

Głos kapitana docierał do mnie jak przez mgłę. Przed oczami zamigotały czarne płatki. To niemożliwe, to naprawdę niemożliwe, nie pogodzę się z tym nigdy. Kapitan nadal coś mówił, wyciągając w moją stronę paczkę papierosów, porucznik z boku błysnął zapalniczką. Wziąłem jednego, zapaliłem. I w tym momencie przyszło olśnienie: zamordowaną dziewczyną nie może być Agnieszka, bo Agnieszka właśnie przedwczoraj była w Bartoszycach. Sąsiadka nie może się mylić! Myślałem gorączkowo. Czy powiedzieć o tym milicji? Tak, oczywiście. Ale jeśli sprawa zabójstwa łączy się z osobą Agnieszki, to mogę zaszkodzić jej swym zeznaniem. I jeśli wygadam się z tym i owym, co dalej z moim prywatnym śledztwem? Postanowiłem milczeć.

- Czy dobrze pan się czuje? - dopiero w tej chwili dotarło do mnie pytanie kapitana.

- Tak, dziękuję, zupełnie dobrze.

- Sądząc po reakcji, ta wiadomość mocno na pana podziałała?

- To prawda, widzi pan, Agnieszka jest dla mnie człowiekiem bardzo bliskim...

- Wiemy o tym. Dlatego właśnie musieliśmy sprawdzić pana alibi. Ale jeszcze nie skończyłem. Otóż wcale nie mamy pewności, że zabiła jest właśnie Wereszycka. Mówię o tym nie po to, żeby pana pocieszyć, ale żeby prosić pana o pomoc. Zabrzmiałoby zapewne okrutnie, ale dla nas nie ma znaczenia nazwisko zabitej. Ważne jest to, że zginęła młoda dziewczyna i że morderca pozostaje nieznaną.

- Rozumiem, postaram się panom pomóc. Czy chcecie, żebym dokonał identyfikacji?

- Nie, przynajmniej na razie. Widzi pan, całą sprawę komplikuje nieobecność Agnieszki Wereszyckiej. Wiemy, że niedawno wróciła z Anglii i mieszkała przez jakiś czas w Sopocie. Od kilku dni nikt jej jednak nie widział, przepadła jak kamień w wodę. Pociesza nas tylko fakt, że zniknęła również jej matka. Może więc po prostu wyjechały? Czy nie wie pan czegoś na ten temat?

- Niestety nie. I ja wiem, że Agnieszka mieszkała w Sopocie. Usiłowałem nawet spotkać się z nią, ale bezskutecznie. Widzi pan,

ona porzuciła mnie rok temu i ja do dziś nie mogę się z tym pogodzić.

- Wiemy i o tym. Ale dlaczego właściwie doszło do zerwania?

- Nie potrafię panu powiedzieć. Po prostu naprawdę nie wiem, czym kierowała się Agnieszka. Myślę, że była ze mną szczęśliwa.

- Rozumiem. A czy wie pan może, po co i na czyje zaproszenie wyjechała do Anglii?

- Niestety nie. Ten wyjazd był właściwie formą ucieczki... ode mnie.

- I nie pisała przez cały rok?

- Nie.

- Widzę, że niewiele się od pana dowiemy. Może w takim razie wrócimy do Justyna Czeladzkiego. Był pan, zdaje się, na wernisażu jego ostatniej wystawy?

- Tak.

- Proszę nam o tym bardzo szczegółowo opowiedzieć.

Zrobiłem to, wysilając pamięć i odtwarzając wiernie wszystkie zapamiętane szczegóły. Kapitan był zainteresowany, notował jakieś uwagi, potem pytał o bankiet i mój w nim udział. W pewnym momencie przerwał mi:

- Czy na wernisażu albo później w mieszkaniu Czeladzkiego nie było Wereszyckiej lub jej matki - Teresy Brzeskiej?

- Brzeska przyszła na bankiet, dość późno. Ale na wystawie jej nie widziałem.

rozmawiał pan z nią?

- Tak, przez chwilę.

- To była okazja, żeby spytać o Wereszycką...

- Tak, ale widzi pan - ja nie wiedziałem, że Brzeska to matka Agnieszki.

- Ale potem dowiedział się pan?

- Tak.

- Od kogo?

- Nie pamiętam.

- Proszę sobie przypomnieć.

- Naprawdę nie pamiętam - rozmawiałem ostatnio z wieloma osobami.

- Tak, to byłoby wszystko - zakończył kapitan, zamykając notes - jest pan wolny, dziękuję za współpracę. I jeszcze jedno - musimy dokładnie sprawdzić pana alibi, to niestety konieczne. Proszę więc przez dwa dni nie opuszczać miejsca zamieszkania. Będziemy jeszcze na pewno (podkreślił to „na pewno”) pana potrzebowali.

Podał mi rękę. Zbierałem się do wyjścia, kiedy przypomniał sobie o przepustce.

- Nie trzeba - rzucił porucznik Leszczuk - odprowadzę obywatela Smólskiego.

Wyszliśmy na korytarz. W milczeniu szliśmy po schodach. W hallu, przed samymi drzwiami porucznik zatrzymał się.

- Sądzę, że pan też chciałby odnaleźć Agnieszkę Wereszycką?

- to prawda.

- Jeśli zdecydował się pan na prywatne śledztwo - proszę bardzo uważać, a najlepiej nie zaczynać w ogóle.

W jego głosie nie było groźby, raczej sympatia. Wyszędłem na ulicę i przystanąłem. Słońce świeciło jaskrawym blaskiem, ale od morza wiał zimny wiatr. Poczulem dreszcze. Stałem na chodniku, bezmyślnie gapiłem się na wyniosłość Biskupiej Górki i resztki starych fortów. Stałem tak chwilę, wreszcie obróciłem się na pięcie i poszedłem w stronę Starego Miasta. Powoli przypomniałem sobie szczegóły rozmowy z kapitanem Pietraszkim. Ani przez chwilę nie wierzyłem w śmierć Agnieszki. Ale jednak zginęła jakaś młoda dziewczyna. I milicja podejrzewa, że może nią być właśnie Agnieszka. Ale dlaczego? Tego mi nie powiedzieli. Nic właściwie nie powiedzieli. Poza tą jedną, ważną informacją: że oni też nie wiedzą, gdzie szukać Agnieszki. Nie pozostaje mi nic innego, jak podążać dalej własnym tropem. Ale czy jestem na takim tropie? Mam mnóstwo informacji, których zupełnie nie potrafię uporządkować.

Poczulem, że przydałby mi się Artur. zamyślony doszedłem do Targu Węglowego. Dochodziła dwunasta, więc w „Tramwaju” (tak nazywaliśmy popularną knajpkę koło teatru) zaraz zaczął wydawać gorące dania. Kupiłem w kiosku nowy numer „Twórczości” i poszedłem na śniadanie-obiad. W lokalu hałasowali niemieccy turyści i nie potrafiłem zebrać myśli. Wyjąłem notes, spróbowałem uszeregować jakoś zebrane informacje. Byłem rozdygotany we-

wnętrze, potrzebowałem ruchu. Czekając na wątróbkę, otworzyłem miesięcznik literacki, o którego lektury przyzwyczała mnie Agnieszka. Mechanicznie kartkowałem gruby zeszyt, kiedy mój wzrok padł na znajome nazwisko. Cofnąłem się o kilka stron - tak, nazwisko było mi znane bardzo dobrze. „Twórczość” drukowała szkic Agnieszki Wereszyckiej zatytułowały „Pod niebem Kanta (o amerykańskiej powieści kryminalnej)”. Przez moment, ogłupiały, wpatrywałem się w kartkę papieru, nie rozróżniając słów i liter. Dopiero po chwili oprzytomniałem. W końcu to naturalne - Agnieszka uchodzi za bardzo zdolnego krytyka literackiego, więc czemu nie miałyby pisać o kryminałach. I czemu ja nie miałbym jej czytać?

Podano mi obiad, więc odłożyłem lekturę na później. Jadłem rozmyślając, co począć z resztą dnia. Kapitan wypytywał mnie o Justyna, o wernisaż, o inne osoby ze środowisk. Może więc pokreślić się po środowisku właśnie? Na pewno aż kotłuje się tam od plotek. Poczulem nagły przypływ energii. Skoro mam rozwiązać kilka zagadek losu, powinienem wyjść losowi naprzeciw. Zapłaciłem i poszedłem na postój taksówek.

Na postoju była kolejka. Czekając zastanawiałem się, dokąd właściwie pojechać. Ludzie, których chciałem spotkać na ogół przesiadywali w knajpach, trzeba więc poszukać jakiejś knajpy. Zrobiło mi się smutno - rzucić wyzwanie losowi za barowym kontuarem?

Kazałem się wieźć do Sopotu. Wysiadłem przy molo. Od morza wiał zimny wiatr - mimo słońca plaża zapewne była pusta, za to klub „SPATiF” - u pełny. Wszedłem po trzeszczących schodach na pięterko, pamiętające lepsze czasy. W ciasnym pomieszczeniu było aż szaro od dymu, tłok panował tu nie mniejszy niż przy dobrej pogodzie na plaży, ale znajomych twarzy dostrzegłem niewiele. Cóż, zaczęła się kanikuła - miejscowi wynieśli się, ustępując miejsca amatorom uroków tego quasi-kurortu wciśniętego w blisko milionową aglomerację.

Kto zamachał do mnie od stolika w rogu. Zobaczyłem paru znajomych, jakieś dziewczyny, z którymi rozmawiałem na wernisażu Justyna, chłopaka w skórzanych spodniach, poznanego na przyjęciu - nie pamiętałem, jak się nazywa. Przekrzykiwali się

nawzajem z podekscytowanymi minami, z przejściem gestykulowali. Dopiero po chwili zrozumiałem, że rozmawiają na temat, który i mnie bardzo interesował: sensacją dnia było morderstwo młodej dziewczyny. Cały Sopot trząsł się z przejęcia. Historia morderstwa rzeczywiście budziła grozę i przypominała jakiś koszmarny sen. Trudno było uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć w tym wesołym, ale przecież dość bezpiecznym miasteczku.

Wszystko zaczęło się od pamiętnego wernisażu Justyna, na który przypadkiem się wybrałem. „Kosmiczna kobieta” zrobiła, zgodnie z oczekiwaniami, furorę i wystawa cieszyła się kolosalnym powodzeniem. Justyn sprzedał do razu wszystkie swoje prace, znalazł się również amator na „Kobietę”, wycenioną przez artystę na gigantyczną sumę. Nabywca (jakiś obcokrajowiec) wymógł nawet na czeladzkim natychmiastową sprzedaż i wystawę zamknięto. Nowy właściciel zostawił zresztą rzeźbę w „Panoramie” i od razu zaczął urządzać „pokazy” dla swoich gości. Żeby cała sztuczka mogła się udać, rzeźba musiała być eksponowana w osobnym, zamkniętym pomieszczeniu. Pomysł Justyna, banalny w istocie, opierał się bowiem na tak przemyślnej konstrukcji rzeźby, by składała się ona w gruncie rzeczy z kilku osobnych elementów, które po zestawieniu tworzyły w środku niszę w kształcie ciała, w której przedtem chowała się wynajęta modelka - uwięziona na czas pokazu. W świetle dziennym „szwy” pomiędzy poszczególnymi elementami były dobrze widoczne, dlatego Justyn eksponował „Kobietę” tylko w nienaturalnym świetle elektrycznym, wspieranym lampami jodowymi wtopionymi w szkło.

Podczas któregoś z pokazów - tak mówiono - nastąpiło spięcie elektryczne i uwięziona w szkle dziewczyna zmarła porażona prądem. Być może złożono by to na karb nieszczęśliwego wypadku, ale okazało się, że nikt nie potrafił ustalić jej personaliów, a Justyn - odpowiedzialny za cały ten happening - zniknął. Milicja po zbądaniu sprawy doszła do wniosku, że nie może być mowy o wypadku - ktoś bowiem przerobił instalację tak, by była śmiertelna. Ustalono również przyczyny nieobecności rzeźbiarza - otrzymawszy grubszą gotówkę, Justyn przyspieszył planowany wyjazd za granicę. Był zresztą poza podejrzeniami, bo wyjechał we wtorek, a dziewczyna zginęła w środę, po kilku następnych pokazach.



Sensacyjność wydarzenia zwielokrotniały okoliczności; i okrucieństwo tej zbrodni, i nieznaną tożsamość ofiary, i tajemniczy, pośpieszny wyjazd Justyna, który jako jedyny wiedział, kto jest modelką, podobno zresztą dziewczyna znana w sopockim towarzystwie. Wszystko to brzmiało jak fragment dialogu z kryminalnego filmu, którego twórcy sami nie wiedzieli, co by tu jeszcze wymyśleć, ale - było prawdą. Tak jak prawdziwa była milicja prowadząca śledztwo, i jak prawdziwa była modelka, którą pamiętałem z „Panoramy”!. Przypomniał mi się kapitan Pietraszek. Niewiele jednak mi powiedział, oj, niewiele. Rozmowa przy stoliku przerozdziła się w lawinę plotek i spekulacji. Wstałem i podszedłem do baru. zamówiłem małą wódkę. Było wczesne popołudnie, klub tętnił już bełkotem podpitych głosów, gęsty zapach papierosowego dymu mieszał się z wyczuwalnym odorkiem spoconych ciał. „My artyści” zakrzyczał ktoś od sąsiedniego stolika. Barmanka postawiła przede mną kieliszek; cóż - każde społeczeństwo ma taką bohemę, na jaką je stać. I tych „artystów” sztukę, o której tyle gadają, trzeba żyć nowym życiem. A jak my wszyscy żyjemy? Wypiłem kieliszek jedynym haustem.

- Czyżby wstrząsnęły tobą te straszne wiadomości? - powiedział ktoś obok. Odwróciłem się. Za mną stała Nelly, aktorka, którą kiedyś dobrze znałem. Przypomniałem sobie, że to ona kiwała do mnie od stolika.

- Siadaj, Nelly. Wypijemy jeszcze po kieliszku?

- Wypijemy, ale ja pozostanę przy winie.

Nelly usadowiła się na barowym stołku. Spojrzałem na nią z bliska. Twarz, niegdyś piękna, zaokrągliła się teraz i Nelly mimo opalenizny wyglądała na zmęczoną. Cóż, teatr nie jest miejscem szczególnie odmładzającym. Ani tryb życia, który wiodła aktorka, pogodzona już z bałaganem swej egzystencji.

- Co w teatrze? Słyszałem, że gracie „Hamleta”?

Nelly machnęła ręką.

- Gramy, gramy, ale dorosło już nowe pokolenie Ofelii, więc nie pytaj mnie, jaką rolę dostałem. Słuchaj, Januszu, dałam się zaprosić na wino nie bez powodu.

Nelly była poważna, skupiona, inna niż zwykle. Zaciągnęła się głęboko papierosem i wypuszczając dym powiedziała:

- Wybacz, że mieszam się w twoje prywatne sprawy, ale sądzę, że tym razem powinnam. Ale najpierw pytanie...

- Słucham?

- Czy interesuje cię jeszcze Agnieszka i to, co się z nią dzieje?

Poważnie skinąłem głową, potwierdziłem.

- widzisz, właściwie znam ją bardzo słabo - podjęła Nelly - a i ciebie niewiele lepiej. Nie wiem, co między wami było, ani - co jest. Tyle, że już od dawna nie widuję was razem. Agnieszki właściwie w ogóle dawno nie widziałam. Dopiero w niedzielę...

- Tego dnia, kiedy był wernisaż Justyna?

- Tak, tego dnia. Jak wiesz, po każdym wernisażu czy przedstawieniu teatralnym zawsze kilka osób wpada tu, do klubu, na kieliszek lub dwa - nawet jeśli planują potem jakieś prywatne spotkanie.

- Wiem, sam tak często robiłem.

- No właśnie. Po wernisażu Justyna, na którym zdaje się byłeś, przyszedł tu z kilkoma osobami. Justyn zaprosił mnie do siebie, ale umówiłam się z kimś, więc najpierw spadłam tutaj. Przy barze siedziała Agnieszka i była - prawdę powiedziawszy - pijana. Oczywiście miała podpuchnięte, jakby długo płakała. Nie wiem, co mnie podkusiło, ale podeszłam do niej i powiedziałam, że widziałam cię na wernisażu. Zaczęła mnie wypytywać o ciebie, aż w końcu zupełnie się rozsyłała. Musiałam ją tulić i pocieszać, choć nie bardzo wiedziałam, o co chodzi. Zrozumiałam, że bardzo jej na tobie zależy i jest w rozpacz, bo sama nie wie, co ma zrobić. Bardzo chciała cię zobaczyć, ale bała się tego spotkania. zaczęłam ją namawiać, żeby poszła ze mną na przyjęcie - słyszałam, jak Justyn cię zapraszał. Już mi się to prawie udało, zaczęłyśmy się zbierać, kiedy do klubu weszła jakaś para - przystojna blondynka po czterdziestce i szpakowaty starszy pan. Zaraz zajęli się Agnieszką, zdaje się, że jej szukali. Agnieszka znów się rozplakała, ale poszła z nimi. Potem widziałam tę blondynkę u Justyna, z Łukaszem Czarnym, tym poetą. Chciałam ci o tym wszystkim powiedzieć jeszcze tej nocy, ale zniknąłeś bez pożegnania.

Byłem wzruszony i Nelly chyba to zauważyła. Zamilkła, dopiła wino.

- Dziękuję ci, Nelly, to ważne, co mi powiedziałaś.

- Nie wiem nic o waszych sprawach i nie chcę wiedzieć. Ale ta dziewczyna kocha ciebie - mówi ci to stary, doświadczony babszon.

Nelly zsunęła się ze stołka, poklepała mnie po policzku i odeszła. Wypiłem jeszcze jedną wódkę, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

## 7.

Nic ciekawego nie przyszło mi do głowy także wtedy, gdy wyszedłem na sopocki deptak i rozgrzany alkoholem pomaszzerowałem na wietrzne molo. Tam również nie wymyśliłem nic szczególnego, przemarzłem za to na kość. Wróciłem kolejką na Zaspę. W kolejce również niczego mądrego nie wymyśliłem i dopiero dochodząc do drzwi mieszkania, zdałem sobie sprawę z powodów swej niezwykłej ospałości: byłem bardzo, bardzo zmęczony.

Dwudniowa podróż, zarwana noc, niepotrzebny alkohol, wreszcie trudne, wymagające ogromnego skupienia rozmowy i ten natłok groźnych, niezrozumiałych wiadomości, które kłębiły się w zmęczonej głowie aż do bólu, cały ten konglomerat zdarzeń i twarży, i przypuszczeń, i obaw; to szybkie tempo życia, od którego zdążyłem już przecież odwyknąć, wszystko to sprowadziło na mnie otepienie, któremu nie potrafiłem się oprzeć. Zacząłem myśleć okrągłymi zdaniami, ba! - wielkimi okresami zdaniowymi. zawsze tak myślę, kiedy jestem zmęczony.

Z ulgą zapadłem w miękki fotel. Siedziałem tak przez chwilę, dalej nie mogąc nic wymyślić. Sam byłem do niczego. I wtedy przypomniał mi się artykuł Agnieszki z najnowszego numeru „Twórczości”. Zagłębiłem się w lekturę. Szkic był obszerny, ciekawy, w dość niezwykły sposób ujmował banalny, zdawałoby się, temat powieści kryminalnej. Agnieszka nie zajmowała się wcale historią tego gatunku, nie pisała również o warstwie formalnej. Jej szkic był rodzajem psychologicznej analizy powieści kryminalnej i równocześnie - sposobów jej lektury. Doszedłem do momentu, który mnie szczególnie zainteresował. Agnieszka pisała: *Detektyw tej powieści nie musi być - jak niegdyś Sherlock Holmes - naukow-*

*cem i szperaczem, bezustannie zbierającym drobne fakty i rozwijającym swój zmysł obserwacji. Musi on być znawcą ludzi i ludzkich dusz - psychologiem, który metodą prób i błędów na drodze kolejnych eliminacji dojść musi do jednej jedynej nieomylnie winnej osoby. Założeniem jego działania jest ograniczenie kręgu podejrzanych tylko i wyłącznie do kręgu ludzi najbliższych ofierze, bądź pozostających z nią w bezpośrednim związku. Gdyby stawką zbrodni był milion dolarów, podejrzanych można by szukać w szerokim kręgu międzynarodowych rabusiów. Ale zmienili się nie tylko detektywi, zmienili się również przestępcy. Zbrodnia doskonała nie istnieje dopóty, dopóki istnieją motywy. Dawniej motywy były oczywiste i wyraźne: żeby zdobyć łup, należało zabić. Ale ta rzeczywistość, w której morduje się dla dziesięciu dolarów wygląda inaczej. I powieść kryminalna wiele się od tej rzeczywistości nauczyła: rozumiała, że większość zbrodni ma w gruncie rzeczy nieoczywiste motywy, niewymierne w kategoriach zysku, korzyści, zdobyczy. Przyjmujemy za zrozumiałe motyw miliona dolarów, który pociąga za sobą morderstwo. Ale czy potrafimy zrozumieć, że ktoś morduje bo irracjonalnie nienawidzi, bo boi się wstydu, bo jest zazdrosny, bo nie chce stracić żony? Motyw zysku może nie mieć tu żadnego znaczenia albo znaczenie tylko pośrednie, gdy bezpośrednio morderca będzie toczył walkę o utrzymanie się w pewnej warstwie społecznej, zachowanie określonego statusu, zdobycie czyichś względów lub uwolnienie się od czyjejś obecności. Najmroczniejsze dramaty współczesności nie rozgrywają się więc - wbrew naszym wyobrażeniom - w podejrzanych spelunkach Jokohamy czy u rozbitych wrót banku, ale w małych grupach normalnych, zwyczajnych ludzi, między którymi dochodzi do ekstremalnych napięć najczęściej bywa to rodzina i wiedzieli o tym przecież już wielcy pisarze dawnych epok. Bez trudu możemy sobie wyobrazić fabułę np. „Upiórów” Ibsena rozpisaną przez Rossa Macdonalda na współczesną powieść kryminalną. W oryginale brak tylko jednego - ofiary, owego symbolicznego trupa, którym tak hojnie szafują autorzy powieści kryminalnych. Ale zabójstwo jest tylko aktem ekstremalnym, w którym ujawnia się tragedia odwieczna i skrywana przed oczami świata.*

Niesamowite. Słowa Agnieszki były szalenie sugestywne, wydawało się, że formułowała swe sądy z osobistą pasją. A równocześnie - to co pisała przystawało we wstrząsający sposób do wypadków ostatnich dni. Rzeczywistość zrealizowała jakby dramatyczny scenariusz ułożony przez Agnieszkę: od naszego intymnego, „rodzinnego” niemal dramatu uczuć, aż po jakąś mroczną tragedię z „symbolicznym trupem” w finale. Ofiarą, w której, na domiar wszystkiego, milicjanci chcieli widzieć Agnieszkę.

Zamyśliłem się. W co ja się właściwie wplątałem? Jaki jest związek między tajemnicą Agnieszki a wydarzeniami, które zamieniły całą historię w fabułę powieści kryminalnej - od włamania poczynając, na zabójstwie młodej, nieznannej dziewczyny kończąc? Tą dziewczyną nie mogła być Agnieszka - tego byłem pewien. Ale czy to znaczy, że nie grozi jej niebezpieczeństwo? Co, jaka siła, trzyma ją z dala ode mnie, mimo uczucia, które jest chyba prawdziwe?

Poszczególne elementy łamigłówni, jaką chciałem rozwiązać wciąż nie pasowały do siebie, choć w ciągu kilku dni dowiedziałem się tak wielu rzeczy. Przypominałem sobie artykuł Agnieszki. A jeśli - w genialnej intuicji lub gorzkiej wiedzy - miała rację. Jeśli prawdziwe dramaty rozgrywają się w małym kółku bliskich sobie ludzi, w rodzinie? Może naprawdę klub do tajemnicy tkwi w przeszłości - mojej lub jej, a może nas obojga, naszych rodzin, o których wiem tak mało?

Zadzwonił telefon. W samą porę, bo bliski byłem kompletnej bezradności. Dzwoniła Dorota Wileńska, przyjaciółka Artura, z wiadomością od dziennikarza. Powiedziała, że Artur dzwonił do mnie kilka razy w ciągu dnia, aż wreszcie zniechęcony scedował ten obowiązek na nią. Co miała przekazać? Prawie nic poza tym, że Artur chce się ze mną jak najszybciej zobaczyć. Z nią zresztą też, choć nie wiedziała po co. Artur był tajemniczy, jak zwykle, a na dodatek nadal nieuchwytny - dzwonił z innego miasta, z samochodu. Dorota nie wiedziała nawet skąd, a Artur nie miał zamiaru się zwierzać. Żądał od nas tylko jednego: mamy na niego czekać. Zgodziłem się na to niemal z radością, bo i tak nie miałem pomysłu na resztę dnia, na noc, na całą przyszłość - do diabła! - też. Przyjąłem zaproszenie Doroty, Artur obiecał zjawić się przed północą.

Dorota mieszkała daleko, na Siedlcach, w pięknej dzielnicy stromych uliczek ostro wcinających się w morenowe wzgórza. Gdy parkowałem samochód na Wyczółkowskiego, przypomniałem sobie, że już parę dni temu, w jakimś dziwnym odruchu wspominałem Dorotę; chciałem ją o coś spytać, ale o co? Zupełnie zapomniałem. Wileńska była szczupłą, prawie chudą dziewczyną po trzydziestce. Pracowała jako dziennikarka, ale - w sposób nietypowy dla tego zawodu - większość czasu spędzała we własnym domu. Tu czytała, pisała, tu miała biuro. W redakcji zjawiała się tylko, by oddać gotowy tekst. Było to możliwe, gdyż Dorota specjalizowała się w tematyce historycznej, która - jak sama mówiła - nie wymagała pośpiechu. Była pogodna, choć melancholijna z natury, samotna. Wychowywała siedmioletnią córeczkę, której ojciec odszedł kiedyś w siną dal i zażyła przyjaźń z Arturem była ważną sprawą w jej życiu. Przez Artura ją zresztą poznałem i - polubiłem.

Dorota ucieszyła się na mój widok, posadziła w wygodnym fotelu, zaproponowała herbatę, a przyjrząwszy mi się bliżej (musiałem wyglądać nieszczególnie) - kolację. W czasie gdy robiła w kuchni kanapki, rozejrzałem się po ciepłym, przytulnym pokoju. Był cały zawalony książkami. Agnieszka czułaby się tu dobrze - pomyślałem. mechanicznie przeglądałem niektóre tytuły. Na półce z poezją stały w równym rzędzie wszystkie tomiki Łukasza Czarnego. Znałem je dobrze, sam miałem kilka.

Wróciła Dorota z talerzem kanapek. Prowadziliśmy nieobowiązkową, miłą rozmowę; dziewczyna musiała coś wiedzieć o moich kłopotach i zaangażowania Artura, ale nie wspominała o tym. Zawsze była dyskretna - Artur bardzo to w niej cenił. Rozmowa nieopstrzeżenie zeszła na jego temat, zapytałem Dorotę, czy nie wie, gdzie pojechał. Nie wiedziała, ale była zaintrygowana zachowaniem naszego wspólnego przyjaciela:

- Obawiam się, że to ja jestem winna. Siedział u mnie wczoraj wieczorem - jak ty dzisiaj, zgnębiony jakimś bibliotecznym niepowodzeniem. Zdaje się, że cały dzień spędził w czytelni i nie znalazł tego, czego szukał. Artur gdy jest zły, nie ma ochoty na rozmowy - sam wiesz. Podobnie było wczoraj. Rozmowa szybko się urwała i Artur zemocjonował się jakąś informacją, którą znalazł w notce

biograficznej. Powiedział, że jest skończonym idiotą i że wcześniej powinien wpaść na ten trop.

- Pokaż mi tę książkę - krzyknąłem niemal. Byłem bardzo podkscytowany. Dorota zdjęła z półki tomik Łukasza zatytułowany „Bitwa na lodzie” i pokazała mi zamieszczoną na okładce notkę. Brzmiała ona tak: *Łukasz Czarny, jeden z najciekawszych poetów młodego pokolenia, urodził się w roku 1949 w Bartoszycach. Skończył filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Od roku 1970 mieszka w Gdańsku. Wydał dotychczas trzy tomy wierszy: „Sprzedaję jesień” (WM 1974), „Weekend z aniołem” (PIW 1975) i „Kobieta dwumetrowa i inni (WM 1978)... Dalej następowały cytaty z pochwalnych recenzji i lista nagród, które Łukasz otrzymał.*

- Ależ ze mnie idiota - powiedziałem odruchowo.

- I co ja z wami mam! - wybuchnęła Dorota. - Artur zachował się tak samo, a potem wstał i oświadczył, że natychmiast musi wyjechać. I wyjechał. Ty chyba nie masz zamiaru natychmiast wyjechać?

- Ależ nie - zaprzeczyłem gorąco - po prostu obaj jesteśmy naprawdę tępi.

- Nie wiem, o co wam chodzi - wzruszyła ramionami Dorota - ale jeśli tak bardzo interesuje was Łukasz - moglibyście zaczerpnąć informacji z jakiegoś kompetentnego źródła. Zwłaszcza, gdy źródło, choć niechętnie do zwierzeń, jest w pobliżu.

Zesztywniałem. Zrozumiałem, że strzeliłem gafę (Artur nie, on nigdy nie popełniał gaf, bo jemu wolno było więcej niż innym) i równocześnie przypomniałem sobie, dlaczego i o co chciałem pytać Dorotę. Dziennikarka była kiedyś blisko związana z Łukaszem. Co tam związana, prawdę mówiąc, żyli ze sobą dobre trzy lata już po tym jak ojciec małej - jakiś nieodpowiedzialny frant - postanowił zmienić miasto. Dorota zauważyła moje zażenowanie. Roześmiała się bardzo naturalnie.

- Było, minęło. Nie widzę powodu, żeby o nim nie mówić. Dziś, po latach bardziej ufam Arturowi, niż pamiętam Łukasza. Wiem zresztą coś niecoś o twoich kłopotach i bardzo chcę wam pomóc.

- Już pomogłaś. W tej nocy jest bardzo ważna dla nas wiadomość, którą przegapiliśmy wcześniej.

- Może mi powiesz wreszcie, o co chodzi?

- O miejsce urodzenia Łukasza. Być może jest to czysty przypadek, ale urodził się w Bartoszycach, a więc w miasteczku, z którego pochodzi również Agnieszka. Gdyby to była Warszawa albo Kraków - rzecz byłaby bez znaczenia. Ale Bartoszyce! Przecież to mała dziura, wszyscy wszystkich znają.

- No tak, ale nadal nie bardzo rozumiem...

- To zawiła historia. Nie podejmuję się opowiedzieć ci naraz wszystkiego. Posłuchasz po prostu naszej rozmowy - gdy Artur się zjawi. Wszystko ci się wyklaruje.

- Zgoda. Ale teraz powiedz, czego chcesz się dowiedzieć o Łukaszu.

Dorota była przejęta i bardzo chciała mi pomóc. Doceniłem to, ale w głowie miałem straszny mętlik i sam za bardzo nie wiedziałem, o co pytać. Znów zresztą moje myśli zajęło niewyraźne, ulotne wspomnienie jakiegoś wydarzenia, chyba ważnego, które wiązało się z Łukaszem. Coś o czym nie pomyślałem wcześniej. Dorota patrzyła na mnie wyczekująco. Zwierzyłem się jej z chaosu, który miałem w głowie. Roześmiała się i nie podejmując tematu zaproponowała kieliszek koniaku. zgodziłem się chętnie. Dochodziła północ. Artura wciąż nie było, ciepła atmosfera mieszkania kusila do snu. Dorota wyszła do kuchni. Myślałem sennie o Agnieszce, Brzeskiej, Łukaszu, Arturze. Coś zaczęło mi się konkretyzować. Coś w związku z Łukaszem, ale i Agnieszką. Coś, co tłumaczyłoby jego zażyłość z Teresą Brzeską - matką Agnieszki. I wtem doznałem iluminacji - ależ tak! - to przecież Łukasz poznał mnie z Agnieszką w jakimś studenckim klubie. Przedstawił mnie, zareklamował. Był zdaje się bardzo z nią zżyty, ale nie zalotny. Nie dawał powodu do zazdrości, więc nie pamiętałem jego udziału w początkach naszej znajomości. Wkrótce potem wyjechał z Gdańska. Z rozmyślań wyrwał mnie powrót Doroty, która niosła na małej tacce dwie lampki koniaku.

- Nie chcę ci już dzisiaj zwracać głowy, ale przypomniałam sobie o czymś ważnym. Prawie nikt o tym nie wie, a Arturowi nawet nie zdążyłam powiedzieć.



- O czym mówisz?
- Jak być może wiesz, Czarny to tylko pseudonim literacki Łukasza.
- Wiem, rzeczywiście. Wyleciało mi to z pamięci.
- Ale czy wiesz, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko?
- Uzmysłowilem sobie, że nie.
- On naprawdę nazywa się Brzeski. Ładne nazwisko, nie miał powodu, żeby je porzucać...

Dorota przerwała i spojrzała na mnie ze zdumieniem. Musiałem mieć głupią minę. bardzo głupią. Wybuchnęliśmy oboje śmiechem. Śmiałem się głośno, niemal histerycznie. Odezwał się dzwonek, Dorota poszła otworzyć. W drzwiach stał Artur. na jego widok wybuchnąłem jeszcze głośniejszym śmiechem.

W dwie godziny później (dochodziła trzecia w nocy), kiedy zdążyliśmy już sobie wszystko opowiedzieć, po trzech talerzach kanapek, kilku kawach, butelce koniaku, kiedy spłynęło ze mnie niespodziewanie całe, gromadzone przez kilka dni zmęczenie, przyszła pora, by coś postanowić, na coś się zdecydować, odpowiedzieć sobie na pytanie: czego właściwie szukamy i co jesteśmy w stanie zrobić.

Artur zgnębiony swym niepowodzeniem i dziwnie serdeczny, ćmił w milczeniu papierosa, zagłębiwszy się w obszernym fotelu. Ta runda zakończyła się moim zdecydowanym sukcesem. W ciągu dwóch dni, które spędziliśmy osobno, byłem w Zamościu, przywiozłem rewelacyjne informacje od ciotki Julii, zahaczyłem o Bartoszyce, odbyłem ciężką rozmowę z milicją i wywiedziałem się o szczegółach tajemniczej zbrodni w „Panoramie”.

Artur praktycznie nie działał nic. Cały czwartek spędził w czytelnicy, ale znaleźć niczego nie mógł, bo szukał wiadomości o nie istniejącym Michale Smólskim, wieczorem, u Doroty przeczytał biografię Łukasza i niewiele myśląc pojechał natychmiast do Bartoszyce. Prawdopodobnie minęliśmy się w drodze! Po Bartoszykach kręcił się bez żadnego planu, wierzył w swój dziennikarski węch, ale to nic mu nie dało, bo przecież szukał znów osób nie istniejących: Łukasza Czarnego i doktor Wereszyckiej. Wreszcie z wielkim trudem ustalił, że Czarny naprawdę nazywa się Brzeski, skojarzył tę wiadomość z Teresą, ale jej z kolei nie skojarzył z matką

Agnieszki. Złapał natomiast krążącą po mieście plotkę, wedle której milicja poszukuje Agnieszki (w rzeczywistości nie poszukiwali jej a szukali) i do reszty zgnębiony wrócił do Gdańska.

W sumie jeździł do Bartoszyce niepotrzebnie - wszystkiego mógł się dowiedzieć w Gdańsku. Artur był w pierwszej chwili wściekły na moją tępotę (tak to nazwał) i niepamiętanie nazwiska własnego ojca. Zrewanżowałem mu się zarzutem zadufkostwa, bo przecież mógł spokojnie zapytać Dorotę o Łukasza, zamiast tłuc się do Bartoszyce bez sensu i po nocy. W sumie jeden-jeden i Artur się rozpogodził. Obaj popełniliśmy po jednym poważnym błędzie i za wybaczenie własnego Artur był gotów darować mój.

Dorota słuchała nas początkowo z rozbawieniem, potem z rosnącą uwagą, wreszcie wciągnęła się w nasze sprawy i zaoferowała pomoc w rozwiązaniu zagadki. Musieliśmy od początku opowiedzieć jej całą historię, co zresztą i nam dobrze zrobiło: pozwoliło uszeregować fakty, spróbować je interpretować.

- Cała sprawa - zaczął z powagą Artur - jest być może banalna i nie ma żadnego związku z morderstwem w „Panoramie”. Jest to po prostu prywatna sprawa Janusza i Agnieszki. Dlatego Janusz musi sam zdecydować, co chce robić dalej i jak sobie nazwiemy to, co będziemy robili.

- Jestem, jak wiesz, zdecydowany od dawna - powiedziałem szybko. - Tylko po części jest to rzeczywiście sprawa prywatna. Nie zapominaj o włamaniu, o tajemniczym zachowaniu Agnieszki, wreszcie o tym, że milicja łączy jakoś zabójstwo modelki z jej osobą. Wiem, że nie powinniśmy wyręczać organów ścigania, ale zrozumcie, że cała ta sprawa zbyt mocno mnie dotyczy, bym mógł z niej zrezygnować. Nie chodzi już tylko o Agnieszkę, ale również o całe moje życie, tajemnicę moich rodziców. Wszystko to jakoś się wiąże z wydarzeniami ostatnich tygodni. Opowiedziałem im o szkicu Agnieszki i moich na ten temat spekulacjach.

- Łamigłówka wciąż nie chce się złożyć, ale musi. Nie wyobrażam sobie w tej chwili rezygnacji ze śledztwa. I chętnie będą udział w nim wasz udział - zakończyłem.

- Zgoda - energicznie przytaknął Artur, obejmując na nowo kierownictwo. Dorota skinęła głową w milczeniu.

- Podzielimy w takim razie zadania. Sądzę, że musimy wyjaśnić, niezależnie od siebie, kilka zagadek. A więc- po pierwsze - ojciec Janusza. To sprawa najtrudniejsza i nie bardzo wiadomo, gdzie szukać jakichkolwiek informacji. Proponuję jeszcze raz pójść tropem twojego ojca, tym razem szukając właściwego człowieka. Mogłaby się tym zająć Dorota. Twoje wykształcenie i zainteresowania bardzo się przydadzą - zwrócił się do dziennikarki. Dorota zgodziła się chętnie. Tu mogła być rzeczywiście pomocna.

- my zabawimy się w prywatnych detektywów - podjął Artur. - Trzeba ustalić związek między Łukaszem Czarnym-Brzeskim a Agnieszką i jej matką. Sprawdzić, gdzie jest Łukasz - bo w Bartoszycach przecież go nie było - i przycisnąć do muru. Spróbować podeptać milicji po piętach i dowiedzieć się czegoś o dziewczynie z „Panoramą”. Wreszcie - dowiedzieć się czegoś o Wereszyckim - ojcu Agnieszki i niezależnie o doktorze Czyżewskim. Ustalić, czy Czyżewski jest właścicielem chryslera. I jaki jest jego związek z Brzeską.

Złapałem się za głowę. Artur namnożył pytań, skądinąd zasadnych, ale przecież nie mówił nic o metodzie śledztwa. Nie wyobrażałem sobie, jak właściwie mielibyśmy zebrać te wszystkie informacje. Podzieliłem się swymi obawami z Arturem.

- Ja też sobie nie wyobrażam - odparł. - Próbuję po prostu uszeregować problemy, które stoją przed nami. Wiem tylko, że wciąż jeszcze najważniejszą sprawą jest dla nas odnalezienie Agnieszki. A na dziś - odnalezienie Łukasza.

- A może ja będę mogła pomóc - wtrąciła się Dorota. - W końcu znam go dość dobrze od dawna i nie sądzę, by szczególnie zmieniła przyzwyczajenia. Tylko musicie mi powiedzieć, kiedy i jak wyjechał z Gdańska.

- To proste - zapalił się Artur. - Łukasz wyjechał z całą kompanią w składzie: Agnieszka, jej matka, pan z chryslera rano we wtorek. Spakowali się jak na dłuższy wyjazd, a Łukasz mówił wręcz o wczasach. Wyjeżdżali w ogromnym pośpiechu.

- Może dlatego, że spotkali mnie na Zaspie? Jeśli oczywiście Brzeska poznała mnie za kierownicą, a sądzę, że tak.

- Możliwe, ale nie przerywaj. Wyjechali więc wczesnym rankiem a w Bartoszycach zjawili się dopiero w środe - już bez Łuka-

sza. Albo więc Łukasz został gdzieś po drodze - po prostu go odwieźli na jakieś wyuczasy, albo przyjechał z nim do Bartoszyc - swojego rodzinnego miasta w końcu - ale zatrzymał się gdzie indziej, nie u Brzeskiej. W każdym razie na przeszło dobę zniknęli nam z oczu.

Dorota słuchała uważnie. Gdy Artur skończył, powiedziała:

- Wiem, oczywiście, że Łukasz pochodzi z Bartoszyc. Tam mieszkali jego rodzice i rodzeństwo. Rodzice dopiero kilka lat temu przenieśli się do Elbląga. A bracia i siostry - nie znałam ich - rozsypali się po świecie. Do Bartoszyc można jechać przez Elbląg, prawda? Może więc zatrzymał się u rodziców? A może zapadł gdzieś nad zalewem, zawsze lubił te okolice. Jeździł często do Kadyn, do stadniny koni, albo pod Braniewo, do znajomego rybaka mieszkającego nad zalewem. Ale najpierw sprawdziłabym w Elblągu, u rodziców.

- Masz ich adres? - spytał Artur.

- Niestety nie. Mieszkają na Mickiewicza, ale numeru nie znam.

Artur przewertował szybko książkę telefoniczną.

- Niestety, nie ma w Elblągu żadnych Brzeskich.

- Chyba nie mają telefonu, ale zaraz, przypomniałam sobie coś ważnego. Ojciec Łukasza jest już na emeryturze, ale matka pracuje w księgarni. Takiej dużej, niedaleko dawnej galerii 'EL'. Jest kierowniczką.

- Wiem, gdzie to jest - przypomniał sobie Artur. - Jakoś do nich dotrzemy.

- Chcesz jechać do Elbląga? - spytałam.

- Pojedziemy tam razem! - postanowił Artur.

8.

Nie podzielałam bez reszty optymizmu Artura, ale spotkanie z nim, wspólna narada, miłe mieszkanie Doroty - wszystko to dało mi tak upragnione uspokojenie. Bez oporów daliśmy się obaj namówić na nocleg. Dochodziła piąta rano, było zupełnie jasno na dworze, w ogrodzie śpiewały ptaki. Przed nami był trudny dzień i

podróż do Elbląga. Dorota posłała nam w swoim „gabiniecie”; zasnęliśmy błyskawicznie.

Spałym pewnie do południa, a Artur, po nocy spędzonej w samochodzie - jeszcze dłużej. Na szczęście Dorota wstała wcześniej, odprowadziła małą Magdę (która dopominała się rozmowy z „wujkami”) do szkoły i wróciła, by nas obudzić. Była dziesiąta, gdyż wciąż jeszcze nieprzytomni, ale już ogoleni i ubrani usiedliśmy do śniadania. Artur opijał się kawą, jakby od jutra miał wyjść zakaz jej używania, ja mechanicznie zmiatałem z talerza bułki z dżemem.

- Szybko poszłabym z torbami - roześmiała się Dorota - gdy-bym was miała wziąć na utrzymanie.

Uśmiechnęliśmy się i my. Z zazdrością spojrziałem na Artura. Miał dar zjednywania sobie ludzi. I zdobywania wiernych przyjaciół.

Ruszyliśmy dziarsko na spotkanie nowego dnia, bez namysłu wybrawszy na drogę samochód Artura: duży fiat jest jednak większy od małego. Zboczyliśmy trochę z trasy, by podwieźć Dorotę do biblioteki PAN-u na Wałową, ale po kwadransie i tak mijaliśmy już opłotki Gdańska, śmigając warszawską szosą w stronę Elbląga.

Milczeliśmy. Artur koncentrował się na prowadzeniu wozu - ruch był duży - a ja, osamotniony w swych rozmyślaniach, rozpa-miętywałem zdarzenia ostatnich dni\_ list Agnieszki, opowieść Nelly, szkic o powieści kryminalnej, który teraz weryfikowała rzeczywistość. Uzmysłowiłem sobie, jak mało właściwie wiem o Agnieszce, i jak mało wiedziałem o niej przez wszystkie spędzone wspólnie miesiące. Nie miałem pojęcia, że jej matka jest jeszcze dosyć młoda i naprawdę piękna. Agnieszka mówiła o niej prawie zawsze przy okazji jakiejś choroby czy innej dolegliwości - nic więc dziwnego, że wyrobiłem sobie zupełnie błędny obraz Teresy Brzeskiej.

Przypomniałem sobie jej badawcze, nieco ironiczne spojrzenie, jakim obrzuciła mnie na przyjęciu u Justyna. Patrzyła na mnie jak na kogoś znanego, ale dawno nie widzianego. Położyłem to wtedy na karb naszego ранego spotkania na Cienistej, ale teraz wydało mi się, że już wtedy - przy pierwszym spotkaniu - patrzyła nam nie w ten sam, lekko ironiczny, taksujący jakby sposób. Więc może

moja twarz była jej znana? Ależ tak - oczywiście - przecież na wiosnę poprzedniego roku, na krótko przed serią eskapad Agnieszki do domu, dałem jej w prezencie swój portret, bardzo piękne zdjęcie autorstwa Janka Marszałkowskiego, mojego przyjaciela - fotografa. Jeśli Agnieszka pokazała to zdjęcie matce - a czemu nie miałyby tego zrobić? - to mogła ona zapamiętać moją twarz. Jest się w końcu przystojnym mężczyzną! Więc Terasa Brzeska mnie знаła.

A Łukasz Czarny-Brzeski, którego będziemy usiłovali znaleźć, by za jego pośrednictwem dotrzeć do Agnieszki? Łukasz znał mnie od dawna - od niego zapewne wszystko się zaczęło (teraz już byłem tego pewien), ale czy wtedy - towarzysząc Teresie - zdawał sobie sprawę z jej gry? Czy sam grał również, pytając mnie o Agnieszkę, z którą był przecież w bliskim kontakcie, którą gościł w swoim mieszkaniu? No i kim właściwie - dla obu kobiet - jest u diabła Łukasz?: Jakoś nie zadałem sobie wcześniej tego pytania. Artur też nie. Powiedziałem mu o tym.

- To nieprawda - obruszył się dziennikarz - przez cały czas o niczym innym nie myślę. Zapewne niedługo uzyskamy odpowiedź na twoje pytanie, ale nie sądzę, by była ona zaskakująca. Łukasz jest zapewne bratem Teresy. Albo kuzynem Agnieszki. Ale raczej to pierwsze - dorzucił.

- Więc ta starsza pani - kierowniczką księgarni z Elbląga jest babką Agnieszki?

- A czemu nie?

Artur nie miał ochoty na rozmowę. Zamilkłem i ja. Właściwie czemu nie? Brzeska miała trochę więcej niż czterdzieści lat. Łukasz - trzydzieści jeden (notka biograficzna z okładki książki precyzowała to dokładnie). Spora różnica wieku, ale i taka zdarza się między rodzeństwem. A co z babką? Agnieszka nigdy nic mi o niej nie wspominała! Byłem oburzony i rozgoryczony. Wiedzieliśmy o sobie naprawdę bardzo mało.

Artur zwolnił - dojeżdżaliśmy do Elbląga. Dzień był chmurny, ale ciepły, nawet gorący. Artur - spokojny i opanowany jak zwykle - parkował już samochód w samym centrum miasta.

Właściwie dopiero przed drzwiami księgarni pomyślałem, że nie mam żadnego pomysłu na tę rozmowę, nie wyobrażam sobie,

jak ją przeprowadzić, o co pytać. Przystanąłem, chciałem zatrzymać Artura, naradzić się chwilę, ale on machnąwszy niecierpliwie ręką pchnął drzwi - weszliśmy do środka. Wewnątrz panował miły chłodek, mimo południowej godziny spora grupka klientów wertowała nowości. Artur śmiało zapuścił się w głąb pomieszczenia, kartkował wyłożone na ladach książki, zainteresował się zestawem map samochodowych, zapytał o cenę, kupił. Deptałem mu po piętach z niezbyt pewną miną, kątem oka zerkałem na ekspedientki, próbując poznać w jednej z nich babkę Agnieszki. Nic z tego - wszystkie były młode, zbyt młode.

Artur włożył mapy do kieszeni i ku memu zdziwieniu ruszył w stronę drzwi. Zawrócił w pół kroku, jakby coś sobie przypomniał, podszedł z powrotem do kontuaru, za którym stała młodzianka sprzedawczyni, spytał o nowości poezji współczesnej. Zrozumiałem jego taktykę, pochyliłem się nad okładkami tomików, które pokazała nam dziewczyna. Artur przeglądał je od niechcienia, jakby nic nie zwróciło jego szczególnej uwagi.

- Nie widzę tu nic ciekawego - powiedział, oddając dziewczynie książki. - Czy nie ma pani czegoś z młodej poezji?

- Może znajdę parę tytułów - ożywiła się ekspedientka. Sięgnęła na inną półkę i rzeczywiście - rozłożyła przed nami kolejny plik książeczek. Była wśród nich ta, której szukaliśmy - „Bitwa na lodzie” Łukasza Czarnego. Artur chwycił ją w lot, zaczął kartkować z zapalem. Poprosiłem o jeszcze jeden egzemplarz. Dziewczyna dziwnie zachichotała do swojej koleżanki, ale uśmiechnęła się do mnie i uprzejmie podała książkę. Teraz obaj studiowaliśmy pilnie znane nam już wcześniej wiersze Łukasza. Wreszcie Artur zdjął z nosa okulary, odsunął inne tomiki, zwrócił się do ekspedientki:

- Czy ma może pani inne książki Czarnego? To znakomity poeta, stanowczo zbyt mało znany.

- Poszukam - powiedziała dziewczyna, pogrzebała pod ladą i nadspodziewanie szybko wyciągnęła komplet książek Łukasza. Jej koleżanka uśmiechnęła się tajemniczo i zniknęła na zapleczu. Zaczęliśmy przeglądać tomiki, Artur z przejściem monologował na temat młodej poezji i walorów twórczości Czarnego.

Musieliśmy sprawiać przekonujące wrażenie, bo starsza pani, która wyszła z zaplecza i stanęła za ladą, cała promieniała, topniała pod wpływem jego słów. Nie miałem wątpliwości: to była babka Agnieszki. jakiś cień podobieństwa, układ ust, uśmiech, rzeźba twarzy, coś łączyło ją z Agnieszką. Artur niespodziewanie zmienił adresata swego monologu, mówił teraz do starszej pani, ona mu odpowiadała, nawiązała się rozmowa. Artur wyraźnie szykował się do ataku.

- Muszę się zresztą pani pochwalić - mówił - że znam autora osobiście i to dość dobrze! Niestety, dawno nie było mnie w Gdańsku i nie mam jego najnowszej książki. Dlatego tak się cieszę, że znalazłem ją tutaj. A przy okazji kupię sobie jego pierwszy tomik, zdaje się że go nie mam.

Pani promieniała, w końcu Łukasz naprawdę zasługiwał na komplementy, a zaspokoić matczyną dumę niełatwo. Wreszcie i pani Brzeska postanowiła się ujawnić.

- A czy wiecie panowie, dlaczego moja księgarnia jest tak dobrze zaopatrzona w poezję współczesną, a zwłaszcza - w książki Czarnego? No nie, skąd moglibyście wiedzieć...

- Zapewne jest pani - jak my - pilnym czytelnikiem poezji - przerwał jej, dość rzykownie, Artur.

- To też - zgodziła się pani - ale najważniejsze jest co innego. Otóż, panowie, Łukasz Czarny to mój syn.

Efekt powinien być piorunujący i robiliśmy wszystko, co nam przyszło do głowy, aby był. Artur nawet przesadził, rzucając się do rąk starszej pani z pocałunkiem i okrzykiem: „Gratuluję pani syna, pani Czarna!”. Wywołało to salwę śmiechu pozostałych ekspedientek, które już od dłuższego czasu miały świetną zabawę, ale pani Brzeska przyjęła nasze reweeranse za dobrą monetę. Już po chwili, zaproszeni na kawę, siedzieliśmy za kotarą w minigabineczku, gdzie na honorowym miejscu wisiał portret Łukasza. Prawie się nie odzywałem, sytuacja bawiła mnie i złościła równocześnie. Artur za to czuł się znakomicie, rozprawiał ze starszą panią o poezji i życiu, wyjaśnili już sobie sprawę pseudonimu, dziennikarz opowiadał o swej znajomości z poetą. Brzmiało to bardzo przekonująco, musiało brzmieć - w końcu obaj naprawdę



znaliśmy Łukasza. Wreszcie zaryzykował pytanie, z którym weszliśmy do księgarni:

- A czy nie wie pani, gdzie właściwie mogą znaleźć Łukasza? Nie byłem dawno w Gdańsku, szukałem go po powrocie, ale bezskutecznie.

Pani wydawała się zatroskana, Artur wyraźnie ją podbił, zjednał dla siebie. Jak wszystkich, na których mu zależało.

- Niestety, spóźniliście się panowie. Łukasz był u nas jeden dzień, ale wyjechał przedwczoraj na krótki urlop. Wielka szkoda. Na pewno bardzo by się ucieszył.

- A gdzie pojechał? - wtrącił szybko Artur.

Zabrzmiało to obcesowo, więc próbowałem załagodzić:

- My też jedziemy na takie nieobowiązujące wakacje. W okolicy Olsztyna. Nigdzie nam się nie śpieszy, więc może odwiedzimy Łukasza. Jeśli, oczywiście, jest gdzieś w pobliżu?

- Nawet bardzo niedaleko - ożywiła się pani. - W Kadynach, koło Tolkmicka. Wiecie, gdzie to jest?

- Oczywiście! - wykrzyknął Artur. - Bywałem tam wielokrotnie na wczasach w siodle.

- Łukasz też kiedyś jeździł. Ale teraz woli długie spacery i wędkowanie. Mówi, że to go uspokaja i pomaga się skupić. Niby pojechał na wakacje, ale właściwie - to chciał popisać w spokoju. Myśli o powieści! - zdradziła pani Brzeska.

- Nie będziemy mu przeszkadzać - ot, wpadniemy na godzinę - nalegał Artur.

Starsza pani zawahała się:

- On strasznie nie lubi, jak mu ktoś przeszkadza. Nawet na mnie jest zły, kiedy niezapowiedziana przyjeżdżam z żywnością. Ale myślę, że panom mogę powiedzieć, gdzie go szukać. zatrzymuje się w leśniczówce. To jest nad zalewem, jakieś trzy kilometry przed samymi Kadynami.

Omal nie westchnąłem z ulgą. Poszło nadspodziewanie łatwo. Posiedzieliśmy jeszcze kwadrans na zapleczu księgarni. Pani Brzeska, zachwycona Arturem, sięgnęła do swych prywatnych zapasów. Było w czym wybierać, więc wróciliśmy do samochodu obładowani solidnie paczkami najnowszych bestsellerów. Artur puścił do mnie filuterne oko.

- Nawet gdybyśmy nie znaleźli Łukasza i tak ta podróż nam się opłaciła.

W kwadrans później wyjechaliśmy z Elbląga piękną, choć wąską szosą, która zakolami biegła przez Elbląską Bukowinę nad Zalew Wiślany.

do kadyn dotarliśmy przed drugą. Nie od razu znaleźliśmy drogę. Trzeba było pytać we wsi i wracać do miejsca, gdzie elbląska szosa przecinała się z wąską nieutwardzoną drogą wiodącą nad zalew i do leśniczówki. Jechaliśmy wolno przez las. Dzień był piękny i dziwnie spokojny, pod niskim, zaciągniętym chmurami niebem zdawało się zamierać życie. Królowała cisza. Poczulem dreszczyk emocji. Za chwilę spotkamy Łukasza, który musi z nami porozmawiać, nie może nam odmówić, sprawa jest zbyt ważna. Czego się od niego dowiemy?

Las w perspektywie rzędł, przeświecał łąkami biegnącymi pod zalew. Droga rozwidlała się - po lewej zobaczyliśmy zabudowania leśniczówki. Artur zwolnił jeszcze bardziej, skręcił, podjechał kilkadziesiąt metrów. Staaliśmy. Nadal było cicho; bezszelestnie przeleciał nad nami duży ptak. Podeszliśmy do furtki, Artur pchnął ją lekko. Zaskrzypiała i w tym samym momencie w głębi ogrodu zaniósł się jazgotem pies. Przystaliśmy. Artur nacisnął dzwonek, potem drugi raz, trzeci. Nikt nie odpowiadał.

- Idę już, idę - zawołał ktoś z głębi ogrodu. Po chwili podbiegł do nas wielki pies, znajomy nowofundland, merdając przyjaźnie ogonem. - Leśniczego nie ma w domu - usłyszeliśmy głos Łukasza, który wyszedł za psem zza węgła, przystanął, spojrzał na nas ze zdumieniem.

- To wy? - bardziej skonstatował, niż spytał. - Tak, to wy.

Opowiedzieliśmy o przypadkowym spotkaniu w Elblągu, o pomyśle odwiedzenia go w Kadynach. Nie był zadowolony z naszej obecności, czego nie ukrywał. Dodał, że intensywnie pracuje, w końcu jednak zmiękł trochę, zaprosił do ogrodu.

Stał tam spory stół, obłożony książkami, kilka biwakowych krzeseł. Usiedliśmy. Łukasz zniknął we wnętrzu domu, wrócił z kilkoma butelkami elbląskiego piwa, nalał, zaczęliśmy rozmawiać o wszystkim i niczym, rozmowa się nie kleiła, wreszcie Artur uznał, że najlepsza będzie szczerość.

- Prawdę powiedziawszy - zaczął - nasz przyjazd tutaj nie jest przypadkowy. Szukaliśmy ciebie i znaleźliśmy, bo mamy ważną sprawę...

- Domyślałem się tego - przerwał mu Łukasz - ale jeśli już mnie znaleźliście musicie przyznać, że się specjalnie nie ukrywałem?

Włączyłem się do rozmowy, zaprzeczyłem, ale z kolei Artur mi przerwał, był stanowczy:

- Czy wiesz po co przyjechaliśmy?

- Mogę się domyślać - odparł wymijająco Łukasz.

- A domyślasz się?

- Dajcie spokój, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Może ma, zresztą nieważne... Przyjechaliśmy, żeby zadać ci kilka pytań dotyczących Agnieszki i jej matki. Teresa Brzeska jest przecież twoją siostrą? - zaryzykował Artur. Łukasz skinął głową. - Jest, no i co z tego? Wy możecie mnie pytać, o co chcecie, a ja mogę wam nic nie powiedzieć, prawda?

- Prawda, ale wierzę, że nam powiesz - wtrąciłem się.

Łukasz trochę stopniał. - Januszu, rozumiem twoje kłopoty i chętnie bym ci pomógł, ale wierz mi - to naprawdę niemożliwe.

- Mam inne zdanie na ten temat - powiedział oschle Artur. - Chyba nie wiesz, o co w ogóle chodzi w tej całej historii, która z boku wygląda na kronikę wypadków miłosnych, ale skończyć się może w pitavalach sądowych.

- O czym ty mówisz? - obruszył się Łukasz.

- Wierzę, że nie rozumiesz, bo też jesteś w całej tej historii tylko pionkiem bez znaczenia, manipulowanym przez mądrzejszych od ciebie graczy, którzy...

- Zamknij się - Łukasz był naprawdę zdenerwowany - obrażasz moją siostrę i Agnieszkę. Jesteś niesprawiedliwy i nie masz prawa...

- Mam prawo - przekrzyczał go Artur - mam prawo, bo prywatna historia Janusza i Agnieszki przestała być prywatną od momentu morderstwa.

- jakiego morderstwa!?! - zbladł Łukasz.

Nie słyszał o niczym. Artur przerzucił mi pałeczkę, opowiedziałem wszystko, co słyszałem w „SPATiF”-ie. Łukasz był naprawdę przestraszony.

- To nie mogła być Agnieszka - powiedział. - Ona wyjechała z matką, ale wiem skąd mogło powstać takie przypuszczenie. Na krótko przed wyjazdem ktoś okradł Agnieszkę. Zniknęła jej torebka z wszystkimi dokumentami - musiano się nimi posłużyć, żeby zakamuflować tożsamość modelki.

- To bardzo prawdopodobne - potwierdził Artur.

Łukasz obudził się z osłupienia: Trzeba o tym natychmiast zawiadomić milicję.

- Zrobisz, ja chcesz - to Artur - ale nie powołuj się na nas jako źródło informacji o morderstwie. Janusz był przesłuchiwany przez milicję i zataił wiadomość o tym, że Agnieszka była jeszcze w środę w Bartoszycach.

Łukasz spojrział na mnie zdumiony.

- Ja też tam byłem - wtrąciłem - w czwartek.

Łukasz gwizdnął przeciągle: Ostro gracie! O co wam właściwie chodzi?

- Wybacz, ale i my wymigamy się od odpowiedzi. Sprawa jest szalenie skomplikowana, ale wierz mi - nie godzi ani w Agnieszkę, ani w jej matkę. Janusz na pewno nie zrobi nic, co mogłoby wyrzucić jej krzywdę.

Potwierdziłem. Łukasz wyczuł naszą determinację, zmiękł.

- No dobrze - powiedział wreszcie niechętnie - pytajcie. Postaram się wam odpowiedzieć na to, na co będę mógł.

- Cieszę się, na pewno bardzo nam pomożesz - w głosie Artura znać było ulgę.

- Zobaczymy - machnął ręką Łukasz.

- A więc: czy wiesz, dlaczego Agnieszka porzuciła Janusza?

- Nie wiem, naprawdę. W końcu ja ich ze sobą poznałem, życzyłem im jak najlepiej. Agnieszka jest moją siostrzenicą, ale byliśmy dla siebie raczej jak brat i siostra. Bardzo ją lubiłem i lubię.

- Ale Agnieszka nigdy nie mówiła o waszym pokrewieństwie - wybuchnąłem.

- Trochę to ukrywaliśmy. Ludzie myśleli sobie Bóg wie co, a przecież nasz związek był bardzo niewinny, bo rodzinny. Ot, taka zabawa. Ale wracając do sprawy. Jak wiecie, jesienią dwa lata temu wyjechałem w góry. Chciałem zamieszkać tam na stałe, ale nie wytrzymałem długo. Mój kontakt z Agnieszką i Teresą ograni-

czył się w tym czasie do kilku pocztówek. O niczym prawie nie wiedziałem. Potem obie wyjechały do Anglii i wróciły dopiero miesiąc temu - o tym chyba wiecie. Teresa nie chciała mi nic wyjaśnić, Agnieszka też. Zrozumiałem tyle, że bardzo się nie podobałaś Teresie, która za wszelką cenę postanowiła nie dopuścić do małżeństwa. Ale naprawdę nie wiem dlaczego. Agnieszka męczyła się, widziałem to i sądziłem, że sprawa nie jest jeszcze przesądzona. Powiedziałbym ci o tym - Łukasz zwrócił się do mnie - ale musiałem przyrzec Teresie dyskrecję. Dlatego pytałem cię na wernisazu o Agnieszkę - nie przez złośliwość, a raczej - współczucie. Nic więcej, naprawdę, nie wiem.

- No tak - spytałem szybko - ale przecież Teresy nie było na wernisazu, a zjawiła się u Justyna. Dlaczego?

- Dowiedziała się od kogoś, że ty tam jesteś i chciała ci się przyjrzeć - tak to nazwała. Już wcześniej kilka razy przychodziła ze mną na różne wystawy i spotkania. Szalenie ją bawiło, że wszyscy brali nas za parę. Przedstawiała się jako historyk sztuki. Ot, taka gra. Dopiero później dowiedziałem się, że już ciebie wcześniej widziała.

- Ale tego właśnie dla przeniosła się z Agnieszką do ciebie. Dlaczego?

- Dajże spokój, przecież to moja siostra i miałem prawo, a nawet obowiązek, gościć ją u siebie.

- Ale wcześniej mieszkała gdzie indziej?

- Mieszkała, nie mieszkała - to jej prywatna sprawa.

- A dlaczego właściwie przyjechały obie do Sopotu? I kim jest właściciel błękitnego chryslera?

- Za dużo pytań, moi panowie - uciał stanowczo Łukasz - to są prywatne sprawy mojej siostry i nie widzę powodu, dla którego miałbym o nich mówić. W każdym bądź razie - zwrócił się do mnie - zapewniam cię, że nie masz powodu do zazdrości. W życiu Agnieszki nie ma żadnego innego mężczyzny. To znaczy - nie ma w ogóle żadnego.

Milczeliśmy wszyscy przez chwilę. Wreszcie Artur postanowił przejść do ataku.

- A po co pojechały do Anglii?

- Nie powiem.

- A dokąd wyjechały z Bartoszczyk?
- Nie powiem, nie chcę i nie mogę.
- Spędziłeś z nimi kilka dni przed wyjazdem z Gdańska, tak?
- Tak.
- Czy Teresa Brzeska dzwoniła w poniedziałek do Janusza?
- Nie pamiętam, poczekaj... w poniedziałek? A o której?
- W nocy, mogła być pierwsza - wtrąciłem.
- To niemożliwe. Wszyscy byliśmy w domu, a telefon stoi w moim pokoju. Coś musiało się wam pomylić.
- Chcesz powiedzieć, że zainteresowanie Teresy Januszem było zupełnie przypadkowe i nie miało żadnych konsekwencji? - natarł Artur.
- Ależ oczywiście - zachnął się Łukasz. - W ogóle nie rozumiem, co mogą znaczyć te „konsekwencje”. Teresa interesowała się człowiekiem, który był bardzo bliski jej córce i którego w jakiś sposób skrzywdziła. To chyba rozumiałe? Ale naprawdę nie było żadnych innych motywów, a tym bardziej... konsekwencji.
- Łukasz mówił szczerze, byłem o tym przekonany. Ale kto w takim razie dzwonił do mnie, podając się za Brzeską? Artur nie zamierzał rezygnować, przejmując na siebie ciężar indagacji Łukasza.
- Jak to się stało, że Agnieszka i jej matka noszą różne nazwiska?
- Zdziwiło mnie to pytanie, bo przecież znaliśmy na nie odpowiedź. Widocznie Artur miał jakiś ukryty cel.
- To mogę wam powiedzieć - uspokoił się Łukasz. - Teresa jest z domu Brzeska. Jak ja. To zresztą oczywiste. Kiedy wyszła za męża, była na studiach. Nie chciała sobie komplikować życia, więc zostawiwszy nazwisko panięskie, dodała drugie po mężu. Miała dwa. Taka moda.
- Studiowała wtedy medycynę, prawda? A jej mąż?
- zrozumiałem ku czemu zmierza Artur i nastawiłem uszu. Łukasz skrzywił się mimowolnie.
- Wereszycki, to znaczy ojciec Agnieszki, nigdzie nie studiował. On był w ogóle dużo starszy od Teresy. Chyba kilkanaście lat. W oczach Artura malowało się zdumienie.

- To bardzo dziwne, Teresa musiała być chyba bardzo młoda, kiedy wyszła za męża i urodziła Agnieszkę?

- Tak, miała ledwie dwudziestkę jak go poznała. On jej szalenie zaimponował, ten Marian. To był taki barczysty mężczyzna o postawie żołnierza. zresztą był przez całą okupację w bojowych oddziałach AK. Nie wiem dokładnie, jak to z nim było potem - podobno nigdy o tych latach nie chciał mówić - ale większość kolegów z jego oddziału nie złożyła broni i przeszła po wojnie do podziemia. Wyłapali ich wszystkich i powsadzali. On też został przy tej okazji zamknięty i dostał jakiś wyrok. Wyszedł dopiero w pięćdziesiątym piątym, goły i bosi. Nie miał żadnej rodziny, krewnych, przyjaciół, nikogo. Wtedy poznał Teresę i szybko się pobrali. Moja rodzina była z tego powodu bardzo niezadowolona.

- A ty?

- Cóż ja, miałem przecież wtedy siedem lat.

- I nie pamiętasz w ogóle swojego szwagra?

- Trochę pamiętam, ale w sumie znałem go bardzo słabo. Przecież przez pierwsze trzy lata mieszkali w Warszawie - Teresa musiała skończyć studia. Marian pracował, ale i tak nie poradziłoby sobie, gdyby nie pomoc moich rodziców. Potem wrócili do Bartoszy - mój ojciec pomógł im wybudować domek. Ja wtedy też mieszkiałem w Bartoszykach. Pamiętam, że nawet pomagałem na budowie. Ale Wereszycki wytrzymał w Bartoszykach chyba najwyżej z kilka lat - i czmychnął. Specjalnie go nie pamiętam. Zresztą moi rodzice nie mogli mu darować zniknięcia i w domu nigdy się o nim nie mówiło.

- Jak to „zniknięcia” - zdziwił się Artur - nic o tym nie wiem.

- Czy ty w ogóle nie chcesz za dużo wiedzieć? - Łukasz był znów nieufny. - A czy tobie - zwrócił się do mnie - Agnieszka nigdy nie opowiadała o swoim ojcu?

Poczułem się głupio, ale cóż, prawda była właśnie taka.

- Nie, nigdy nie mówiła na ten temat, poza paroma ogólnikami. A ja szanowałem jej uczucia.

- Trochę to dziwne - odparł Łukasz - moi rodzice nigdy nie lubili Wereszyckiego, ale Teresa długo nie mogła go zapomnieć i przez całe lata utrzymywała małą w przekonaniu, że „tata wróci”.

- zaraz, zaraz - Artur nie potrafił ukryć emocji - to oni formalnie się nie rozwiedli?

- Wy naprawdę za dużo chcecie wiedzieć. Chyba nie powinienem już nic więcej mówić.

Postanowiłem się wyłączyć:

- Ależ Łukasz, to chyba rozumiałe, że chcę wiedzieć jak najwięcej o Agnieszce. Przecież nie stanie się nic złego, jeśli właśnie mnie opowiesz o jej ojcu.

- Nie jestem pewien. Skołowaliście mnie tą wiadomością o morderstwie i w ogóle zachowujecie się jak dwaj policjanci. Ale w sumie ani ja, ani Agnieszka nie mamy nic do ukrywania poza zupełnie prywatnymi sprawami, o których mamy prawo milczeć. Jeśli bardzo chcecie - opowiemy wam o Wereszyckim, ale więcej - żadnych pytań!

- Zgoda! - nadspodziewanie łatwo przystał Artur.

- Więc o co pytałyście?

- O rozwód.

- Sprawa nie jest taka prosta. Teresa rzeczywiście nie ma formalnego rozwodu. Ale od rozstania minęło już tyle lat, że jest to już faktycznie sprawa formalna tylko. Zresztą Teresa ma z tym kłopoty. Ojej, wygadałem się...

- W porządku. Nic nie chcemy wiedzieć o kłopotach Teresy. Opowiadaj dalej o Wereszyckim.

- No więc, po kilku latach mieszkania w Bartoszycach, Wereszycki nawiązał korespondencję z jakimiś przyjaciółmi czy rodziną na Zachodzie. Pojawiła się szansa wyjazdu na stałe, ale Teresa nawet nie chciała o tym słyszeć. To spowodowało konflikt, ciężką atmosferę w domu, prawie rozkład małżeństwa. Wreszcie zdecydowali dla wspólnego dobra, że Marian wyjedzie na rok-dwa i potem postanowią co dalej. Wereszycki wyjechał, do Francji bodaj, i nigdy już się nie odezwał. Nawet nie pisał listów. Teresa czekała bardzo długo, wciąż wynajdywała dla niego usprawiedliwienia, ale w końcu i ona musiała zrezygnować. No cóż, Wereszycki wyjeżdżał, jakby mu się ziemia paliła pod nogami - mimo chwilowej zgody nie byli tak naprawdę pojednani. Teresa pełna złych przeczuc i obaw o przyszłość i on - niecierpliwy i nieobecny myślami, planujący już inne życie. Kiedy stało się jasne, że nie



wróci, Teresa pozornie pogodziła się z samotnością, ale musiała jeszcze na coś czekać, bo nigdy nie chciała wyjść za męża, nie interesowała się innymi mężczyznami. Dopiero teraz... Ale to nie należy do sprawy.

Milczeliśmy przez chwilę. Wreszcie odezwał się Artur:

- A dokąd wyjechał? Czy wiesz coś o tym?

- Prawdę powiedziawszy, nie. Wereszycki dość długo skrywał się ze swymi planami, a Teresa nawet po latach nie chciała o tym mówić. Zresztą w ogóle niewiele się na ten temat rozmawiało. Musicie zrozumieć, że całe to zdarzenie było dla mojej rodziny zadrą, którą chcieliby się wyrzucić jak najszybciej z pamięci. Szczególnie moi rodzice nigdy do końca nie zaakceptowali Mariana, który przecież był niemal ich rówieśnikiem.

Znów zapadło milczenie.

- To chyba wszystko, co mogę wam powiedzieć. Po prostu nic więcej nie wiem. Przecież byłem jeszcze wtedy szczeniakiem.

- dobrze, jeszcze tylko jedno pytanie. Już naprawdę ostatnie. Czy obecne problemy twojej siostry mają jakiś związek z Wereszyckim?

- Jakiś mają - przecież już się wygadałem. Ale nic więcej wam nie powiem i o nic mnie nie pytajcie.

Wstaliśmy. Zza chmur wyszło niespodziewanie słońce. Cała okolica pojaśniała.

- Jeszcze może być upał - rzucił Łukasz.

Pożegnaliśmy się bez słów. Poeta uściskał nam mocno dłonie, być może mocniej, niż wypadałoby. Zasiadł do swych książek i papierów. Wróciliśmy do samochodu odprowadzani tylko przez nowofundlanda, z którym zdążyłem się zaprzyjaźnić.

- Gdzie twoja pani, gdzie? - powiedziałem do psa, patrząc w jego mądre, wielkie ślepia. Zaskomlał żałośnie. Artur ponaglił mnie klaksonem, włączył silnik. Odjechaliśmy.

9.

W trzy godziny później, gdy w milczeniu dojeżdżaliśmy już do Gdańska, zdobyłem się na sakramentalne pytanie:

- Co dalej?

Artur jakby nie dosłyszał moich słów. Już wcześniej, po drodze do Elbląga i w restauracji ,gdzie jedliśmy obiad, zdążyliśmy skomentować sobie rozmowę z Łukaszem, przypasować zebrane informacje do znanych już wcześniej; snuliśmy różne przypuszczenia. Wszystko na nic. Im więcej wiedzieliśmy, tym mniej rozumieliśmy. Byłem zupełnie zagubiony, ARTur chyba też, bo spoważniał, zamilkł, przestał nawet narzekać. Dopiero na Miałkim Szlaku, już w Gdańsku, przypominając sobie jakby moje zadane przed kilkoma minutami pytanie, powiedział:

- Nie wiem, co dalej. Niestety, po raz pierwszy od początku tej sprawy nie wiem, co robić dalej. To nie znaczy, że rezygnuję. Muszę po prostu usiąść i pomyśleć o tym wszystkim. Starczy już informacji, teraz trzeba do nich klucza. Wrócę do domu i spotkamy się dopiero jutro rano.

- A ja co mam robić?

- Ty też wracaj do domu. Odpocznij, przyda ci się to.

- Ale powinniśmy chyba jeszcze skontaktować się z Dorotą?

- Wpadniemy do niej, przecież i tak musisz zabrać samochód spod jej domu.

Dochodziła szósta, kiedy zaparkowaliśmy wóz na Wyczółkowskiego. Dorota czekała na nas, a mała Magda wybiegła z powitaniem aż do ogrodu. Dorota spędziła parę godzin w bibliotece i znalazła kilka informacji, które powinny nas interesować. Zreferowała pokrótce wszystkie wzmianki o Michale Widerskim, żołnierzu, poecie i redaktorze podziemnego czasopisma. Nie było tego wiele, ale zawsze coś.

Artur wyjął notatki z rąk Doroty, obiecując, że przestudiuje je dokładnie. Wyglądał na zniechęconego. Gdzieś bez śladu ulotniła się cała wspianiała atmosfera tego domu, którą pamiętałem z wczorajszego wieczoru. Dorota też miała smutną minę i nawet mała Magda spoważniała i patrzyła na nas chmurnymi ślepkami. Pożegnaliśmy się szybko. Pojechałem prosto na Zaspę, Artur do siebie, do Oliwy.

Dopiero w mieszkaniu poczułem zmęczenie. Nie myśleć, nie przejmować się, odpocząć! Artur miał rację, trzeba się wreszcie trochę uspokoić. Rozebrałem się, włożyłem szlafrok, zacząłem napuszczać wodę do wanny, nastawiłem nową płytę Franka Zappy,

kupioną przed miesiącem, której dotąd nie zdążyłem jeszcze przesłuchać. Wypiłem kieliszek koniaku, potem, po namyśle, zrobiłem sobie kawę w ekspresie -drobny luksus, na który nie mogłem się zdobyć od dawna. Płyta mi się podobała, nastawiłem ją jeszcze raz. Wypaliłem dobrego papierosa, potem drugiego, przejrzałem zaległą prasę z dwóch tygodni. Wlazłem wreszcie do wanny. Woda zdążyła już trochę przystygnać, więc dolałem świeżej, wyciągnąłem się wygodnie, zamknąłem oczy. Spokój, luz, szpan. Odpoczynek.

Chciałem uwolnić się od obsesyjnych rozmyślań o Agnieszce, a jednak wychyłała ku mnie zza mgielki zmęczenia jej twarz. Myślałem o niej łagodnie, prawie bez emocji, serdecznie, jakby nie było ze mną ostatniego, dramatycznego tygodnia i tego roku przy-musowej samotności, który najchętniej wymazałbym z pamięci. I raz jeszcze, jak powtarzający się motyw piosenki, powróciło to samo pytanie, na które od roku nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi: dlaczego Agnieszka ode mnie odeszła? Jej uczucie było nieklamane. W jej życiu nie istniał inny mężczyzna. Nie chodziło o przeszkody obyczajowe, religijne. Tajemnica musiała się kryć w psychologii. Może Agnieszka stanęła przed alternatywą: matka albo ja? Przecież Łukasz mówił coś o niechęci Brzeskiej... Ale jakie mogły być jej powody? Ja przecież nie dawałem żadnych. A może był to lęk przed nieznanym mężczyzną, który wkraczał nagle - jak niegdyś Wereszycki - w życie młodziutkiej dziewczyny? Byłem przecież starszy od Agnieszki o ładnych kilka lat, a teraz najczęstsze są małżeństwa między rówieśnikami. Coś musiało być we mnie - jakaś skaza czy błąd, dla mnie niewidoczny, który dla Brzeskiej - i Agnieszki - był wystarczającym powodem do podjęcia skrajnych decyzji. Ale przecież matka Agnieszki w ogóle mnie nie знаła! Więc może - już raz przecież przyjęliśmy z Arturem taką tezę - może tajemnica kryła się w przeszłości? Może mój ojciec, o którym tka mało wiedziałem, był tragarzem tego błędu, niewybaczalnego błędu mej osobowości, dostrzeżonego przez Brzeską? A może mieli ze sobą coś wspólnego - mój ojciec i Wereszycki, dwaj mężczyźni z tego samego pokolenia, o tej samej wojennej przeszłości, których różniły właściwie tylko pookupacyjne losy. Ci wspaniali chłopcy sprzed lat, ci żołnierze i poeci, zginęli w mro-

kach czasu przeszłego, w magmie niepamięci. Zostały samotne kobiety, małe dzieci bez ojców, została ciężka praca i oczekiwanie nie nagrodzone połączeniem. Czy Brzeska bała się takiego losu dla Agnieszki? Ale czemu właśnie ja, przy wszystkich swoich wadach, miałbym nosić w sobie ziarno losu straconego, życia przegranego, samotności nie nagrodzonej? Czemu właśnie ja zostałem ukarany za nieznanne winy ojca? Winy naszych ojców - poprawiłem się w duchu. Jak u Ibsena, w „Upiorach”, które cytowała Agnieszka.

Wątek rozmyślań rwał się. Cisnęły mi się na usta pytania, których nie miałem komu zadać. Spokojnie, spokojnie - powiedziałem sam do siebie - dziś jeszcze spróbujemy odpocząć. Zamknąłem oczy, starałem się nie myśleć o niczym. Spokój, luz. Luz, spokój. Relaks.

W tej chwili długo i przeciągle zadźwięczał brzęczyk u wejściowych drzwi. Trochę nieprzytomnie wylazłem z wanny, wytarłem się z grubsza ręcznikiem, włożyłem szlafrok. Brzęczyk zabrzmiał jeszcze raz, ponaglająco. Otworzyłem drzwi. W progu stali jak Trzej Królowie moi znajomi, o których zdążyłem już zapomnieć: kapitan Pietraszek i dwaj sierżanci, co wczoraj (to było ledwie wczoraj - pomyślałem - minęło tak wiele czasu!) zwlekli mnie na łóżka. Kapitan zasalutował i wszedł. Odruchowo spojrziałem na zegarek - dochodziła dziesiąta.

- Proszę wybaczyć późną porę - kapitan był oschły, urzędowy - ale szukamy pana bezskutecznie od wczoraj. Chcemy z panem porozmawiać.

- Proszę bardzo.

- Ale nie tutaj. Niech się pan ubierze, pojedziemy na komendę.

Ubrałem się szybko, ta wizyta zaniepokoiła mnie jednak. Zdążyłem już zapomnieć o wczorajszym przesłuchaniu i milicji, która przez te dwa dni mogła nabierać wiele informacji. A może zdarzyło się coś ważnego?

- O czym będziemy rozmawiać? - zaryzykowałem zadane lekким tonem pytanie.

Kapitan pozostał oschły:

- Dziś już za późno na wszelkie rozmowy. Odłożymy to do jutra. Ale proszę, proszę, niech pan się zbiera - dodał, widząc moje niezdecydowanie.

- Jak mam to rozumieć? - wybąkałem.
- Rozmawiać będziemy jutro, ale przed rozmową chcę mieć pana pod ręką.
- Zmartwiałem.
- Czy jestem aresztowany?
- Nie można tego tak nazwać. Po prostu musimy pana zatrzymać. Na dwie doby.
- Ale dlaczego?!
- Nie ma żadnych szczególnych powodów. Po prostu straciliśmy do pana zaufanie.
- Zaufanie?...

Szczęka mi opadła. Nie przyszło mi do głowy żadne agresywne pytanie. Zresztą to kapitan specjalizował się w ich zadawaniu. Dość bezmyślnie włożyłem kurtkę, zamknąłem drzwi na klucz. Przed domem czekał na nas radiowóz.

Tymczasowy areszt śledczy w budynku komendy wojewódzkiej na Okopowej nie był nawet tak straszny, jak mogłem sobie wyobrazić. Niedawno malowane ściany, drzwi z wizjerem, twarda wąska prycza. Celka była na szczęście jednoosobowa. Usiadłem ciężko na pryczy. Sytuacja była absurdalna. Jeszcze przed godziną, zmęczony zbyt szybkim biegiem wydarzeń, postanowiłem odpocząć, wyłączyć się. Jednak wydarzenia same wyszły mi naprzeciw.

Choć odpoczywać mogłem do woli - ile dusza zapagnie. Postanowiłem skorzystać z tej okazji i niewiele myśląc wyciągnąłem się na łożu, które zaoferował mi na tę noc los. zasnąłem szybko głębokim snem sprawiedliwych.

Mój „stary” znajomy, sierżant Kraykowski (dopiero teraz przypomniałem sobie jego nazwisko, przedstawił mi się przy pierwszej wizycie) obudził mnie o szóstej. Takie były, jak się okazało, zwyczajnie aresztu śledczego. Sierżant wyglądał na wypoczętego, ale jego surowa twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Po skromnej toalecie i jeszcze skromniejszym więziennym śniadanku dostałem godziną na spokojny rachunek sumienia (nic szczególnego nie wydumałem), po czym inny już funkcjonariusz zaprosił mnie na rozmowę z kapitanem. Była ósma, kiedy wprowadzono mnie do jego pokoju.

Kapitan siedział za swoim biureczkiem nad szklanką kawy. Z boku - przy innym stoliku - protokolant.

- To jest oficjalne przesłuchanie. Proszę pamiętać, że za składanie fałszywych zeznań grozi kara pozbawienia wolności do lat pięciu.

- Wiem o tym.

- Jeśli tak, to czemu pan nałgał przedwczoraj?

Na nic zdały się moje przemilczenia - doszli do prawdy. Milczałem - cóż mogłem powiedzieć mądrego. Kapitan nie podejmował tematu, nie oczekiwał nawet odpowiedzi na swoje pytanie. Pogrzebał w teczce, wyciągnął jakieś papiery, przyjrzał się im. Wreszcie zaczął mówić.

- Sprawdziliśmy szczegółowo pańskie alibi. Jest prawdziwe. Był pan u ciotki w Zamościu, jechał pan przez Lublin i tak dalej. To właśnie stawia pana poza kręgiem podejrzanych. Tym bardziej więc nie rozumiem, dlaczego świadomie nie poinformował pan nas o swojej wizycie w Bartoszycach? Bo przecież pan tam był?

- Byłem.

- I dowiedział się pan od sąsiadki, że Wereszycka jest cała i zdrowa?

- Tak.

- No więc czemu pan to przemilczał?

- Właściwie nie wiem. Nie wierzyłem, że Agnieszka ma coś wspólnego ze sprawą morderstwa i chciałem uchronić ją od kłopotów.

- ... wynikających z zetknięcia się z milicją - to pan chciał powiedzieć?

- Nie... to znaczy może nawet to. Sam nie wiem.

- słabo się pan tłumaczy. Ale idźmy dalej. Po co pan właściwie pojechał do Bartoszycz?

- Szukałem Agnieszki, chciałem się z nią spotkać.

- A skąd pan wiedział, że będzie w Bartoszycach?

- Nie wiedziałem, jechałem na ślepo.

Kapitan znów na chwilę zagłębił się w swych notatkach.

- Sąsiadka, która poznała pana na zdjęciu, twierdzi, że przejawiał pan żywe zainteresowanie Wereszycką i jej rodziną. skądinąd wiemy, że był pan z tą dziewczyną blisko związany. Ale dopiero

od sąsiadki dowiedział się pan o tym, że jej matka używa innego nazwiska, czy tak?

- To prawda.

- Nie rozumiem, jak to możliwe, by nie mieć tak podstawowych informacji na temat bliskiej osoby.

- A jednak to prawda, Agnieszka była bardzo skryty i niewiele mówiła o sobie.

- Więc nie wie pan zapewne również, gdzie się w tej chwili znajduje?

- Nie wiem i sam chciałbym wiedzieć.

- Szuka pan jej?

- Tak.

- Dlaczego?

- Chyba mówiłem już o tym poprzednim razem. Zależy mi na niej.

- Miłość bez wzajemności?

- Chyba nie... zresztą - sam już nie wiem.

- Nie jest pan rozmowny - kapitan odchrząknął, wrócił do bardziej oficjalnego tonu - pytam jeszcze raz, z wielką stanowczością i proszę się zastanowić, zanim pan odpowie: czy nie domyśla się pan, nie ma pan żadnych podejrzeń odnośnie miejsca pobytu obywatelki Wereszyckiej?

- Stwierdzam z całą stanowczością i bez namysłu, że nie.

- Nie jest pan chętny do współpracy.

- Wręcz przeciwnie - zaświtał mi w głowie pewien pomysł i postanowiłem przejść do kontrataku - sądzę, że mam w zanadru pewną ważną informację na temat Agnieszki. Nie chciałbym jej przed panem ukrywać, ale i ja mam prośbę...

- Słucham.

- Chyba pan rozumie, kapitanie, że niepokoi mnie ta cała sprawa. Wiem o niej zresztą sporo, bodaj wszystko, co się mówi na mieście. Niech mi pan wyjaśni, jaki istnieje związek między osobą Agnieszki a morderstwem. Sprzedam panu za to swoją informację. Domyślam się zresztą, na czym ten związek polega, ale chcę się upewnić.

Kapitan potraktował moje słowo serio, ale odpowiedział po chwili namysłu:

- Zastanowię się. Najpierw niech pan powie wszystko, co wie. To nawet ciekawe, co się mówi „na mieście”.

Opowiedziałem mu wszystko, czego się dowiedziałem w „SPATiF”-ie, nie pomijając żadnych szczegółów. Nie było ich zresztą wiele. Kapitan Pietraszek słuchał mnie z uwagą. Kiedy skończyłem, pokiwał głową.

- Pana relacja jest nad podziw ścisła. I zgodna z prawdą. Dobrze - postanowił - zgadzam się na pana propozycję. Wie pan i tak bardzo dużo. Dodam jeszcze jedno - morderca manipulował bardzo sprytnie instalacją elektryczną. Zmontował naprawę piekielną pułapkę. W momencie włączenia prądu obnażone druciki, które dotykały nagiego ciała dziewczyny - zamknęły obwód. Równocześnie pękło szkło lampy jodowej i strumień prądu o bardzo wysokim natężeniu roztopił plastikową maskę, którą dziewczyna zakrywała twarz. Roztopiony plastik przykleił się do twarzy i całkowicie zdeformował rysy. To była jedna z najbardziej perfidnych zbrodni, jakie zdarzyło mi się oglądać. Nasz największy kłopot polega na tym, że nie mamy pewności co do tożsamości ofiary. Czeladźki, który zresztą - wbrew pana plotkom - nie wyjechał na Zachód, trzymał całą sprawę w ścisłej tajemnicy i nawet kierownik galerii nie znał nazwiska modelki. Obok salki ekspozycyjnej jest mała pakamera - tam urządzono szatnię. Znaleźliśmy w tym pomieszczeniu skromną garderobę dziewczyny, torebkę i dokumenty na nazwisko Wereszyckiej. Stąd nasze zainteresowanie jej osobą. Tyle mogę na razie powiedzieć. Kolej na pana.

Odetchnąłem z ulgą i opowiedziałem mu wszystko, czego dowiedzieliśmy się od Łukasza. Kapitan nie ukrywał zadowolenia, ale żądał szczegółów. Bez wahania podałem mu nazwisko i adres Łukasza - w końcu poeta sam chciał biec na milicję. Kapitan chwycił już za słuchawkę, by przekazać dalej moje informacje, kiedy przyszedł mi do głowy znakomity pomysł. Przecież Łukasz wie, gdzie jest Agnieszka! Ze złośliwą satysfakcją poinformowałem o tym kapitana. Był naprawdę zadowolony. Ja też. W końcu jeśli mnie nie udało się jej znaleźć, może dokona tego milicja.

Kapitan napisał coś na kartce, oddał ją podoficerowi, który zaraz wyszedł. Potem połączył się przez telefon, sam wychodził i wracał, rozmawiał z różnymi ludźmi w cywilu, którzy wbiegali do



pokoju. Trwało to dłuższą chwilę wreszcie Pietraszek zasiadł za biurkiem. Sądziłem, że rozmowa jest już zakończona i będę mógł wracać do domu, ale kapitan miał jeszcze najwyraźniej jakieś zamiary związane z moją osobą. Począł, aż wróci protokół i podjął przesłuchanie.

- Poprawił mi pan humor swoją szczerością. Jak widzę, dobrze panu zrobiła noc spędzona w celi.

- Mam nadzieję, że następną spędzę w domu.

- To zależy tylko od pana.

- Co mogę zrobić?

- Mówić.

- Przecież powiedziałem już wszystko, co wiem.

- Nie wszystko!

- Nie wiem, co mógłbym dodać.

- Dobrze, przejdźmy do rzeczy...

- Służę, najuprzejmiej...

- Może pan sobie darować ten sarkazm. Niech pan tylko odpowiada na pytania.

Milczałem. Nie było sensu dyskutować z kapitanem, który sądził, zdaje się, że ma mnie w garści.

- Po co pan jeździł do Zamościa?

- Żeby zobaczyć się z ciotką.

- To wiem, ale o czym rozmawialiście?

- Pana ludzie już tam byli. Mogli ją spytać.

- Więc pan odmawia odpowiedzi?

- Tak.

- Dobrze - nadspodziewanie łatwo zgodził się Pietraszek. - A czy był pan kiedyś w barze „Bravo” na Cienistej w Sopocie?

- W ostatnich dniach dwukrotnie.

- Podobno interesowała pan willa pod numerem 26. Dlaczego?

- Przez krótki czas mieszkała tam Agnieszka. szukałem jej.

- Przez krótki czas mieszkała tam Agnieszka. Szukałem jej.

- I w ramach tych poszukiwań włamał się pan w nocy do środka?

Skąd Pietraszek o tym wiedział? Nie miałem pojęcia. A jednak wiedział i nie było sensu wypierać się czegokolwiek.

- Owszem, wszedłem do środka, bo szukałem Agnieszki.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że to było zwykłe włamanie?
- Niczego nie ukradłem.
- Bo nic w środku nie było.
- Chyba nie twierdzi pan, że jestem złodziejem?
- Nie, nie twierdę. Ale sądzę, że nie mówi pan prawdy. Wzruszyłem ramionami.
- Moglibyście raczej zainteresować się kradzieżą, która miała miejsce w moim mieszkaniu.
- Kapitan uśmiechnął się, zrozumiałem, że popełniłem błąd, wspominając o tej sprawie.
- Owszem, interesujemy się tym włamaniem. Nawet odzyskaliśmy ukradzione rzeczy.
- To dobrze.
- Bardzo dobrze. Wskaźnik wykrywalności rośnie systematycznie. Czy pan wie, gdzie znaleźliśmy te przedmioty?
- Skąd mogę wiedzieć?
- Powiem panu. Zapakowano je w trzy worki po cemente i wrzucono do zsypu na śmieci kilka domów dalej. Dość dziwna kryjówka dla złodziejskich łupów.
- Rzeczywiście - zdumiewająca. Może coś spłoszyło złodzieja i ukrył te worki gdziekolwiek. W miejscu, które miał pod ręką?
- Może. Ale możliwa jest także inna hipoteza: całe włamanie było sfingowane. Co pan o tym sądzi?
- Nic nie sądzę. Po co ktoś miałby pozorować włamanie do mojego mieszkania?
- Właśnie tego chciałbym się od pana dowiedzieć.
- Nie jestem w stanie panu pomóc.
- Szkoda, sądziłem, że chce pan z nami współpracować.
- Chcę.
- To się jeszcze okaże.
- Czy będę mógł wrócić dzisiaj do domu?
- To też się jeszcze okaże.
- Westchnąłem. Niełatwo nam przychodziła ta rozmowa, a przecież nie mogłem zrezygnować ze swego uporu. Miałem prawo do prywatnych tajemnic. I kłopotów, które są tylko moimi kłopotami.
- Czy zna pan Zdzisława Fabjańskiego? - podjął kapitan.

- Nie tylko nie znam żadnego Fabjańskiego, ale nawet nic mi nie mówi jego nazwisko.

- Czyżby?

Poczułem na twarzy rumieniec. Przecież jednak już gdzieś spotkałem się z tym nazwiskiem. Ale gdzie? Kiedy? W jakiej sytuacji? Nie pamiętałem. Kapitan chyba zauważył moje zmieszanie, ale nie podjął tematu, jego następne pytanie znów mnie zaskoczyło.

- Czy zna pan obywatelkę Amelię Pietrzak?

Zrobiłem cierpiętniczą minę, więc dodał szybko: ...vel Nelly Ładnowską? To drugie nazwisko jest jej scenicznym pseudonimem.

- To zmienia postać rzeczy. Oczywiście, że znam Nelly, choć nie wyobrażałem sobie, że nazywa się Pietrzak.

- Czy może ją pan scharakteryzować w kilku zdaniach?

- Czy muszę? Plotkowanie o znajomych nie jest specjalnie miłe...

- ... zwłaszcza na milicji. Wiem o tym. A jednak sądzę, że pan musi.

- No cóż, Nelly miał kiedyś dobre nazwisko, ale chyba zbyt długo grała amantki. To się mści, bo ładna dziewczyna, jeśli chce przetrwać na scenie swą młodość, musi sobie wyrobić jakieś charakterystyczne emploi. Nelly zbyt hojnie szafowała swoją młodością aż - zrobiło się za późno. Pojawił się nowy dyrektor, młodzi reżyserzy i Nelly poszła na boczny tor.

- To chyba trafna charakterystyka. Pan zna obywatelkę Ładnowską dość dobrze?

- Tak sobie, ale znam, znam, oczywiście...

- Czy widział się pan z nią ostatnio?

- Tak, przedwczoraj w „SPATiF”-ie w Sopocie.

- O czym rozmawialiście?

- O Agnieszce.

- O czym jeszcze?

- O niczym więcej.

- Czy pan w ogóle zajmuje się jeszcze czymkolwiek poza tą dziewczyną?

- Prawdę mówiąc: nie.

- Czy pan zaczął rozmowę, czy ona?

- Ona.

- I co panu powiedziała?

- Nic, co miałyby jakiś związek z tą sprawą.

- Nie odpowie pan?

- Nie.

- Jak pan chce.

Milczałem. Kapitan też zamilkł. Zapalił wolno papierosa, potarł nerwowo przeryte głęboką, pionową zmarszczką czoło.

- Czy mogę wracać do domu?

- Właściwie mógłby pan - odrzekł kapitan - ale jednak postanowiłem zatrzymać pana u nas do jutra. Nie jest pan aresztowany, o nic pana nie oskarżamy, nie wysuwam żadnych podejrzeń. A jednak wolą mieć pana pod ręką.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów, o których nie chcę mówić i z jednego zasadniczego, z którego sam pan powinien zdawać sobie sprawę.

- Nie wiem, o czym pan mówi?

- To proste. Każdy zwyczajny człowiek przesłuchiwany w sprawie o morderstwo i proszony o nieopuszczenie miejsca zamieszkania przez dwie doby, zwłaszcza gdy milicja musi sprawdzić jego alibi - siedziałby cicho w domu jak mysz pod miotłą i czekać, aż sprawa się wyjaśni. Tak przynajmniej postępują ludzie niewinni - bo ci się najbardziej boją. Tymczasem pan natychmiast po wyjściu od nas znika i wraca do domu prawie dokładnie po dwóch dniach. Przez cały ten czas pana szukamy, jest pan nam potrzebny, więc obstawiamy dom, a drogówka, wypatruje samochodu. Bezskutecznie. Znika pan jak kamfora, mimo próśb i gróźb z naszej strony. Wniosek - albo jest pan bardzo zainteresowany sprawą morderstwa i musi pan działać szybko...

- Po co? - wybuchnąłem.

- Bo ja wiem, po co? Może po to, by zatrzeć ślady... Albo też sprawa morderstwa jest panu najzupełniej obojętna, bo absorbują pana sprawy własne, również ważne i wymagające natychmiastowego działania. Jakie to sprawy? Nie chce pan nam powiedzieć. A może te sprawy jednak się wiążą z morderstwem? Skąd mamy o tym wiedzieć, jeśli pan milczy?

- Ależ wcale nie milczą!

- Nie? A więc proszę mi powiedzieć, co pan porabiał po wyjściu z komendy przedwczoraj.

- Najpierw pojechałem do „SPATiF”-u...

- To wiemy. Co dalej?

- Rozmawiałem z Nelly Ładnowską i... i...

Uświadomiłem sobie, że nie mogę powiedzieć nic więcej, nie zdradzając udziału Artura w całej sprawie i tego, że prowadzimy prywatne śledztwo.

- Słucham pana - ponaglił mnie kapitan.

- Niestety, nie pamiętam, co było dalej. Chyba się upiłem.

- No tak, nie chce pan nam pomóc. Jednak zatrzymam pana do jutra.

- Trudno. Aha - jeszcze jedno - czy mogę zadzwonić, dać znać, co się ze mną dzieje.

- Komu chce pan dać znać?

- No... rodzinie, przyjaciołom.

- O ile wiem, nie ma pan w Gdańsku rodziny. Nigdzie pan również stale nie pracuje. A przyjaciele mogą poczekać. To pewnie ci kompani od wódki.

Zrozumiałem, że nic nie wskóram. Kapitan był twardy i konsekwentny. Sierżant odprowadził mnie do celi. Akurat wydawano obiad.

10.

Bez apetytu, ale i bez wstępu zjadłem to, co mi przyniesiono, po czym wyciągnąłem się na pryczy. Jest to zajęcie, którego bardzo nie lubili faceci układający niegdyś regulamin aresztów śledczych - wiedziałem o tym, ale nie zamierzałem się przejmować. Miałem zawsze dostatecznie dużo wyobraźni, by spodziewać się, że kiedyś zawędruje do więzienia lub - obojętnie - na Hawaje, do Akademii Nauk, na odwykówkę, do ziemi. Wszystkie te ewentualności, nie licząc oczywiście ostatniej, wydawały mi się równie prawdopodobne. Nie zakładałem nic z góry, ale miałem dość wyobraźni, by nie dziwić się różnym sytuacjom losu i możliwościom

lub niemożliwościom, które mogą przypaść w udziale biografii dość zwykłego i przeciętnego człowieka, nazywanego artystą, a żyjącego w średnio interesującym miejscu na ziemi.

Fakt, że mimo trzydziestki nie byłem dotąd ani w więzieniu, ani w szpitalu psychiatrycznym, ani na Hawajach (zresztą nie byłem nawet w Bułgarii), nie świadczył o niczym. Wiedziałem o sobie, że jestem potencjalnym więźniem, podróżnikiem i tak dalej i ten rodzaj samoświadomości, uważany przez pewnych ludzi za szczególnie odmianę głupoty, dawał mi poczucie niezależności i czynił odpornym na różne przeciwności losu, które zresztą nie były nawet groźne, częściej - po prostu banalne.

Niczemu się nie dziwić - nie tak brzmiała moja dewiza. Dziwiłem się często i chętnie, nieobce było mi zachłyśnięcie się światem, wielka radość poznawania nowych ludzi, rzeczy, zjawisk, miejsc. Ale gdzieś, pod skórą, w głębi mózgu, siedział mały diabełek, który niezmiennie kazał mi się dystansować od wszystkiego, co mnie spotykało, który szeptał: przecież to nic nowego, przecież wiesz wszystko o tych ludziach, o tych sprawach, o tych miejscach, zajmij się lepiej sobą, bo tylko ty jesteś naprawdę ciekawy, wyjdź, odejdz, a przynajmniej uśmiechnij się ironicznie. Wtedy uśmiechałem się ironicznie, nie przeciw ludziom, z którymi rozmawiałem, a raczej - nie tylko przeciw nim, bo również przeciw sobie, przeciw mojemu małemu diabełkowi, którego lubiłem, może bez wzajemności, bo obrażał się na mnie za uzewnętrznianie emocji, za nieoszczędzanie siebie, swego czasu i uczuć.

Może była to sprawa wychowania? Tej wielkiej samotności we dwoje, jaką było moje spędzone tylko z matką dzieciństwo i młodość? Może zaważyły tu lektury, przedwczesne i zbyt liczne - te tuziny książek połykanych bez szczególnego wyboru i czasem zrozumienia, które po latach dopiero układały się w pewną logiczną galaktykę. Przez całe lata, lata młodzieńcze, żyłem może bardziej w tej właśnie papierowej galaktyce niż w świecie realnym, wędrowałem gdzieś pograniczem tych przestrzeni, patrząc na ludzi przez książki, a w książkach odnajdując prawdziwych ludzi.

Byłem samotnikiem - nie z wyboru i nie z wyroku losu, a raczej z naturalnej potrzeby, z niewymuszonego trybu życia, z typu pracy. Przywiązywałem się do ludzi i do miejsc, ale nie bałem się ich

utracić; nie rozmieniałem się na miłą uczucia i rezygnowałem z chwilowych sentymentów, z każdej sytuacji wychodziłem niewzruszony i niezmienny, stały, wszędzie nosiłem ze sobą swój własny dom, więc nikt nie mógł mi go zabrać i nikt nie mógł w nim zamieszkać bez mojej zgody.

To raczej ludzie lgnęli do mnie niż ja do nich, szukali mojej przyjaźni, czasem darzyli niezasłużonymi względami, których nie odrzucałem, ale i nie odwzajemniałem. Kobiety pociągała moja niezależność, węszyły we mnie kogoś innego niż ich mężczyźni, dłużyący w samochodach i wędrujący na siódmą do pracy; mogłem być Don Juanem i bywałem nim, ale nie, nie na długo, koszty własne były zbyt wielkie, cena za duża, dom powinien pozostać nie zamieszkały, bo był to dom obliczony tylko na jedną osobę. Mogłem uwieść świat, mogłem - równie dobrze - skończyć w więzieniu; wiedziałem o tym i ta wiedza mi wystarczała.

Taki byłem do momentu zjawienia się Agnieszki, do tego wieczoru, kiedy Łukasz poznał nas ze sobą, a może nawet dłużej, do tej nocy w schronisku na chochołowskiej. Znałem Izoldę i z Don Juana zmieniłem się w Tristana.

Zmieniłem się, ale nie dlatego, że zostałem zdominowany przez osobowość Agnieszki. Nigdy nie toczyliśmy z sobą żadnej rozgrywki, nie było przegranego i wygranego, nie zmuszałem jej do uległości i ona nie obezwładniała mnie i moich uczuć swoją zmiennością. Zmieniałem się, bo po raz pierwszy w życiu zostałem naprawdę zaskoczony, a to zaskoczenie przyszło nie z zewnątrz, nie było pałką, kamieniem czy celą, ale pochodziło z głębi mej osobowości: zaskoczyłem sam siebie, musiałem się zdziwić i... zmienić.

Już wcześniej, oczywiście, wyobrażałem sobie (byłem w stanie sobie wyobrazić) kobietę, z którą łączę się i na której mi naprawdę zależy. Ale pewien rodzaj uczuć był mi wcześniej obcy i ta wielka miłość poraziła nie tylko moje ciało i duszę. Zawładnęła również świadomością, zagrożoną nagle przez coś, co ją przerastało. Wraz z moim uczuciem do Agnieszki rósł więc szacunek dla jej rozumu i charakteru, podziw nawet dla siły ducha i nieobliczalności; musiała być nieobliczalna, by się ze mną wiązać, nieskończenie silna, by przyjąć to uczucie, nie rezygnując z tego, co było dla niej napraw-

dę ważne, nawet wtedy, gdy ja, coraz głębiej przeżywający to nieoczekiwane szczęście, wyzbywałem się nieświadomie przyzwyczajęń, przekonań i zachowań, które wcześniej budowały mnie w sposób naturalny.

Było mi z nią naprawdę dobrze, choć liczyła się dla nas tylko terażniejszość i nie potrafiłem myśleć o przyszłości, wyobrażając sobie wszystkie następne lata jako jeden wielki i nie kończący się dzień dzisiejszy. Minimalizowałem swe potrzeby i zainteresowania, zrywałem kontakty z ludźmi, nie czytałem nawet zbyt wiele. Agnieszka wypełniła mój dzień całkowicie i bez reszty, a jej milcząca choćby obecność była darem, który wynagradzał, ba! - powodował wszystkie zmiany w mym trybie życia i sposobie myślenia.

Agnieszka była wobec mnie nieskończenie lojalna i uważna - gotowa przyjąć wszystko i wszystko dać. A jednak to ona zachowała w naszym związku pewien rodzaj niezależności czy nawet wolności, to ona kazała czasem na siebie czekać i pozwalała sobie na chwilowe zniecierpliwienia, które przyjmowałem z rozculeniem i być może bagatelizowałem, świadomy jednak swej przewagi doświadczeń, którymi nad nią górowałem, i rozbrojony poczuciem odpowiedzialności za nią, które - zupełnie niepotrzebnie - wciąż na nowo w sobie rozbudzałem.

Z tych rozmyślań wyrwał mnie dopiero zgrzyt klucza w zamku - roznoszono kolację. Jadłem mechanicznie twardy chleb, zastanawiając się, co może mnie czekać następnego dnia. W swym aresztowaniu nie widziałem nic więcej ponad głupie nieporozumienie, które wkrótce się wyjaśni. No tak - ale skąd właściwie tak wielkie zainteresowanie kapitana Pietraszka moją skromną osobą? Przecież sprawa jest prawie wyjaśniona, brak tylko osoby najważniejszej - mordercy. A jednak poczułem lekki niepokój. Skoro moje alibi jest pewne, to dlaczego kapitan uparcie wiąże mnie ze sprawą morderstwa w „Panoramie”? Nie wiedziałem.

Do celi wrócił strażnik, odebrał miskę, po chwili zgasło światło. Wyciągnąłem się na pryczy. Niepokój nie zniknął. Rozmyślałem o Agnieszce i jej kolejnym wyjeździe w nieznaną, o Arturze, który pewnie szuka mnie po całym Wybrzeżu, podczas gdy ja, znów skazany na bezczynność, muszę biernie oczekiwać na dalszy roz-



wój wypadków. Może jutrzejszy dzień coś zmieni? Przypomniałem sobie Łukasza i wiadomość „sprzedaną” kapitanowi. Milicja działa szybko - może już jutro będą znali miejsce pobytu Agnieszki? Może mi je zdradzą? Pocieszony i uspokojony tą myślą - zasnąłem.

Tym razem pobudkę urządził mi sierżant, którego nie znałem. Wyglądał na niewyspanego, zapewne tak jak ja i - może się myliłem - chyba mrugnął do mnie porozumiewawczo, nalewając do blaszanego kubka zbożową kawę.

Zjadłem śniadanie i czekałem. Dość długo - na szczęście sierżant pożyczył mi gazetę, którą przeczytałem od deski do deski. Byłem spokojny, bardziej nawet spokojny, niż można by się po mnie spodziewać. Ten spokój nie opuścił mnie również wtedy, gdy otworzyły się drzwi celi i znajomy sierżant poinformował o czekającym przesłuchaniu. Dochodziła dziesiąta. Maszerowaliśmy długim korytarzem w innym niż za pierwszym razem kierunku. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu dostrzegłem naraz siedzącego po jakichś drzwiach - Łukasza Czarnego.

I on mnie zobaczył, zerwał się z krzesła, chciał coś powiedzieć. Wzruszyłem ramionami, zrobiłem cierpiętniczy wyraz twarzy. Sierżant skręcił w prawo, mignęła mi jeszcze zdumiona twarz poety z otwartymi ustami i - weszliśmy do pokoju.

Tym razem czekał na mnie porucznik Leszczuk. Uśmiechnięty, cierpliwy, wyrozumiały. Czulem, że moja więzienna przygoda dobiega końca.

- Przyznam, że nie podzielam antypatii kapitana Pietraszka - zaczął porucznik - do niesfornych artystów, ale i ja mam panu za złe to niespodziewane zniknięcie. Pomieszał nam pan szyki i choć od początku nie wierzyłem w pana winę, zużyliśmy niepotrzebnie mnóstwo energii na poszukiwania.

- Czy to znaczy, że jestem wolny?

- Tak. Po naszej rozmowie może pan się udać w dowolnym kierunku.

- Bardzo się cieszę. Ale o czym mamy rozmawiać?

- Widzi pan - choć sprawa „Panoramy” jest bliska wyjaśnienia, pozostaje jeszcze trochę niejasności. Wciąż na przykład nie wie-

my, czy związek Agnieszki Wereszyckiej z tą sprawą jest przypadkowy, czy nie.

- Ależ to jasne - wybuchnąłem - przecież ona nie może ponosić winy za to, że ją okradziono.

- Nikt na razie nie mówi o żadnej winie. Użyłem tylko słowa „związek”. To nas interesuje: związki między ludźmi i sprawami, napięcia psychiczne czy - jeśli pan chce - układy. Fakty, zdarzenia, nawet morderstwa, są tylko konsekwencją tych związków. I nie zdołamy poznać faktów, jeśli nie zrozumiemy motywów. A motywy się na ogół powtarzają, ich repertuar jest nam dobrze znany i ściśle ograniczony. Trzeba tylko znaleźć człowieka, który pasowałby do tych motywów...

- Jest pan cyniczny.

- Ależ nie, przecież nie zakładam a priori niczyjej winy. Szukam tylko wyjaśnienia faktów niejako od końca. Ot, taka niecodzienna metoda. W przypadku zabójstwa tej młodej dziewczyny mógłbym - z tą wiedzą jaką dysponuję - podać panu ze sto motywów, które mogły kierować zabójcą. Teraz muszę znaleźć kogoś, dla kogo jedynym wyjściem była zbrodnia.

Porucznik mówił dalej, ale prawie przestałem go słuchać. Coś mnie uderzyło w jego słowach; ależ tak - to niezwykle podobieństwo jego poglądów na zbrodnię ze zdaniem, które czytałem w tekście Agnieszki. Porucznik mówił niemal jej własnymi słowami!

- Czy pan mnie słucha? - przerwał moje zamyślenie Leszczuk.

- Tak, oczywiście, panie poruczniku - zapewniłem go pośpiesznie. - Choć przyznam, że niepokoje nie bardzo ów domniemany związek Agnieszki z tą sprawą i...

- Przecież właśnie mówiłem, że związek ten jest nieoczywisty i niejasny. Powiem panu coś, czego mówić nie powinienem - odnaleźliśmy panią Wereszycką. Już z nią zdążyłem porozmawiać. Twierdzi, że kradzież była przypadkowa, że nie miała nic wspólnego z wystawą w „Panoramie”, Justyna Czeladzkiego знаła słabo, zabiła modelkę znacznie lepiej, ale nie widziała jej od dawna. I ja jej wierzę. Ale pytanie: czy morderca posłużył się jej dokumentami, bo tylko te miał pod ręką, czy też - być może - zrobił to celowo?

- Rozumiem - bąknąłem niepewnie, choć wcale nie miałem pewności, czy rozumiem dość zawiły wywód Leszczuka, który w końcu miał nade mną przewagę wynikającą ze znajomości faktów, o których ja nie miałem żadnego pojęcia.

- Kolejna sprawa, która budzi mój niepokój - ciągnął porucznik - to włamanie do pańskiego mieszkania. Być może jest to tylko przypadkowy zbieg okoliczności, ale przyznam się panu, że doświadczenie uczy mnie czegoś innego. W takich sprawach po prostu nie ma zbiegów okoliczności. Wszystko się jakoś wiąże ze sobą, wszystko jest w istocie nieprzypadkowe. Przypadkiem może być tylko błąd, który pociąga lawinę konsekwencji - zdarzeń pozornie ze sobą nie związanych, które układają się w logiczny ciąg dopiero wtedy, gdy odnajdujemy człowieka dążącego do zamierzonego celu. Pewnie dziwi się pan, dlaczego o tym wszystkim mówię?

Musiałem mieć dość głupią minę, skoro porucznik skończył tym właśnie pytaniem.

- Mówi pan bardzo ciekawie, ale przyznaję - jestem nieco zdziwiony pana wylewnością.

- Zaraz to wytłumaczę. Otóż sądzę, że najpoważniejszym błędem, jaki dotąd popełnił przestępca było właśnie włamanie do pańskiego mieszkania.

- Dlaczego?

- Dlatego, że to zdarzenie zwróciło naszą uwagę na pana osobę i związało pana z tą sprawą bardziej niż upór, z jakim poszukuje pan Agnieszki, która być może została okradziona zupełnie przypadkowo. Ale powtarzam - być może. I coraz mniej w to „być może” wierzę. Dwa przypadki, dwa zbiegi okoliczności - to byłoby jednak naraz trochę za dużo. Widzi pan - ja też niedawno dostałem mieszkanie w nowym bloku, tyle, że na Morenie. Wiem więc z własnego doświadczenia, iż każdy lokator dostaje od spółdzielni trzy, nie zaś - dwa komplety kluczy. A pan mówił tylko o dwóch.

- Przecież trzeci mogłem po prostu zgubić.

- Mógł pan zgubić. Ale pan nie zgubił. Przecież trzeci komplet kluczy miała Agnieszka, prawda?

Nie było sensu ukrywać oczywistości; potwierdziłem.

- No właśnie - podjął Leszczuk - skłamał pan, chcąc chronić dziewczynę. Zupełnie niepotrzebnie. Torebkę ukradziono jej na dwa dni przed włamaniem. A w torebce, poza dokumentami i pieniędzmi, były również klucze. Najróżniejsze klucze, a między innymi i te, pasujące do pańskich zamków.

- zaraz, zaraz - zapaliłem się - jeśli kluczy było kilka, to skąd włamywacz mógł wiedzieć, który z nich pasuje do mych drzwi? Przecież mam standardowy zamek typu Yale. I skąd wiedział, że w ogóle któryś z kluczy pasuje do mojego mieszkania?

- No dobrze, dobrze... Wreszcie zaczyna pan myśleć logicznie - trudno panu uwierzyć w przypadek. Niech więc się pan nie dziwi, że ja tym bardziej nie wierzę. Bo to nie był przypadek. Torebkę Agnieszki ukradziono właśnie ze względu na te klucze. Tak sądzę. A więc komuś bardzo zależało na dostaniu się do pańskiego mieszkania! I ta sama najpewniej osoba czy osoby wykorzystały później w „Panoramie” dokumenty ukradzione pańskiej przyjaciółce.

Milczałem. Logika, z jaką porucznik kojarzył drobne i - zdawałoby się - mało znaczące fakty, była porażająca.

- Płynię z tego nauka dla pana. I chcę, by pan stąd wyszedł, pamiętając moje słowa - porucznik zaczął przemawiać moralizatorskim tonem, ale nawet mi to nie przeszkadzało - jest pan zamieszany w bardzo ciemną i ponurą sprawę. Najpewniej bez własnej wiedzy i woli. I świadomości. Ale fakty pozostają faktami. Również te, których nie znamy i te, które - nie daj Bóg - jeszcze mogą nastąpić. Niech pan ich nie prowokuje, niech pan będzie ostrożny.

- Ależ jestem!

- W tej chwili, u nas - tak. Ale za chwilę pan stąd wyjdzie. I co dalej? Wciąż chce pan nas wyręczać? Bawić się w swoje prywatne śledztwo, które może być kuszeniem złego? Wiem doskonale, że pan tu nam nałgał, no - może przemilczał, niejedno. Nie mam panu tego za złe, bo rozumiem emocje, które panem kierują. Ale stop. Starczy. Naprawdę, proszę mi wierzyć.

- Co mi pan właściwie proponuje? - mój głos zabrzmiał ostro. - Przecież ja naprawdę nie mogę zrezygnować z Agnieszki. A tym samym - z moich poszukiwań. I nie wierzę, że swoimi uczuciami mogę spowodować jakąś burzę.

- Nie uczuciami, ale zachowaniami. To różnica.

- Wiem, wiem, wiem. Ja naprawdę chętnie dam spokój, ale muszę, rozumie pan - muszę zobaczyć się z Agnieszka.

Porucznik milczał, bawił się długopisem. W pokoju zaległa cisza, przez którą przebijało się tylko leniwe bzyczenie muchy. Po stanowilem podjął ostatnią próbę.

- Przecież pan wie, gdzie jest Agnieszka. rozmawiał pan z nią. Proszę tylko o adres, a obiecuję, że dam spokój całej sprawie. Jak tylko się z nią zobaczę.

Porucznik jakby posmutniał, zapalił papierosa, zakrztusił się dymem.

- Przyznaję: nie chciałem, żeby pan wystąpił z taką prośbą, ale wiedziałem, że to nieuniknione. Naprawdę życzę panu dobrze, mam do pana wiele sympatii. Ale z różnych względów, o których mówić nie chcę i nie mogę, nie będę w stanie spełnić pana prośby.

- Nie może mi pan powiedzieć, gdzie jest Agnieszka?

- Nie.

- Nic mi pan nie powie, nie da mi pan nawet tropu?

- Niestety.

- To proszę mi chociaż powiedzieć, dlaczego ona właściwie przede mną ucieka?

- Nie powiem panu, bo właściwie nie wiem. Może się czegoś domyślał, ale to już moja prywatna sprawa.

- Ale dlaczego, dlaczego - wybuchnąłem mimo woli - przecież to niesprawiedliwie, to, to... nieludzkie!

- Być może. Niestety, ja już nic więcej panu nie powiem. Jest pan wolny.

Ospale wstałem zza biurka. Nie cieszyła mnie perspektywa wyjścia na wolność, nie cieszyło mnie nic. Wezbrał we mnie gniew i długo tłumiony żal.

- Proszę się na mnie nie gniewać - nadspodziewanie serdecznie odezwał się Leszczuk. - No i niech pan już idzie. Będziemy w kontakcie.

Poszedłem, nie bardzo zdając sobie sprawę ze znaczenia jego ostatnich słów.

11.

I znów, jak przed kilkoma dniami, wyszedłem na zalaną słońcem ulicę i znów, jakby się przez tych kilka dni nic nie zmieniło - poczułem przejmujący chłód. Wiał wiatr od morza, który nawet w czerwcu potrafi dać się we znaki. Nie namyślając się wiele, wsia-  
dłem w przejeżdżający tramwaj i pojechałem do siebie, na Zaspę. W drzwiach znalazłem kartkę, nagryzmołą nerwowym pismem Artura: Cóż się z tobą dzieje, na Boga? W mieszkaniu nie wietrzonym od dwóch dni panował zaduch. Otworzyłem szeroko okno, odkręciłem nad wanną kurek z gorącą wodą. Co dalej? No cóż, trzeba zadzwonić do Artura, zameldować się po tak długiej nieobecności.

Sięgnąłem po telefon. Artura nie było oczywiście ani w domu, ani w redakcji, ani w żadnym z klubów, w których bywał. Przypomniałem sobie Dorotę. Jej też nie było. Bez specjalnego zastanowienia zadzwoniłem pod numer doktora Czyżewskiego na Cienistej. Głuche milczenie. Wlazłem do wanny, bo i tak nie miałem nic lepszego do roboty.

Tym razem los i milicja pozwolili mi łaskawie poleżeć w wannie z godzinkę. Kiedy się już przebrałem i wypilem herbatę - odruchowo sięgnąłem znów po słuchawkę telefonu, ale machnąłem ręką. Dam Arturowi jeszcze trochę czasu. Wyszedłem z domu, zjadłem obiad w barze mlecznym, o ile to co się jada w barze mlecznym można nazwać obiadem, wróciłem do domu. Rozliczne telefony Artura milczały, nikogo też nie było na Cienistej, odezwał się za to numer Doroty.

- Janusz, na Boga, co się z tobą działo?
- To dość skomplikowane, ale chętnie ci wytłumaczę...
- Słuchaj - przerwała mi - najlepiej przyjedź od razu. Ja też mam dla ciebie pewne wiadomości.
- Od Artura?
- Niestety nie. Artur przepadł mi znów, od wczoraj się nie odzywa. Pewnie szuka ciebie, bo był bardzo zirytowany tym, że zniknąłeś.
- Dobrze, zaraz przyjadę - zdecydowałem się bez wahania.
- Czekam.

Dorota odłożyła słuchawkę. Tym razem postanowiłem się popieszyć, choć kusił mnie odpoczynek w domowych pieleszach. Ale czy miałem jakąkolwiek szansę na kilka godzin spokoju? Ostatnio ilekroć zjawiłem się we własnym domu, to albo deptałem po piętach złodziejom, albo musiałem przyjmować wizyty milicjantów. Już lepiej będzie mi u Doroty, zdecydowałem.

U Doroty rzeczywiście było mi dobrze. Wróciła atmosfera tego domu - ciepła i przyjazna, która tak mnie ujęła przed trzema dniami. Tym razem mała nie spała - był wczesny czerwcowy wieczór, jeszcze słoneczny. Pani domu zniknęła w kuchni, a dziewczynka kategorycznie kazała sobie opowiedzieć bajkę, „najlepiej o Królewiczu i Śpiącej Królownie”. Westchnąłem w głębi ducha, myśląc o swojej własnej Śpiącej Królownie, której wciąż jakoś nie mogę odnaleźć, ale na użytek młodego pokolenia pośpiesznie zaimprovizowałem jakąś niestworzoną historię, zapewne całkowicie różniącą się z kanonicznym tekstem Grimmów. Małej jednak moja wersja bardzo się podobała.

- To dobrze, że skończyłeś bajkę happy endem - roześmiała się Dorota. - Artur zmyśla zawsze niestworzone historie i złośliwie uśmieca kolejnych bohaterów. A Magda strasznie się tym przejmuję.

- ja się nie przejmuję, ja wiem, że to na niby - zaprotestowała dziewczynka, ale widać było, że coś ją niepokoi, a kiedy tylko matka zniknęła w kuchni, Magda zbliżyła się do mnie i bardzo poważnie zapytała:

- Czy to prawda, że szukasz takiej jednej pani, takiej królowny, która się schowała i nikt nie wie gdzie?

Roześmiałem się mimo woli. Dziewczynka wyraźnie czekała na odpowiedź. Nie mogłem się wykręcać.

- Tak, to prawda, Magdziu, ale myślę, że z pomocą twojej mamy i wujka Artura znajdę wreszcie swoją królownę.

- Ojej, ale jej dobrze - westchnęła mała. Mój tatuś wcale, ale to wcale nie chce nas szukać. Chociaż my się nie chowamy.

- Nie martw się Magdziu, na pewno tata was znajdzie. Trzeba spokojnie czekać. - Na nic więcej nie mogłem się zdobyć.

- Ja wiem, ja czekam - zapewniła mnie Magda.

W tej chwili wróciła z kuchni Dorota z tacą pełną kanapek i parującą kawą.

- No, dosyć tych bajek - przerwała naszą rozmowę. - Ty, Januszu, jedz i pij, i w ogóle zajmij się sam sobą, bo ja muszę położyć małą. A ty, Magdziu, pocałuj wujka na dobranoc i zmykaj spać.

- Ja nie chcę spaaać... - usta dziewczynki wykrzywiły się w podkówkę, ale widocznie należało to do cowieczornego rytuału, bo już po chwili uspokojona, choć chmurna cmoknęła mnie w policzek i poszła za matką do swego pokoju. Może nie chce spać, żeby nie przegapić powrotu ojca? Może nie chce być Śpiącą Królewną - pomyślałem niewesoło.

dorota wróciła po dziesięciu minutach.

- Ona tak ciągle, niestety - powiedziała cicho, zamykając drzwi. - Wszyscy moi przyjaciele przypominają jej ojca. I wciąż się o niego dopytuje. A przecież, gdyby się nawet tu zjawił, w ogóle by go nie poznała.

dorota usiadła, przez chwilę paliliśmy w milczeniu papierosy. Odezwiała się pierwsza.

- Nie ma o czym gadać. Ty opowiadaj, gdzie się właściwie podziewałeś tak długo?

Z niejakim trudem zebrałem myśli i pokrótce zrelacjonowałem jej przebieg zdarzeń od naszego powrotu z Elbląga. Dorota bardzo się przejęła moją przygodą z milicją, ale jednak - była skłonna ją lekceważyć.

- Myślę, że oni działają na oślep i każdego, kto zachowuje się trochę niesforne - w ich pojęciu - gotowi są z góry podejrzewać. I to się właśnie tobie zdarzyło. Zresztą - będziemy jeszcze zapewne o tym rozmawiali, jak przyjdzie Artur. Ale i ja coś odkryłam i chciałam koniecznie o tym z tobą pomówić.

- Zamieniam się w słuch.

- Widzisz, sprawa jest dość szczegółowa i właściwie nie powinienam nawet mówić o odkryciu. Po prostu od dwóch dni, konkretnie - od czasu mojej bytności w bibliotece, coś mnie gnębi i niepokoi. Ot - taka babska intuicja, która podpowiada, że popełniłam jakiś błąd i to bardzo poważny. Błąd w rozumowaniu, logiczny - dodała szybko. - Więcej, wydało mi się, że nie tylko ja, że my wszyscy popełniamy ten sam błąd, ale nie mogłam dojść do sedna, skon-



kretyzować tej swojej intuicji. Dziś po południu postanowiłam sobie raz jeszcze przypomnieć, jak to się wszystko w ostatnich dniach działo. Przypomniałam sobie między innymi bezskuteczne poszukiwania Artura, który interesował się nie istniejącym Michałem Smólskim. I wtedy przyszło oślnienie - zrozumiałam, co mnie tak bardzo niepokoi. Nazwisko twego ojca!

- Jak to? - przerwałam jej mimowolnie.

- Widzisz, jest rzeczą powszechnie znaną, że działacze konspiracyjnego podziemia nosili pseudonimy, a czasem nawet kryptonimy, którymi posługiwali się w kontaktach między sobą. Ci, którzy znali się sprzed wojny, pamiętali oczywiście swoje prawdziwe nazwiska, wiedzieli, że „Kosa” to Walczak, a „Sowa” - Rutkowski. Jeśli się nie znali - przedstawiali na swoich „Wilkach” i „Kmicicach”. I też było dobrze. Twój ojciec również, oczywiście, miał swój pseudonim. Znalazłam na ten temat informacje, choć z trudem. Otóż w AK występował jako „Miedziany”, zapewne z powodu koloru swoich włosów. Tak przynajmniej twierdzi autor pewnego pamiętnika, który wspomina o Widerskim - „Miedzianym” jako redaktorze podziemnego pisma literackiego „Wolność i Słowo”. Nie dotarłam do niego - musiałabym chyba w tym celujechać do Warszawy, do Biblioteki Narodowej, ale natrafiłam na fotografię jednego z numerów. Stało tam jak wół w winiecie: Redaktor - Michał Widerski. W pierwszej chwili nawet się tym nie zainteresowałam, dopiero później - ten niepokój... Czy zaczynasz już rozumieć, o co mi chodzi?

Pokręciłam głową.

- To banalnie proste, w gruncie rzeczy. Widzisz, kiedy na przykład Baczyński wydawał swoje wiersze w konspiracji, na okładce nie było napisane przecież: Baczyński. Używano pseudonimu. Baczyński wydawał jako Bugaj, Miłosz jako Syruc. I tak dalej. Z tego by wynikało, że Widerski to również literacki pseudonim okupacyjny, a nie - prawdziwe nazwisko twego ojca. Jest nie do pomyślenia, żeby używać w kontaktach z innymi, a tym bardziej w druku - własnego nazwiska. To byłoby niezgodne z najbardziej podstawowymi prawidłami konspiracji. Nie od razu na to wpadłam z dwóch powodów - po pierwsze kronikarze i pamiętnikarze używają nazwisk strasznie niekonsekwentnie - raz prawdziwych, kiedy

indziej pseudonimów lub fałszywych nazwisk z Kennkart. Na ogół podaje się nazwisko prawdziwe, dodając do niego pseudonim. Mówi się na przykład o Dobrzyńskim - „Hubalu” czy Piwniku-”Ponurym”. Ale to, że pisze się o Widerskim-”Miedzianym” może po prostu znaczyć, że twój ojciec świetnie się konspirował - znakomicie zatarł swoją tożsamość. Zmyliła mnie twoja własna nieświadomość! Cóż, większość konspiratorów powracała po wojnie do prawdziwego nazwiska, ale przecież nie było to regułą. Z różnych względów pozostawano przy pseudonimach - choćby po to, by chronić pozostającą w kraju rodzinę. Ja powinnam wiedzieć o tym najlepiej, bo przecież - to taka ciekawostka, której zapewne nie znasz - moje prawdziwe nazwisko nie brzmi Wileńska. Moim prapradziadkiem był pułkownik Orzelski, jeden z dowódców Powstania Styczniowego na Kowieńszczyźnie. Musiał się przez wiele lat ukrywać i wtedy przybrał nazwisko Wileński. I tak już zostało, nazwisko przyłgnęło do rodziny na zawsze, choć przecież były potem różne amnestie, zresztą - pułkownik umarł i można było wrócić do prawdziwego nazwiska. A jednak nie wrócili - może dlatego, że pradziadek działał w PPS-ie... sama nie wiem. Rozgadałam się - Dorota zapaliła papierosa - a przecież ty się bardzo niecierpliwisz. Więc mój wniosek końcowy brzmi: Widerski to tylko pseudonim twojego ojca, jestem o tym przekonana. Jego prawdziwe nazwisko musiało brzmieć inaczej. Jak - nie wiem. Nigdzie nie natrafiłam na najskromniejszy choćby ślad. Ale jestem pewna swej intuicji - nie mogę się mylić.

Co tu ukrywać - byłem oszołomiony. I choć z początku nieufnie traktowałem wywód Doroty, teraz - byłem całkowicie przekonany. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć przejętej swym odkryciem dziewczynie. Uratował mnie dzwonek do drzwi. Zjawił się, tym razem nadszpedzowanie wcześniej - Artur.

Był chyba w dobrym humorze, ale na swój widok przybrał pozę Hamleta, któremu do ręki dano zamiast czaszki zdechłego kota. Już się szykował do wygłoszenia monologu, ale interwencja Doroty była błyskawiczna. Wcisnęła mu do ręki kieliszek i... zasypała lawiną słów. Najpierw więc mówiła Dorota, potem ja, wreszcie przekrzykiwaliśmy się nawzajem.

Przez cały ten czas Artur milczał. Był spokojny, może nawet za spokojny. W końcu - gdy już trochę przycichliśmy - zabrał głos.

- Nie żałuj, Januszu, tych godzin spędzonych w celi. To bardzo cenne doświadczenie, niezbędne każdemu artyście. Nie wyobrażam wręcz sobie, żeby można było tworzyć nie zasmakowawszy więzienia. Prawie wszyscy wielcy artyści siedzieli raz i drugi. Zresztą ja też - dodał tonem nie pozostawiającym wątpliwości, że umieszcza swe nazwisko obok trzech wieszczów - ja też siedziałem nie raz. Oczywiście, cztery-osiem... Suwałki, Wałbrzych, Kutno... ech, co tam wam będę opowiadał. Na ogół za obrazę władzy, ale różnie to bywało.

- Gratulujemy - wtrąciłem się szybko - ale może byś przeszedł do rzeczy?

- oczywiście, że zaraz przejdę - obruszył się dziennikarz. - Tym bardziej, że wy ciągle mówicie od rzeczy.

- No wiesz - to Dorota - jestem przekonana, że jednak mam rację.

- I najprawdopodobniej masz, ale to pozostaje bez związku z przygodami Janusza i zniknięciem Agnieszki. Natomiast ten młody człowiek - Artur dramatycznym gestem wskazał na mnie - tylko zamącił obraz całej sprawy. Niestety, proszę państwa - Artur naprawdę lubił dramatyczne gesty - nie da się ukryć, że od dłuższego czasu jesteśmy na najzupelniej fałszywym tropie.

- jak to? - wyrwało się nam z Dorotą wspólnie.

- Ano tak, że cała sprawa zabójstwa w „Panoramie” jest już wyjaśniona, o czym porucznik Leszczuk świetnie wiedział dziś rano, choć nie miał wcale zamiaru o tym powiedzieć ci - i słusznie, bo i po co. Przez moment, co prawda, byłeś jednym z podejrzanych, ale tylko przez moment - a poszlaki okazały się wątle.

- zaraz, zaraz, chwileczkę - wtrąciła się stanowczo Dorota - jesteś jak zwykle tajemniczy, wolno ci, ale jeśli chcesz byśmy w ogóle cokolwiek z tego zrozumieli, musisz nam przede wszystkim powiedzieć, kto był ofiarą - jeśli oczywiście wiesz?

- Wiem, a jakże - napszył się Artur - wiem już wszystko. Tą tajemniczą modelką była niejaka Jadwiga Szewczyk, osoba skądinąd dobrze znana w trójmiejskich strefach artystycznych. Ty też ją przecież znałeś, Januszu?

Jadwiga Szewczyk! Coś mi jakby świtało, ale jednak nie, nie wiedziałem, skąd znam to nazwisko. Może twarz, sylwetka - zawsze miałem raczej pamięć wzrokową.

- Nie przypominasz sobie? - Artur przerwał moją pracę myślową. - To przecież taka ładniutka panienka, która krótko studiowała polonistykę razem z Agnieszką - znana jako Wisia.

- Ona?! - wykrzyknąłem ze zdumieniem - jak to ona? Przecież rozmawiałem z nią zaledwie kilka dni temu?

- Nie tylko ty, mój drogi, nie tylko ty, Jadwisia była osobą bardzo towarzyską. Ale fakt pozostaje faktem.

- No dobrze - Dorota znów próbowała zapanować nad sytuacją - ale może jednak opowiesz nam wszystko po kolei?

- Proszę bardzo - zgodził się Artur - to było tak: Wisia już dość dawno temu rzuciła polonistykę, chyba po drugim roku, choć bywała jeszcze jakiś czas na uczelni i starała się utrzymywać kontakty z byłymi kolegami, a zwłaszcza - podobno - zależało jej na Agnieszce. Przed niektórymi, na przykład przed Januszem, nadal udawała studentkę. W rzeczywistości oddała się całkowicie rozrywkom i urokom życia towarzyskiego. Chodziła na premiery, wernisaże i pokazy festiwalowe, czasem pozowała zaprzyjaźnionym malarzom - chciała chyba uchościć za modelkę. Ale najwięcej czasu spędzała w lokalach i na dansingach. Jednym z ulubionych miejsc jej rozrywek był znany nam skądinąd bar „Bravo”. Co było dalej - łatwo sobie dośpiewać i nie widzę powodu, mimo pewnej łacińskiej sentencji, by prawdę owijać w bawełnę. Wisia została prostytutką. Oczywiście - nie jakimś tam wycirusem z Nowego Portu, nawet nie eksportową lalką z „Grand-Hotelu”. Wisia była superluksusową cichodajką, która swoją profesję uprawiała z rzadką, z godnością i szacunkiem dla klienta. Więc - w grę nie wchodził żaden Arabowie czy marynarze i przesiadywanie z nimi w knajpach. Obywało się też - długo - bez kontaktów z milicją i w ogóle wszelkich manifestacji.

- Już wiem - nie mogłem wytrzymać - wszystko sobie przypominam. Wisia na pewno weszła do „artystycznego” interesu niejakiego Fabjańskiego!

- Bardzo słusznie - skinął głową nieustraszony redaktor. - Widzę, że i ty zaczynasz powoli dedukować. Wisia rzeczywiście

weszła do interesu Fabjańskiego, który był oparty na genialnie prostym pomysłem. Otóż ten przedsiębiorczy restaurator, który gotów był ryzykować, ale bał się jak ognia wszelkich kontaktów z milicją, postanowił stworzyć zupełnie nową kategorię wesołych panienek - ot, taką rodzimą odmianę call-girls. Ten spryciarz wykorzystał fakt, że ładna, domyta dziewczyna jest w naszej powikłanej, a pruderyjnej rzeczywistości towarem właściwie wyłącznie eksportowym, no i zrobił konkurencję „Pewexowi”. Ta willa na Cienistej, którą potem kupił doktor Czyżewski, to był najprawdziwszy, luksusowy lupanar - Artur wymówił to słowo ze szczególnym smakiem.

- No dobrze, ale skąd klientela? - przerwałem mu.

- Też! - prychnął Artur - zaraz widać, że nie znasz naszej rzeczywistości. Klientelą Fabjańskiego był nasz rodzimy, lokalny (i nie tylko) establishment, nie żadni aferzyści od wtryskarek czy cinkciarze, nie mówiąc już o obcokrajowcach, tylko solidni, uczciwie pracujący ojcowie rodzin. Lekarze, inżynierowie, dyrektorzy, aktywni społeczno-gospodarczy, jak to się mówi, i tak dalej. Starsi, sfrustrowani seksualnie panowie, którzy nigdy w życiu nie odważyliby się pójść do baru „Caro” albo do „Vikinga” w obawie przed kompromitacją. To najlepsza klientela - cicha i dyskretna. Fabjański zorganizował rzecz genialnie. Codziennie, z wyjątkiem poniedziałków, od szesnastej do osiemnastej, czyli jeszcze przed wieczornym „fajfem”, przy różnych stolikach i przy barze „Brava” zasiadało pięć dziewcząt, na ogół w towarzystwie jakichś panów. Nad filiżanką kawy czy kieliszkiem wina. Zainteresowani panowie, którzy wcześniej zostali dopuszczeni do „klubu”, wpadali w tym samym czasie na kieliszek koniaku - ot, kwadransik dla relaksu. Każda dziewczyna -a wszystkie ubierały się wręcz skromnie - miała jakiś element ubioru: torebkę, kapelusik czy coś w tym rodzaju w bardzo jaskrawym kolorze. Tych kolorów było pięć: fiolet, róż, seledyn, szkarłat i złoto. Panowie wybierali sobie „kolor”, po czym - między dwudziestą a dwudziestą pierwszą dzwoniли pod umówiony numer i ustalali z Fabjańskim „techniczne” szczegóły. On rozdzielał „kolory”, ustalał grafik itd. Nowicjuszom podawał adres. Wszyscy ci panowie nigdy w życiu nie widzieli go na oczy i nawet nie wiedzieli, z kim rozmawiają. Dziewczynę wynajmowało

się zawsze na całą noc - innej możliwości nie było - razem z pokojem w willi. Fabjański okazał się tytanem organizacji, zwłaszcza w szczegółach swego biznesu. Otóż, wyobraźcie sobie, że każdemu z panów wyznaczał dokładnie godzinę przyścia na Cienistą i dokładną również - opuszczenia willi. W odstępie kwadransa - tak, żeby panowie nie mogli się nawzajem zobaczyć.

- Rzeczywiście - Dorota ze zdumieniem potrąciła głową - zorganizował to znakomicie, aż trudno uwierzyć, że obok nas, w naszym grajdole, funkcjonował taki interes.

- to jeszcze mało - roześmiał się dziennikarz - zgadnijcie, ile kosztowała taka usługa, taki ciepły „kolorek” na całą noc?

Wzruszyliśmy ramionami.

- Dziesięć tysięcy - wyskandował Artur - i panowie płacili. Pieniądze oddawali rano dziewczynom, które przychodząc o szesnastej do „Brava” dzieliły się z Fabjańskim pół na pół. Ale i to mało - temu spryciarzowi zapachniały w pewnym momencie dolary. Zmienił więc takse - usługa kosztowała teraz dziesięć kawałków albo pięćdziesiąt dolarów. Przyznacie, że przelicznik jest bardzo korzystny.

- Wszystko to bardzo ciekawe, ale może powiesz nam wreszcie coś o Wisi i wyjaśnisz, jak Fabjański mógł w ogóle wpaść?

- Proszę bardzo, już opowiadam. Facet był świetnie kryty i pewnie mógłby funkcjonować jeszcze wiele lat, gdyby nie donos. Milicja, co prawda, wiedziała to i owo, po Sopocie chodziły nie stworzone plotki, a choć nie istnieje u nas jeszcze związek zawodowy prostytutek, wszystkie pensjonariuszki nadmorskich hotelików bardzo chętnie ukreśliłyby łeb konkurencji, ale cóż - i one nie właściwie nie wiedziały. Genialność pomysłu polegała na tym, że zapewniał absolutną dyskrecję. Szef prawie w ogóle nieobecny. Dziewczyny zarabiały ogromne pieniądze, nie właściwie nie ryzykując, więc trzymały buzię na kłódkę. A klienci - no cóż, ci gotowi byli płacić w dwójnaosób za... dyskrecję. Było zresztą wśród nich kilku notabli i Fabjański liczył, że w razie wyspy będą starali się ukreślić łeb całej sprawie, zresztą liczył słusznie. I raptem, niespodziewanie, donos. Dość szczegółowy, z nazwiskami i faktami. Milicjanci tak się ucieszyli, że popełnili kardynalny błąd. Zamiast wziąć „Bravo” pod obserwację - poczekali tylko parę godzin i w

środku nocy wladowali się całym batalionem do willi. Jakby spodziewali się tam zastać jaskinię rozpusty, tłum uzbrojonych goryli i ruletkę. Tymczasem znaleźli tylko pięć rozkochanych par i... nic więcej. Cała ta dziesiątka milczała jak grób i - choć fakty były znane z anonimu - Fabjańskiemu udowodniono tylko wynajmowanie pokojów „na godziny”. Bo tak zeznały panienki, ot, wersja na wypadek wyspy. Dostał za to półtora roku - i tak dużo, no i zniszczono go domiarami, ale co uzbierał przez kilka lat działalności - to jego.

- I Wisia była wśród tych pięciu dziewcząt nakrytych przez milicję? - spytała Dorota.

- O nieee... - Artur nadal rozkoszował się swą narracją - gdyby tak było, sprawa jej zabójstwa od początku inaczej by się potoczyła. Widzicie, każdy „kolor” obsługiwało kilka dziewcząt. Były wśród nich niebieskie ptaszki jak Wisia, ale były też tak zwane „uczciwe” kobiety - czasem nawet prawdziwe artystki, malarki, graficzki, studentki. Trafiłyby się i ze dwie panie domu, jakby dobrze poszukać, ale milicja nie szukała zbyt dobrze. W donosie nie było mowy na temat „kolorów” i właściwie do niedawna organa nic nie wiedziały o tym, jak odbywała się „rekrutacja”. Dowiedzieli się dopiero teraz.

- Skąd?

- Ode mnie - zarozumiałość Artura znów dawała o sobie znać.

- ...?

- To było tak: interesowały mnie już dawno sprawy półświatka i prowadziłem małe prywatne śledztwo, które zawiadło mnie w końcu do gabinetu twojego dobrego znajomego - kapitana Pietraszka. No i tak się jakoś stało, że trafiłem na ów donos w chwilę po jego otwarciu przez milicję. Zwyczajny przypadek... W czasie, gdy oni zajmowali się organizowaniem grupy operacyjnej, blokowaniem dróg i tak dalej - jak by mogli, użyliby nawet helikoptera - ja potupałem sobie do baru „Bravo”. Posiedziałem dwie godzinki przy barku - i wszystko zrozumiałem. Chciałem im nawet powiedzieć o „kolorach” w kilka dni później, ale w tym samym czasie milicja kategorycznie zabroniła mi pisać o tej sprawie, a mój szef, wcale o zdanie nie pytany, wezwał mnie i wręcz zakazał zajmować się tym śledztwem. Tak to „ukręcono łeb” skandalowi, a ja zacho-

wałem dla siebie to, co wiedziałem. A udało mi się ustalić jeszcze kilka rzeczy, o których milicja nie miała pojęcia. Częściowo wyjaśniłem nawet obsadę „kolorów”, choć, oczywiście, hipotetycznie i nie do końca. Byłem prawie pewny, że Wisia należała do „fioletów” i to od dawna, ale nie przykładałem do tego wszystkiego większego znaczenia aż do momentu, kiedy milicja zidentyfikowała ofiarę. Wtedy sprawa stała się dla mnie jasna. Sprawdziłem jeszcze tylko kilka szczegółów i właściwie rozwiązałem zagadkę za kapitana.

- Nic nie rozumiem - wyrwało się Dorocie.

Poparłem ją wzruszeniem ramion.

- To proste - uśmiechnął się triumfalnie Artur. - Kluczem do tej zagadki była osoba autora anonimu. Z góry odrzuciłem hipotezę, że pisał go któryś z klientów - z przyczyn oczywistych. Pozostawała któraś z pań - niezadowolona z rozliczeń albo chowająca jakąś urazę do szefa. Nikt inny nie wchodził w rachubę. Więcej - to musiała być któraś z dziewcząt nieobecnych wówczas w willi. I właśnie Wisia znakomicie tu pasuje. A wiem ze swoich źródeł, że Wisia była wściekła na Fabjańskiego, który kiedyś urządził jej publiczną awanturę. Więc to najprawdopodobniej ona napisała donos. Fabjański, już siedząc w więzieniu, musiał się jakoś o tym dowiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że donosicielka jest nadal dla niego groźna. Przecież wcale nie napisała wszystkiego. Dlaczego? Może po to, by szantażować restauratora po jego wyjściu na wolność. W końcu wiedziała świetnie, że zdążył zabezpieczyć grubą gotówkę. Więc rozrachunki między nimi wcale nie były zamknięte. I otóż - wyobraźcie sobie - odkryłem, że na kilka dni przed śmiercią Wisi Fabjański wyszedł z więzienia. Wypuszczono go wcześniej - za dobre sprawowanie. Niby wyszedł na wolność, ale faktycznie ukrył się natychmiast w mieszkaniu na Zaspie. A żona niezmiennie mówiła wszystkim, że wyjechał do rodziny w Przemyślu. Oczywiście - to nie byłyby jeszcze żaden dowód, ale wyobraźcie sobie, wyszperałem coś jeszcze - chyba z dziesięć lat temu był - oczywiście, oczywiście - Fabjański. Znał tam każdy zakamarek i mógł śmiało wejść od tyłu do pakamery, w której rozbierała się Wisia przed odsłonięciem „Kobiety kosmicznej”. W tych drzwiach



nie zmieniano zamka od wielu lat i milicja znalazła u niego w domu podczas rewizji pasujący do nich klucz.

- Jak to: rewizji - zdziwiłem się. - Więc już...

- Tak, tak - pokiwał głową Artur - Fabjański siedzi i, zapewniam was, przyzna się w ciągu kilku dni. Kiedy to wszystko ustaliliśmy, po prostu musiałem iść do Pietraszka. Sprawy poszły już za daleko.

- A on powitał cię z otwartymi ramionami - powiedziałem z przekąsem.

- Oczywiście, a jakże, w końcu odwalilem potężny kawał roboty. Jesteśmy teraz bardzo zaprzyjaźnieni i wiele sobie po tym obiecuję.

- Ja też! - zerwałem się z krzesła pod wpływem nagłego impulsu. - Artur, czy rozumiesz, co możesz dla mnie zrobić? Możesz wyciągnąć od nich informację na temat miejsca pobytu Agnieszki!

- Oj ty pało, ty pało szalona - pokiwał głową Artur. - Wiem, że nic innego ciebie nie interesuje, ale - nie przesadzajmy. Jeśli chcemy wiedzieć, to dziś rano, kiedy sobie świergotałeś na komen-dzie z Leszczukiem, ja siedziałem w sąsiednim pokoju. Wszystko bardzo dobrze słyszałem. Leszczuk i Pietraszek świetnie o tym wiedzą. Czy sądzisz, że mogę teraz ni stąd ni zowąd zacząć ich wypytywać o Agnieszkę? Nie mogę, niestety. Oni też mają coś w rodzaju etyki zawodowej, a jeśli dobrze zrozumiałem - obiecali Agnieszce w trakcie przesłuchania, że nie zdradzą jej miejsca pobytu...

Opadłem na krzesło. Bez sensu. To się zrobiło po prostu śmieszne - pomyślałem, że musimy rozwiązać ze sto zagadek kry-minalnych, zanim znajdziemy głupi adres.

- Ale oczywiście nie rezygnujemy - podjął Artur. - Chyba nie sądzisz, że zostawię cię sam na sam z twoimi kłopotami? Jesteś bezradny jak dziecko i na pewno bez naszej opieki - mrugnął znacząco do Doroty - narobiłbyś głupstw. Tylko zmienimy metody.

- Chwileczkę - przerwała mi pani domu - metody metodami, ale może skończymy rozmowę o Wisi. Pewnych szczegółów jednak nie rozumiem, a chciałabym.

- Proszę bardzo - zgodził się Artur - choć nie rozumiem, co jeszcze można by dodać.

- Przede wszystkim - ciągnęła Dorota - jak doszło do identyfikacji zwłok? Przecież tylko dlatego połączono sprawę „Panoramy” z Agnieszką, że nieznana była tożsamość ofiary? Po drugie...

- Już ci tłumaczę - przerwał jej dziennikarz. - Wiedzano, że zginęła modelka wynajęta przez Justyna. Tylko on znał jej nazwisko - zapłacił dziewczynie za miesiąc pokazów z góry i zobowiązał do bezwzględnej tajemnicy - o czym Janusz wie bardzo dobrze. Nabywca rzeźby przejął dziewczynę niejako automatycznie razem z dziełem. Nawet z nią nie rozmawiał. Trzeba więc było znaleźć Justyna. Plotka głosiła, że wyjechał za granicę, ale milicja sprawdziła to błyskawicznie: otóż nie, Justyn został w kraju, tyle że zniknął z pola widzenia. Pietraszek szukałby go przez miesiąc, ale od czego jest prasa - Artur znów dumnie wyprężył pierś - przypomniałem sobie, że ten bufon pochodzi ze wsi, z Suwalszczyzny. I w gruncie rzeczy tam czuje się najlepiej. Po każdym sukcesie zwykł jeździć do rodziny na odpoczynek. Leżał na słońcu, opijał się zsiadłym mlekiem i łowił ryby. A kiedy odwiedzili go milicjanci - akurat pał krowy. I wcale się tego nie wstydził. W ten sposób ustalono nazwisko modelki. Sprawdzono błyskawicznie, że nikt nie widział Wisi od kilku dni, a mieszkanie stoi puste. Potem już poszło łatwo - ostatecznej identyfikacji dokonał lekarz-ortopeda na podstawie zdjęcia rentgenowskiego złamanej przed kilku laty ręki.

- Rozumiem - skinęła poważnie głową Dorota - ale jest jeszcze sprawa druga: skąd wzięły się w torebce Wisi dokumenty Agnieszki? Przecież w ten sposób Janusz został w ogóle związany ze sprawą.

- Nie wiem, przyznaję, że tego nie wiem - niespodziewanie łątwo zgodził się dziennikarz - ale sądzę, że to jakiś przypadek. Przypadki zawsze nad miarę komplikują wszelkie śledztwa, ale też - czasem - pozwalają je w ogóle ruszyć z miejsca.

Artur był bardzo pewny swego, uznał widać sprawę ze ostatecznie wyjaśnioną, a przecież... Coś zaczęło mi świtać w głowie.

- Chwileczkę - odezwał się - jest jeszcze jeden drobiazg. Jak wiecie, byłem na wernisażu „Kobiety kosmicznej”. Pamiętam, że kiedy Justyn otworzył drzwi do bocznej salki - równocześnie zapaliło się światło i rozległa muzyka. A przecież Wisia była już wówczas wewnątrz rzeźby. Więc ktoś musiał obsługiwać techniczną

stronę imprezy. I musiał być dopuszczony do sekretu. Więc zapewne nie tylko Czeladzki znał modelkę i...

- Nie nudź, domorosły detektywie, dobrze? Artur aż ziewnął. - Owszem był jakiś facet wynajęty do obsługi technicznej całego interesu, ale czy to ma jakieś znaczenie? Milicja już go znalazła. On również po sprzedaniu rzeźby wyjechał z Trójmiasta i na dzień morderstwa ma niepodważalne alibi. Więc czego chcesz?

- Czemu sam się wcześniej nie zgłosił z zeznaniem?

- Nie zgłosił się, bo siedział na drugim końcu Polski. Skąd miał wiedzieć, że tu się w ogóle coś zdarzyło?

- Ale ktoś musiał przecież obsługiwać aparaturę - nie dawałem za wygraną.

- Nowy właściciel sam to robił - zbył mnie Artur.

Już chciałem zrezygnować z dalszych indagacji - cóż, Artur wyraźnie uważał temat za zakończony, ale Dorota nie spasowała.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, redaktorze - powiedziała przy-  
milnie czy znasz personalia tego jegomościa?

- Znam, owszem, nie chciałem wam o tym mówić, bo znowu zaczniecie snuć jakieś nieprawdopodobne teorie, ale skoro się upieracie - proszę bardzo. Pomagierem Justyna był niejaki Ed Uhnalik, facet, który pierwszy zawiadomił Janusza o powrocie Agnieszki. Ale co z tego, pytam się was? Nic, absolutnie nic. To również czysty przypadek i błagam - dajcie wreszcie spokój kryminalnym teoriom, bo zapewniam was - sprawa, która nas głównie powinna interesować, czyli odnalezienie Agnieszki, na pewno nie jest kryminalna. Nie każdy sercowy kłopot musi się skończyć kryminałem, chwala Bogu.

Artur indyczył się dalej, ale przestałem go słuchać. Ed Uhnalik jako pomagier Justyna! To mnie zafrapowało. Nie mogłem co prawda powiedzieć, żeby facet specjalnie mi się ostatnio narzucał, ale jednak - gdzie się nie ruszę, wciąż na tę bezmyślną twarz natrafiam. Oj, nie wiem, czy Artur nie chce zakończyć całej sprawy zbyt łatwo - pomyślałem. Ale, w którym punkcie miałby się mylić - nie wiedziałem.

- Zrozumiałeś? - jak przez mgłę dotarło do mnie pytanie Artura.

Nie, nie zrozumiałem, bo w ogóle nie słuchałem. Artur spojrział na mnie z dezaprobatą i raz jeszcze wyluszczył swój plan. Sam obiecywał dowiedzieć się swoimi sposobami, gdzie jest właściwie Agnieszka. Dorota miała podjąć dalsze studia historyczne dotyczące mojego ojca. A ja... ja miałem jej w tym „pomagać”.

- I żadnych eskapad na własną rękę, żadnych wypytywań, wyjazdów do Bartoszyca itd., rozumiano? - zakończył surowo mój bezzwzględny szef. - Teraz, kiedy milicja ma cię na oku, nie ma sensu podskakiwać. Oni strasznie nie lubią takich chłoptasiów, którzy węszą na własną rękę. A obywatelka Wereszycka ma prawo ciebie unikać.

Smętnie pokiwałem głową. Artur miał zapewne rację - choć nijak nie mogłem się zgodzić, że to ja jestem „chłoptasiem”, a dziennikarz to już co innego i on oczywiście może na własną rękę. Ale cóż - Artur niewątpliwie rozwiązał zagadkę „Panoramy”, no, może poza drobnymi szczegółami, i to był jego handicap nad milicją, kapitał zakładowy, z którego mógł czerpać do woli, znęcając się nade mną, Dorotą, a w wolnych chwilach również - nie wątpiłem w to ani przez moment - nad kapitanem Pietraszkciem.

Artur spojrział na zegarek. Dochodziła druga w nocy, było robić, ucałowaliśmy serdecznie pani domu i rozjechaliśmy się, każdy w swoją stronę.

12.

Tym razem los, nie - nie los, a raczej milicjanci, złodzieje, Artur i w ogóle cały świat darowali mi spokojną noc, pierwszą od dłuższego czasu. Nie omieszkałem z tego skorzystać, śpiąc głęboko do południa. Potem kawa, kąpiel, drobne porządki, mycie zaległych naczyń, nawet mała przepierka, aż wreszcie przyszedł moment, kiedy naprawdę nie miałem już nic do roboty i nic nie było mnie w stanie obronić przed natrętnymi myślami.

Stałem w oknie. Lał deszcz, wiatr przewalał się z ponurym wyciem między wielkimi szafami Zasy, która teraz, w tej niemal jesiennej aurze, wydała mi się wyjątkowo brzydka. Widok zalewanej wodą, brudnej płyty dawnego lotniska, którą z trudem przemie-

rzały zabłocone samochodziki, ochlapujące wodą nielicznych przechodniów - nie mógł mi poprawić humoru.

Aż trudno było uwierzyć, że to już astronomiczne lato - ostatnie dni czerwca. Przypomniałem sobie początek ubiegłego lata. Wtedy też było brzydko, często padały deszcze, wiały wiatry. Agnieszka cały prawie czerwiec spędziła poza Gdańskiem. Była u matki? Wierzyłem w to jej zapewnienie bez zastrzeżeń, ale właściwie dlaczego? Po tym wszystkim co stało się później, moja wiara w czystość naszego związku wydawała się naiwna nawet mnie samemu. A przecież nie potrafiłem i nie chciałem myśleć o niej źle. Do wczoraj.

Chyba dopiero wtedy - słuchając niezwyklej opowieści Artura - zdałem sobie sprawę, że nic właściwie o Agnieszce nie wiem, że w ogóle mało wiem o powikłanych sprawach świata tego i ludzi, z którymi przecież codziennie się spotykam. A może, może po prostu nic nie chcę wiedzieć, uciekam od spraw trudnych i niezrozumiałych w sztuczną enklawę? Może Agnieszka nie mogła znieść tej mojej obojętności dla świata, bo wiedziała, że ja nie mógłbym przyjąć prawdy o niej? Prawdy, która mogła być sprzeczna z idealnym obrazem jej osoby, jaki sobie stworzyłem.

Historia „kolorów do wynajęcia” nie miała - w wersji, jaką opowiedział nam Artur Dembowski - nic wspólnego z Agnieszką. Ale czy dziennikarz nie mylił się - jego rosnącą pewnością siebie mogła go sprowadzić na manowce naiwności, tak już bywało. Bo przecież nie przekonała mnie łatwość. Gdy myślałem o nich teraz - wydały mi się dość zasadnicze.

A więc po pierwsze - skąd dokumenty Agnieszki w torebce Wisy? To nie mogło być dziełem przypadku, skoro kradzieży dokonano świadomie, a skradzionych równocześnie kluczy użyto przy włamaniu do mego mieszkania. Włamaniu, które również nie było przypadkowe.

Po drugie: skąd w tym wszystkim Ed Uhnalik, facet wyjątkowo mi niemiły? Przypuszczałem dotąd, że dzwonił do mnie z czystej złośliwości, ale może i to, że on właśnie zawiadomił mnie o powrocie Agnieszki nie było wcale zbiegiem okoliczności? Tym bardziej, że - uświadomiłem sobie - współpracował z Wisią, kolejną moją informatorką o sopockich ścieżkach Agnieszki.

Wzruszyłem ramionami - czystymi spekulacjami do niczego nie dojdą, potrzebne są fakty. Ale faktów się bałem... Mimowiednie, wbrew mej woli, z podświadomości wypływało wciąż jątrzące podejrzenie: a jeśli Agnieszka była jednym z „kolorów”? Nie musiałyby nawet wkładać pstrokatych bluzek - już sam kolor włosów predestynował ją do roli liderki „złota”. To podejrzenie - jego trafność, tłumaczyłoby przecież wszystko! I częste, coraz częstsze „wyjazdy” Agnieszki, i jej tajemniczość, i jej szczególnego rodzaju koleżeństwo z Wisią.

Gorzej nawet - nasze lipcowe rozstanie przed rokiem i nagły wyjazd Agnieszki nastąpiły wkrótce po wpadce Fabjańskiego. Agnieszka mogła spodziewać się rozszyfrowania, wołała więc zniknąć na dłużej, a nawet wyjechać za granicę. Dlatego też zerwała ze mną w taki szczególny sposób, chciała mi oszczędzić bólu i goryczy, a sobie trudnej rozmowy i wyjaśniania tego, czego wyjaśnić nie mogłaby.

Snucie takich rozmyślań było masochizmem, ale wolałem już jakąkolwiek prawdę od ciągłej niewiedzy. Teraz - uchwyciwszy logiczny wątek, zacząłem myśleć chłodno i jasno. Kolejne elementy łamigłówek pasowały doskonale. Udziałem Agnieszki w aferze „kolorów” wytłumaczyć można było wszystko - i zainteresowanie milicji jej osobą i - nawet - dyskrecją, jaką otoczyli ją oficerowie (widocznie zgodziła się zeznawać) i fakt przyjazdu do Sopotu właśnie teraz, gdy sprawa już przycichła, a z więzienia miał wyjść Fabjański, z którym Agnieszka być może jeszcze się nie rozliczyła. Brrr... nie zdobyłem się jednak na to, by myśleć o rodzaju rozliczeń Agnieszki z mordercą. Ale fakt pozostawał faktem - wszystko tu się zgadzało.

Do układanki nie pasował tylko jeden jedyny element, za to najważniejszy - osoba Agnieszki. Była buńczuczna, pewna siebie, zaborcza, czasem wyzywająca. Nie była też niewiniątkiem, ale nawet grzeszącym musiała to robić w najlepszym stylu. W to nie wątpiłem. A już na pewno nie mogła zgodzić się na grzech tak płaski, brudny i pospolity jak prostytutka. Nie miała w sobie nic z ptaka nocy ani - tym bardziej - „piękności dnia”. Więc prawda kłamie faktom, czy ja - prawdzie? A może prawdziwe fakty ciągle jeszcze nie są znane?

Zdecydowałem natychmiast - muszę działać. Mimo zakazu Artura, a nawet własnego zwątpienia i zniechęcenia do dalszej zabawy w śledztwo. Ale co robić? No cóż - zapukam do tajemniczych, za to najbliższych drzwi. Trzeba pogadać z Edem. Stanowczo, brutalnie. Jeśli będzie trzeba - dam mu nawet w pysk; wiedziałem, że tego szczura mogę zgnieść jednym kciukiem.

Zadzwoił telefon. Byłem tak zamyślony, że przez dobrą chwilę nie mogłem zrozumieć, skąd dochodzi do mojej świadomości ten uporeczywie powtarzający się dźwięk. W końcu, półprzytomnie podniosłem słuchawkę. Głos, który się w niej odezwał, brzmiał dziwnie - na poły kokieteryjnie, na poły dwuznacznie, jakby wydobywał się z ust wyranżerowanej maturzystki (czy możliwe jest „coś” takiego jak wyranżerowana maturzystka? Wątpię, ale tak brzmiał ten głos).

- Mówi Bożena Makulska...

- Aaaa... tak poznaję cię, witaj... - powiedziałem to zupełnie machinalnie, jak zwykle w takich momentach. Cóż, muszę się przyznać do skrzętnie skrywanej a brzydkiej cechy mojej pamięci. Nie pamiętam ludzi - twarzy, nazwisk, spraw. Tak było również w tym przypadku. Nie miałem pojęcia, kim właściwie może być Bożena Makulska. Przywykłem już jednak do takich sytuacji dostatecznie dobrze, by postępować zgodnie z utartym w tych wypadkach zwyczajem. A więc: niczemu się nie dziwić, mało mówić, a głównie słuchać, wreszcie - zapomnieć o całej sprawie, zazwyczaj mało ważnej, jak najszybciej. Tak też postąpiłem w tym przypadku.

- Wybacz, że dzwonię tak niespodziewanie - zaszczebiotał obcy mi głos w słuchawce.

- Ależ nic nie szkodzi, bardzo mi miło, że sobie przypomniałaś o mnie.

Właściwie nie kłamałem - było mi miło, choć niczego się po tej rozmowie nie spodziewałem - w końcu do mężczyzny w pewnym wieku dzwonią co pewien czas różne kobiety, co nie znaczy wcale, że musi mieć to jakiegokolwiek znaczenie.

- A czy chociaż ty mnie pamiętasz? - moja „maturzystka” była zdaje się, bardziej wyranżerowana, niż mogłem przypuszczać.

- Oczywiście!

- No to wspaniale! słuchaj, nie dzwoniłabym, ale mam dla ciebie pewną wiadomość, która może być interesująca.

- Słucham, słucham...

- To nie na telefon. Musisz wpaść do mnie. Jestem jak zwykle od dwudziestej na posterunku.

- Nie ma sprawy: wcześniej czy później na pewno mnie zobaczysz. - Zlekceważyłem ją świadomie, ale przecież nie kłamałem: skoro jest moją dobrą znajomą, to na pewno wcześniej czy później mnie zobaczy. Raczej - później, ale co to ma do rzeczy.

- Radziłabym się pośpieszyć.

- Postaram się.

- No to git! Trzymaj się.

- Ty też.

Odłożyłem słuchawkę i natychmiast zapomniałem o tym, że kiedykolwiek dzwoniła do mnie Bożena Makulska. Trudno było nie zapomnieć, skoro natychmiast wypłynęła z pamięci twarz Eda. I po cóż mi chimery, skoro mam konkretnego przeciwnika.

W ciągu pół godziny byłem w Gdańsku; wchodząc po stromych schodach starej kamienicy przypomniałem sobie, że trafiłem na ten adres właściwie przypadkiem - szukając Łukasza. A więc nawet stare błędy mogą działać na naszą korzyść... Zadzwoiłem przeciągle - postanowiłem być twardy. W mieszkaniu dał się słyszeć jakiś ruch, nawet rumor, ale nikt nie podchodził do drzwi. Zadzwoiłem jeszcze raz, długo trzymałem palec na przycisku, potem zacząłem walić pięścią w drzwi, coraz bardziej zdenerwowany. Nie słyszałem żadnych kroków po drugiej stronie, więc kiedy drzwi wreszcie się otworzyły, zastygłem z pięścią uniesioną nad głową. Zastygłem dosłownie - tak mnie zaskoczył i zmieszał widok starszego pana stojącego na progu.

- Przepraszam - bąknąłem - czy mógłbym się widzieć z Edem?

- Proszę, niech pan wejdzie - starszy człowiek odsunął się i lekko uśmiechnął - drzemałem właśnie, więc pewnie musiał pan długo stukać?

Zmieszałem się jeszcze bardziej.

- Tak - rzeczywiście, a w ogóle to przepraszam za najście...



- Nic nie szkodzi - starszy pan posadził mnie w fotelu - syna co prawda nie ma, ale powinien zaraz nadejść, więc jeśli pan pozwoli, to ja będę na razie pełnił honory domu.

- Dziękuję bardzo, ale może lepiej będzie, jeśli przyjdę kiedy indziej - podniosłem się z miejsca.

- Niech pan siada - rzucił się na mnie Uhnalik-senior - Edek na pewno wróci lada chwila, a ja bardzo chętnie z panem pogawędzę. Jest pan jego kolegą?

Cóż było robić, opadłem z powrotem na fotel, czując jak złość, którą się tak skrętnie ładowałem, ustępuje miejsca zakłopotaniu.

- Tak, jestem kolegą Eda... Edka - poprawiłem się szybko - moje nazwisko Janusz Smólski.

Starszy pan drgnął lekko, może zresztą było to tylko złudzenie.

- A ja, jak się pan zapewne domyśla, jestem ojcem Edka. Inżynier Uhnalik - przedstawił się.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, moje zakłopotanie rosło. Przyszedłem tu rozprawić się z łobuzem, a muszę prowadzić towarzyskie konwersacje z miłym, starszym panem, który na dodatek bardzo poważnie wziął sobie do serca obowiązki gospodarza.

Zaczął się typowa rozmowa o niczym, ot, wymiana zdań dla zabicia czasu. Uhnalik przypatrywał mi się badawczo z dziwnym półśmieszkiem jakby przyklejonym na stałe do wąskich warg - choć w ogóle był uprzedzająco grzeczny. Nie czekaliśmy długo - Ed wszedł bez pukania, podał mi rękę i zwałił się ciężko na fotel. Zachowywał się tak, jakby moja wizyta była czymś naturalnym, a nawet oczekiwanym, mimo iż byłem w jego domu po raz drugi w życiu. Uhnalik-senior poderwał się z miejsca i mruczając coś o kawie zniknął w kuchni. Zostaliśmy sami. Nie wiedziałem, jak zacząć, ale zrobił to za mnie Ed.

- No i co stary, znalazłeś Agnieszkę? Dobrze, że Edek zadzwonił, dobrze? - roześmiał się kordialnie.

- Niestety, nie znalazłem, ale nie w tej sprawie do ciebie przychodzę.

- Jak to, nie znalazłeś? - ed był bardzo zdumiony, a przynajmniej doskonale udawał zdumienie. - Jak to nie znalazłeś? A cóż to trudnego - widziałem ją ostatnio kilka razy. Przecież chyba się przed tobą nie chowa?

- Gdzie ja widziałeś, gadaj zaraz - moje zdumienie było na pewno lepszej próby od min Eda. No cóż, dałem się wziąć na lep.

- Chwileczkę, chwileczkę - Uhnalik rozparł się wygodniej w fotelu - zaraz sobie przypomnę. Więc tak... widziałem ją w restauracji w „Grandzie”, to raz... ale to już ładnych parę dni temu... potem w „SPATiF”-ie w Sopocie - to było w dniu wernisazu Justyna, pamiętasz pewnie. No a trzeci raz wczoraj, wczoraj wieczorem, już wiem, to było w barze „Bravo”, też w Sopocie. Siedziała tam z jakimś facetem, którego nie znam.

Czułem jak wraca cała moja złość na tego krętaacz. Przerwałem mu gwałtownie:

- Ed, czy mógłbyś mi odpowiedzieć na kilka prostych pytań?

- Może.

- Wolałbym, żebyś odpowiedział. Po pierwsze: co cię właściwie obchodzi moje sprawy i czemu tak ochoczo mnie o wszystkim informujesz...

- Nie muszę - tym razem Ed mi przerwał - naprawdę, nie muszę, robię to ze zwyczajnej sympatii, widząc jak się męczysz.

- Ale jak to się dzieje, że wszędzie, gdzie się tylko nie ruszę, natykam się na ciebie?

- Oooo, to chyba przesada - raptem raz do ciebie zadzwoniłem, poza tym to ty ciągle mnie nachodzisz.

to też była przesada, ale trochę racji miał - musiałem wyłożyć karty.

- Może zaprzeczysz, że współpracowałeś z Justynem i Wisią Szewczyk w „Panoramie” przed tym strasznym wydarzeniem?

- Nie zaprzeczę, bo to prawda, ale nie rozumiem, co ciebie to może obchodzić?

- Otóż może, przesiedziałem na to konto dwa dni w celi, a milicja przypuszczała początkowo, że zamordowaną dziewczyną jest Agnieszka.

Ed w pierwszej chwili się roześmiał, ale zaraz potem spoważniał.

- Co ty powiesz, nie miałem o tym pojęcia. No, ale teraz sprawa już się chyba wyjaśniła, zdaje się, że zamknęli Fabjańskiego?

Coś mnie uderzyło - Ed wymówił to nazwisko tak, jakby było mu dobrze znane. Powiedziałem o tym.

- Owszem - potaknął Ed, patrzył teraz na mnie czujnie przez przymrużone powieki - znałem go bardzo dobrze. No, ale co z tego? Znam przecież wielu ludzi, na przykład ciebie...

- Ale znalazłeś też bardzo dobrze - Wisię Szewczyk, prawda? Znałeś ich oboje, mordercę i ofiarę?

- No i co z tego - wybuchnął Ed - nie zachowuj się jak gliniarz. Znało ich wielu ludzi. W ogóle ludzie dobrze się znają i wiele o sobie wiedzą. Nawet jeśli ty o tym nie masz pojęcia!

- Więc może się dowiem - wstałem z miejsca - od ciebie.

Ed nawet się nie poruszył. Półleżał na fotelu, beczelnie chciuchocząc i paląc papierosa. Miałem ochotę zmusić go, żeby połknął tego peta. Ale to jednak Ed był górą, Ed, który wcale nie skończył mówić.

- Niczego się nie dowiesz, bo nic ci nie powiem. Nie mam ochoty nic ci mówić i nie widzę żadnej potrzeby. Nie mam w tym interesu ani przyjemności, nie widzę dla siebie korzyści. Kapujesz? A mógłbym ci powiedzieć wiele, bardzo, bardzo dużo. Ale główne, wała - teraz Ed się zacierzył - nie powiem ci nic, bo jesteś mały, beczelny, cholerny bufon. Jesteś gnojek i mam cię gdzieś od dawna.

- Skończyłeś? - udało mi się to powiedzieć nadspodziewanie spokojnie. - skończyłeś, to teraz ty posłuchaj...

Zrobiłem krok do przodu, zaciskając pięści. W tej chwili skrzypnęły drzwi od kuchni.

- Gorąca, pachnąca kawa. Na pewno chętnie obaj się napijecie. Ale czemu pan stoi, panie Januszu, proszę siadać, zaraz przyniosę nalewkę...

No tak, zapomniałem o starszym panu. Zaległo kłopotliwe milczenie. Skinąłem głową staremu i szybko wyszedłem z mieszkania.

I znowu nic. Na ulicy, gdy już minęło wzburzenie, uświadomiłem sobie, że nic od Eda nie wyciągnąłem poza wątpliwymi informacjami o Agnieszce, jemu za to udało się po raz kolejny zdenerwować mnie, obudzić niepokój. Trudno, w tej rundzie zero: jeden dla mnie, ale przecież to jeszcze nie koniec rozgrywki.

Wstąpiłem na pocztę przy Szerokiej. Była przecież jeszcze jedna osoba, z którą chciałem porozmawiać o Agnieszce: Fabjańska, żona przedsiębiorczego restauratora z Sopotu. Artur wspominał

kiedyś o niej mimochodem, zapamiętałem, że mieszka na Zaspie. I na pewno wiele wie o sprawach swego męża. Tylko czy zechcę coś mi powiedzieć. Właśnie mnie?

A jednak miałem szczęście - w książce telefonicznej figurowała Irena Fabjańska, zamieszkała przy ulicy Bitwy o Anglię 27. W pierwszym odruchu chciałem od razu zadzwonić, ale po namyśle odłożyłem słuchawkę; takie sprawy trzeba załatwiać osobiście.

Wracałem na Zaspę bez żadnego planu. Mechanicznie wjechałem na ulicę Bitwy o Anglię i znalazłem numer 27. Ze spisu lokatorów wynikało, że Fabjańska mieszka na trzecim piętrze.

W progu stanęła czterdziestoparoletnia kobieta o zniszczonej twarzy, ze zmarszczkami, przez które z trudem przezierały ślady dawnej urody. Jej zaczerwienione oczy patrzyły na mnie z niepokojem. Musiała długo płakać.

- Słucham pana.

- Czy pani Irena Fabjańska?

- Tak.

- Nazywam się Janusz Smólski i chciałbym z panią przez chwilę porozmawiać.

- Proszę - Fabjańska zaprosiła mnie do środka gestem pełnym rezygnacji.

Wszedłem do mieszkania.

- Pan jest, oczywiście, z milicji - upewniła się kobieta.

- Nie, pani się myli...

- Jak to? - Fabjańska wyglądała na przestraszoną. - Byłam przekonana... Ach, więc na pewno jest pan dziennikarzem. Mówiłam przecież na milicji, że nie zgodzę się rozmawiać z nikim z prasy.

- Nie jestem również z prasy - przerwałem jej stanowczo, ale łagodnie. - Proszę mnie posłuchać. Wiem wszystko, a przynajmniej bardzo wiele o pani obecnej sytuacji i o tym, co dzieje się z pani mężem...

Zrozumiałem, że mnie nie słucha. Wpatrywała się we mnie badawczo, z wyrazem strachu w rozszerzonych nagle źrenicach.

- Pan nie jest z milicji - powtórzyła - jak to?... Więc czego pan chce? Proszę wyjść, proszę mnie nachodzić.

Nie zdążyła jeszcze zdjąć dłoni z klamki i i teraz szybko otworzyła drzwi.

- Proszę wyjść, proszę natychmiast wyjść - powtarzała, cofając się w głąb mieszkania.

Posłusznie wycofałem się za próg, przytrzymując jednak drzwi.

- Proszę mnie posłuchać - powtórzyłem dobitnie - wiem wszystko o pani sytuacji. Ja też, podobnie jak pani, ucierpiałem z powodu tej tragedii. Bardzo ucierpiałem. A jednak mam powody przypuszczać, że pani mąż jest niewinny. A przynajmniej - mam pewne wątpliwości co do szczegółów tej sprawy. Może mógłbym pani pomóc, jeśli pani zechce pomóc mnie!

- rozumiem - skinęła głową, jakby dopiero teraz dotarły do niej moje słowa - rozumiem, ale dlaczego miałabym panu ufać. Mam powody, żeby się pana obawiać. Żeby obawiać się wszystkich obcych - dodała szybko.

Staliśmy naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem, ona wyraźnie przestraszona a ja bezradny wobec takiego obrotu sprawy. I nagle zaświtał mi pewien pomysł.

- Czy jest ktoś, komu pani ufa i kto mieszka niedaleko stąd?

Zastanowiła się przez chwilę.

- Owszem, tak.

- Niech pani wykręci jego numer telefonu i poprosi, żeby nie odkładał słuchawki. Będzie pani stała obok telefonu, trzymając słuchawkę przy uchu, a ja stanę w odległości kilku metrów od pani, nawet tu - koło drzwi, i wyłuszczę, o co mi idzie. W kilkunastu zdaniach. Wtedy pani zdecyduje, czy może ze mną rozmawiać czy nie. A gdyby coś wzbudziło pani nieufność - w każdej chwili może pani przez telefon wezwać pomoc.

śluchała mnie czujnie i uważnie.

- Dobrze, na to mogę się zgodzić.

Podeszła do telefonu, wykręciła numer i zamieniła z kimś kilka słów. Potem odwróciła się w moją stronę.

- Proszę pani, moja sprawa jest dość szczególna, więc proszę się uzbroić w cierpliwość. Nie znałem nigdy pani męża i jestem z całą tą sprawą związany przez najzwyczajniejszy przypadek. Ale wiem chyba wszystko na temat „kolorów do wynajęcia” i roli pani męża w tej aferze, wiem o anonimowym donosie i wyroku, który mąż

otrzymał, wiem o szczegółach zbrodni w „Panoramie” i podejrzaniu, które na niego rzucono. Powtarzam jeszcze raz: mam wątpliwości co do licznych szczegółów tej sprawy, wątpliwości, które mogą okazać się korzystne dla pani męża.

- Rozumiem - przerwała mi energicznie. - Skąd pan to wszystko wie?

- Od dziennikarza, który współpracował z milicją, a wiedząc o moim osobistym zaangażowaniu w sprawę - podzielił się ze mną swoimi wiadomościami.

- A na czym polega to pana zaangażowanie?

- Widzi pani - niełatwo mi przyszło odpowiedzieć na to pytanie - chodzi mi o dziewczynę. Mam powody przypuszczać, że była ona zamieszana w sprawę „kolorów”, ale dla mnie najważniejsze - to ją odnaleźć. Odeszła ode mnie przed rokiem i dosłownie zniknęła, rozplynęła się.

- Halo, Joasiu. Dziękuję ci i zadzwonię później - pani Fabjańska najwyraźniej postanowiła zaufać mi. Odłożyła słuchawkę i odwróciła się w moją stronę.

- Dobrze, jestem gotowa z panem porozmawiać, choć wątpię, by coś z tego przyszło panu lub mnie.

- Możemy chyba zaryzykować?

- Możemy, ale jeśli mamy sobie nawzajem pomóc, muszę się dowiedzieć jeszcze czegoś więcej.

Zmieniła się wyraźnie w ciągu ostatnich kilkunastu minut. Jakby moje słowa przywróciły jej dawno utraconą energię. Patrzyła na mnie stanowczo i zdecydowanie.

Streściłem jej pokrótce, co wiedziałem o barze „Bravo” i aferze „kolorów do wynajęcia”. Mówiłem oględnie i wiele szczegółów po prostu pominąłem, ale starczyło i tego, by obudzić w Fabjańskiej żywe zainteresowanie.

- Powiedział mi pan więcej, niż mogłabym się spodziewać - podjęła, gdy wreszcie skończyłem - i, powiem panu szczerze, niemal więcej, niż sama wiem o całej tej sprawie. Więc ja zacznę może od tego, że jestem absolutnie przekonana o niewinności mego męża i będę robiła wszystko, żeby go wyciągnąć z więzienia. Reszta mnie nie interesuje, ale jeśli będę mogła, chętnie panu pomogę.

- Chcę wyjaśnić kilka wątpliwości, które właściwie mogą nie mieć większego znaczenia...

- Proszę pana, w sprawie takiej jak ta każda wątpliwość może mieć ogromne znaczenie. Zważywszy uczucia mego męża do tej... dziewczyny... - głos jej się łamał, ze zdumieniem zobaczyłem, że jest bliska płaczu. - Będę szczęśliwa, jeśli uda się dowieść, że to była zbrodnia w afekcie.

- Jak to w afekcie? - spytałem zdumiony.

Fabjańska zupełnie nie mogła się opanować, płakała, mnąc w rękach chusteczkę i nie czując łez spływających po policzkach.

- Proszę się uspokoić, nie warto... I proszę mi powiedzieć, o co właściwie chodzi?

- Więc tego pan jednak nie wie? - westchnęła, wycierając oczy. - Przecież Wisia była kochanką mego męża. On zupełnie oszalał z jej powodu. To była namiętność.

- Jak to: oszalał? Skąd w takim razie ten anonim i zemsta, i rozliczenia finansowe?

Teraz Fabjańska spojrzała na mnie zdumionym wzrokiem.

- O czym pan właściwie mówił?

- O motywach zabójstwa.

- Więc to mają być motywy? I tak uważa milicja?

Przytaknąłem.

W jej oczach zapaliło się zainteresowanie.

- Pan mówi poważnie? Jest pan pewny, że milicja posądza Wiśnię o autorstwo anonimu, a mego męża o zemstę?

- Oczywiście - przypomniałem sobie wyraźnie wszystko, co opowiadał mi Artur - jestem tego najzupełniej pewien.

- Ależ to zmienia postać rzeczy - wykrzyknęła.

- Ciągłe się nie rozumiemy. Może teraz pani zechce mi opowiedzieć swoją wersję wydarzeń.

- Oczywiście, bardzo chętnie. Widzi pan, cały kłopot polega na tym, że w gruncie rzeczy niewiele wiem.

Westchnęła, wyciągnęła paczkę papierosów i przez chwilę paliła w milczeniu.

- Nie umiem się zwierzać obcym ludziom - podjęła - nie mówiłam zresztą o tych sprawach chyba z nikim. Cóż, nie zostało mi wielu przyjaciół, jak się pan zapewne domyśla. Ale widzę, że panu

będę musiała opowiedzieć wszystko. To zaczęło się dziesięć lat temu, byłam jeszcze młoda i wreszcie, po wielu ciężkich latach, stanęłam jako tako na nogi. Miałam bardzo trudną młodość i przywykłam radzi- sobie sama. Nauczyłam się doskonale samodzielności.

Roześmiała się gorzko.

- Chyba niepotrzebnie o tym wszystkim mówię, więc będę się streszczać. Owocem mej samodzielności była własna kawiarnia w Sopocie i niezłe z niej dochody, własne mieszkanie, spore oszczędności. Brakowało mi jednego - normalnego domu, bliskiego człowieka. I wtedy poznałam Zdzisława. Był właściwie nikim, popijał, ciągle zmieniał pracę. A jednak go pokochałam i wzięliśmy ślub. Wytrwałam w tym małżeństwie do dzisiaj i wcale nie przestałam go kochać. Choć tak wiele się zmieniło... Myślę, że to co się stało między nami można nazwać wymianą ról. On odżył, przestał pić, zaczął bardzo solidnie pracować i to z efektami, ja - ograniczałam się do domu, szukałam w mężu, tak jak on - kiedy. - we mnie, czulego opiekuna. Zdzisław sprzedał moją kawiarnię i otworzył nowoczesny luksusowy bar „Bravo”. Miał ogromne szczęście w interesach, robił duże pieniądze, budował willę, a ja właściwie się tym wszystkim nie interesowałam. Dopiero gdy budowa była skończona, a Zdzisław zwlekał z przeprowadzką bez wyraźnego powodu, zrozumiałam, że dzieje się coś niedobrego. Ale dałam się przekonać, zaufałam mu, gdy mówił, że jeszcze rok-dwa i zlikwidujemy wszystkie interesy, wyjedziemy stąd. I wtedy odwiedziła mnie Wisia Szewczyk. Była albo bardzo bezczelna, albo święcie przekonana, że wiem o wszystkim. Powiedziała mi niewiele, ale dostatecznie dużo, bym się zorientowała, jakiego rodzaju interesy prowadzi Zdzisław. A prosiła o interwencję. Jak mówiła - chce „pracować” dla mojego męża, ale stanowczo broniła się przed „czymkolwiek więcej”. Nie rozumiałam jej zbyt dobrze, ale już wkrótce wszystko stało się dla mnie jasne. Mój mąż założył zakamuflowany burdel, a potem zakochał się namiętnie we własnej pracownicy!

Zapaliła nowego papierosa. Ta opowieść, choć płynna, nie przychodziła jej jednak z łatwością.



- To było straszne, potworne. Nie mogłam sobie z tym poradzić, to samo zresztą jak i on. Nazywam jego uczucie namiętnością, bo nie pasuje tu żadne inne określenie. Zdzisław był nadal dobrym mężem i chciał nim być, ale równocześnie prześladowała go - jak choroba - pamięć o tamtej. To nawet nie była miłość, ale - jak sądzę - zazdrość. W końcu wpychał ją co wieczór w ramiona różnych obcych mężczyzn, a ona godziła się z tym, ba! - chciała tego, z jakąś szczególną, perfidną satysfakcją. Miała nad nim przewagę, zwłaszcza od czasu wizyty u mnie i robiła, co chciała. A pragnęła tylko jednego - zachowania status quo. A tego znów nie mógł ścierpieć Zdzisław. Oczywiście - sypiali ze sobą od czasu do czasu, ale to tylko podsycalo jego histerię. Ten gordyjski węzeł przeciął w końcu anonim, po którym Zdzisław dostał półtora roku, a cały interes runął. Przyznam się panu, że odetchnęłam z ulgą. Wolałam nawet to, od tego wstrętnego stręczycielstwa i uwikłania mojego męża w bezsensowny romans z tą małą idiotką.

Zamilkła, zaskoczona jakby ciężarem własnych słów.

- Może nie powinnam tak mówić, w końcu niebyła temu wszystkim winna. No i... nie żyje. Ale widzi pan, jestem pewna, że Zdzisław jej nie zabił. To nawet nie tylko sprawa mojego przekonania. Po prostu myślę, że mam na to dowód.

Zamyśliła się.

- Jaki? Mnie chyba może pani o tym powiedzieć?

- Widzi pan, jeśli rzeczywiście cała konstrukcja oskarżenia opiera się na motywie zemsty, to jest ona całkiem chybiona. Zdzisław nie miałby się za co mścić, bowiem to nie Wisia napisała anonim. A rozliczenia finansowe to przypuszczenie zupełnie bezsensowne. On dałby jej wszystkie pieniądze, jakie miał - gdyby tylko chciała.

- Ale skąd pani pewność, że Wisia nie jest autorką anonimu? Przecież mogła uznać to za najprostszy sposób uwolnienia się od natarczywości pani męża? A list był tak zredagowany, że jej bezpośrednio nie przyniósł szkody.

Fabjańska w milczeniu pokręciła głową.

- Nie, nie, proszę pana, ja wiem z całą pewnością - te słowa wypowiedziała z naciskiem - że ona nie napisała tego listu.

- Ale skąd?

- Bo wiem, kto jest autorem. Ale niech mnie pan już o nic więcej nie pyta, bo nie mogę, naprawdę nie mogę tego powiedzieć.

- Ale...

- Niech pan o nic nie pyta, proszę! - przerwała mi błagalnie. - O tym nie może wiedzieć nikt: ani milicja, ani Zdzisław.

Milczałem. Byłem tu już chyba godzinę, a w moim mrocznym tunelu nie zamigotało dotąd żadne światełko. Fabjańska westchnęła.

- No cóż, ale nie rozmawialiśmy jeszcze o panu sprawie. Pan pomógł mi bardzo - choćby tym, że upewniłam się o niewinności męża. Zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby się panu odwdzięczyć.

Teraz, dla odmiany, ja westchnąłem.

- Powiem najkrócej: poszukuję od dawna dziewczyny, która mnie opuściła. Chcę i muszę się z nią zobaczyć, choćby po to, żeby przez kwadrans porozmawiać. Mam powody, by przypuszczać, że miała jakiś związek z... - nie wiedziałem jak to określić - z barem „Bravo”. Choć dałbym wiele, żeby się to okazało nieprawdą.

- Rozumiem - skinęła głową Fabjańska - nie wiem, czy zdołam panu pomóc, bo nie brałam udziału w tym „interesie”, ale jednak bywałam, zwłaszcza na krótko przed aresztowaniem męża, dość często w „Bravo” i poznałam z widzenia - chcąc nie chcąc - niektóre dziewczyny. Widzi pan, to było naprawdę dobrze zakamuflowane, ale kiedy się już wiedziało, o co w tym wszystkim chodzi, pewne rzeczy - i osoby oczywiście - rzucały się w oczy. Więc może coś panu powiem. Proszę mi ją opisać.

- Nazywa się Agnieszka Wereszycka - z trudem przyszło mi mówienie tego prostego zdania.

- Nie znam takiej - potrząsnęła głową Fabjańska - ale to nic nie znaczy.

- Oczywiście.

- A może ma pan jej zdjęcie? To byłoby najprostsze.

Tak, miałem zdjęcie Agnieszki. Wyjąłem je z ciężkim sercem i podałem Fabjańskiej mały portrecik. Wpatrywała się długo w prostokątny kartonik.

- Tak - powiedziała wreszcie z powagą - znałam tę dziewczynę. Jest bardzo piękna, takich twarzy się nie zapomina. Ale - spojrzała

mi prosto w oczy - jestem prawie pewna, że nie miała nic wspólnego z interesem męża. Choć widziałam ją właśnie tutaj, w tym mieszkaniu. To było na krótko przed wpadką Zdzisława i tą historią z anonimem. Przyszła do nas, była bardzo wzburzona i zażądała rozmowy z mężem. Rozmawiali długo, sami, ja nie mieszałam się w ogóle w jego sprawy. Potem wyszła, jakby spokojniejsza, a dla odmiany zdenerwował się Zdzisław. Chodził po mieszkaniu jak lew po klatce, ale nie chciał mi nic powiedzieć... Zaraz, zaraz - wspomniał tylko, niechętnie, że ta dziewczyna jest przyjaciółką Wisi, ale że on nie dałby za tę przyjaźń złamanego grosza. Potem jakoś się uspokoił, ale chyba w dwa dni później doszło do ogromnej kłótni między nim a Wisią i to - co gorsza - kłótni publicznej, kompromitującej dla niego. Był tym wszystkim ogromnie przygnębiony i naprawdę nie wiem, co by się stało, gdyby nie ten anonim. Zdzisława aresztowano mniej więcej w tydzień po wizycie pańskiej Agnieszki. No i nie zdążył mi już nic powiedzieć...

- A teraz, po wyjściu z więzienia?

- To nie takie proste. Może pan wierzyć albo nie, ale Zdzisław bardzo się zmienił. Wyszedł z więzienia zupełnie załamany i myślę, że szczerze żałował swej lekkomyślności. Ja to rozumiałam, dlatego starałam się w ogóle nie mówić o przeszłości. Widzi pan, wierzyłam i wierzę nadal, że możemy jeszcze zacząć od nowa. Choć tak trudno jest uciec od tego, co się stało. A teraz będzie jeszcze trudniej...

W jej głosie zabrzmiała gorycz, schowała twarz w dłoniach.

Poczułem, że powinienem już wyjść, ale zwlekałem.

- Dlaczego pani tak mówi? Jeżeli mąż jest niewinny...

- Ach, to już nie o to nawet chodzi - przerwała mi gwałtownie. - Chyba zdoła się obronić przed tym strasznym oskarżeniem, ale jednak - to wszystko odbija się na psychice. Niech pan sobie wyobrazi, że na kilka dni przed śmiercią Wisi odwiedził nas wspólny znajomy. Zdzisław nie chciał nikogo widzieć, ale jego jednak przyjął. Na swoje nieszczęście. Nie wiem, o co temu człowiekowi szło, ale mimochodem, w rozmowie, opowiedział mężowi o tym, co dzieje się z Wisią - że jest modelką i bierze udział w happeningu w „Panoramie”. To było zresztą w dzień wernisażu, rano. Opowiadał o tym wszystkim z humorem, jakby sprzedawał nowe aneg-

doty, a przecież musiał wiedzieć, jak to działa na Zdzisława. Potem poszedłem, a mąż bardzo się zdenerwował i powiedział, że jeszcze dziś poszedłby na policję i zeznał wszystko, czego tam jeszcze nie wiedzą, ale nie chce krzywdzić wielu ludzi. Myślę, że znowu chodziło mu o Wisię, której udział w całej aferze nie był przecież dotąd znany. Zresztą, po co ja panu o tym wszystkim opowiadam - uderzyła się lekko dłonią w usta, wierzę panu, ale jeśli milicja nie wie o tej wizycie, lepiej, żeby i pan nie wiedział. Przecież to może być kolejny dowód przeciw Zdzisławowi.

Miała rację, niewątpliwie ją miała. A ja nawet o tym nie pomyślałem. Przecież ta swobodna opowieść gościa była jakby prowokacją do działania. I tak zapewne potraktuje to zdarzenie kapitan Pietraszek. Ale jeśli Fabjański był ofiarą prowokacji, to kim był prowokator? W moim mózgu zapaliło się alarmowe światełko: przecież udział Wisi w pokazie był otoczony ścisłą tajemnicą. Wiedzieli o nim tylko Justyn i Uhnalik. No i sama Wisia. Żegnaliśmy się już, ale zwróciłem w drzwiach.

- Czy pamięta pani nazwisko tego gościa?

- Jestem panu bardzo wdzięczna i dlatego może lepiej będzie, jeśli nie powiem... Nadmiar wiadomości może panu tylko zaszkodzić, zwłaszcza przy ponownym spotkaniu z milicją.

- Rozumiem pani opory, ale jak i tak nie zrezygnuję z - że tak powiem - prywatnego śledztwa. Muszę znać prawdę i dojdę do niej! A pani może mi w tym pomóc.

- Dobrze, powiem panu, ale proszę mi przedtem obiecać, że to co mówiłam o anonimie, pozostanie między nami.

- Zgoda, oczywiście.

- Tego mężczyznę, o którego panu chodzi nazywają Edem. Nie wiem, jakie ma nazwisko. Często bywał w „Bravo”, podobno jest plastykiem. Aha, przypominam sobie, że miał jakieś interesy i układy z Wisią, ale jakie - nie mam pojęcia.

Schodziłem na dół tak głęboko zamyślony, że zapomniałem o istnieniu windy. Ed, jeszcze raz Ed, jak uparty refren powraca to imię.

Najpierw zjadłem obiad. W barze, nomen omen, „U Eda”, na mojej kochanej zaspie. Tfu, chyba nigdy się nie uwolnię od tego imienia. Obiad nie był zły, ale absolutnie nie zasługiwał na swoją cenę. Dokładnie tak jak Ed, za którego uczciwość nie dałbym złamanego grosza.

Potem pojechałem do domu, żeby spokojnie potelefonować. Jak zwykle nie miałem szczęścia. Doroty Wileńskiej nie było i miała wrócić dopiero wieczorem, o czym poinformowała mnie mała Magda, umawiając się od razu na następną bajkę (zaproszenie zostało przyjęte). Nie było też porucznika Leszczuka, z którym miałem zamiar zawrzeć pewną transakcję. Nie było też nigdzie Artura, ale to wcale mnie nie dziwiło - zdążyłem już się przyzwyczaić.

Wychodząc z domu wsunąłem w drzwi adresowaną do niego kartkę, w której zawiadaniałem, że jestem na plaży. Trudno było przypuszczać, że mi uwierzy - pogoda była październikowa, ale znając Artura wątpiłem, by uwierzył i w prawdę. A skąd ja miałbym wiedzieć, gdzie będę przez następne godziny? Nie licząc bieżącej, którą miałem zamiar spędzić w barze „Brawo”.

Na Cienistej przywitała mnie cisza, melancholia, nierozgłośna muzyka sącząca się z „Bravo” i nieodmiennie zasłonięte okna willi doktora Czyżewskiego.

Pchnąłem drzwi baru i zamrugałem oczami, by przyzwyczaić wzrok do panującego tu półmroku. Miałem szczęście - za ladą stał najwyraźniej znudzony mój „znajomy” barman. Zasiadłem na wysokim stołku, zapaliłem, pstryknąłem palcami. Miałem szczęście po raz drugi - pan Henio mnie poznał. Odłożył gazetę, ożywił się błyskawicznie zaserwował kawę, wyciągnąwszy przedtem na powitanie tłustą łapę. Wymieniliśmy kilka zdań o niczym, czyli o pogodzie, pan Henio skomentował sytuację polityczną i jeszcze trudniejszą gdańskiej „Lechii” w drugiej lidze piłkarskiej (miałem szczęście po raz trzeci - jako stary kibic tej drużyny byłem rozmówcą niewątpliwie wiarygodnym), wreszcie ja przejąłem inicjatywę i zaproponowałem rewanż - czyli koniczek, tym razem na mój koszt. Kiedy kieliszki stały już przed nami (dopiero teraz

doceniłem pana Henia - nie wykonał starego barmańskiego blefu z herbata, tylko nalał sobie sówicie „do serdecznego palca”, mogłem zacząć.

- Długo już pan tu pracuje?

- Za długo, panie Januszu (no tak, byliśmy już bliscy brudzia), o trzy lata za długo...

- Trzy lata, rzeczywiście szmat czasu. Musi pan znać wielu ludzi, którzy tu dawniej bywali.

- Dawniej, to znaczy kiedy? - może się myliłem, ale w głosie barmana zabrzmiała bodaj nutka podejrzliwości.

- No... zanim Fabjański poszedł siedzieć?

- To było dawno, nic z tych czasów nie pamiętam.

- Wcale się panu nie dziwię, panie Heniu, w końcu jeśli się wie, co się tu wyrabiało...

- A co tu się wyrabiało? - głos mojego rozmówcy zabrzmiał nadspodziewanie stanowczo.

- Mówię o tym szemranym interesie Fabjańskiego - powiedziałem, czując, że wybrałem złą taktykę - no o tym, za który poszedł siedzieć.

- Narozrabiał, to poszedł. Nie on pierwszy nie ostatni.

Ale ja o niczym nie wiem, rozumie pan?

- Rozumiem, rozumiem.

- No. Jak Fabjański wyjdzie, niech jego pan o wszystko pyta.

- Fabjański już wyszedł - powiedziałem jakby od niechcenia.

- Co?! - zachłysnął się tą informacją pan Henio. Upił z wrażenia spory łyk koniaku, dołał sobie miarkę, powtórzył. - Powiada pan, że wyszedł? A to numer... Ale czemu dotąd tu się nie zjawił?

- A powinien był? Jakies rachunki, nie załatwione sprawy, co?

Nie da się ukryć - moje słowa zrobiły na Heniu duże wrażenie. Chyba dopiero teraz dotarło do niego, że nasza rozmowa nie jest zwykłą towarzyską pogaduszką.

- Szeffie - zaczął nadspodziewanie miękko, ale nie bez tajonej groźby - szeffie, nie wiem kto pan jest i prawdę powiedziawszy, nie mnie to nie obchodzi. Ale ja naprawdę nic nie wiem, a gdybym nawet wiedział, to nie jestem żaden kabel. Rozumie pan? Jeśli chcecie ze mną jeszcze raz rozmawiać - proszę bardzo - pocztą wezwanko na komendę, w charakterze takim i takim, sprawa taka i

taka. Wtedy będziemy gadać. A teraz dopijmy, co tam jeszcze mamy i do miłego!

Skończył swój wywód bardzo nawet stanowczo, niemal z pogrózką w głosie. Roześmiał się serdecznie:

- Panie Heniu, teraz pan stawia. Zupełne pudło, pomyłka na całej linii. Nie jestem z tej instytucji, do której tak się panu śpieszy.

Przerwałem - było jasne, że mi nie wierzy. Stał za kontuarem lekko pochylony, w niemal boksterskiej pozie, łypiąc na mnie groźnie małymi oczkami.

- Zagrajmy w otwarte karty - zabrzmiało to bardzo teatralnie, ale cóż, z pełną świadomością grałem przecież jakąś tam rolę - wiem o tym interesie sprzed dwóch lat nawet więcej niż milicja. Ale oni też już teraz wiedzą więcej, niż pan sądzi. Ja wiem o wszystkim przypadkiem i właściwie te wszystkie śliczne kolorki - zaakcentowałem to słowo - niezbyt mnie interesują. Ja mam, panie Heniu, sprawę życiową: szukam dziewczyny. Każdemu może się zdarzyć, choć nikomu nie życzę. Jej trop zaprowadził mnie aż tutaj - do Fabjańskiego, do „Bravo”, do pana, panie Heniu. I właśnie pan może mi pomóc.

Milczał. Ten zakuty łeb albo naczytał się amerykańskich kryminałów, albo miał aż za wiele powodów, by obawiać się milicji.

- No to jak będzie, przypomni pan sobie coś niecoś?

- Może sobie i przypomnę, ale na komendzie.

- Widzę, że pan mi nie wierzy?

- Nie wierzę. Gdyby pan nie był z Okopowej, inaczej by pan zaczynał. Tak i tak, jestem taki i taki, znam tego i tamtego. Pan nic nie mówi - ja nic nie wiem. Może pan jest milicjantem? W porządku, pomówimy na komendzie. Ale może pan jest jakimś dawnym kumplem Fabjańskiego? Skąd mam wiedzieć? A wtedy, wie pan co... na pewno nie będziemy rozmawiali.

- Przecież się panu przedstawiłem.

- Tak, tak, wiem: artysta malarz. Ciekaw jestem, co pan takiego dotąd zmalował.

Z drugiego końca barowego kontuaru zaczęły na pana Henia kiwać dwie zgrabne, młode dziewczyny. Skrzętnie skorzystał z

okazji. Czekałem spokojnie. Rozmowa nie była skończona. Wiedziałem o tym ja, musiał wiedzieć i on.

I wtedy zaświtał mi znakomity pomysł. Wyciągnąłem z kieszeni notes i ołówek, zacząłem szkicować. Kiedy wreszcie, po dobrym kwadransie, barman wrócił do mnie, na ladzie leżało moje najnowsze dziełko - jego własny, jak najbardziej realistyczny portret, który nie mógł chyba pozostawiać wątpliwości co do mego zawodu.

Pan Henio był chyba w równym stopniu zaskoczony, co zachwycony. Lody stopniały - uwierzył mi, po prostu nie miał wyboru. Snobizm wziął górę, więc jeszcze tylko złożyłem na portrecie swój zamaszty autograf, dodając - już bodaj niepotrzebnie - dedykację i numer telefonu, pan Henio napelnił kieliszki i - mogliśmy wreszcie rozmawiać.

- Niech pan wybaczy, panie Januszu... ale skąd mogłem wiedzieć?

- Jasne...

- Nie mam specjalnej ochoty gadać o tamtych sprawach - pan rozumie? Chociaż - pośpieszył z zapewnieniem - ja osobiście jestem najzupełniej czysty. Oczywiście, wiedziałem to i owo, więc jeśli pan szuka dziewczyny - to nie ma sprawy. Ja panu pomogę.

Cóż było robić. Już raz tego dnia, u Fabjańskiej, przełamałem wewnętrzne opory. Teraz przyszło mi to dużo łatwiej. Wyjąłem z portfela portret Agnieszki i podsunąłem go barmanowi. Wpatrywał się w zdjęcie długo, niemal z namaszczeniem, wreszcie oddał mi je zdecydowanym gestem.

- Nie wiem, co pan chce o niej wiedzieć. W każdym razie jedno jest pewne - ona u nas, to znaczy u Fabjańskiego, nie opracowała. Ale bywała tu i dobrze ją pamiętam...

Zamyślił się głęboko, wreszcie strzelił palcami.

- Już wiem! To była bliska przyjaciółka Wisi Szewczyk, nieboszczki, brrr... straszna śmierć. Pan ją znał? - zainteresował się.

Przytaknąłem.

- No właśnie - podjął - to była przyjaciółka Wisi. Zdaje się, że ją nazwali Aga. Zgadza się?

- Możliwe, ma na imię Agnieszka.

Teraz on przytaknął.



- Właśnie, właśnie. Agnieszka - to pasuje. Między nią a Wiśką był jakiś dziwny układ. To nie były, wie pan, takie sobie kumpelki od ciuszków i facetów. Ja myślę, że Wiśka tylko tę jedną dziewczynę, to znaczy w ogóle tylko ją - nikogo więcej - traktowała naprawdę poważnie.

Wręcz jej się bała, ulegała jej i szanowała. Bo to w ogóle była, panie Januszu, to znaczy Wiśka, dziewczyna z dużą fantazją. Inna niż te wszystkie, co się tu kurwiły, za przeproszeniem. Albo i bez - bo co się będziemy oszukiwać - normalny burdel tu odchodził. Różne dziewczyny tu bywały. Większość chciała po prostu szmalu, jak najwięcej, każdą ilość i za każdą cenę. Inne - zwyczajnie - miały szajbę na tym tle, wie pan, macica im się na mózg rzuciła. Sam znam taką jedną - Łucję. Z dobrego domu, po maturze, zgrabna, twarz anielska, niewinna, jakby miała szesnastkę. Blond włoski i tak dalej. Łazili za nią różni - aktorzy, malarze, Bóg wie kto. A jej było wszystko jedno... Ale Wiśka była inna - powiedział to niemal z rozmarzeniem, rozgadał się już na dobrze, więc milczałem, nie przerywałem mu, zwyczajnie czekałem - Wiśka gardziła szmałem i w pewien sposób brzydziła się tym, co robiła. Ona to jakby robiła na złość, rozumie pan, na złość całemu światu - wszystkim: mężczyznom, rodzinie, tym, którzy ją kochali. Fabjańskiemu na przykład. Jakby się za coś mściła. A może - teraz sobie myślę - ona to robiła przede wszystkim na złość ten pana Agnieszce? Bo wie pan - między nimi coś się działo, coś niedobrego. Wiśka uwielbiała Agnieszkę, a równocześnie - jakby jej nienawidziła. Ale za co - nie wiem? Może za chłopa? To by było najprostsze, ale jakoś do tego wszystkiego nie pasuje. W każdym bądź razie dwie rzeczy są pewne - i więcej to ja już naprawdę nie wiem. Raz, że Wiśka miała jakiś ciężki uraz, a jak ja się w tym dobrze znam, to chodziło o mężczyznę, który ją odepchnął. A dwa, że te dwie dziewczyny miały coś wspólnego - rozumie pan? Jakaś namiętność, tajemnicę, bo ja wiem? To je łączyło i odpychało równocześnie. To chyba wszystko, co wiem, niech pan to jakoś spróbuje złożyć do kupy.

Znów go odwołano, w barze przybywało klientów, więc pan Henio był zajęty przez dłuższą chwilę. Akurat tak długo, bym

sobie przetrwał wszystko, czego się dowiedziałem i przygotował następne pytania. Zacząłem natychmiast, gdy wrócił.

- A o tej Wiśce co jeszcze mógłby mi pan powiedzieć? Może miała kogoś, może z kimś jeszcze bliżej się przyjaźniła? Ten ktoś mógł znać Agnieszkę, więc to byłby dla mnie jakiś trop...

- Rozumiem, jasne. Ale boję się, że wiele panu nie pomogę. Z Wiśką było tak, że wszystkie swoje prywatne sprawy zostawiała za progiem tego lokalu. Z Agnieszką to był wyjątek - myślę, że ona się po prostu interesowała, co Wiśka tu robi i dlatego raz czy drugi przyszła do „Bravo”. A poza tym... owszem, był jakiś mężczyzna, ale jeśli chce pan znać moje prywatne zdanie, to nie sądzę, żeby ze sobą spali. A to w końcu najbardziej łączy. To też był raczej jakiś układ, jakiś rodzaj wspólnoty interesu, bo ja wiem... On się nazywał Uhnalik i dawno już go nie widziałem, ale wtedy, rok czy dwa temu, bywał tu dość często. A teraz nie wiem nawet, gdzie go szukać...

No tak, jeszcze raz Ed. To już przestało być przypadkowe. Uhnalik krążył jakby, niewidoczny i ukryty, wokół mnie, wyskakiwał jak diabełek z pudełka w najbardziej niespodziewanych momentach. To na pewno nie był przypadek. To już była prawidłowość.

- Już wiem, co mógłby pan zrobić - podjął Henio - dam panu adres Łucji, tej dziewczyny, o której wcześniej mówiłem. Ona trochę się trzymała z Wiśką, więc może coś wiedzieć.

Nabazgrał coś na kartce papieru i podał mi ją. Łucja Wilbach, Gdynia, Szczecińska 7/2 - przeczytałem.

- Niech pan się powoła na mnie, to wystarczy.

Wstałem ze stołka.

- Dziękuję, bardzo mi pan pomógł.

- Nie ma za co, życiowa sprawa. Ale jeśli chce pan posłuchać mojej rady, to lepiej dać sobie spokój z tą panienką, co gdzie po świecie pływa a adresu nie zostawia. Tyle jest dziewczyn... Kolego, z taką Łucją pocieszy się pan w jeden wieczór. Ona ma złote serce.

- Wie pan, panie Heniu, to się tylko tak łatwo mówi...

- Robi też, zapewniam.

Na tym się rozstaliśmy. Uznałem, że mimo dwóch kieliszków wypitych w barze poradzę sobie z samochodem. Śpieszyło mi się. Śpieszyło mi się coraz bardziej.

Szczecińska w Gdyni przypominała żywo Wyczółkowskiego w Gdańsku. Taka sama wąska i pnąca się pod górę uliczka, takie same, skromne, a przecież wygodne, jednorodzinne domki. Bez trudu znalazłem podany mi przez barmana adres. Dostępu do posesji broniła furtka z kilkoma wizytówkami. Jedna z nich głosiła: Łucja Wilbach - dzwonić 2 razy. Zadzwoiłem. Prawie natychmiast odezwał się - ciepłym, dziewczęcym głosem - domofon. Musiałem poddać się prawdziwemu przesłuchaniu i dopiero rekomendacja pana Henia poskutkowała. Furtka szczęknęła, droga stała otworem.

Nieśpiesznie podszedłem do willi, nacisnąłem klamkę wejściowych drzwi i wszedłem do wąskiego hallu.

- Proszę na górę - krzyknął ktoś ze szczytu schodów.

Wspiąłem się wolno po tonących w półmroku stopniach. Wreszcie ujrzałem prześwit uchylonych drzwi. Pchnąłem je i znalazłem się w dziwnym wnętrzu. Okna zasłaniały wzorzyste zasłony o orientalnym ornamentcie. Ściana na wprost ozdobiona była ogromnych rozmiarów zdjęciem przedstawiającym nagą młodą kobietę o jasnych włosach i subtelnej urodzie. W jej pozie, spojrzeniu było coś niesłychanie zmysłowego, ba - nawet perwersyjnego, choć fotografii nie można było zarzucić wulgarności. Dziewczyna klęczała, a prawą dłońią o długich, szczupłych palcach zakrywała obrzmiałą, wylewającą się spod tej osłony pierś.

Pod zdjęciem stała niska, szeroka kanapa, zarzucona kolorowymi poduszkami, kocami i kołdrami. Wystrój tego pokoju uzupełniały najróżniejsze typowo kobiece drobiazgi, rozstawione w wyraźnym bezładzie na niskich stolczkach bądź wprost na podłodze. Flakoniki, pudełka kosmetyków, części garderoby, jakieś butelki, popielniczki, kasety magnetofonowe. W pokoju nie było nikogo, choć pasmo aromatycznego dymu i sącząca się skądys melodia (znów - jak niedawno w „Panoramie” - poznałem „Incantations” Mike’a Oldfielda) pozwalały domyślać się czyjejs bliskości obecności.

Pchnąłem silniej drzwi i dopiero teraz ogarnąłem wzrokiem niewidoczną dotąd część pokoju. Stał tam wzorzysty, podobny do zasłon parawan, na którym wisiały kolejno, obok siebie, w demonstracyjnym wręcz porządku, intymne części damskiej garderoby: szlafroczek, stanik, wąskie majteczki i pończochy, prawdziwe pończochy z podwiązkami, jakich nie widziałem już chyba od lat.

- Zamknij drzwi.

Głos, który rozległ się za parawanem niemal mnie zaskoczył, choć przecież Łucja musiała być gdzieś w pobliżu.

Pchnąłem klamkę i zrobiłem krok do przodu. I w tej chwili Łucja wyszła zza parawanu. Wrażenie było silne: poznałem w niej natychmiast dziewczynę z fotografii, zresztą - stała na jej tle. I tak jak ta druga, ze zdjęcia, również żywa Łucja Wilbach była prawie zupełnie naga. Okrywająca ją do kostek tunika była bowiem całkowicie, doskonale przezroczysta!

Nie wiedziałem, jak zacząć rozmowę, ale Łucja była najwidoczniej przyzwyczajona do takich sytuacji. Usiadła naturalnym ruchem na niskiej sofce umieszczonej pod oknem, mnie - wskazała miejsce naprzeciw siebie. Siedziała na tle przyciemnionego, ale jednak prześwitującego jaskrawo okna. Jej twarz tonęła w cieniu, prawie nie mogłem rozróżnić rysów. Moja dla odmiany musiała stanowić znakomity obiekt obserwacji.

Ale Łucja nie od razu spojrzała na mnie. Przedtem wyciągnęła papierosy, poczekała, aż znajdzie zapalniczkę, zaciągnęła się i przymknęła na chwilę powieki.

- Jestem Łucja - powiedziała. - A ty? Jak ty masz na imię?

- Janusz.

- Dobrze. Mówmy sobie po imieniu. Ja ze wszystkimi jestem po imieniu.

Dopiero teraz otworzyła oczy i spojrzała na mnie badawczo. Milczała przez chwilę.

- Czy my się znamy? - spytała wreszcie niespodziewanie stanowczym tonem.

Pokręciłem przecząco głową.

- Zastanów się, może jednak...

- Nie, nie, na pewno... Myślę, że gdybym cię już kiedyś przedtem widział, nie mógłbym o tym zapomnieć.

Była ładna. Autentycznie, cholernie ładna. I zgrabna, choć wszystko w jej sylwetce i twarzy uderzyło pełnością i ociężałością - od okrągłych kolan i wysklepionych bioder, po niemal pucołowate policzki i wielkie, wypukłe oczy.

- Dziękuję za komplement - roześmiała się. - Ale jednak... ja cię znam.

- Nie wiem, co mam powiedzieć. Chyba powinienem się z tego cieszyć?

- I ja nie wiem, ale to mnie niepokoi. Czego ode mnie właściwie chcesz? Czy tego samego co wszyscy?

Pokręciłem głową w milczeniu. Nie wiedziałem właściwie, co powiedzieć, jak wytłumaczyć tej nierealnej i zjawiskowej, a przecież tak w gruncie rzeczy banalnej dziewczynie swoje zawile kłopoty.

- Nie powiesz mi?

- Chcę powiedzieć, ale jakoś trudno mi się oswoić z tym wnętrzem i... z tobą.

- Rozumiem to - znów roześmiała się Łucja. - Więc nic nie mówmy. Jest muzyka, jest papieros i jesteśmy my.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę, choć zdawałem sobie sprawę z całą nienaturalności tej sytuacji. Łucja być może traktowała mnie jako potencjalnego klienta. A ja chciałem zwierzeń, nie rozkoszy. Mimo to milczałem, patrząc na jej posagowe ciało jak na przedmiot estetycznej kontemplacji - rzeźbę lub obraz. zagłębiałem się coraz bardziej w niepokojącą, nierealną atmosferę tego szczególnego miejsca, zapadałem się jakby w dziwne dla mnie poczucie niebytu, równie dalekie od moich wewnętrznych dramatów, co od skłębionych namiętności, jakimi zdawał się dyszeć każdy kąt tego perwersyjnego buduaru.

Wreszcie Łucja skończyła papierosa, zgasiła go w wielkiej popielnicy i podniosła się z miejsca. Nie patrząc na mnie podeszła do okna i uchyliła story. Było coś magicznego w tym prostym geście i niezwykle też wydawał mi się jego efekt. Spędziłem na Szczecińskiej najwyżej kwadrans, a w tym czasie na zewnątrz wypogodziło się - ustał nieznosny wiatr, deszcze przestał padać, a ze skrajów czystego nieba ostro spadały na ziemię promienie przedwiecznego słońca. Cały pokój rozświetlił się nagle jak wydobyta reflektora-

rem z nicości teatralna scena, na której główną, wielką rolę grała ona: zjawą, aktorką, kobietą.

W ramie prześwietlonego okna wyglądała rzeczywiście jak finde-siecle'owa zjawą. Jej piękna twarz tonęła w secesyjnym tle poplątanych niemal ze sobą złotych loków i świeżych, wilgotnych listków dzikiego wina oplatających mur.

Właściwie dopiero teraz mogłem (ba! - musiałem) przyjrzeć się jej dokładnie. Leciutka, przezroczysta tunika nie była prawdziwym strojem, nie była nawet symbolem stroju. Łucja stała przede mną w całej swej dzikiej okazałości, piękna, a równocześnie - nagle - nieskończenie i krwście realna. Patrzyłem na pełne piersi z orzechowymi sutkami, na wiotką mierzwę jasnych włosów oplatających wzgórek Amora, na szerokie, jasne, wybiegające jakby poz pole widzenia uda. Poczulem szybkie bicie serca i rumieniec wypływający na policzki. Pociemniało mi przed oczami.

- Nie myśl o niczym, chodź, chodź...

Głos Łucji dobiegał mnie jak zza mgły, gdzieś w głębi mózgu ostrzegawczo przebiegło krótkim ukłuciem jakieś zatarte wspomnienie, ale posłusznie postąpiłem w ślad cofającej się dziewczyny.

- Nic się nie bój, chodź, chodź... - szeptała długo, bardzo długo, również wtedy, gdy wszedłem już za zakłątą granicę parawanu, a nawet wtedy, kiedy leżeliśmy obok siebie, ciężko dysząc i zapadając się w dźwięki pozaziemskich kantat, które na moje nieszczęście wygrywał na swoich mechanicznych instrumentach niestrudzony Mike Oldfield.

Łucja szeptała coś, a może cicho śpiewała jeszcze bardzo długo, także wtedy, gdy nie byłem już w stanie rozróżnić żadnych słów, a moja umęczona dusza wracała w ciało małego chłopca, który słuchał nuconych przez matkę kołysanek.

Nie wiem, jak długo spałem u Łucji i nie dowiedziałem się tego nigdy, choć wystarczyło spojrzeć na zegarek. Nie zrobiłem tego jednak ani wsiadając do samochodu, ani wracając na Zaspę, ani zapadając w ponowny, gwałtowny sen już we własnym łóżku. Nie zrobiłem tego, bo przez cały czas byłem półprzytomny, balansowałem na granicy snu i jawy.

A jednak nie mogłem wątpić: to, co przydarzyło się po moim przebudzeniu u Łucji, było niewątpliwym faktem. Obudził mnie jej głos, donośny i stanowczy.

- Ubiierz się i porozmawiaj chwilę ze mną. Czekam.

Ubiierałem się niezbyt przytomnie, ale już po chwili wyszedłem zza wzorzystego parawanu. Jeszcze ciągle, z jakimś trudem, usiłowałem przypomnieć sobie szczegóły wydarzeń sprzed kilku godzin. Nie ułatwiał mi tego niecierpliwy głos Łucji dobiegający z głębi mieszkania.

Wyszedłem z buduaru i - oślepiony jaskrawą smugą światła - poszedłem w jej kierunku. Znalazłem się w drugim pokoju, zupełnie innym od tego, który już znałem. Był umeblowany bardzo zwyczajnie, niemal prostacko, a równocześnie - miał w sobie coś zdumiewająco infantylnego. Proste regaliki z książkami, wąska kanapka, małe biurko i dwa krzeselka obok niego - wszystko to przypominało urządzenie pokoju nastolatki.

Ale jeszcze bardziej uderzyła mnie zmiana, jaka zaszła w wyglądzie Łucji. Ubrana była w skromną, długą i luźną suknię nieokreślonego, burego koloru. Jej ciało ginęło w tych ciemnych zwojach, biegnących golfowym kołnierzem aż pod brodę, tak jak uroda twarzy zdawała się rozplywać pod grubymi okularami w ciężkiej oprawie. Zmyła również z twarzy makijaż, a długie włosy upięła pod szarą chustką. Wszystkie te szczegóły przypominałem sobie właściwie dopiero później, wypłynęły jakby z przypominanego sobie z trudem snu. Bowiem Łucja zaskoczyła mnie nie tylko swoim wyglądem, ale i tym, co miała mi do powiedzenia.

- Usiądź - rzuciła niemal ponurym głosem. - Myślę, że przyjechałeś tu, by ze mną porozmawiać, tymczasem to ja porozmawiam z tobą. Widzisz - od razu przypominałam sobie, skąd cię znam. Wiem, że nazywasz się Janusz Smólski i udajesz malarza, albo i jesteś nim naprawdę. To nieważne. A to, co się nam zdarzało wynikało z pewnego planu, który sobie od razu ułożyłam. Teraz przyszła pora, żeby realizować akt drugi i ostatni... Wiem, że kochałeś dziewczynę o imieniu Agnieszka - a przynajmniej zdawało ci się, że ją kochasz. Nawet poznałam kiedyś tę twoją Agnieszkę. Podobno szukałeś jej jeszcze niedawno i pewnie dalej szukasz, to znaczy - udajesz sam przed sobą, że to robisz. Przyszedłeś do mnie, żeby

się czegoś dowiedzieć. Albo może jest inaczej - może przyszedłeś tylko spytać mnie o Wisię, bo coś cię dręczy, gnębi i niepokoi. Choć wcale nie wiesz co. Otóż ja wiem i powiem ci, bo ktoś powinien ci to powiedzieć. Nie wiem, kto ją zabił i nie wiem, dlaczego to zrobił, ale ty - tylko i wyłącznie ty, Januszu Smólski, jesteś winien jej śmierci. Mogłabym ci powiedzieć dlaczego, ale ci nie powiem. Chcę, żebyś stąd odszedł z goryczą, bólem i nieświadomością. Bo tylko na to zasłużyłeś.

Od jakiegoś czasu usiłowałem coś powiedzieć, ale rozumiałem, że to zupełnie bezcelowe. Łucja przerwała mi patetycznym gestem; to ona chciała mówić, mówić do końca i nie obchodziło ją nic, co ja mógłbym powiedzieć.

- Idź teraz i szukaj sobie swojej wyśnionej miłości. Idź i lataj po mieście z nosem w gwiazdach i ręką w kieszeni - na obrzmiałym przyrodzeniu. Nie jesteś jej wart, tak jak nie jesteś wart mnie ani żadnej innej kobiety. Och, wy wszyscy... - zadławiła się niemal skowytym wściekłości, ale wypadła z rytmu monologu, zgubiła nagle pewność siebie. Łkając zerwała się z krzesła i histerycznie wskazała na drzwi.

- Idź sobie... Idź i nigdy nie wracaj!

Zgnębiony i wciąż jeszcze trochę nieprzytomny zacząłem wolno schodzić po schodach. Wiedziałem, że trzeba tu zostać, pytać, mówić, ale rozumiałem, że to zupełnie bezcelowe. Przynajmniej dziś i jutro, i za tydzień.

Byłem już blisko drzwi wyjściowych, kiedy Łucja przechyliła się przez poręcz i krzyknęła triumfalnie w moim kierunku:

- Teraz chyba już rozumiesz, dlaczego z tobą spałam. Po to, żeby ci to wszystko powiedzieć. Tylko i wyłącznie po to. Tylko po to, mój miły.

Trzasnąłem drzwiami i pobiegłem szybko w stronę samochodu. Jej słowa dźwięczały mi w uszach. Może tylko mi się zdawało, ale ostatnie zdanie zabrzmiało inaczej niż poprzednie - niepewnie, z nutką żalu. A może była to tylko złuda moich oszołomionych zmysłów?

Chyba jednak tak - pomyślałem następnego dnia, kiedy po bardzo długim śnie wydobyłem wreszcie ze swej przytępionej świadomości wydarzenia poprzedniego wieczoru. Szczegół po szcze-



góle, jakbym musiał sobie przypominać kolejność pijackich ekscesów.

14.

Była druga po południu, gdy wreszcie wstałem z łóżka - tak zmęczony, jakbym spał tylko cztery godziny. Czulem się źle nie tylko pod względem fizycznym. Ze znużeniem rozpamiętywałem wciąż na nowo zdarzenia wczorajszego dnia, a wyrzuty sumienia i gorycz walczyły z niejasnym poczuciem zagrożenia.

Cóż miały znaczyć słowa Łucji? Skąd знаła mnie tak dobrze i dlaczego tak łatwo rozszyfrowała? No i - przede wszystkim - jeśli znała mnie tak dobrze, to widać miała powody, by wiązać moją osobę ze śmiercią Wisi. Ale o co mogłoby jej chodzić? - nie miałem pojęcia.

Zdenerwowany i niespokojny postanowiłem jednak działać dalej. Stanowczo i z uporem. Miałem w końcu, po czterech wczorajszych rozmowach, znakomity punkt wyjścia. I nawet jeśli zagadek z biegiem czasu przybywało, czulem, że jestem coraz bliższy rozwikłania przynajmniej niektórych spośród nich.

Zjadłem skromne śniadanie i zasiadłem do telefonu. Do Artura nie chciałem dzwonić (niech sam mnie szuka!), ale pozostawała przecież Dorota. Zadzwoiłem pod jej numer - niestety bezskutecznie. No tak, wczesnym popołudniem wszyscy szanujący się ludzie po prostu pracują. Trzeba więc zadzwonić do kogoś do pracy. Westchnąłem. Nadszedł moment na najtrudniejszą rozgrywkę - z porucznikiem Leszczukiem.

Tym razem miałem szczęście - był w komendzie i prawie natychmiast podszedł do telefonu. Nie wydawał się zresztą zdziwiony tym, że do niego dzwonię.

- Panie poruczniku, chciałbym prosić o godzinę rozmowy. Zupelnie prywatnej, choć może i dla was jakiś z niej będzie pożytek.

- Bardzo proszę, służę w każdej chwili. Wie pan, jak do mnie trafić.

- Wiem, panie poruczniku, ale... - postanowiłem być stanowczy, czulem, że tym razem mam przewagę i chciałem ją wykorzy-

stać - ale byłbym panu bardzo wdzięczny, gdyby to pan zechciał odwiedzić mnie. Mam niejaki uraz do budynku, w którym pan urzęduje, to chyba zrozumiałe, a poza tym - pan też wie, gdzie mnie szukać.

- Zgoda - nie oczekiwanie łatwo przystał Leszczuk - czy jest pan teraz w domu?

- Tak.

- To świetnie, będę za godzinę.

Wykorzystałem ten czas na dokładne przypomnienie sobie wczorajszej rozmowy z panią Fabjańską. To ona była dziś moim atutem i przetargowym towarem.

Porucznik zjawił się po trzech kwadransach. Zrobiłem kawę i zagłębiliśmy się w wygodnych fotelach. Chciałem, żeby ta rozmowa miała naprawdę prywatny charakter.

- Panie poruczniku - zacząłem uroczyście - wybaczam panu i jego szefom te zbyteczne represje, jakim mnie poddaliście. Chcę pana przekonać o swej całkowitej bezinteresowności. Otóż, tak się złożyło, że wiem o aresztowaniu osoby podejrzanej o zabicie... tej modelki. Podobno jest to restaurator, niejaki Fabjański.

- Skąd pan wie? - zainteresował się Leszczuk.

- Och - postanowiłem zablefować - całe miasto o tym mówi.

- Jak zwykle - mruknął - ale proszę, niech pan mówi dalej.

- Otóż tak się składa - podjąłem - że zupełnie przypadkowo posiadam pewne informacje na temat związków tego pana z nieboszczką. One chyba raczej świadczą na jego korzyść, ale w końcu panom chodzi przecież o prawdę, nie o kozła ofiarnego.

- To jasne.

- I tu dochodzimy do sedna sprawy. Bardzo chętnie podzieliłbym się z panem tym co wiem, ale moje informacje są zupełnie przypadkowe, tak jak przypadkiem jest to, że w ogóle wiem o aresztowaniu Fabjańskiego. Domyśla się więc pan, że wykazuję w tej chwili wiele dobrej woli, kontaktując się z panem.

Leszczuk uśmiechnął się ironicznie, ale skinął głową.

- W zamian chciałbym oczekiwać tego samego od pana. Trochę dobrej woli.

- Proszę konkretnie. Czego pan chce?

- Ale też jasne! Ja powiem panu to co wiem, a pan - w zamian - powie mi również coś niecoś o... sprawach, które mnie żywo interesują. Jeśli naprawdę nie może mi pan powiedzieć, gdzie jest Agnieszka - to oczywiście nie będę nastawał. Ale przyznam się, że cały czas odnoszę wrażenie, że wie pan o mnie więcej, niż mógłbym przypuszczać. A może nawet - więcej, niż wiem ja sam.

- Odnosi pan wrażenie słuszne. Hmm - roześmiał się Leszczuk - kiedy pan zadzwonił, domyśliłem się, z czym pan wystąpi. I nawet się na taką propozycję przygotowałem. Więc zgoda. Ale pan pierwszy odkryje swoje atuty.

Leszczuk był tak pewny siebie, że przez moment zwątpiłem w wartość tych kart, z którymi zacząłem licytację. Ale i tak nie mogłem już się cofnąć.

- Domyśla się pan zapewne - zacząłem - że wiem również, kto jest ofiarą. Wisia Szewczyk. Oczywiście, o tym też już całe miasto mówi. Ale całe miasto nie wie, bo nie wie o tym prawie nikt, jakie były wzajemne związki Wisi i Fabjańskiego.

- A pan wie - bardziej stwierdził, niż spytał Leszczuk.

- Wiem.

I tu był najtrudniejszy punkt rozmowy. Mogłem powiedzieć porucznikowi dużo, ale nie zdradzając całej swej wiedzy o aferze „kolorów do wynajęcia”, bo w ten sposób demaskowałbym Artura jako mojego „wspólnika”. A tego przecież nie chciałem.

- Wiem - powtórzyłem. - Otóż Fabjański był w niej zakochany jak sztubak, nie widział poza nią świata... Wisia nie podzielała tego uczucia, ale też, o ile wiem, nie mówiła stanowczo: nie. Podobno Fabjański siedział w więzieniu i wyszedł dosłownie na kilka dni przed śmiercią dziewczyny. Przyzna pan, że to mało prawdopodobne, by on, stęskniony i przybity swą izolacją, mordował natchmiast po wyjściu na wolność.

- Niestety, uważam to za bardzo prawdopodobne.

- Dlaczego?

- Powodów mogły być setki, ale podajmy najprostszy i bodaj najczęstszy w tego typu sprawach - zazdrość.

- Nie rozumiem?

- Podobno pan znał denatkę od dawna? Czy mógłby pan przyjąć, że żyła w celibacie?

- Ależ oczywiście, że nie.

- No właśnie. Więc też pewnie nie krępowała się zazdrością starszego pana, który siedział w więzieniu i wobec którego jak pan sam twierdzi, nie miała właściwie żadnych zobowiązań.

- To prawda, ale widzi pan... układ między nimi był dość szczególny. Wisia rzeczywiście prowadziła się bardzo źle, ale on o tym wiedział i jakoś się na to godził.

- I tak to bywa między ludźmi, ale... co pan właściwie chce mi udowodnić?

- Że Fabjański nie miał dostatecznego motywu, a więc popełniłście poważny błąd w śledztwie.

- Och, te motywy, ciągle motywy - zachnął się Leszczuk. - Wszyscy mamy tak wiele motywów, by zrobić to czy tamto, a jednak tego nie robimy. A mordercy... mordercy, ci prawdziwi, często w ogóle nie mają racjonalnych motywów.

- Teraz ja nie wiem, do czego pan zmierza?

- Do zlekceważenia pańskich rewelacji, które zresztą nie są dla nas tak zupełnie nowe. Widzi pan, gdybym bardzo konsekwentnie miał się trzymać teorii „najlepszego motywu” do dziś siedziałby pan w areszcie.

Tego było za wiele: druga osoba w ciągu dwóch dni łączyła mnie wyraźnie ze śmiercią Wisi? Ale dlaczego? Przynajmniej porucznik powinien był mi na to odpowiedzieć. Czuję, jak serce mocniej mi bije, zdobyłem się jednak na zewnętrzny chłód:

- Dlaczego?

- Za chwilę to panu wyjaśnię. Ale wracając na razie do Fabjańskiego, w jego przypadku mamy coś znacznie pewniejszego od psychologicznej motywacji - jego przyznanie się do winy.

- Co!? - byłem naprawdę zaskoczony. - Więc Fabjański przyznał się do morderstwa?

- Tak, drogi panie. Mamy zresztą świadka, który widział go na miejscu zbrodni, więc moglibyśmy nawet ryzykować proces poszlakowy.

- Zaraz, zaraz - starałem się opanować. - O ile mi wiadomo, w polskim prawie nie wystarcza do skazania przyznanie się oskarżonego do winy. Muszą być jeszcze dowody.

Leszczuk skinął głową.

- Musi być więc również motyw, jeśli oskarżony ma być uznany za poczytalnego.

- I motyw jest - potwierdził porucznik. - I to wcale nie zażdość. Powód jest dużo bardziej przyziemny, nawet prymitywny. Fabjański po prostu się mścił - mścił się za to, że Szewczykówna napisała donos, który wpełchnął go do więzienia. Przyzna pan, że to zupełnie dobry motyw.

Westchnąłem. Co właściwie miałbym mu powiedzieć? Że wiem od Fabjańskiej coś innego o tym anonimie. Właśnie tego powiedzieć nie mogłem. Ale przyznanie się restauratora do zabójstwa było jednak cokolwiek dziwne.

- A wracając do tego, co mówiłem na pana temat - podjął Leszczuk, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki sporą szarą kopertę. - W środku są ciekawe zdjęcia. Niech pan je obejrzy.

Wyciągnąłem rękę po kopertę nie bez wewnętrznego niepokoju, ale to co ujrzałem po jej otwarciu sprawiło mi niemal w szok. Koperta zawierała kilkanaście zdjęć pocztówkowego formatu przedstawiających szczegółowo akt seksualny dwojga młodych ludzi. Musiał je robić dobry fotograf, gdyż mimo słabego światła i niewyraźnego tła, nie miałem najmniejszych kłopotów z odróżnieniem rysów twarzy uchwyconej przez obiektyw pary. Dziewczyną ze zdjęć była Wisia Szewczyk, zaś mężczyzną... mężczyzną byłem niewątpliwie ja sam.

Wpatrywałem się w fotografię ze zdumieniem, gorączkowo usiłując sobie przypomnieć, gdzie i kiedy mogły być zrobione. To było idiotyczne - przecież na pewno nigdy nie spałem z Wisią. Nie spałem w rzeczywistości, ale robiłem to jednak, na wiele różnych sposobów, na zdjęciach, które wręczył mi porucznik. to było bez sensu.

- Niech się pan nie martwi, wcale pan nie cierpi na utratę pamięci. To są po prostu fotomontaże, znakomite, fachowo zrobione - przyszedł mi z pomocą Leszczuk.

- Ale po co? - wybuchnąłem.

- Ba! I ja chciałbym to wiedzieć - wzruszył ramionami. - Miałem nadzieję, że dowiem się od pana.

- Widzę te zdjęcia pierwszy raz w życiu, nigdy o nich nie słyszałem. No i... nie miałem nic wspólnego z Wisią.

- A jednak te zdjęcia istnieją. Są faktem. Ktoś zadał sobie wiele trudu i na pewno miał jakieś, jeśli pan chce, motywy. Jedno jest zastanawiające - to nie są zdjęcia robione w celach pornograficznych. To raczej rodzaj dokumentu zarejestrowany przez pomocy ukrytego aparatu. Tego rodzaju zdjęcia robi się zazwyczaj tylko w jednym celu - by kogoś szantażować. U nas zdarza się to rzadko, ale jednak - zdarza się. Kłopot polega na tym, że nie bardzo rozumiem kogo można by szantażować przy pomocy tych właśnie zdjęć. Bo przecież nie pana, skoro pan świetnie wie, że zdjęcia są sfalszowane. I nie Szewczykównę, bo ona spotykała się z wieloma mężczyznami. Więc kogo? Przyzna pan, że to bardzo ważne pytanie, skoro zdjęcia przedstawiają denatkę i jej potencjalnego zabójcę?

- Nie potrafię odpowiedzieć na żadne z pańskich pytań. Ale może szantażowany był po prostu ten, u kogo znaleziono te zdjęcia?

Leszczuk roześmiał się.

- Zadaje mi pan podchwytliwe pytania, ale niech tam... i tak postanowiłem powiedzieć panu więcej, niż powinienem. Te zdjęcia znaleźliśmy w trakcie rewizji w mieszkaniu Szewczykówny. Był jedynym przedmiotem o charakterze obscenicznym, zresztą Wisia - jak ją pan nazywa - schowała je bardzo pieczołowicie w blaszanym pudełku w szufladce, gdzie przechowywała osobiste pamiętki.

- Czyli, że nic z tej informacji dla nas nie wynika.

- Dla nas - zaakcentował porucznik - nie. Ale może dla pana...

- Nie rozumiem.

- Och - westchnął Leszczuk - już pora, żeby pan zaczął rozumieć. Zaczęliśmy tę rozmowę od tego, że pan mógłby siedzieć w celi zamiast Fabjańskiego. Zaraz wyjaśnię dlaczego... Pan jest związany z Wereszycką. Ale dziewczyna odchodzi. Martwi się pan, szuka jej, wreszcie znajduje pocieszenie w ramionach Szewczykówny. Mogło tak być?

- Teoretycznie tak.

- Teoretyzujemy więc dalej. Sama Szewczykówna powoduje powstanie tych fotografii. Ma swoje powody...

- Ale jakie, jakie? - wybuchnąłem.



„opieki” Agnieszki i popadała - ze swoim buntem - w krańcowość, w wulgarność, prymitywny seksualizm, pustą bezczelność i prowokacyjność. Taka przecież - na przekór Agnieszce - bywała wobec pana. I gdyby - właśnie taka - potrafiła pana zdobyć, byłoby to dla Agnieszki ciężką do zniesienia lekcją.

- Jestem gotów zrozumieć, nawet zrekonstruować sobie te psychologiczne zawilości, o których pan mówi, choć - nie ukrywam - stanowią dla mnie nowość. Ale wybaczy pan pytanie, które musi w tym miejscu paść. Skąd pan właściwie wie o tym wszystkim?

- Jak to skąd - zdziwił się Leszczuk - od obywatelki Wereszyckiej. To chyba oczywiste.

- Widzę, że systematycznie ucina pan z nią sobie pogawędki.

- Niechże pan się nie obraża - jak nastolatek. Rozmawiałem z Wereszycką tylko raz. Niestety, tylko raz. To było po tym, jak zidentyfikowaliśmy zwłoki, ale niestety, jeszcze przed rewizją w mieszkaniu Szewczykówny.

- Więc Agnieszka nie zna tych zdjęć?

- Chwileczkę, wróćmy do tego, od czego zaczęliśmy. Jak pan widzi - mamy znakomity motyw. Bardzo by się podobał w sądzie. Ale jednak chodzi pan na wolności. Bo cała ta konstrukcja ma parę słabych miejsc. Więc po pierwsze: zrobiliśmy oczywiście to, co panu w ogóle nie przyszło do głowy. Zbadaliśmy odciski palców zostawione na tych fotografiach. Wyniki były wręcz niezwykle. Znaleźniono odciski palców Szewczykówny, jakież nieznane milicyjnym kartotekom ślady, pozostawione najpewniej przez kobietę, oraz - rzecz zadziwiająca - odciski palców Fabjańskiego. Działo się to wszystko w dzień po naszej rozmowie z Wereszycką. Nawet jeszcze nie umyłem szklanek, z których piliśmy herbatę. I któryś z moich kolegów wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł - dał do zbadania szklanek, z której piła pańska Agnieszka, a nasi specjaliści ustalili ponad wszelką wątpliwość, że te kobiece odciski na fotkach zostawiła Wereszycka.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Przyznam się panu szczerze, że ja też. Zwłaszcza, że Fabjański, którego mamy przecież u siebie z zupełnie niezrozumiałych powodów nie chce na ten temat powiedzieć ani słowa.

- Ale dlaczego miałyby to świadczyć na moją korzyść?



- To proste. Gdyby rzecz tak się miała, jak ją wcześniej przedstawiłem, na zdjęciach nie miały prawa znaleźć się odciski palców Fabjańskiego. Te ślady nie tylko eliminują mi pana spośród podejrzanych, ale również mącą obraz sprawy samego Fabjańskiego...

- Ale, ale - przypomniało mi się - dlaczego pan nie spyta o te zdjęcia samej Agnieszki?

Leszczuk westchnął nadszpiewanie ciężko.

- Bo obywatelka Wereszycka zniknęła nam z oczu. Zupełnie tak jak panu. Obawiam się, że to jej specjalność.

Roześmiałem się mimo woli, choć wcale nie było mi do śmiechu.

- Więc będziemy jej szukać razem?

- Widzę, że pan nie rezygnuje?

- To mi wolno, panie poruczniku? Chyba jeszcze wolno kochać?

- Prawo nie zabrania, ale jeśli chce pan posłuchać mojej rady, to lepiej niech pan da sobie spokój.

- Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

- Musi pan to wiedzieć?

- Muszę, po prostu muszę.

- Będę się zbierał. Aha - jeszcze jedno. Opowiedziałem panu tak wiele szczegółów nie po to, żeby pana straszyć. Ani przez chwilę nie wierzyłem w pana winę. To sprawa intuicji, ale również, jak zwykle, faktów. Ten ktoś, kto zabił Szewczykównę wyjął jej dokumenty z torebki i włożył w to miejsce dowód Wereszyckiej. Nie mógł to być pan, bo pan nie miał żadnej styczności z Agnieszką, a trudno przypuszczać, że właśnie pan znalazł jej torebkę na ulicy.

- Rzeczywiście, nie pomyślałem o tym. Ale w takim razie trudno chyba będzie udowodnić, że Fabjański miał jakiś kontakt z Agnieszką?

- Owszem, to kolejna zagadka. I wszystko to konsekwentnie obraca się wokół pana.

- To już nie moja wina.

- Mam nadzieję.

Leszczuk zmierzał już do drzwi, kiedy przypomniałem sobie, że coś mnie zaniepokoiło w jego relacji o odciskach na zdjęciach. Zatrzymałem go.

- Jeszcze jedno... Może naczytałem się za dużo kryminalów, ale coś mi się nie zgadza w tej całej historii ze zdjęciami.

- Słucham.

- Mówił pan, że znaleziono na nich odciski palców Wisi, Agnieszki i Fabjańskiego?

- Tak.

- I żadnych innych?

- Nie. A co - czy uważa pan, że powinny być jeszcze jakieś?

- Owszem. W końcu trudno przypuszczać, że Wisia sama się sfotografowała. Więc albo zrobił to Fabjański, albo ktoś inny, jakiś pan X, który jednak z zupełnie niezrozumiałych powodów używał rękawiczek. A po co miałyby to robić, skoro zdjęcia nie miały w istocie służyć kryminalnemu szantażowi, a przeznaczone były do... hmm... nazwijmy to tak - prywatnych celów?

- Powiem panu szczerze - był to, zdaje się, ulubiony zwrot porucznika - nie wiem. Nie mam pojęcia i nigdy nawet o tym nie pomyślałem. Tu mnie pan złapał.

Leszczuk położył już rękę na klamce, ale odwrócił się jeszcze raz:

- Pan jednak nie jest taki głupi, jak by się to mogło zdawać - powiedział.

I wyszedł. Nie da się ukryć, że porucznik Leszczuk jest rozbijającą szczerą, kiedy już zaczyna coś mówić - pomyślałem, zamykając za nim drzwi.

Wróciłem do pokoju i usiadłem wygodnie w fotelu. Nie byłem wcale taki głupi, jak sądził Leszczuk. A może nawet byłem mądrzejszy od samego porucznika? W każdym razie miałem nadzieję, że niedługo go o tym przekonam.

Bowiem porucznik Leszczuk przegapił jeszcze jeden bardzo ważny ślad w swoim śledztwie - ślad, którego ja nie chciałem zlekceważyć. I którym chyba tylko ja mogłem podążyć dalej. Kiedy Leszczuk oddychał przy oknie świeżym powietrzem, odwrócony do mnie tyłem, schowałem szybko pod obrus trzy spośród przyniesionych przez niego zdjęć. Były mi potrzebne. Bardzo potrzebne.

Wyciągnąłem je spod serwety i zacząłem się im jeszcze raz uważnie przyglądać. Nie były to obrazki wulgarnie, ale też nie można by ich nazwać przyzwoitymi. Wisia wyglądała nawet ponętnie, jej ciało było delikatne, wręcz kruche. Dopiero teraz oglądając zdjęcia raz jeszcze, zdziwiłem się, że od razu nie poznałem w nich falsyfikatu. Mężczyzna, który był partnerem Wisi miał nawet ciała podobne do mojego, ale jednak ja sam bez trudu rozpoznawałem różnicę. Czy poznałaby się na tym fałszu również Agnieszka? Myśl o niej dziwnie mnie zaboląła. Jakby dziewczyna oddaliła się ode mnie, jakby wciąż dalej odpływała. Może sprawiły to wiadomości na jej temat, który serwował mi Leszczuk i inni? Może wyłaniała się z nich inna Agnieszka, nieznana, obca?

Mimo woli wróciłem znów myślą do Wisi. Dopiero teraz zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, jak mało w gruncie rzeczy wiedziałem o tych dwóch dziewczynach - Wisi i Agnieszce - o ich szczególnym związku, a nawet o samym sobie, bo przecież i ja byłem związany z obydwiema, nie tylko z Agnieszką, związany ich różnymi, a jednak wspólnymi uczuciami. Czy to możliwe, że Wisia mnie kochała? - pomyślałem, wspominając słowa porucznika.

Leciała na mnie, dziesiątki razy zachowywała się wobec mnie prowokacyjnie - teraz przypominałem to sobie wyraźnie. Ale przecież nigdy nie przekroczyła jakiegś subtelnej granicy, nie próbowała mówić mi o sobie, spotykać mnie, pisać do mnie. Może w ten sposób starała się być lojalna wobec Agnieszki? Jeśli Wisia rzeczywiście mnie kochała, jej postępowanie mogło być zdeterminowane klęską tego uczucia. Że tak bywa - ja sam wiedziałem najlepiej. To uczucie zmieniło jej los, tak tragicznie zakończony. I taki mógł być związek między mą obojętnością a jej śmiercią. Tylko taki!

Z głębokiego zamyślenia wyrwał mnie przenikliwy dzwonek telefonu. Podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos Doroty, do której już dwa razy bezskutecznie telefonowałem.

- Cieszę się, że cię zastaję - powiedziała poważnie. - Boję się, że jestem nudna ze swoimi odkryciami, ale... no właśnie, sędzę, że znowu coś odkryłam. Czy możesz do mnie przyjechać?

- Oczywiście, kiedy tylko chcesz.

- Nie wychodzę już dziś z domu.

- Doskonale, będę u ciebie za godzinę.

15.

Śpieszyłem się do Doroty, a jednak nie dotrzymałem słowa i zjawiłem się u niej o zmierzchu, w dobre trzy godziny po jej telefonie.

Kiedy odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na zegarek, osaczyły mnie nagle drobne, codzienne sprawy, o których przez ostatnie dni starałem się w ogóle nie myśleć. Była szósta po południu, a ja od ponad doby prawie nic nie jadłem. Tymczasem domowe zapasy skończyły się dokumentnie. Został makaron i puszka wołowiny. Wrzuciłem to wszystko do garnka, czując równoczesny przyływ wilczego apetytu i powracającej, radosnej energii.

Całą kuchnię zalegały stopy brudnych naczyń. Umyłem je teraz, starłem również kurze, zmieniłem żarówkę, która przepaliła się dobry miesiąc temu. Wreszcie zjadłem swój rozgotowany makaron i przesadnie zadowolony z siebie wsiałem do samochodu. Nie ujechałem daleko. Na samym środku Alei Zwycięstwa, w lawinie innych samochodów, silnik mojego fiacika zapyrkał raptem, zakrzuszył się i zgasł. Z wielkim trudem umknąłem jeszcze z ruchliwego lewego pasa na wąski trawnik koło torów tramwajowych i - chcąc nie chcąc - stanąłem. Włączyłem światła awaryjne i wysiadłem. Sprawa była jasna - jeździłem ostatnio wiele i w różne miejsca. Tylko nie do stacji benzynowej. Zabrakło paliwa. Nie było go również w kanistrze, musiałem więc pomaszzerować piechotą na stację.

Kiedy wreszcie dotarłem na Siedlce, do Doroty, zapadał zmrok. Dziewczynka już spała, a Dorota, skupiona i poważna, od razu posadziła mnie w fotelu i zaczęła mówić.

- Nie wiem, co zrobiłeś od naszego spotkania, ale ja nie mogłam się uwolnić od myśli o twoim ojcu. To jest zagadka, która mnie naprawdę fascynuje, nie jakieś tam „kolory do wynajęcia”, o których z taką werwą rozprawiał Artur. Ale, z drugiej strony, trop mi się właściwie urwał. Czego się mogłam dowiedzieć o Michale Widerskim, tego się dowiedziałam. Ale jestem przekonana, że to był tylko pseudonim. Twój Ojciec mógł później powrócić do swojego prawdziwego nazwiska, to czy na Zachodzie. I może żyje sobie, gdzieś całkiem niedaleko, nawet trzy ulice stąd. Na pewno

mogłabym coś wyszperać, gdybym miała tę najważniejszą wiadomość - czy rzeczywiście zginął wtedy, w 1950, czy po prostu zmienił miejsce pobytu i gdzieś się zawieruszył. I oto, zupełnie przypadkowo, zdobyłam na ten temat informacje. Jak może wiesz, każda poważna biblioteka prowadzi dział rękopisów. Mam dobrze koleżkę w dziale rękopisów biblioteki PAN-u i zupełnie instynktownie, nie bardzo wiedząc, czego właściwie szukam, poprosiłam go o udostępnienie różnych rękopiśmiennych materiałów dotyczących byłych żołnierzy AK. Przejrzałam trochę dokumentów, wspomnień listów, aż wreszcie natrafiłam na pamiętnik majora Suheckiego, obejmujący okres od 1939 do 1956. W części w „wojennej” nie znalazłam nic ciekawego, nazwisko Widerskiego tam się nie pojawia. W roku 1950 major Suhecki trafił do więzienia, w Warszawie. Posłuchaj teraz, jaką notatkę znalazłam pod czerwcową datą 1951 roku. Przepisałam ten tekst dokładnie: *Dziś na spacerze widziałem kolejnego znajomego - porucznika Michała Widerskiego, poetę i redaktora jednego z czasopism. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybym nie wiedział, że jeszcze w 49-tym Wickerski był na Zachodzie, a nawet podobno tam się ożenił. Jeżeli niedawno wrócił do Kraju, to wybrał sobie bardzo zły moment. To wszystko, więcej nazwisko twojego ojca w pamiętniku majora się nie powtarza, ale i tak jest to wiadomość kapitalnej wagi. Wiemy już, że nie zginął na Zachodzie i wrócił do Polski.*

Słuchałem Doroty z napiętą uwagą i rosnącym podnieceniem. Więc mój tajemniczy, nieznany, legendarny ojciec żył! A przynajmniej żył jeszcze w 1951 roku. I to w Polsce. Ale, jeśli wrócił, czemu nie skontaktował się z matką i ze mną? Dlaczego już nigdy nie zobaczyliśmy go? I na te pytania musiałem znaleźć odpowiedź. Czuję, że jest ona coraz bliższa. Odkrycie Doroty dawało mi rzecz ogromnie ważną - punkt wyjścia. Uściskałem ją serdecznie, widziałem, że jest wzruszona jak i ja.

- Pójdę tym tropem - powiedziałem. - Skoro widział ojca ten major Suhecki, to musieli go widzieć i poznać również inni ludzie. Trzeba ich tylko znaleźć.

- Myślałam o tym. Niestety, autor pamiętnika już nie żyje. Zmarł dwa lata temu i wtedy właśnie wdowa po nim zdecydowała się przekazać te zapiski bibliotece PAN-u. Dali mi tam jej adres,

więc jeśli chcesz, możesz spróbować spotkać się z nią i porozmawiać.

Wkrótce pożegnałem Dorotę - może zbyt szybko, ale czułem, że muszę natychmiast działać. Zrobiło się już zbyt późno, byjechać do pani Sucheckiej, ale miałem jeszcze na ten wieczór swoje plany.

Wyjechałem na Zakopiańską, a potem, skrótłem w lewo, zostawiając z boku Stare Miasto, zawróciłem w stronę Wrzeszcza. Było ciepło, choć w powietrzu czuło się wilgoć. Piękna czerwcowana noc wynagradzała jakby zmęczonemu miastu gwałtowne ostatnio wolty pogody.

Czerwcowo? Musiałem się przez chwilę zastanowić. A może już jest lipiec? Trochę nie pogubiłem w natłoku pośpiesznie mijających dni. Wyliczyłem wreszcie, że musi być środa 27 czerwca. Nie minęły nawet dwa tygodnie od telefonu Eda, który w tak zasadniczy sposób miał zmienić moje życie. Tych kilkanaście dni poświęconych poszukiwaniu Agnieszki nie zbliżyło mnie do niej nawet o cal, a kto wie - może oddaliliśmy się od siebie jeszcze bardziej - w przestrzeni i czasie. Ale mimo to czułem, że jestem już bliski rozwikłania dręczących mnie, wciąż mnożących się zagadek. Łamigłówka powoli zaczęła się układać.

Jeśli mój ojciec wrócił do Polski i siedział w więzieniu w Warszawie, to mógł się tam spotkać z Wereszyckim, ojcem Agnieszki. Mogli się zresztą spotkać już wcześniej - w podziemiu albo na barykadach Powstania. Może coś ich łączyło, może dzieliło? Może był między nimi konflikt, zdrada, kobieta, wspólna pamięć jakiejś tragedii? To mogłoby tłumaczyć niechęć matki Agnieszki do mnie... Ale w jaki sposób Brzeska mogła skojarzyć mnie, Janusza Smólskiego, z nigdy przeze mnie nie widzianym ojcem, Michałem Widerskim, skoro nawet ja sam przypuszczałem, że dawno nie żyje? Wytłumaczenie mogło być tylko jedno - Brzeska „poznała” mnie na zdjęciu, które dałem Agnieszce. Widocznie byłem uderzająco podobny do ojca. To możliwe. Lecz wynikałoby z tej hipotezy, że Brzeska musiała dobrze znać mojego ojca!

Znów namnożyło się pytań pozostających na razie bez odpowiedzi.

Mechanicznie skrzyłem w stronę wiaduktu prowadzącego na Zaspę, ale natychmiast oprzytomniałem, zawróciłem i wjechałem w Aleję Wojska Polskiego. Mój przyjaciel Janek Marszałkowski mieszkał na Karłowicza. i tam się właśnie wybierałem.

Janek był fotografem (artystą - fotografem), oryginałem i moim serdecznym druhem. Urządził sobie pracownię w domu i przesadywał w ciemni całymi godzinami, mieszając dzień z nocą lub gruntownie, że nigdy nie miało się pewności, czy aktualnie śpi czy pracuje. Miało to swoje zalety, bo drzwi jego mieszkania stały dla przyjaciół otworem przez okrągłą dobę i nawet jeśli ktoś zjawiał się o piątej rano, a Janek przypadkiem spał - nie miał gościom za złe spóźnionej (przedwczesnej?) wizyty.

Lubiłem Janka od lat, a on lubił mnie fotografować. Robił to dziesiątki razy, przy różnych okazjach i miał w tej dziedzinie całkowity monopol. Przed paru laty należeliśmy do tej samej artystycznej paczki i Janek uwiecznił nasze twarze setki razy, choć po prawdzie rzadko wręczał nam odbitki, z których był naprawdę zadowolony. Ale sam orientował się w swym archiwum negatywów znakomicie.

Miałem szczęście - mimo iż dochodziła jedenasta, nie spał.

Janek był mrukliwy, łagodny i bardzo życzliwy ludziom. Ale tylko tym, których lubił. Nie było ich wielu, więc nieliczni wyróżnieni potrafili docenić dar przyjaźni Janka, dopuszczenie do bliskiej komitywy. Tych traktował poufale, acz miał na ich użytek specjalną, tajemniczą minę, jakby głównym celem jego kontaktów z przyjaciółmi było bezustanne spiskowanie. To upodobało go do Artura, z którym zresztą również się zaprzyjaźnił i zawsze mnie śmieszył widok tej dwójki „spiskującej” wspólnie.

A jednak byli różni; Janek przygotował dzbanek herbaty i rozsiadł się wygodnie na nic nie narzekając, niczego nie krytykując, po prostu ciekawy mnie i tego, co miałem mu do powiedzenia.

Nie było sensu owijać nic w bawełnę. Wyciągnąłem z zanadru podkradzione Leszczukowi zdjęcia i podałem je Jankowi.

- Co o tym sądzisz?

Janek rzucił okiem na fotografie. Odłożył je na stół i spokojnie, tak jakby nic go nie zdziwiło i nie zaskoczyło, powiedział:

- To fotomontaże, oczywiście. Dość dobre, ale ja się na tym znam. zresztą, nawet gdybym się nie znał i tak wiedziałbym, że to zmontowane.

- Skąd?

- To proste: nigdy nie fotografowałem kopulujących par. Natomiast wielokrotnie fotografowałem ciebie.

- Chcesz powiedzieć, że...

- Tak, chcę powiedzieć, że do montażu użyto zdjęć mojego autorstwa.

- Niesłychane!

- A jednak. Chyba się tego spodziewałeś, skoro przyszedłeś prosto do mnie?

- No tak, przypuszczałem, że to prawdopodobne.

- Możesz mi powiedzieć, o co tu chodzi?

Opowiedziałem, oczywiście, ile mogłem. Być może w innej sytuacji opowiedziałbym mu w ogóle całą tę nieszczęsną historię, ale tego wieczoru nie starczyło mi na to sił.

Janek nie wydawał się zdziwiony czy przejęty. Wstał jednak bez słowa, poszperał w szafie, wyciągnął butelkę wódki i dwa kieliszki.

- Tak czy inaczej, myślę, że ci się to przyda.

Z przyjemnością wypilem kieliszek. Odpoczywałem, jak niegdyś u Doroty, w tym samym ciepłym, którym promieniuje przyjaźń. Ale jednak nie zapomniałem o celu swej wizyty.

- janku, skoro tak łatwo poznałeś zdjęcia swego autorstwa, pamiętasz chyba również, kiedy i jak powstały?

- Oczywiście, nie muszę nawet grzebać w archiwum... To było ze dwa lata temu. Przygotowywałeś wówczas wystawę w BWA i razem z kilkoma osobami postanowiliśmy zrobić ci kawał. Pamiętasz taką wycieczkę późnojesienną nad morze? Byłeś ty, Agnieszka, Artur Dembowski i inni. Zorganizowaliśmy zawody sportowe, biegi, skoki, podnoszenie ciężarów. Fotografowałem wtedy niby wszystkich, ale przede wszystkim ciebie. Chcieliśmy z okazji wystawy wydać specjalny program - bez twojej wiedzy i zgody - przedstawiający awangardowego mistrza pędzla w szczególnej roli sportowca. Miało w tym programie być dwadzieścia zdjęć, ja ich zrobiłem chyba ze sto.



- Ależ ja ich nigdy nie widziałem!

- Nie, bo programu nie udało się wydrukować. Zabrakło papieru czy czegoś innego. A że zdjęcia były robione w tajemnicy, więc też tajemnicą pozostały. Wcale się zresztą nie dziwię, że to tych fotek użyto do fotomontażu. Nie darmo psychologowie mówią o zastępczej roli rywalizacji. sportowej wobec aktywności seksualnej. Orwell też o tym pisze. Czytałeś?

Przytaknąłem.

- No właśnie - podjął Janek - jeśli z takich sportowych ujęć zostawić tylko twarz, to będzie się na niej malowała szeroka gama uczuć - ekstaza, wysiłek, napięcie nerwowe, błogość. Będzie wszystko co trzeba - zamknięte oczy, wzburzone włosy, szeroko otwarte usta.

- Masz rację, to wszystko wyjaśnia. Ale czy pamiętasz, komu oddałeś te zdjęcia?

- Oczywiście, że pamiętam - Arturowi. A co on z nimi zrobił, nie wiem. Zresztą możesz go sam spytać, bo zadzwonił na krótko przed twoim przyjściem i zapowiedział się jeszcze na dzisiaj.

Jakby wywołany słowami Janka u drzwi wejściowych odezwał się brzęczyk.

- O wilku mowa... - podniósł się z krzesła gospodarz.

- Poczekaj sekundę - zatrzymał go - nie chcę na razie, żeby Artur wiedział o tych zdjęciach. Potem wyjaśnię ci dlaczego.- Nie podoba mi się to, Janusz - Janek był lojalny jak zwykle - z przyjaciółmi trzeba szczerze.

Brzęczyk u drzwi zabrzmiał raz jeszcze, niecierpliwie.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Ja też miałem tę nadzieję, kiedy pośpiesznie chowałem zdjęcia do kieszeni.

Artur wszedł, nie, raczej wśliznął się do pokoju - podejrzliwy i nieufny jeszcze bardziej niż zwykle.

- Co wy tu robicie? - spytał, jakby widok napoczętej butelki nie był sam w sobie dostatecznie wymowny.

- Chyba widzisz - odparłem z głupawym uśmiechem.

Artur, nie zwracając na mnie uwagi, podniósł do nosa szyjkę butelki.

- Faj, świństwo - zawyrokował, ale jednak opadł na fotel z głośnym westchnieniem ulgi. Wyglądał na zmęczonego i - dopiero w tej chwili zdałem sobie z tego sprawę - był już chyba lekko wstawiony.

- Dajcie kieliszek - zakomenderował. Wypił, rytualnie chuchnął i raz jeszcze, baczny spojrzeniem obrzucił pokój.

- To co, prowadzicie życie towarzyskie? - spytał.

- Jak co roku o tej porze - roześmiał się Janek.

To była aluzja, zrozumiałem ją od razu i zrobiło mi się przykro. Parę dni temu nasz gospodarz obchodził imieniny. Po raz pierwszy od dawno zdarzyło mi się o tym zapomnieć. Zacząłem Janka niezręcznie przeproszać, a on odganiał się ode mnie jak od uprzykrzonej muchy.

- Tak, tak - przerwał nam wciąż naburmuszony Artur - prowadźcie dalej życie towarzyskie a pan redaktor wszystko za was załatwi

- O co mu idzie? - zdziwił się Janek.

- Artur pomaga mi w pewnej delikatnej i skomplikowanej sprawie - wyjaśniłem.

- Pomaga, jak może, ale wciąż bezskutecznie - Artur wychylił kolejny kieliszek. - Wybaczcie mi mój fatalny humor, ale czuję się tu jak na stypie.

Byliśmy co najmniej zdziwieni, ale Artur ciągnął nie ponaglanym.

- Wracam z pogrzebu. No, może nie prosto ze Srebrzyska, ale tych kilka barów po drodze z cmentarza się nie liczy.

- Czego pogrzebu? - wyrwało się nam z Jankiem prawie równocześnie.

- Wisi Szewczyk. Znałeś ją? - spytał Janka.

- Tylko z widzenia, ale słyszałem o całej sprawie.

Potrafił drań być lojalny. „Tylko z widzenia”... przed piętnastoma minutami na dość szczególnych fotografiach.

- No właśnie - podjął Artur - Janusz znał ją dużo lepiej. Ale to dobrze, że nie byłeś na pogrzebie. Mnie to wystarczyło na rok. Brrr... nie lubię grzebać znajomych.

- Nie chcesz o tym mówić? - spytałem.

- A ty chcesz?

- Podobno zabójcy przychodzą na pogrzeby swych ofiar.

- O ile nie siedzą za kratkami, a tak jest w tym przypadku. Ale i tak zebrała się tam niebywała menażeria. Była jej siostra, zapłakani rodzice, którzy przyjechali hen z zielonogórskiego, był twój ulubieniec Uhnalik...

- Sam? - wyrwało mi się.

- A z kim miałem być twoim zdaniem?

Wzruszyłem ramionami. Mógł być z ojcem - pomyślałem. Ale nie widziałem potrzeby mówić tego głośno.

- Było mnóstwo ludzi - ciągnął tymczasem Artur - strasznie mnóstwo... była taka piękna Łucja, blondynka, posagowa, myślałem, że już dawno jest w Szwecji. Cały czas płakała; ciekawe czemu?

Monolog Artura stawał się coraz bardziej pijacki i bezładny, ale słuchałem go z zajęciem. Czułem, że Artur może powiedzieć coś ważnego i zaczynałem żałować, że sam nie wybrałem się na Srebrzysko. I w tym momencie odezwało się sumienie. Ty tam powinieneś być - powiedział jakiś wewnętrzny głos. Ci, którzy żyją grzebali w ziemi tę, która umarła i tę, która cię kochała. Grzebali w ziemi twoją miłość, częśćkę ciebie, do której się nie przyznajesz. Od dziś jesteś uboższy o tę częśćkę i o tę chwilę, którą powinieneś był spędzić nad otwartą mogiłą, płacząc tak jak obca ci i najbliższa Łucja, jak Agnieszka, gdyby tam była...

Westchnąłem, zawtórował mi Artur. Janek pokiwał w zamyśleniu głową. Nasze spotkanie rzeczywiście upodobniało się do bardzo pijackiej stypy.

- A Agnieszki tam nie było? - zaskoczył nas prostym, w dobrej wierze zadany pytaniem Janek.

Artur milczał, milczał dłużej niż powinien, ze wzrokiem utkwionym w kieliszek, jakby spodziewał się tam ujrzeć siebie, mnie, Agnieszkę, nasze przyszłe losy.

- Była - powiedział wreszcie niechętnie - Agnieszka tam była.

Moje serce zaczęło nagle wykonywać szalone skoki, mimowolnie podniosłem do ust kieliszek. Artur w tej samej chwili poszedł w moje ślady. Zdziwiony Janek trzepotał rękami, jego pytanie było zupełnie niewinne, nie mógł zrozumieć, co się między nami dzieje.

- Agnieszka tam była - powtórzył jeszcze raz Artur, odstawiając kieliszek i oddychając głęboko. - Szukałem jej przez wiele dni, wszędzie gdzie się tylko dało i na sto różnych sposobów. A kiedy wreszcie ją zobaczyłem, rozdzielał nas otwarty grób, powaga chwili, jej łzy i kwiaty, które rzuciła na trumnę. Poczułem się bezwstydnie, jak szpicel, który wciąż zapomina o realnej śmierci młodej dziewczyny, a interesuje się „denatką” i „faktami”. Nie mogłem wtedy, nad grobem, przeciskać się do niej przez zbity tłum, a potem, kiedy wychodziliśmy z cmentarza, wyprzedziła mnie, wsiadła do niebieskiego chryslera i odjechała. Nigdy bym nie przypuszczał, że ona ma prawo jazdy - dodał z typowo pijacką niekonsekwencją.

Milczał przez chwilę, wreszcie skinął na Janka:

- Polej jeszcze, inżynierze.

Janek był rzeczywiście inżynierem i Artur zwykł był tak go tytułować w chwilach melancholii. Tytułował wtedy wszystkich, mnie obdarzając protekcyjnym: „mistrzu”.

- I tyle, mistrzu - podniósł wzrok na mnie.

Janek wyciągnął kolejną butelkę, połał. Opowieść Artura nie wysmagała ani dodatkowych pytań, ani komentarzy, więc milczeliśmy, rozpamiętując każdy własne kłęski i bóle, coraz bardziej pijani i niedorzecznie samotni, trzej mężczyźni po trzydziestce, pulsujące światłem okienko, płomyczek w pustej ciemni milionowego miasta.

16.

Zostałem, oczywiście, na noc u Janka. Byłem zbyt pijany, by wsiadać do samochodu, nie mieliśmy zresztą - wszyscy - ochoty rozstawać się.

Po drugiej butelce Artur przysnął na kanapie. Rozebraliśmy go i okryli kocem. Ja rozłożyłem sobie polówkę. Janek zniknął w pomrokach ciemni, w której zawsze czuł się najlepiej.

Mimo zmęczenia długo nie mogłem zasnąć. Przeszkadzał mi zbyt szybko wypity, szumiący w żyłach alkohol i niedobre, choć coraz bardziej mgliste myśli kołujące pod czaszką. Budziłem się

złany potem i zasypiałem, słysząc rzucającego się obok i mówiącego coś przez sen Artura. A jednak obudziłem się wcześniej, o siódmej, prawie wypoczęty. Umyłem się, zlałem głowę zimną wodą i poczułem nadspodziewany przyływ energii. Goląc się „gościnną” maszynką Jana, układałem precyzyjny plan dnia. Kiedy wróciłem do pokoju. Artur spał spokojnie, wreszcie wolny od nocnych niepokojów. Postanowiłem go nie budzić - i tak znajdziemy się, gdy przyjdzie pora.

Moje buszowanie usłyszał za to Janek - wyszedł z ciemni, mruknął słowo na powitanie. Wcałe nie spał: już (czy jeszcze?) pracował. Zjedliśmy śniadanie, po czym uściśniłem mu dłoń i szybko zbiegłem po schodach.

Nie musiałem nawet wsiadać do samochodu - najbliższa poczta mieściła się za rogiem i tam właśnie skierowałem swe kroki.

Weronika Suhecka, wdowa po majorze, którego pamiętnik czytała Dorota, mieszkała niezbyt daleko, na Sienkiewicza. Chciałem się jednak przekonać, czy miała telefon. Miała. Wahałem się przez chwilę, czy dzwonić o tak wczesnej porze - dopiero dochodziła ósma - ale niecierpliwość zwyciężyła. Wykręciłem numer.

Pani Suhecka odebrała telefon prawie natychmiast. Wyслуchała mojej relacji o pamiętniku majora, poszukiwaniach ojca i ważnej dla mnie notatce. Zgodziła się na rozmowę w każdej chwili, nawet natychmiast.

Nie minął kwadrans, kiedy wstępowałem na ciemne schody starej mieszczańskiej kamienicy przy Sienkiewicza. Znałem dobrze tę ulicę, a nawet dom, bowiem w sąsiedztwie mieszkał profesor Bohomolec, u którego byłem kiedyś z Agnieszką.

Pani Suhecka przywitała mnie chłodnym, nieco taksującym spojrzeniem, ale była grzeczna, zdecydowana pomóc, jeśli to było możliwe. Postanowiłem nie owijać sprawy w bawełnę - szczerść jest najlepszym kluczem do duszy ludzi inteligentnych. Opowiedziałem starszej pani o moich poszukiwaniach, o zagadkach, na które wciąż natrafiam. Pierwsze lody zostały przełamane, pani Suhecka przejęła się moją opowieścią, słuchała z rosnącą uwagą.

Kiedy wreszcie skończyłem, wyglądała na szczerze wzruszoną.

- Tyle lat, tyle lat - powiedziała niemal z bólem - a wojna wciąż tkwi w naszych biografjach, rozrasta się jak rak i nawet wy, tacy

młodzi, nie jesteście od niej wolni... Nie jest pan pierwszym człowiekiem szukającym swojej własnej przeszłości. Iluż takich znam! - westchnęła przeciągle. - Ale nie poddawajmy się zbyt dużym wzruszeniom. Pan przyszedł po pomoc, więc muszę panu powiedzieć wszystko, co wiem.

Zamyśliła się głęboko, zapaliła papierosa, wreszcie podjęła:

- Nie znałam osobiście pańskiego ojca, ale nazwisko - tak - nazwisko pamiętam bardzo dobrze. Czytałam jego wiersze w podziemnej prasie, wiem, że znał go mój mąż. To już tyle lat.... Nie pomogę panu wiele, ale przypomina mi się fakt, który może mieć jakieś znaczenie. W tym samym czasie, w którym powstała notatka w dzienniku, mąż miał okazję rozmawiać przez krótką chwilę z pana ojcem. Jeszcze w więzieniu, oczywiście. Mówił mi o tym w parę lat później, już po wyjściu na wolność, kiedy czytałam jego dziennik, a on komentował poszczególne zapiski i je uzupełniał. Nie wiem, dlaczego nie zanotował relacji z tej rozmowy; dziennik był niekompletny, sporządzany ukradkiem i może to zaważyło. Teraz, po latach, sama się dziwię, że pamiętam to, o czym mówił mi mąż. Interesowałam się bardzo wojennymi losami, ale dlaczego zapamiętałam właśnie ten szczegół?

Wzruszyła ramionami. Milczałam, nie przerywając jej monologu.

- Może dlatego - podjęła - że chodziło o poetę, o bardzo zdolnego poetę. Wie pan, jak to powiedział Wyka o Baczyńskim? Że przyszło nam strzelać do wroga z diamentów. Ale ja wciąż nie mówię o tym, co pana najbardziej interesuje. Pana ojciec był takim diamentem... A to było tak: kiedy przeczytałam w dzienniku notatkę o Widerskim, spytałam męża, czy to ten poeta, którego wiersze dobrze pamiętam. Potwierdził i dodał, że rozmawiał przez chwilę z Widerskim, zanim nie przewieziono go do innego więzienia. Pana ojciec był w bardzo złej formie, zupełnie załamany i nie szło tu tylko o trudy więzienia i absurd nałożonej na nich wszystkich kary. Powiedział mężowi coś w tym sensie, że zdradził go cały świat - wszyscy, na których liczył i wszystko, co było dla niego ważne. Mój mąż nie rozumiał - Widerski mówił bardzo enigmatycznie. W przypiływie szczerości, chcąc jakby zrzucić z serca to, co mu najbardziej ciążyło, powiedział, że dostał się do więzienia zaraz po

powrocie z Zachodu, niewątpliwie na skutek czyjś donosu i to pod absurdalnym zarzutem, że jest antykomunistycznym agentem. Dodał też z goryczą, że jeszcze przed uwięzieniem zdążył się dowiedzieć, że jego żona odeszła z małym synkiem, wyszła za mąż za innego i nie chce go widzieć na oczy. Został sam jak palec. Ale zaraz, chwileczkę, przecież to pan musiał być tym synem?

- Tak, to na pewno chodziło o mnie. Ale ojciec był w błędzie. Ktoś musiał go okłamać. Moja matka nigdy nie wyszła za mąż, nie była nawet z nikim związana. Czekala na niego całe lata.

- To bardzo możliwe, że ktoś go okłamał, świadomie czy nieświadomie. Lecz on w to wierzył. Wie pan, wcale się nie dziwię, że tak łatwo stracił wiarę i zaufanie, on, ten Kolumb, którego zdradził cały świat. Znam to bardzo dobrze i mnie nie były wtedy obce takie uczucia. To wszystko, co wiem. Już nigdy więcej ani mój mąż, ani ja nie słyszeliśmy o Widerskim. Żałuję, że nic więcej nie wiem.

- Ależ pomogła mi pani i to bardzo! Upewniłem się, że ojciec wrócił do Polski, a to najważniejsze.

- Cieszę się.

chciałem się już pożegnać, kiedy przypominałem sobie rewelacje Doroty sprzed paru dni. Powiedziałem pani Sucheckiej o kłopotach z nazwiskiem. Zamyśliła się znów głęboko, usiłując jakby wywołać z pamięci widma dalekiej przeszłości.

- Nie myślałam o tym nigdy, ale rzeczywiście, teraz sędzę, że może pan mieć rację. Mój mąż był zdekonspirowany prawie od początku podziemia, więc w kontaktach konspiracyjnych nie ukrywał nawet czasem swego nazwiska. Był zresztą i tak dobrze znany sprzed wojny. zupełnie co innego z młodym chłopakiem.. W którym roku urodził się pana ojciec?

- W dziewiętnastym. Walczył we Wrześniu jako podchorąży.

- No tak, był jeszcze taki młody... To co pan mówi, jest bardzo prawdopodobne. Nikt go nie znał, więc mógł od początku używać przybranego nazwiska, niezależnie od zmienianych, fałszywych dokumentów. Mógł również pozostać przy tym nazwisku na Zachodzie. Ale, o ile wiem, pod tym nazwiskiem występował również w więzieniu. To zagadkowe.

- Tak...

- Życzę panu rozwiązania i tej, i wszystkich innych zagadek.

- A ja bardzo, bardzo dziękuję.

Pocałowałem ją z szacunkiem w rękę i wyszedłem. Było ciepło, prawie upalnie, z pootwieranych okien ciasnej ulicy grzmiały rockową muzyką radioodbiorniki. Przystanąłem, niezdeterminowany co robić dalej. I wtedy jakby wewnętrzny głos podszeptnął mi pomysł odwiedzenia profesora Bohomolca, pomysł niedorzeczny, bo ani nie miałem mu nic do powiedzenia, ani nie bardzo wiedziałem, o co mógłbym go spytać. Ba! - prawie go nie znałem.

Szybko, by nie stracić pewności siebie skręciłem w sąsiednią bramę i wspiałem się stromymi schodami na trzecie piętro. zadzwoniłem. Czekałem dłuższą chwilę, po czym jeszcze raz nacisnąłem dzwonek i, jakby przestraszony jego donośnym terkotem za masywnymi drzwiami, zawróciłem. Byłem już na półpiętrze, gdy usłyszałem szcęk otwieranego zamka i dobrotliwy głos starej kobiety:

- Idę, już idę, proszę poczekać!

Cóż było począć, musiałem zawrócić. W progu mieszkania Bohomolca stała uśmiechnięta pogodnie staruszka o bystrych, inteligentnych oczach. Poznałem ją, to była matka profesora, której mnie przedstawiono podczas tej dawnej, prehistorycznej wizyty, jaką odbywałem tu z Agnieszką.

- Dzień dobry, dzień dobry - pogadywała - ależ pan w gorącej wodzie kąpany. Toż trzeba poczekać, stary człowiek długo do drzwi idzie, a ja jeszcze dzisiaj nawet z domu nie wychodziłam. Prawie w negliżu mnie pan zastał - zaśmiała się dźwięcznym, miłym głosem, uchylając szeroko drzwi i zapraszając do środka.

Wiedziałem, że to bez sensu, ale nie chciałem uciekać bez słowa od tej miłej, starszej pani. Wszedłem. Babcia monologowała niestrudzenie, jakby cel mojej wizyty był oczywisty.

- jak sama jestem, to śpię dłużej, śpieszyć się nie muszę, ale dziś mnie słońce wcześniej obudziło.

- Czy jest... - usiłowałem przerwać potok jej elokwencji.

- Jest, jest, syn wszystko zostawił, chodźmy do biblioteki.

Weszliśmy do wielkiego, zastawionego regałami pokoju. Książki, tysiące książek i wielkie, barczyste biurko, zaślane papie-



rami. Staruszka zgarnęła z blatu jakiś brulion i usiłowała mi go wręczyć.

- To jakieś nieporozumienie - powiedziałem szybko - przyszedłem do pana profesora, ale...

- Ach, to nie pan adiunkt - zdziwiła się staruszka. Poszperała w kieszeni fartucha i zmieniła okulary.

- Rzeczywiście, pomyliłam się.

Była rozpromieniona, jakby spotkało ją przyjemne zaskoczenie.

- Stare oczy niedowidzą, w sieni ciemno, a miał przyjść pan Broniek po ten manuskrypt. Ale to nie pan? - upewniła się.

- Nie, ja...

- No tak... pan pytał o syna. Niestety, syn w tym tygodniu nie przyjedzie, tak dzwonił, że nie przyjedzie. Ładna pogoda, to po co ma przyjeżdżać, prawda?

- Oczywiście, ja...

Znów mi przerwała:

- Zaraz, zaraz, ja pana przecież znam. Pan jest tym studentem, który pisze rozprawę o mistycyzmie śmierci.

Znów się rozpromieniła, jakby mistycyzm śmierci był problemem wzniosłym a pogodnym.

- Niestety nie - tym razem byłem stanowczy - pani mnie bierze za kogoś innego. Ale rzeczywiście, byłem pani niegdyś przedstawiony przez Agnieszkę Wereszycką.

- Ach tak, oczywiście - uśmiechnęła się - jakże mogłam zapomnieć. Przecież pan jest narzeczonym Agnieszki!

Nie protestowałem; niełatwo było mi prostować tę opinię.

- Dawno pana nie widziałam - ciągnęła babcia - ale to zrozumiałe, Agnieszki tak długo u nas nie było. No, ale wreszcie się znalazła. Szkoda, że pan się spóźnił, bardzo żałuję.

Nie mogłem zrozumieć, o czym mówi; chciałem spytać, ale starsza pani dostrzegła wyraz zdumienia na mej twarzy i sama zaczęła mówić.

- Pan pewnie myślał, że ona jeszcze śpi? Nie, to ranny ptaszek. Powiedziała wieczorem, żebym się nie martwiła, bo sama sobie poradzi, ale i tak się obudziłam, kiedy wychodziła. A potem zaryczał ten jej wielki samochód i szuuust - odjechała. Pan jej pozwalał

jeździć takim wielkim samochodem? - zdziwiła się. - Przecież to niebezpieczne.

Chciałem coś powiedzieć - dla zwykłej przyzwoitości - ale mi nie dała.

- Oj młodzieź, młodzieź, niczego się nie boję. No więc pojechała. Na obóz, do syna. On bez niej, proszę pana, jak bez prawej ręki - tak ją lubi. To dobrze, że Agnieszka wraca na uczelnię. Bardzo się cieszę. Pan wie, gdzie jest ten obóz?

Tym razem chciałem zaprzeczyć, ale znów mi nie dała.

- No i po co pytam, przecież to jasne, że pan wie. Skoro tu jej pan nie zastał, to pewnie tam pan pojedzie. Pojedzie pan?

- Pojadę! - powiedziałem z całą mocą i bez wyrzutów sumienia. Pojechałbym, gdybym tylko mógł. I kto wie, może rzeczywiście pojadę.

- Oho ho, to bardzo dobrze - ucieszyła się matka profesora - bo Agnieszka zapomniała książki. Tej, którą wczoraj wieczorem czytała. A dla nich, tych moich kochanych moli, zapomnieć książki, to jak dla innego okularów. Złoszczą się i gniewają. Więc niech pan jej tę książkę odda. Odda pan?

- Z całą pewnością.

- Doskonale - ucieszyła się i wyszła do sąsiedniego pokoju.

Radowałem się w duszy jak sztubak. Starsza pani dawała mi protest, by tropów Agnieszki szukać na uczelni i w środowisku literackim. Co tam pretekst - dawała mi bilet na trasę, którą pomknął błękitny chrysler.

- Znalazłam, znalazłam - staruszka wróciła bardzo szybko, niosąc oprawny w półskórek, potężny tom - ale szybko pan tam pojedzie, na obóz? - upewniła się jeszcze z nutką nieufności w głosie.

- Na pewno nie dziś, ale w najbliższym czasie - tak - odparłem dyplomatycznie.

- A to dobrze, to dobrze. Doskonale.

Wręczyła mi książkę Agnieszki i podała do ucałowania dłoń, kruchą dłoń starej kobiety, pachnącej różanym mydłem, ziołami i passis-spasminą.

Z westchnieniem ulgi zstępowałem na półpiętro. Cóż, oszukiwanie miłych, życzliwych staruszek nie jest rzeczą przyjemną. Ale właściwie - czy to było oszustwo?

Z wielkim zainteresowaniem otworzyłem książkę. Było to dzieło Zygmunta Freuda „Torem und Tabu”, wydanie wiedeńskie z 1934 roku. Mądra jesteś moja dziewczynko - pomyślałem ze szczególną, nieuzasadnioną dumą. I wtem ujrzałem wyraźne zgrubienie między kartami książki. Otworzyłem ją w tym miejscu, nieco zbyt gwałtownie, i na ziemię wyleciał plik kartek, zapisany ostrym, zdecydowanym pismem Agnieszki. Pozbierałem je pośpiesznie. *Wieczorem, po powrocie ze Srebrzyska* - przeczytałem u góry pierwszej z nich.

A więc są to notatki, które Agnieszka sporządziła zaledwie wczoraj! Dosłownie kilkanaście godzin temu. I tylko przypadkowo zostawiła je w gościnnym mieszkaniu Bohomolca, razem z książką, którą czytała.

Przyśpieszyłem kroku wychodząc z bramy. Teraz znaleźć, szybko jakąś kawiarnię! Znalazłem. „Malutką”, na rogu, otwierano punktualnie o dziewiątej. Byłem pierwszym gościem. Zamówiłem dużą kawę i ciastka, senna kelnerka o wielkim biuście i wulgarniej urodzie obrzuciła mnie jakimś dziwnym, znaczącym spojrzeniem i odeszła, kołyszac rozlanymi biodrami.

zawahałem się przez moment, nim sięgnąłem do notatek Agnieszki. Znałem dobrze jej zwyczaj bezustannego zapisywania spostrzeżeń, kłopotów, najintymniejszych myśli i marzeń; nie w formie zorganizowanego dziennika, ale na tysięcznych karteluszkach i skrawkach papieru, czasem na marginesach książek i okładkach czasopism. Kiedyś zamyśliła się tak głęboko, że wypisała cały esej na papierowym obrusie, przekonana, że ma wciąż przed sobą brulion, który zsunął się na podłogę.

Ale nigdy, nawet w okresach największej zażyłości i czułości, Agnieszka nie pozwalała mi czytać wszystkich swoich zapisków. Te, które były dla mnie przeznaczone, sama mi podsuwała, innych broniała, a moja dyskrekcja nie pomagała w przełamywaniu tej umocnionej flanki. zresztą szanowałem intymność tego światka rozsiewanych po całym mieszkaniu papierów. Nie pozostało z nich nic! Przed ostatecznym rozstaniem, z którego nieuchronności nie zdawałem sobie sprawy, choć Agnieszka musiała o nim myśleć już wcześniej, uprzętnęła niezauważalnie całe swoje gospodarstwo. Z mojego mieszkania pozniakały jej notatki, bruliony, wycinki, książ-

ki. Nawet fatalaszki. Nie zostało prawie nic, prócz może świadomie zostawionego mi kolczyka, który straciłem podczas włamania.

Zawahałem się więc przez moment, nim zacząłem lekturę, ale przecież nie byłem już dawnym, łagodnym i dyskretnym Januszem Smólskim; byłem człowiekiem przegrywającym i cierpiącym, który kłamał, cudzołożył, intrygował, szperał w cudzych biografjach i włamywał się do mieszkań. Zaprawdę, grzechy moje były tak wielkie, że i do tego grzechu nabrałem już prawa!

Wróciła senna kelnerka, postawiła przede mną kawę i ciastko, znów spojrzała znacząco. Stała koło mego stolika dłużej, niż powinna. Wreszcie odeszła, spokojna, pewna sobie, niemal doskonała w swej nieskończonej bezużyteczności. Gdybym mógł cię pokochać dziewczyno - pomyślałem - razem z twoimi szerokimi biodrami, sennymi oczami, drobnymi ploteczkami i sutymi napiwkami! Gdybym mógł cię pokochać - uznałabyś to za oczywiste, przyjęłabyś mój hołd jako naturalny, a potem równie naturalnie ofiarowałabyś mi siebie razem z mansardowym, ale własnościowym mieszkaniem, książeczką oszczędnościową, małym fiatem i szerokimi biodrami. A ja przytulałbym się do twoich bioder, przezebrał twoje napiwki, jeździł twoim samochodem i popijał w twojej kawiarni. Ty byłabyś nadal senna, a ja znużony i wszystko byłoby jasne i zrozumiałe. Potem ja bym cię rzucił i to też byłoby zrozumiałe, a ty pozostałabyś doskonała i posągowa. I senna. Ale to niemożliwe, dziewczyno...

Wróciłem do Freuda, totemów, tabu, notatek i Agnieszki. Wieczorem, po powrocie ze Srebrzyska - pisała. - *Jestem sama, jaźń w pustyni kuszona przez nicość\* i nie ma żadnych gwiazdzistych nieb i nie ma żadnych moralnych praw\*\* i nie ma już na świecie Wisi i nie ma Janusza, i nigdy ich nie będzie. I żaden mój dług nie zostanie spłacony.*

*Parę godzin temu, nad grobem Wisi zajrzałam w oczy nicości. Ten wielki tłum, czerwcowy, dyszący kwiatami, jakby wybierał się na wesele; ta przebita łopatomy darń, odsłaniająca płowy piasek: brr, tłum szkieletów nad pustką, która już nie przemówi. Przecież*

---

\* Cytat z „Bazyliissy Teofanu” Tadeusza Micińskiego.

\*\* Trawestacja znanego aforyzmu Immanuela Kanta.

*ona nic nie znaczyła dla tych wszystkich ludzi, którzy zgromadzili się na cmentarzu! Dla jednych była tylko pięknym ciałem, dla innych odpychającym przykładem, dla niektórych rolę: córką, siostrą, narzeczoną. Dla mnie chciała być czymś więcej i kimś więcej. Dla mnie i dla Janusza. Ja ją odepchnęłam, a Janusz nigdy nie chciał zrozumieć tych smutnych przepaści otwierających się w bliskich ludziach. Nie chciał zrozumieć tej miłości, tak niedorzecznej miłości. A może tylko udawał?*

*To nieważne. I tak wiem, że winna jestem ja. I wobec Wisi, i wobec Janusza, i wobec siebie. Żadnej z tych win nie wypłacę, nie wyrównam już rachunków ze sobą. A przecież mogłam pomóc choć Wisi!*

*Jak to się właściwie zaczęło: koniec? Rozpad, entropia, chaos i grom z najjaśniejszego, bo pustego, nieba. To wszystko jest ze sobą związane, poplątane, zasuplane, a ja tak niewiele rozumiem, choć rozumiem Freuda i Lainga, i Kierkegarda, i Janion. Ty byłaś taka jak zawsze, uległa i przekorna, z tym szczególnym, irytującym mnie zawsze poczuciem winy - jakbyś mnie skrzywdziła, choć przecież, w ostatecznym rachunku, to ja skrzywdziłam ciebie. I druga ty - obojętna, prostacka, wulgarna. Nieobliczalna. Nie, tu nie chodzi o liczenie, tu chodzi o wątłą nić porozumienia, której nie wolno zrywać. Ty ją zerwałaś!*

*Janusz nie mógł mi pomóc, mógł mi tylko zaszkodzić. Teraz czuję, że popełniłam błąd nie mówiąc mu o wszystkim, ale on był taki szczęśliwy, bezmyślny, jak wielki psiak kąpiący się bez końca w ciepłym jeziorze. Przecież nie mogłam zacząć rozmowy z nim od przekonywania, że t go kochasz. To byłoby bez sensu jak rozmowa ze ślepym o kolorach. A on przecież był ślepcem i jest nim do dzisiaj, biedny; jedyna, skończona miłość mego życia.*

*Więc wtedy, gdy dostałam ten plugawy list z waszymi zdjęciami powinnam pokazać je przede wszystkim jemu, uwierzyć w zaprzeczenia, wyrzucić do kosza te zdjęcia, moją gorycz, moją niepewność. Wybrałam wyjście najgorsze - wyniosła pozę w rozmowie z człowiekiem, który cię kochał, który też przecież cierpiał. Czy mogłam wiedzieć, że to cierpienie popchnie go aż do zbrodni?*

*To był przerażający błąd, ta rozmowa z Fabjańskim, teraz wiem o tym, dopiero teraz, a przecież mogłam przewidzieć, że*

*pobiegnie do ciebie, miotany niepewnością i zazdrością jak ja, i że ty, realistka, gotowa odpierać wszystkie ciosy świata, uwierzysz w to, co przecież było kłamstwem, w te wstrętne zdjęcia i w moją szczerość, która tak wulgarnie cię ucieszyła!*

*Śmiałaś się, całowałaś te fotografie. Kiedy wkrótce potem o tym rozmawialiśmy, nie chciałaś zaprzeczyć, a kiedy to zrobiłaś - było już za późno, poczułam, żebrak mi siły, by trwać dłużej przy tobie, że muszę ratować to, co się da, to co mi zostało: Janusza.*

*Zerwałam z tobą, zerwałam naszą dziwną przyjaźń, nie dałam ci szansy na odbycie pokuty bez względu na to, jak bardzo byłaby nieuzasadniona. Bo przecież to ja zawiniłam! To ja popchnęłam tego nieszczęsnego człowieka do zbrodni...*

*Ale teraz, kiedy zasklepiły się wspomnienia, wspólne drogi i gotowe do wyznania usta, teraz kiedy wszystko jest już tylko przeszłością, powinnam była ci pomóc - pobiec do ciebie natychmiast, gdy tylko się odezwałaś, gdy usłyszałam w słuchawce telefonu twój głos. Przecież od razu wyczułam w twoim tonie tę znaną mi tak dobrze nutkę hysterii, przecież wiedziałam, że nasze spotkanie nie będzie przypadkowe i obojętne, że wreszcie zrozumiałem twój strach, twoje poczucie winy, twój ból. Dlaczego wyznaczałam ci kawiarniane terminy? Dlaczego zwlekałam aż dwa dni?*

*Czy wiesz Wisiu, że czekałam w tej kawiarni pięć godzin - niepokojona spojrzeniami kelnerów i zaczepkami mężczyzn, czekałam cierpliwie, jak na pokucie, lkając w duchu i co sekundę umierając ze strachu, że zamiast ciebie zobaczę Janusza, który szalał, szukając mnie po całym mieście i wciąż niemal ocierał się o mnie?*

*Och, wobec niego też strasznie zawiniłam, ale przecież nie mogę postępować inaczej, to najlepsze, jedyne co mogę dla niego jeszcze zrobić - umrzeć, szczeniąc. (Bredzę: oczywiście, nie mogę wiecznie uciekać. Najpóźniej jesienią, kiedy wrócę na uczelnię, na pewno się spotkamy - przeraża mnie ta myśl - i wszystko będzie zwyczajnie, nic mu nie wyjaśnię, niczego nie wytłumaczę, może zdobędę siłę na jakiś banalny wykręt, tak będzie najlepiej - on nie może, nie powinien wiedzieć; przynajmniej tego powinnam mu oszczędzić. Prawda jest zbyt straszna, żeby z nią żyć we dwoje.)*

*Czy wiesz, Wisiu, że siedziałam w tej kawiarni do późna, nad martwą szklanką kawy i martwym niedopalkiem papierosa, nad*

*twoim martwym ciałem, które stygło właśnie, wykrzywione bólem? Znalazła mnie matka, przejęta i czujna jak zwykle (jakbym się już wcześniej nie poddała totemowi i tabu!), wyciągnęła z kawiarni, wsadziła do samochodu. Chyba dopiero po godzinie zaczęła mi wracać świadomość. Matka wiozła mnie do Bartoszyc, potem do Bohomolca, a ty konałaś, konałaś. Oczywiście, to ona miała rację, oczywiście, właśnie tak należało postąpić. Ale wtedy zdradziłam cię po raz drugi. Nieodwołalnie i ostatecznie. Już ci się nie wypłacę, bo już nigdy nie powiesz mi tego, co tak bardzo chciałaś mi powiedzieć...*

*Żegnaj Wisiu, żegnajcie cienie mej przeszłości, żegnaj Januszu, żegnaj nie znany ojcie. Dobranoc, Bill. Dobranoc, Lou. Dobranoc, May. Dobranoc. Do. Do.\**

*Wszystko jest przeszłością. Przeszłością nieodgadnioną. Ileż godzin strawiłam w czytelniach, próbując dociec losów tego nieznanego - ojca. Wiesz, Wisiu, cały kłopot polega na tym, że matka zawsze podświadomie przypuszczała, że on już nigdy do nas nie wróci. To straszne, ale dziś rozumiem jak wielki może być wpływ rodziców, wpływ przemożny zwłaszcza w dziedzinie podświadomości. Ja wiem, że ojciec nas nie oszukał - rozdzielił kolczyki i powiedział, że będą się zawsze przyciągały - matka uważa, że to tylko sentymentalny gest, ale ja wierzę, iż gdyby żył - wróciłby po drugi kolczyk. Więc - nie żyje.*

*Wtedy, kiedy straciłam wszelką nadzieję, zostawiłam swój kolczyk Januszowi. Tylko on ma prawo go posiadać. To trochę tak, jakby zawsze miał mnie.*

*A ojciec już nigdy nie wróci. Nie odgadnę go, nie poznam. On jest przeszłością. Wszystko jest przeszłością; ta straszna zdrada, która zmieniła jego los i nasze dzisiejsze losy, zemsta ludzi i zemsta bogów, ty Wisiu, ty Januszu i nawet ja, również ja, jestem już tylko przeszłością. Zostały tylko totemy. I tabu. I śmieszny Bóg, co śmieje się z małego nędznego Edypa.*

---

\* Cytat z „Ziemi jałowej” Thomasa Stearnsa Eliota w przekładzie Czesława Miłosza.

*W tym już nie ma nawet tragedii. Tak, jak nie ma jej w twojej absurdalnej śmierci. Dobranoc Wisiu, dobranoc Januszu, dobranoc wszyscy moi umarli. Do. Do.*

Na tym kończyły się zapiski Agnieszki. Te „smutne przepaście” otwierające się w najbliższych ludziach, które jednak - tym razem - zrozumiałem, jakby na przekór Agnieszce. Podniosłem oczy, zmęczone nerwowym pismem i półmrokiem kawiarni. natrafiłem na spojrzenie kelnerki, która od kilku chwil musiała stać obok mojego stolika.

- Może coś podać? kawa zupełnie wystygła... - spytała z uśmiechem. Zniknęła już gdzieś cała jej obezwładniająca senność.

- Nie, nie, dziękuję. I proszę o rachunek.

Milczała chwilę, nie ruszając się z miejsca. Wreszcie zdecydowanym ruchem usiadła na krześle.

- Zupełnie mnie nie pamiętasz?

Dopiero teraz przyjrzałem się bliżej jej twarzy, omijając wysoczną biust i bioder. Rzeczywiście, ta twarz wydawała mi się znajoma.

- Wczorami pracuję jako barmanka w „Żaku”...

- No tak - roześmiałem się - oczywiście, przecież jesteśmy „na ty”. Zawsze byłem dumny, mogąc poprosić: „Bożenka, jeszcze dwie setki”.

- Zgadza się - teraz ona się uśmiechnęła - jestem Bożenka. Dzwoniłam przecież do ciebie przedwczoraj.

Dziwnie zabrzmiało to zdrobniałe imię przy jej imponującej figurze. A jeszcze dziwniej poczułem się, gdy wspomniała o telefonie. Zupełnie o tym zapomniałem.

- Jestem zaskoczona - ciągnęła - widząc cię tutaj. Ale jesteś tu pewnie przypadkiem.

- O co ci chodzi?

- A nie wiesz, co się tu odbywa?

No tak, przypomniałem sobie, „Malutka” była ulubionym lokalem gdańskich homoseksualistów i rzadko bywał tu ktoś nie wtajemniczony. Roześmiałem się.

- Całkowita pomyłka, moja miła.



- To dobrze. Nie mam nic przeciwko nim, ale szkoda byłoby takiego chłopaka. W końcu dobrze, że jesteś, bo zdaje się zapomniałeś o moim telefonie.

- Miła jesteś - powiedziałem. Cóż miałem powiedzieć?

- Miła to ja dopiero będę - rzuciła zaczepnie Bożena. - Znasz niejakiego Eda Uhnalika?

- Owszem.

- On tu często bywa. Nie wnिकam po co, ale bywa. To fakt.

- Rozumiem, Bożenko.

- No właśnie - powiedziała bez związku. - Więc był tu kilka dni temu z jakimś innym facetem. O coś się spierali, coś obliczali na kawałku papieru. Potem poszli. Sprzątałam ze stołu i przypadkiem zwróciłam uwagę na rachunki. To była koperta - dodała, podając mi kawałek papieru - myślę, że powinna cię zainteresować?

Zainteresowała mnie bardziej, niż mogłem przypuszczać. Miałem przed sobą pustą kopertę, a właściwie kawałek koperty, zaadresowany do Janusza Smólskiego. Mój adres był oddarty (ocalało tylko nazwisko) za to zachował się adres nadawcy: Nathalie de Villars-Bourdon, 9 R. des Moulins, 75014 Paris. Nic z tego nie rozumiałem, choć przecież nazwisko tej francuskiej damy nie było mi zupełnie obce - pisała już kiedyś do mojej matki.

- Wiesz, o co tu chodzi? - spytała Bożenka.

- Nie mam pojęcia - wzruszyłem bezradnie ramionami.

- No, to dobrze, że ci o tym powiedziałam. On coś knuje przeciw tobie, ten Ed. Nigdy go specjalnie nie lubiłam, przykro mi, ale co na to poradzę?

Podziękowałem jej wylewnie, położyłem na stoliku stuzłotowy banknot i wstałem. Bożenka nie ruszyła się z miejsca.

- Cieszę się, że do nas wpadłeś - powiedziała wreszcie. - Może wpadniesz jeszcze kiedy? Oczywiście do mnie, nie do tych pedałów.

- Może - powiedziałem. I to był szczyt moich koncesji wobec płci pięknej na dzień bieżący.

Wyszedłem na ulicę.

Gdybym mógł cię pokochać, dziewczyno, gdybym mógł przyjąć nagły dar twej pustki, twej samotności...

Nie wygłupiaj się z tym idiotycznym poczuciem wyższości - powiedział nagle jakiś wewnętrzny głos - zapiski Agnieszki nie dają ci żadnych szans, nawet cienia nadziei. To błogosławiony list, bo wiesz już, że jest tylko pustka i nicość, i jaźń, którą kuszą demony... A ciebie kusi Bożenka-kelnerka, kobiecość rozlewająca się po sufity bólu. Więc się z niej nie śmieję, bo może tylko ona ci zostanie.

17.

Wsiadłem do samochodu, ale nie ruszyłem z miejsca. Musiałem uporządkować w myśli różne szczegóły. Kolejno, jakby szufladka po szufladce, otwierały się i objaśniały olejne zagadki. Mozaika zaczynała się układać, nawet jeśli to, co najważniejsze i najgroźniejsze, wciąż pozostawało tajemnicą.

*Prawda jest zbyt straszna, żeby z nią żyć we dwoje* - napisała Agnieszka. Jaka prawda? Prawda jej ojca czy mojego, a może ich wspólna? „Zdrada” i „zemsta” obok siebie, dwa przerażające słowa, tak obce memu pokoleniu. I jeszcze: *zdrada, która zmieniła jego los i nasze, dzisiejsze losy*. „Nasze” - a więc nie tylko jej, Agnieszki...

Nie miałem już prawie wątpliwości. Coś zaszło - kiedyś, przed lata - między tymi dwoma mężczyznami, z których dziećmi na równi okrutnie obszedł się los. Coś się stało, coś się zdarzyło, jeden z nich zdradził drugiego, ten drugi się mścił. Albo obaj zostali zdradzeni?

Agnieszka wiedziała więcej niż ja - wiedziała zapewne od matki i ta świadomość kazała jej dokonać wyboru. Być może miała rację, nie mogłem o tym wyrokować, ale bez względu na to, jak straszna była wiedza, którą przyszło okupić rozstaniem, chciałem i musiałem podzielić ją z Agnieszką.

Wszystko było jasne, poza tą zagadką, której strażniczką stała się Agnieszka. Wiedziałem już gdzie jej szukać. Obóz naukowy profesora Bohomolca? Phi - w godzinę dowiem się, gdzie koczują.

Resztę rozumiałem. Rozumiałem już zawilość i pokrętność przyjaźni Agnieszki z Wisią. Wiedziałem, jaką rolę odegrały w

tym wszystkim zdjęcia (choć nie wiedziałem, kto je zrobił), a hipoteza o winie Fabjańskiego zyskała, niestety, nowe uzasadnienie.

Włączyłem silnik samochodu. Skręciłem w Jańskową Dolinę, potem w lewo, w Grunwaldzką. W stronę Zasy. Postanowiłem odwiedzić własne mieszkanie.

Nie dojechałem jednak nawet do Hotelu Morskiego, kiedy opadły mnie wątpliwości. Ale jeśli wszystko ma być takie proste, to skąd bierze się wciąż w tej historii nieznosny Ed Uhnalik noszący w kieszeni adresowane do mnie listy? I skąd tajemnicza francuska dama i jej międzypokoleniowe korespondencje? Jeśli dobrze pamiętam list adresowany do matki - pani de Villars pisała w nim o moim ojcu. Więc do mnie mogła pisać o tym samym. Ale skąd ten list w kieszeni Eda?

Zagadek wcale nie ubywało. Wręcz przeciwnie - to, czego się dowiedziałem komplikowało tylko obraz całej sprawy. Przecież kolejną zagadką stawał się Fabjański. Z tego co pisała Agnieszka, mogłem wywnioskować, że zabił z zazdrości. Ona sama była, zdaje się, o tym przekonana. Ale przecież Fabjańska odrzucała taką możliwość. A z kolei teoria anonimu również była fałszywa. Wiedziałem o tym dobrze. Czy może raczej: instynktownie ufałem Fabjańskiej.

Postanowiłem odwiedzić ją jeszcze raz. Czuję się jej dłużnikiem, a w końcu miałem w zanadrzu wiele nowin.

Tym razem przyjęła mnie z ufnością, nawet przyjaźnią, z przesadną uprzejmością, ba! - nadzieją. Sam nie wiedziałem co mówić, jak zacząć rozmowę, by coś z tej nadziei ocalić, zachować cień szansy.

- Mam wiadomości o pani mężu - zacząłem.

Patrzyła na mnie ze strachem i wiarą równocześnie, czekała na moje słowa jak na wyrok. Było to trudne do zniesienia.

- To nie są dobre wiadomości, muszę panią z góry uprzedzić. Wciąż istnieje wiele wątpliwości co do jego winy i niejasności, jeśli idzie o szczegóły sprawy. Ale milicja jest przekonana, że ma w rękach właściwego człowieka, bo... - z trudem przeszła mi ta wiadomość przez usta - bo pani mąż przyznał się do winy.

- To niemożliwe! - krzyknęła zapalczywie.

- A jednak.

- To niemożliwe, on tego nie zrobił, wiem to na pewno - prawie krzyczała Fabjańska.

- Proszę pani - usiłowałem zachować spokój - ja nie mówię, że on to zrobił, stwierdzam tylko, że przyznał się do winy. To się zdarza. Może jest pod wpływem szoku, a może kogoś osłania.

Mówiłem bez wiary i przekonania, ale w tejże chwili moje własne słowa zabrzmiały - dla mnie - przekonująco. Fabjańska, ze zwieszoną głową i ciężkimi łzami na opuchniętych powiekach zdawała się mnie nie słuchać.

- Proszę, niech pani nie rozpacza, jeszcze nic nie jest przesądzone.

Gwałtownie szukałem argumentów i - znalazłem je.

- Milicja uważa za pewnik, że Wisia napisała anonim. Cała konstrukcja oskarżenia oparta jest na motywie zemsty. Zresztą pani mąż jest także, zdaje się, o tym przekonany. A przecież pani twierdzi, że to nie Wisia. Więc wystarczy powiedzieć kto, by uwolnić męża.

W milczeniu pokręciła głową.

- Nie mogę, niech mi pan wierzy, naprawdę nie mogę.

- Dobrze - zgodziłem się - więc szukajmy czegoś innego. O ile wiem, pani mąż nie ma alibi na feralne popołudnie. Gorzej nawet - pono- ktoś go widział w okolicy „Panoramy”. Może pani wie, co on wtedy robi? Może uda nam się udowodnić, że on nie popełnił zbrodni?

Opanowała się - moje słowa podziałyły uspokajająco.

- To mogę powiedzieć. Bo wiem... wiem wszystko. Ale któż da wiarę słowom żony... Widzi pan, kiedy odwiedził nas ten człowiek z „Panoramy”, podsłuchałam całą ich rozmowę. Więc domyślałam się, że wtedy, w zeszłą niedzielę... że Zdzisław będzie chciał pójść do galerii. I poszedł. Wiem, bo go śledziłam. Wysłałam z domu wcześniej i czekałam w samochodzie na parkingu. Widziałam, jak łapie taksówkę i pojechał za nim. Zdzisław nie ma prawa jazdy, więc samochód mam do wyłącznej dyspozycji - dodała tonem wyjaśnienia. - Pojechał do Sopotu - ciągnęła - ale nie poszedł na wernisaż. Chyba się wstydził i nie chciał, żeby go poznano. Czekał pod tylnym wejściem. Czekał długo, a ja cały czas obserwowałam go dyskretnie. Ale nie udało mu się porozmawiać z Wisią - wyszła

w towarzystwie i Zdzisław nie zdecydował się podejść. Potem pojechał jeszcze raz, znów go śledziłam - wtedy zwiedził wystawę, wyszedł z niej wcześniej niż inni, przygnębiony, zły... Wrócił prosto do domu. Trzeci raz wyszedł właśnie wtedy - feralnego popołudnia. Pojechałam za nim. To było chyba na dwie godziny przed otwarciem galerii. Dowiedziałam się w sekretariacie, że wszystkie rzeźby zostały zakupione i zakaz jest prywatny. Zdzisław usadowił się z gazetą na ławce, po drugiej stronie ulicy, ja - w samochodzie za przecznicą. Biedaczek, wyglądał jak zmęczony emeryt, na tej ławce, z gazetą, w cienkiej wiatrówce. Chyba na godzinę przed terminem pokazu przyszła Wisia. Mąż zobaczył ją, zerwał się z miejsca, ale znów nie była sama - towarzyszył jej jakiś mężczyzna. Nie potrafię go opisać, bo siedziałam jednak w pewnym oddaleniu i przesłaniały mi widok gałęzie drzew. Wisia pożegnała się z nim przed bocznym wejściem, które otworzyła własnym kluczem. Zdzisław opadł na ławkę, czekał dalej. Wreszcie zeszli się goście i rozpoczęto pokaz. Minęło jeszcze pół godziny - usłyszałam głośne krzyki, nawet czyjś płacz, ale nie wiedziałam, co dzieje się w środku. Wreszcie przyjechała milicja i karetka pogotowia. Zdzisław zerwał się z ławki i pobiegł do autobusu, który właśnie zatrzymywał się na przystanku. Myślę, że to normalny odruch człowieka, który boi się ponownego więzienia. Ja też odjechałam, ale krążyłam jeszcze trochę po Sopotcie, zanim wróciłam na Zaspę. Kiedy zjawiłam się w domu, Zdzisław był niespokojny, jakby przeczuwał, że stało się coś złego. Spytał mnie - ze złością - gdzie ciągle jeżdżę, może przeczuwał, że go śledzę. To „ciągle” było przesadą, wychodziłam z domu tylko trzy razy, wtedy, kiedy i on. Powiedziałam, że byłam u mojej przyjaciółki. Następnego dnia zadzwoniła właśnie Joanna, która - niczego nieświadoma - wygadała się Zdzisławowi, że nie byłam u niej od tygodnia. Mąż spojrzał tylko na mnie dziwnie, ale nic nie powiedział. Potem zadzwonił ktoś „życzliwy”, ooo... tych nigdy nie brakuje, żeby powiedzieć Zdzisławowi o śmierci Wisi. To było w czwartek, a w niedzielę, wieczorem, przyszedł go aresztować.

Śluchałem relacji Fabjańskiej z rosnącą uwagą. Nie rozumiałem jeszcze kilka szczegółów, ale nagle cała sprawa zarysowała mi się z olśniewającą jasnością.

- Niech pani będzie dobrej myśli! Sądzę, że to jednak ja mam rację, a mąż po prostu kogoś osłania...

- Ależ kogo? - przerwała mi porywczo. - Jedyna osoba ma rację, a mąż po prostu kogoś osłania...

- Ależ kogo? - przerwała mi porywczo. - Jedyna osoba na świecie, na której mu zależało, nie żyje.

- Myli się pani! Nie tylko żyje, ale właśnie siedzi przede mną.

- Co pan mówi?!

- Dokładnie to, co chcę powiedzieć. Mąż przyznał się do winy tylko po to, żeby osłaniać panią.

- Nie rozumiem?!

- Ależ to proste. Słyszała pani jego rozmowę z Uhnalikiem. A więc wiedziała pani, gdzie i kiedy szukać Wisi. Tak?

- Tak.

- A może znała pani nawet teren „Panoramy”?

- Oczywiście, poznałam Zdzisława, kiedy tam pracował.

- I on o tym dobrze wiedział, proszę pamiętać. Ale, być może - tylko on... Idźmy dalej: na feralne popołudnie nie ma pani alibi. Wręcz przeciwnie - skłamała pani, powołując się niezręcznie na przyjaciółkę. I tylko on o tym wiedział.

- To prawda - przytaknęła zdumiona Fabjańska.

- I wreszcie motyw. Miała pani motyw i to lepszy niż mąż czy ktokolwiek inny, kogo można by podejrzewać o tę zbrodnię. Tym motywem była zazdrość i przemożna chęć usunięcia rywalki. Przyzna pani, że moje rozumowanie jest logiczne?

- Tak, tak, oczywiście - powiedziała zamyślona - ale to by znaczyło... to musiałyby znaczyć, że... jemu na mnie zależy, że mnie kocha!

- Czy tak trudno w to uwierzyć?

- Nie, nie mogę w to uwierzyć, to zbyt piękne, to za dużo dla mnie...

- Niech pani nie kończy - wciąż starałem się mądrze rozgrywać tę zawiłą partię. - Nie wierzy pani w jego uczucia, bo czuje się pani wobec niego winna. A ja zaczynam się domyślać dlaczego!

- To niemożliwe - głos jej się łamał.

- A jednak!

rozpląkała się, nagle i zupełnie niespodziewanie. Ale już było za późno - tę partię musiałem dograć do końca.

- Czuje się pani winna, bowiem to pani jest autorką anonimu!

- Nie, nie, nie!

- A jednak. Nie widzę innego logicznego rozwiązania. Pani napisała ten anonim i to jest najlepszy dowód na pani niewinność. Zamiast zbrodni, o którą posądza panią mąż, wybrała pani szok, jakim musiało być dla niego więzienie. Wepchnęła go pani do więzienia, ale dzięki temu powrócił na ziemię. Zrozumiał, co jest dla niego naprawdę ważne. Najlepszym dowodem na to jest właśnie owo rozpaczliwe przyznanie się do niepopelnionej zbrodni. Ta ofiara złożona pani!

Cóż, przyznała, że - zgodnie z moim przypuszczeniem - była autorką anonimu, zgodziła się przystać na ryzykowny plan, który jej przedstawiłem. Odzyskała nadzieję, energię, nawet urodę. Uwierzyła w to, czego ja byłem już pewien - w rychły powrót męża.

Gdy wychodziłem z jej mieszkania wszystkie okna Zaspę triumfalnym rykiem radiodbiorników obwieszczały południe. Poczulem przypływ dziwnego, radosnego uczucia - byłem niemal szczęśliwy. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie udało mi się zdziałać tak wiele przed południem, tą świętą porą zasłużonego obiadu.

Poczulem, że i ja mam ochotę na obfity obiad. Ale przecież pozostał jeszcze mój ryzykowny plan - pomysł, który dopiero trzeba było zrealizować. Odłożyłem na przyszłość zaspokojenie gastro-nomicznych apetytów.

Pojechałem do „Victusa”, wielkiego sam-u na Zaspie, zrobiłem zakupy i wróciłem do domu. Nikt na mnie nie czekał, nikt nie zostawił mi w drzwiach kartki, nikt nie napisał do mnie listu. Nie szkodzi, pomyślałem, teraz już nie szkodzi. Wykreśliłem numer komendy na Okopowej. Leszczuk był, choć musiałem długo czekać, nim podszedł do aparatu. Tym razem poszło mi trudniej niż poprzednio, ale w końcu zgodził się mnie odwiedzić. Miał przyjść o trzeciej, więc zostało jeszcze sporo czasu. Załatwiłem jeszcze jeden, ważny telefon.□

Spokój nagrzanego słońcem mieszkania rozleniwiał mnie i ukoił. Postanowiłem już nigdzie nie wychodzić, zaspokoilem głód jajecz-

nicą i siadłem przy biurku. Zrobiłem kilka notatek, ułożyłem plan rozmowy z Leszczukiem, wreszcie wróciłem myślą do wydarzeń ostatniego dnia, opowieści Artura o pogrzebie Wisi i zagadki fotografii, które Janek oddał dziennikarzowi. Nie ma sensu tego przeciągać - pomyślałem - trzeba Artura wprost o wszystko spytać. Będę zmuszony przyznać się, że wcale nie siedziałem cicho w domu, jak tego ode mnie wymagał, ale cóż - i tak trzeba o tym powiedzieć i to szybko - w końcu zaangażował swój czas i energię w moje i tylko moje sprawy.

Jeszcze raz wróciłem myślą do opowieści Artura; pogrzeb Wisi bardzo źle na niego podziałał, choć przecież nie była wcale dla niego bliską osobą. Cóż, Agnieszka też wróciła z cmentarza wstrząśnięta. Inne były powody ich przygnębienia, ale dla obojga pożeganie z Wisią było wstrząsem.

A przecież - powiedziałem sobie nagle to, co wciąż pozostawało niedopowiedziane - jeśli Fabjański jest niewinny, to prawdziwy morderca Wisi wciąż pozostaje na wolności. Broniłem Fabjańskiego właściwie na przekór zdrowemu rozsądkowi, powodowany tylko intuicją, która kazała mi wątpić w przypisywane mu motywy.

A jakie mogły być motywy tego, który zabił? - zapytałem sam siebie z nagłą jasnością. Jeśli nie była to zemsta, zazdrość, namiętność - cóż pozostałe? I kto?

Poczułem bezsensowną, irracjonalną złość. Na milicję, Artura-zadufka, nawet na Agnieszkę. Dlaczego to ja mam rozwiązywać kryminalne zagadki, ja, którego dramaty rozgrywają się w duszy i w przeszłości tak zamierzchłej, że już dawno temu ogarniętej abolicją pamięci? Muszę raz na zawsze założyć, że śmierć Wisi nie ma żadnego związku z moją osobą - powiedziałem sobie. I - co ważniejsze - muszą się wreszcie przestać tą sprawą zajmować.

I w tej chwili poczułem zwątpienie. Nagle z uderzającą jasnością zdałem sobie sprawę z sensu fragmentu zapisków Agnieszki - fragmentu, który tylko dla mnie był czytelny. Przecież Wisia chciała się zobaczyć z Agnieszką na krótko przed swoją śmiercią. Była rozhisteryzowana, szykowała się do jakiegoś wyznania. Może zginęła właśnie dlatego, że chciała coś Agnieszce powiedzieć?



Może motywem zabójcy była konieczność niedopuszczenia do ujawnienia jakiejś tajemnicy!

Agnieszka, kiedy sporządzała swoje zapiski, nie mogła tego rozumieć, bo była przekonana, że zabójcą jest Fabjański. Ale ja już wiedziałem, że milicja, Artur, Agnieszka - wszyscy są w błędzie.

A więc śmierć Wisi łączy się jednak z osobą Agnieszki, ergo: łączy się ze mną! A zabójca pozostaje nieznan; chodzi po tych samych co my ulicach, być może nas obserwuje. Być może ma jakiś, wciąż nie zrealizowany plan.

Co robić? Do kogo się zwrócić z tą wątpliwością, intuicją, obawą, którą tak trudno przecież wyrazić suchym językiem faktów i pewników?

To tylko moja sprawa - zdecydowałem - tylko ty, Januszu Smólski, masz prawo i obowiązek, i przywilej - wątpić i szukać. Nikt cię od tego nie zwolni, choć nikt cię do tego nie upoważnił. Musisz szukać, nawet kosztem najbardziej osobistych spraw, nawet odkładając spotkanie z Agnieszką, która znalazła się już w zasięgu ręki, nawet rezygnując z wędrówki tropami Michała Widerskiego, twego ojca.

Ale co robić? Gdzie szukać? Kogo pytać?

Poczułem przyływ naglej, obezwładniającej fali zmęczenia; niedospana, krótka noc spadła na mnie ciężarem przycinającym kark, zapiekły powieki i wyschnięty, zatruty nikotyną język. Oparłem głowę o blat biurka i starałem się po prostu nie myśleć. Do-trwać jakoś do trzeciej, doczekać Leszczuka, załatwić choć tę sprawę, którą załatwić mogłem i musiałem.

I wtedy przyszło olśnienie: przecież jest trop! Trop wyraźny i czytelny, choć nie pamiętam, gdzie jest i czym jest. Ale wiedziałem, że istnieje, że ma jakiś związek z wczorajszym bełkotem Artura i notatkami Agnieszki - że już wczoraj uderzył mnie jakimś niepokojącym słowem.

Rzuciłem się na rękopis włożony między stronicę Freuda. Przebiegłem wzrokiem kilka pierwszych zdań i triumfalnie odrzuciłem go na biurko. Już wiedziałem! Było słowo, którego istotny sens umknął wcześniej z mej pamięci, słowo: siostra! Tak, Wisia miała siostrę, która mieszkała gdzieś obok, w pobliżu i nawet znała Agnieszkę - jak twierdził Artur.

Halina Waniewicz, z domu Szewczyk - siostra Wisi, ponad wszelką wątpliwość. Przypomniałem to sobie nadspodziewanie łatwo. Przecież obserwowała Agnieszkę na prośbę Artura - to dzięki niej trafiliśmy na trop wojennych zainteresowań, które zawiadły Agnieszkę do uniwersyteckiej czytelni. Mieszkała po drugiej stronie płyty lotniska, w tym samym bloku co Łukasz Czarny, w sąsiedniej klatce.

Zerwałem się z krzesła. Muszę z nią natychmiast porozmawiać! Trop może być fałszywy, w końcu nie zawsze rodzone siostry są sobie bliskie.

Była już druga, więc do wizyty Leszczuka nie pozostało wiele czasu. Postanowiłem jednak spróbować. Wybiegłem z domu i na przełaj pomaszerowałem przez płytę. Bez trudu znalazłem nazwisko Waniewicz na liście lokatorów, wsiałem do windy i - w tej chwili opanowały mnie wątpliwości.

Przecież ledwie wczoraj był pogrzeb Wisi. Dziewczyna ma prawo być przybita i zmęczona, może mieszkają u niej rodzice, którzy z daleka przyjechali na pogrzeb swojej córki? Każdy obcy człowiek byłby w tej sytuacji niepożądanym gościem, a cóż dopiero mówić o facecie, który chce rozdrapywać świeże rany. na domiar złego - Halinka mogła wiedzieć o skrywanej przed światem miłości Wisi. To tym bardziej pogarszało moją sytuację. Pach! Winda ze stękiem zatrzymała się na szóstym piętrze.

Wyszedłem z niej z determinacją, tą samą, która wczoraj pozwoliła mi przeczytać notatki Agnieszki. W końcu, jeśli ona rzeczywiście mnie kochała, to mam prawo pytać o nią, nawet teraz. Zwłaszcza teraz!

Odszukałem mieszkanie numer 57 i już miałem zadzwonić, kiedy zauważyłem kartkę Proszę pukać, dziecko śpi. Zapukałem. Otworzyła mi bardzo szybko, choć ostrożnie, z rezerwą. Jej zmęczona, podpuchnięta od łez twarz wydała mi się znajoma.

- To pan? - spytała cicho, jakby spodziewała się właśnie mej wizyty.

Zacząłem przeproszać, bąknąłem coś o rodzicach, o niestosownej porze. Nie poruszyła się ani o krok, trwała nieruchomo, jakby broniła swym ciałem dostępu do świątyni domowego ogniska.

- Pora rzeczywiście jest niestosowna, chociaż rodzice już wyjechali. Lepiej, żeby pan tu w ogóle nie przychodził. Nigdy.

Ale jednak przyszedłem. Myślę, że mam do tego prawo. Zwłaszcza dziś.

- A ja myślę, że pan nie ma. Ale trudno...

Gestem nagłej rezygnacji uchyliła szerzej drzwi, zaprosiła do środka.

- Robię właśnie obiad, więc możemy porozmawiać w kuchni.

Weszliśmy do ciasnego, choć wesołego wnętrza. Na piecyku gazowym pykała para garnek zupy, w piekarniku buzował płomyk. Ściany były dokładnie zawieszono wrocławskimi talerzami i drewnianymi łyżkami a nie kończące się rzędy szufladek i półeczek ze słóeczkami na przyprawy wystawiały dobre świadectwo mieszczańskie zapobiegliwości rodziny.

Bezsensownie pozazdrościłem mężowi Halinki tego wnętrza i tej żony, i spokoju, który tak niewiele kosztował. Jakby czytając w moich myślach Halinka zaczęła mówić o swoim mężu, znanym mi, obcym panu Waniewicz. Krajała przy tym koperek, którego zapach rozszedł się po całej kuchni. Od lat nie używałem koperku - pomyślałem idiotycznie. Ta kuchnia, ta scena, sylwetka tej dziewczyny pochylonej nad stołem przypomniały mi matkę i szcecińskie lata niewinności.

- Mój mąż nie lubi gości - mówiła Halinka - zwłaszcza od czasu urodzenia Mateuszka. Czasem przychodzą teściowie, ale poza tym prawie nikt. Andrzej jest inżynierem, bardzo dobrym fachowcem - dodała jakby tonem usprawiedliwienia - pracuje ciężko, więc ma prawo odpocząć we własnym domu.

Skończyła kroić koperek.

- Nie mówię o tym bez powodu - odwróciła się w moją stronę - Andrzej wraca zawsze koło piętnastej, pracuje niedaleko. Na pewno nie byłby zadowolony, gdyby pana tu zastał, więc proszę szybko powiedzieć, o co chodzi i zniknąć.

Stała teraz na tle okna - więc na tle piętrzących się nieskończenie bunkrów Zasp, blada, w jasnym jak jej twarz, wyblakłym fartuszk, opierając mocno na biodrze rękę, w której trzymała długi kuchenny nóż, ten sam, którym przed chwilą siekała koperek.

Tym nożem, swoją pozą, obiadem podskakującym na gazie - broniła mi wstępu do swego domu, do swego wnętrza - tak jak bym mógł coś zburzyć i zniszczyć. Jakby to było moim zamiarem.

- Chciałem porozmawiać z panią o Wisi.

- Domyślałem się. Wisia często mi się zwierzała. Stąd wiem, kim pan jest. I dlatego trochę pana nie lubię.

- Myślę, że ma pani prawo.

- Potrafię to docenić, jeśli mówi pan prawdę.

Zrezygnowała z pozy domowej amazonki, wróciła do kuchennego blatu, gdzie czekała na ostrze noża marchewka i seler.

- Wie pan - podjęła tonem usprawiedliwienia - Andrzej niezbyt lubił również Wisię. Nigdy nie mówił tego głośno, ale wiedziałam, że nie akceptował jej trybu życia, poglądów... Choć Bogiem a prawdą wiedział o tym niewiele. Raziło go jej zachowanie. Uważa do dziś, że wyrwał mnie ze złego środowiska. Może ma rację...

Milczałem.

- Ale jednak Wisia była moją rodzoną siostrą. Dlatego tak mi było przykro, kiedy Andrzej zrobił awanturę tylko z tego powodu, że Wisia została u nas na noc. To była ostatnia jej noc... następnego dnia zginęła... - Halinka zaczęła się rozklejać - Andrzej był bardzo przejęty, kiedy się o tym dowiedział. To mu wystawia dobre świadectwo - dodała tonem usprawiedliwienia, jakby chciała przekonać do czegoś samą siebie.

- Więc Wisia była tu w przeddzień śmierci? - spytałem.

- Tak, to żadna tajemnica. Mówiłam już o tym milicji, kiedy prosili o zidentyfikowanie zwłok. To było straszne, naprawdę straszne.

Zastygła w dziwnej pozie, między marchwią, garnkami, gazowym piecykiem.

- Co wtedy mówiła, czy była niespokojna, przestraszona? - spytałem, mając w pamięci telefoniczną rozmowę Wisi z Agnieszką.

- A wie pan, że była - Halinka znów odwróciła się w moją stronę. Choć wtedy to lekceważyłam. Och, znałam dobrze humorki mojej starszej siostry. Ale to wszystko zaczęło się właśnie dzień wcześniej. Pan chyba się domyśla kiedy?

- Nie wiem, o czym pani mówi?

- Naprawdę? - spytała surowo. - Przecież Artur Dembowski był chyba z panem w kontakcie?

- Ależ tak, oczywiście. Nie wiedziałam, że o to pani chodzi.

- No właśnie... Pomogłam mu trochę. Może nie postąpiłam dobrze, mówiąc mu o Agnieszce, ale cóż -dodała usprawiedliwiająco, nie potrafiła się pozbyć tego tonu ciągłego usprawiedliwiania - wiedziałam o tym, że Agnieszka skrzywdziła Wisię, więc informowałam Artura, jakby jej na złość... - zastanowiła się - to było w poniedziałek. Pamiętam, bo tego dnia Andrzej wyjechał na delegację i wrócił dopiero we wtorek wieczorem. To wtedy zastał w domu Wisię i tak się okropnie zdenerwował. A wtedy w poniedziałek - podjęła - już rano wpadł Artur, był bardzo przejęty i sugestywny, on to potrafi, opowiedział o Agnieszce i o tym, że bardzo się nią interesuje. Wiedziałam, że Agnieszka mieszka obok, bo ją widziałam poprzedniego dnia, jak z walizkami wchodziła do klatki schodowej, razem z Łukaszem Czarnym. Znam oboje z widzenia, choć oni nie mają o tym pojęcia. Więc zgodziłam się pomóc Arturowi i doniosłam mu o posunięciach Agnieszki. Pewnie na tym cała sprawa by się skończyła, ale po południu tego dnia szłam z wózkami przez płytę lotniska i spotkałam znów Artura. Spytałam, czy dowiedział się czegoś o Agnieszce, a on powiedział, że nic ciekawego. „Poszła do czytelnicy i studiowała wojenne pamiętniki” - powiedział i machnął lekceważąco ręką. Wróciłam do domu, a wkrótce potem przyszła Wisia. Dzwoniła już wcześniej, a że Andrzej Wyjechał, namówiłam ją na wizytę. Oczywiście, opowiedziałam Wisi o Agnieszce, i o tym, że Artur się nią interesuje. Może niedobrze zrobiłam, ale pamiętałam, jak wiele Agnieszka znaczy dla Wisi. A ona strasznie się przejęła moją opowieścią. Szeptala „Boże, Boże” i w milczeniu paliła papierosa. Potem zerwała się gwałtownie, wyszła do pokoju i gdzieś dzwoniła. Rozmawiała cicho, chociaż długo, więc nic nie słyszałam. Potem wróciła do mnie, do kuchni, właśnie robiłam kolację dla dziecka, posiedziała może jeszcze z pół godziny, właściwie mnie nie słuchając. Cały czas paliła, odpalała jednego papierosa od drugiego... Zdenerwowałam się, ja też zapalę...

Wyciągnęła z szufladki na przyprawę z napisem „kardamon” paczkę klubowych, pstryknąłem szarmancko zapalniczką, Halinka

głęboko się zaciągnęła, po czym powiedziała, znów jakby się usprawiedliwiając:

- Mój mąż nie lubi kiedy palę, więc trochę się z tym ukrywam. Oczywiście - Andrzej ma rację, przecież palenie szkodzi zdrowiu.

Wypowiedziała to zdanie jak dobrze wyuczoną lekcję, zaciągnęła się jeszcze i nie ponaglana podjęła przerwany wątek.

- Wisia potem nagle wstała, uściskała mnie jakoś wyjątkowo serdecznie i zaczęła się zbierać do wyjścia. Byłam rozcieszona, bo chciałam ją zatrzymać na noc, pooglądać razem telewizję, ale Wisia była stanowcza -właściwie wcale mnie nie słuchała. Pożegnała się i poszła.

Przez chwilę paliliśmy w milczeniu.

- A co było następnego dnia? - spytałem.

- Przyszła pod wieczór, właściwie niespodziewanie. Byłam trochę zdenerwowana, bo Andrzej mógł wrócić w każdej chwili - on lubi wracać z delegacji wcześniej, niż to zapowiada. Może dlatego trochę chłodno ją przyjąłem i nie słuchałem, co mówi. Cały czas czekałam na szcęk klucza w zamku i wyobrażałam sobie złą miną Andrzeja. I drwinki Wisi, którymi potrafiła go osaczać. Wisia była też bardzo zdenerwowana, ale równocześnie - prawie wesoła. Bardzo podniecona, niemal jak pod wpływem narkotyku. Posiedziała z godzinę, a potem powiedziała, że chciałaby zostać u nas na noc. Nie mogłam jej odmówić, choć bałam się powrotu Andrzeja. I rzeczywiście, Andrzej wrócił przed dziesiątą, był bardzo zły widząc Wisię. Posiedział z nami chwilę, a potem demonstracyjnie poszedł spać do pokoju dziecka. Ja posłałam Wisi w drugim pokoju, obok siebie. Ona poszła spać wcześniej, chyba o dwunastej, ja jeszcze prałam z godzinkę, ale kiedy weszłam do pokoju, Wisia nie spała. Zapaliła światło i zdecydowanym gestem, tak jakby podjęła ważną decyzję, sięgnęła do torebki. Powiedziała coś w tym sensie, że jutro zadecydują się bardzo dla niej ważne sprawy i że chce dać mi przedtem to, co jest dla niej najcenniejsze.

Halinka sięgnęła do kieszeni dzinsowej spódnicy i wyjęła z niej małe kolczyki z granatów.

- Dała mi to.

Nie miałem wątpliwości. Taki sam był kolczyk Agnieszki, który skradziono z mego mieszkania. Ale tu była dwa, pełna para...

Jak to Agnieszka napisała? Będą się zawsze przyciągały... Ale to nie były słowa Agnieszki, to powiedział jej ojciec!

- Dała mi te kolczyki mówiąc, że należą do Agnieszki i że chce by do niej wróciły. Spytałam, dlaczego sama jej ich nie odda. Wisia wzruszyła ramionami i zaśmiała się brzydko, wulgarnie. Nic mi nie wyjaśniła. Prosiła tylko, żebym dała to Agnieszce, jeśli ona sama nie wpadnie do mnie następnego dnia. Zgodziłam się... Och, właściwie nie wiem, dlaczego panu o tym wszystkim mówię?

- A czy powiedziała to pani milicji?

- Ależ po co, przecież to są prywatne sprawy Wisi. Co ich to może obchodzić?

- A nie pytali o zachowanie Wisi tego wieczoru, o jej nastrój?

- Trochę pytali, ale chyba bez specjalnego zainteresowania.

No tak, pomyślałem, mieli już wtedy Fabjańskiego.

- Chciałam oddać te kolczyki Agnieszce dzisiaj rano, ale w mieszkaniu Czarnego nikogo nie ma. Zachodziłam tam dwa razy. Agnieszka chyba wyjechała.

- Była wczoraj na pogrzebie.

- Nie widziałam jej.

- Nie szkodzi, myślę, że jeszcze będzie okazja, by spełnić wolę Wisi.

- Ja też tak myślę - powiedziała Halinka i schowała kolczyki do kieszeni. Spojrzała na zegar. Wskazówki dobijały do trzeciej. Halinkę spłoszyło nagle wspomnienie jej wspomniałego małżonka.

- Jest bardzo późno, musi pan już iść - prawie krzyknęła. - Bardzo proszę!

- Chciałem jeszcze spytać o kilka szczegółów...

- Nie dzisiaj i nie jutro... Bardzo proszę! Sama nie wiem, dlaczego o tym wszystkim mówiłam właśnie panu. Na pewno nie postąpiłam dobrze.

Była zdecydowana, prawie pchała mnie w kierunku drzwi. Nie dała mi okazji do żadnego przyjaznego gestu, choć przecież czułem się jej dłużnikiem. Niema z hałasem zatrzęsnęła za mną drzwi swej rodzinnej świątyni.

Była jednak bardzo różna od siostry. A może: chciała być.

Wychodziłem już z klatki schodowej, gdy naprzeciw wejściowych drzwi zatrzymał się lśniący czystością mały fiat. Wysiadł z

niego niespełna trzydziestoletni mężczyzna, tęgawy i brodaty. Zatrzasnął drzwiczki samochodu i rzuciwszy mi niechętnie spojrzenie, ruszył w stronę wejścia. Przytrzymałem uprzejmie ciężkie drzwi, ale nie burknął nawet słowa podziękowania. Bez zbytej przenikliwości domyśliłem się w nim inżyniera Waniewicza, wzorowego męża i ojca.

Halinka urwała gwałtownie naszą rozmowę zahipnotyzowana zegarem, który wskazywał trzecią. Ale i dla mnie była to dopingująca do pośpiechu godzina. Pognałem do domu z nadzieją, że zdążę jeszcze przed Leszczukiem. Zdążyłem - spotkaliśmy się w windzie.

18.

Leszczuk był w cywilnym ubraniu, elegancki, zapięty na ostatni guzik. Już po kilku obojętnych słowach zrozumiałem, że niewiele zostało z jego „dżinsowej” prywatności, którą demonstrował jeszcze wczoraj. Mimo to postanowiłem nie wypadać z roli miłego, trochę gapowatego detektywa - amatora starającego się pomóc organom ścigania.

Usadawiłem porucznika w najwygodniejszym fotelu, wyciągnąłem butelkę koniaku, która dziwnym trafem nie świeciła jeszcze dnem (Leszczuk pokręcił przecząco głową), zaparzyłem herbatę. Wreszcie siedliśmy naprzeciw siebie, Leszczuk wciąż chmurny i zasadniczy, ja prawie wesoły, choć powściągliwy. Przede wszystkim zapytałem go o zdjęcia. Odpowiedział niechętnie, jakbym wcale nie miał prawa o tym wiedzieć (obaj wiedzieliśmy, że je miałem):

- Zająłem się bliżej tymi odciskami, ale trudno na razie o jakieś wnioski - wzruszył ramionami - sądzę, że to tylko techniczny szczegół...

- Ale jednak chciałby pan wiedzieć, kto wykonał fotomontaż? I po co?

- Oczywiście, ale to naprawdę nie jest aż tak ważne, jak pan sądzi. Te wszystkie szczególiki, które w trakcie śledztwa wydają się



nam strasznie tajemnicze, wyjaśniają się zazwyczaj bardzo szybko. I bardzo banalnie.

Myślałem, że się rozgada, ale nie, zamilkł, czekając co ja mam mu do powiedzenia. Nie było wyboru, musiałem wyłożyć swoje atuty.

- A czy nie pomyślał pan o tym, że moje podobizny wmontowane w te obrazki, musiał robić inny fotograf od tego, który sfotografował Wisię?

- To oczywiste. Nasi fachowcy wypisali mi nawet, jakie to były aparaty itd. itd., wszystkie różnice światła, cienia...

- No właśnie - podjąłem - można by trafić do autora fotomontażu ustalając, kto robił moje portrety...

Przerwał mi:

- Jeśli pan coś wyszperał, proszę mi powiedzieć, jeśli nie - to kończmy rozmowę. Zapewniam pana, że i tym się zajmiemy w odpowiednim momencie.

- Jeszcze nic nie wiem, ale mam nadzieję trafić na jakiś ślad.

- Niech pan wtedy do mnie zadzwoni - roześmiał się gburowato.

Rozmowie groził impas, ale na szczęście u drzwi rozległ się dzwonek. Poszedłem otworzyć. Kiedy wróciłem do pokoju, porucznik spojrzał na mnie pytająco.

- Nic ważnego - powiedziałem - mleczarz upomniał się o butelkę.

Usiadłem w fotelu.

- Zostawmy temat zdjęć na boku, skoro się pan nimi nie interesuje - zacząłem. - Właściwie chciałem z panem mówić o zupełnie innej sprawie.

- Znowu handelek? - roześmiał się Leszczuk sardonicznie. - Liczył pan, że za naprowadzenie na nowy trop kupi pan ode mnie kolejną tajemnicę śledztwa? Czy nie wystarczy, że pozwoliłem panu wejść w posiadanie - tak to eufemistycznie nazwijmy - tych kilku zdjęć? I po cóż one właściwie były panu potrzebne?

Zaskoczył mnie. Nie spodziewałem się, że jest aż tak spostrzegawczy.

- Uznałem, że mam prawo do obrazków, które właśnie mnie przedstawiają - odparłem.

- No cóż, jest to prawo dość względne...
- Tak czy inaczej, nie upierajmy się przy tym temacie, zgoda? Dziś nie chcę żadnych handelków, a sprawa jest bardzo istotna.
- Leszczuk musiał wyczuć powagę w moim głosie, bo ucichł. Zapalił papierosa i milczał.
- Czy mogę trochę poteoretyzować?
- Proszę.
- O ile wiem, Fabjański przyznał się do winy i to jest dla was, hmm... głównym dowodem przeciw niemu.
- Leszczuk milczał, nie dał się sprowokować.
- Ale przecież zdarza się, że niewinni ludzie przyznają się do nie popełnionej zbrodni, chcąc kogoś osłonić.
- Zdarza się. Głównie w powieściach kryminalnych.
- A jednak sądzę, że tak jest również w tym przypadku.
- I kogóż to miałby, pana zdaniem, osłaniać Fabjański?
- Na przykład żonę. Przecież mogła być zazdrosna o jego uczucie do Wisi, a przyzna pan, że to niezły motyw.
- Motywów są dziesiątki, mówiłem już o tym panu. Nie mamy żadnych powodów, by przesłuchiwać kobietę, o której istnieniu dowiedziałem się w tej chwili. Albo więc pan mi ich dostarczy, albo narazi się pan na sprawę o zniesławienie.
- Zaraz, zaraz - przecież ja wcale nie powiedziałem, że ona jest winna. Powiedziałem tylko, że Fabjański ją osłania, bo myśli, że to ona zrobiła. A ja wiem, że ma powody, by tak sądzić...
- Proszę, proszę - Leszczuk z ironią pokręcił głową. Przesadzał, więc postanowiłem go ukarać.
- O tym, jakie to są powody i dlaczego przypuszczenia Fabjańskiego są mylne, chętnie panu opowiem. Ale za chwilę. Na razie wrócimy do naszej wersji. o ile pamiętam - odrzucił pan motyw zazdrości, miłostnego szału itd. Woli pan stać konkretnie na ziemi i szukać motywów banalnych. Jak na przykład zemsta za napisanie anonimu... A gdybym dostarczył kogoś, kto naprawdę ten anonim napisał?
- Oczywiście, to bardzo skomplikowałoby całą sprawę. Ale proszę, niech pan próbuje - Leszczuk spoważniał, czuł, że szykuję się do jakiejś niespodzianki.

Otworzyłem drzwi od sąsiedniego pokoju, gdzie wcześniej ukryłem panią Fabjańską. Choć słyszała całą naszą rozmowę - trzymała się nieźle.

- Proszę bardzo, panie poruczniku, oto osoba, która kiedyś tak ładnie wam pomogła swoim liścikiem.

- Nie rozumiem! - zdumiony Leszczuk zerwał się na równe nogi.

- Państwo pozwolą, że przedstawię... -dokonałem zwyczajowej towarzyskiej prezentacji, prawie wesoło, jakbyśmy się umówili na bridża z dziadkiem. Tyle, że dziadek siedział w więzieniu. Zaskoczony Leszczuk podał kobiecie dłoń, po czym jeszcze bardziej sposepniał.

- Więc pani twierdzi, że napisała anonim?

- Tak.

- I chce pani, żebym w to uwierzył? Proszę mi wybaczyć, ale to zupełnie literacka historia. Powiem brutalnie - nie mogę uwierzyć w wielkoduszość męża, który osłania małżonkę i szlachetność tejże, która najpierw pisze anonim, a potem się do tego przyznaje. A panu - zwrócił się do mnie - trzeba będzie wreszcie natrzeć uszu. Jeśli mówiłem panu o anonimie i innych sprawach, to nie po to, żeby pan to rozgłaszał po całym Gdańsku. Państwo wybaczą! - skończył, ale nie ruszał się z miejsca.

- Jeśli chodzi o ścisłość, panie poruczniku - powiedziałem z uśmiechem, który w zamyśle miał być ujmujący - to wiedziałem o wszystkim już wcześniej. Więc proszę mi nie wypominać nielojalności. Inna sprawa, jaki się robi użytek z posiadanych informacji... Ja sądzę, że zrobiłem dobry.

- A ja pańskiego zdania nie podzielam.

- Nie musimy się niczym dzielić, panie poruczniku. Zwracam panu natomiast uwagę, że przed chwilą obecna tu kobieta złożyła ważne oświadczenie. I musi pan z nim coś zrobić!

- Otóż nie mam zamiaru przyjmować do wiadomości oświadczenia biednej kobiety, która za wszelką cenę stara się ratować męża nicponia. Jeśli pani chce - zwrócił się raptownie do Fabjańskiej - to mogą pani przysłać wezwanie na komendę. Niech mi tam pani to jeszcze powtórzy, a zrobię pani sprawę o utrudnianie śledztwa!

- Nie jest pan uprzejmy wobec dam, poruczniku! - wypaliłem.

Leszczuk zwrócił się zapalczywie z kolei do mnie, ale obu nas osadził w miejscu spokojny, zdecydowany głos Fabjańskiej.

- Chwileczkę, panie poruczniku! Pani mi nie wierzy i to jest pana prawo, a nawet obowiązek. Rozumiem. Ale ja chyba potrafię dowieść, że naprawdę napisałam ten list.

Była zdeterminowana, uspokojona decyzją, jaką podjęła i zdecydowana znieść wszystkie jej konsekwencje.

- W jaki sposób? - zainteresował się Leszczuk.

- No cóż, nie sądzę, żeby treść tego anonimowego listu była znana wielu osobom. Wiem, że nawet Zdzisław nigdy w życiu nie widział go na oczy. A ja mogę panu powtórzyć całą jego treść. Znam go na pamięć - to była jednak dla mnie trudna decyzja. A takich chwil się nie zapomina. Mogę również panu powiedzieć, na jakim papierze go napisałam, do jakiej koperty włożyłam, jaki był na niej znaczek i nawet - do której skrzynki pocztowej wrzuciłam kopertę. Czy to wystarczy?

Leszczuk był bodaj trochę zmieszany, ale już oczywiście - zawodowo - spokojny.

- No cóż - powiedział - myślę, że to będzie bardzo ważne. Choć nic, oczywiście, nie jestem w stanie obiecać. Najlepiej będzie, jeśli oboje pojedziemy zaraz na komendę. Jestem samochodem.

Podnieśliśmy się z miejsc. Poczulem wielką ulgę.

- Ale zdaje sobie pani chyba sprawę z tego, że jeśli uwolnimy pani męża, będziemy się musieli dobrze zastanowić, jakie miał powody, żeby panią osłaniać?

Fabjańska zwiesiła głowę, a ja poczułem wielką pustkę; wierzyłem w niewinność tej kobiety, ale na poparcie swej wiary nie miałem nic prócz intuicji - ostatniego narzędzia, którym zechciałby się posłużyć Leszczuk.

- Idziemy - powiedział porucznik. Zabrzmiało to jak wyrok.

Przez moment chciałem ich zatrzymać; miałem przecież w zanadrzu jeszcze sporo atutów: zapiski Agnieszki wyjaśniały sprawę fotografii, sensacyjna rozmowa z Halinką i kolczyki, które mi pokazała, łączyły włamanie do mojego mieszkania z osobą Wisi. Ale natychmiast zrozumiałem, że wobec niechętej, nawet wrogiej postawy Leszczuka wiele ryzykuję. W końcu to, czego się dowie-

działem o fotografiach, mogło jeszcze bardziej obciążyć Fabjańskiego, a z kolei związek Wisi z włamaniem znów, w jakiś sposób, wciągnął mnie w tę sprawę. Nie, postanowiłem sobie, że nie powiem już porucznikowi nic więcej. Muszę sam zakończyć tę sprawę.

Podeszliśmy do drzwi, tu Leszczuk zwrócił się w moją stronę.

- A w przyszłości - powiedział - kiedy będzie pan znów przygotowywał jakieś zasadzki, niech pan zawczasu usunie spod drzwi butelkę. Kłamstewkami daleko pan nie zajędzie.

szczęknąłem zamkiem. Fabjańska uśmiechnęła się do mnie niepewnie, a jednak - z wdzięcznością, dodając jakby sobie otuchy.

- Do zobaczenia - powiedziałem.

- Zobaczymy się na pewno - odpowiedział poważnie porucznik.

Wróciłem do pokoju i ciężko opadłem na fotel. Ze zdumieniem poczułem, że mam całe plecy mokre od potu. Wlałem do szklanki resztę koniaku z butelki i wypilem tę porcję jednym haustem. Nie byłem zadowolony z obrotu całej sprawy, pryncypialności Leszczuka i jego zawodowych manier. Ale przede wszystkim martwiłem się o Fabjańską. Zrobiłem sporo, żeby jej pomóc, a teraz, kiedy udało mi się rozegrać zaaranżowane spotkanie zgodnie z planem - czułem pustkę. Nie tylko dlatego, że Leszczuk odmówił mi łatwej satysfakcji zwycięstwa. Nagła pustka brała się z braku planu na resztę dnia, braku pomysłu na kolejne rozmowy i spotkania. Po trzech dniach szalonej aktywności ogarnęło mnie uczucie nieuzasadnionego entuzjazmu, przekonanie, że jestem blisko celu. A teraz, wyłączony z udziału w sprawie Fabjańskiego, właściwie nie wiedziałem co robić.

Mogłem oczywiście dowiedzieć się, gdzie obozuje profesor Bohomolec i ruszyć w trop za Agnieszką, ale raptem przestraszyłem się myśli o tak długo wyczekiwanym spotkaniu. Tej samej myśli, którą żyłem wiele miesięcy!

Coś mogłoby się wreszcie zdarzyć bez mojego udziału - pomyślałem - deus ex machina. W nagrodę za moje usiłowania, poszukiwania, wytrwałość. I w tej chwili nerwowym brzęczeniem rozległ się dzwonek u drzwi wejściowych.

Zerwałem się z miejsca i jak lunatyk, z bijącym sercem, wybiegłem z pokoju. Kto czeka za drzwiami? Jaki duch wywołany mo-

imi myślami zmaterializował się w bunkrach zaspy? Mój ojciec, Agnieszka, Wisia? Nacisnąłem klamkę.

Przed drzwiami stał zgnębiony, zabiedzony, posępny Artur. Poczulem rozczarowanie, ale i radość. Mieliśmy sobie wiele do powiedzenia.

Ale Artur, łypiąc na mnie podejrzliwie spođe łba, zaczął pierwszy:

- Co to znaczy? Widziałem porucznika Leszczuka wychodzącego z twojej klatki z jakąś kobietą. Omal na nich nie wpadłem, a to nie byłoby dobrze. Byli u ciebie?

- Tak, Arturze, byli u mnie i to długo. Czuję, że muszę ci opowiedzieć całą historię.

Usadawiłem go w fotelu i mówiłem bez przerwy przez następną godzinę. Opowiedziałem mu o Fabjańskiej, o fotografiach, o prawdziwej historii anonimu, o spotkaniu z Leszczukiem, o pamiętniku majora i rozmowie z wdową, o spotkaniu z matką Bohomolca, zapiskach Agnieszki, o „Malutkiej”, Halince Waniewicz i w ogóle o całych trzech dniach, które spędziłem wolny od jego kura-teli.

Artur słuchał mnie spokojnie i z uwagą, nie przerywał ani nie popędział. To było do niego niepodobne. Kiedy skończyłem, westchnął.

- Powinienem mieć do ciebie żal, a właściwie nie mam. Ja przez te trzy dni miotalem się bezsensownie po całym Trójmieście i niewiele zdziałalem. Nawet się nie dowiedziałem, gdzie jest Agnieszka, choć to, zdaje się, takie proste. Miałaś więcej szczęścia niż rozumu, ale dobre i to...

- No, przyznasz jednak, że w sprawie Fabjańskiego okazałem nieco przenikliwości?

- To się jeszcze okaże - Artur powoli wracał do dawnej formy. - Na razie naładowałeś mi głowę tak wielką ilością faktów i szczegółów, że muszę to jeszcze raz spokojnie przetrawić. Szkoda, że nie informowałeś mnie na bieżąco, wtedy panowałbym nad sytuacją.

Wyobraziłem sobie Artura panującego nad sytuacją w buduarze Łucji i roześmiałem się w duchu - tej przygody mu nie streszczałem.

- Z tego, co mi opowiedziałeś, tylko trzy rzeczy mają większe znaczenie: relacja Sucheckiego, zapiski Agnieszki i rozmowa z Halinką. Ależ osioł ze mnie - dodał szczerze - trzeba było koniecznie pójść do niej.

Zamyślił się.

- I jeszcze jeden szczegół - ten dziwny list zagubiony przez Eda.

Zdążyłem już prawie zapomnieć o koperce od pani de Villars-Bourdon, ale Artur oczywiście miał rację - to było ważne i domagało się wyjaśnienia.

- Może po prostu przyciśniemy Eda? - zaproponowałem?

- To na nic, wszystkiego się wyprze, a my się odstonimy. Najpierw zestawmy wszystkie dane, jakimi dysponujemy.

Robię to bez przerwy.

- Ale nie dysponujesz naprawdę wszystkimi faktami - odparł Artur - bo część znam tylko ja.

zabrzmiało to chępliwie; mój przyjaciel wracał do formy.

- Ty dowiedziałeś się nowych rzeczy na temat swego ojca, ja - zainteresowałem się ponownie ojcem Agnieszki. Postanowiłem jeszcze raz przycisnąć do muru Łukasza Czarnego.

- Pojechałeś do Kadyn?

- Tak, jeszcze przed pogrzebem Wisi.

- I co, tym razem okazał się rozmowniejszy?

- Znacznie. Wiesz, silne wrażenie zrobiło na nim twoje aresztowanie. Bardzo chciał ci pomóc; zresztą pośrednio pomógł, ściągając do Gdańska Agnieszkę na rozmowę z milicją. Przy tej okazji miał z nią gwałtowną wymianę zdań. To było już po naszej wspólnej wizycie w Kadynach i Łukasz się jednak przejął twoją determinacją. Agnieszka z kolei była bardzo zaniepokojona, kiedy się dowiedziała, że pytaliśmy o jej ojca, choć nie chciała Łukaszowi powiedzieć dlaczego. Skończyło się na tym, że Agnieszka sama zaczęła wypytywać Łukasza o ojca, a Czarny, który wciąż jeszcze żywi wobec dziewczyny instynkty wujowsko-opiekuńcze bardziej się tym zirytował, zwłaszcza kiedy się dowiedział, że Brzeska w ogóle nie chce z Agnieszką na ten temat rozmawiać. „Zapomnij, że w ogóle kiedykolwiek miałaś ojca” - tak jej podobno powiedziała. Wreszcie Agnieszka ugłaskała Łukasza obietnicą, że już niedługo,

„kiedy upora się ze swoimi zmartwieniami” postara się z tobą zobaczyć. To dlatego Łukasz tak zmiękł, kiedy się u niego zjawiłem.

- No, ale powiedz wreszcie, czego się dowiedziałeś!

- Spokojnie, spokojnie, tego się nie da streścić w dwóch słowach. Jak wiesz, na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych Wereszyccy osiedlają się w Bartoszycach, gdzie mieszkają również rodzice Teresy Brzeskiej. Agnieszka jest wtedy bardzo mała, ma dwa czy trzy lata. Wereszycki, wtedy już mężczyzna czterdziestoletni, z trudem aklimatyzuje się w nowym środowisku. Nie ma przyjaciół, nie ma wykształcenia, jeśli nie liczyć przedwojennej matury i jakichś kursów. Nic o nim nie wiadomo, jego przeszłość przed 55-tym, kiedy wyszedł z więzienia, nikt nie zna. On sam traktuje te lata jako temat tabu Wereszycki wciąż jakby nie może się pogodzić ze swym losem. Cały jest wychylony w tę nieznaną nikomu przeszłość. Wreszcie decyduje się na emigrację, co w tamtych latach nie było ani łatwe do załatwienia, ani nie należało się tym chwalić. Teresa rozpacza. Na emigrację legalną nie ma właściwie szans, pozostaje więc turystyczny wyjazd na Zachód i pozostanie tam. Ale nawet jeśli się to uda Wereszyckiemu, jaką ona może mieć gwarancję, że również wyjedzie z dzieckiem z kraju? To jedno. A rzecz zupełnie inna, że Teraz po prostu nie chce wyjeżdżać z Polski. Przeraża ją myśl o opuszczeniu rodziny i bliskich, rezygnacji z pracy, którą bardzo lubi. Nie może zrozumieć swego nieprzystosowanego do rzeczywistości męża. I - lęka się. Lęka się jego bólu, jego nienawiści, tych czarnych ran w jego duszy, o których pochodzeniu wie, być może, tylko ona. Choć i tego Łukasz wcale nie był pewny. Wreszcie Wereszycki decyduje się ostatecznie i zaczyna starania o paszport. Robi to na własną rękę, nawet żony nie wtajemnicza w szczegóły swojego przedsięwzięcia. Często wyjeżdża, do Gdańska, Olsztyna, Warszawy. Wreszcie pewnego dnia, w czerwcu, Teresa mówi rodzicom i Łukaszowi, że Wereszycki wkrótce wyjeżdża. Ma już paszport i pieniądze. Rodzice Teresy i Łukasza są oburzeni na zięcia do tego stopnia, że postanawiają się nawet z nim nie żegnać. Robi to natomiast Łukasz. W przeddzień oznaczonego terminu wyjazdu wymyka się wieczorem z domu i idzie do Wereszyckich. Jest gorący



czerwcowy wieczór, wszystkie okna pootwierane, mała Agnieszka bawi się jeszcze w ogródku. Łukasz miał zamiar wejść przez werandę, kiedy usłyszał dobiegające z wnętrza domu głowy. Zatrzymał się i mimowolnie podsłuchał rozmowę, o której po raz pierwszy opowiedział dopiero teraz - najpierw Agnieszce, potem mnie. Teresa była bardzo zmartwiona tym, że Wereszycki nie chce pozwolić się odprowadzić. Ba - nie powiedział jej nawet, skąd wyjeżdża, dokąd, i jakim środkiem lokomocji. To było dziwne i wręcz nieuzasadnione, łatwo więc zrozumieć niepokój Teresy, idący w parze ze złą wiarą, którą sączyli w nią rodzice: że Wereszycki ucieka od niej, że już nigdy nie wróci. Podobno nikt z rodziny nie widział nawet nigdy jego paszportu! Wereszycki długo uspokajał żonę, wreszcie podobno powiedział jej, że nie godzi się na żadne pożegnania, bo musi załatwić przed wyjazdem jeszcze jedną, bardzo ważną sprawę - musi się rozliczyć ze swoją przeszłością. Teresa wypytywała, o co chodzi, rozmawiali półsłówkami, odwołując się do siebie tylko znanych faktów, ale Łukasz rozumiał przynajmniej jedno. Wereszycki miał powiedzieć, że wreszcie znalazł „tego człowieka” i koniecznie musi z nim właśnie teraz porozmawiać. Teraz, przed wyjazdem, bo jest to być może ostatnia okazja. Wyjeżdżał z kraju - jeśli to prawda - a równocześnie jakby wracał w przeszłość. W nie rozliczoną przeszłość, rozumiesz?

Skinąłem głową.

- I to właściwie wszystko, co opowiedział mi Łukasz. Aha, jeszcze jedna sprawa, być może ważna, być może nie... Chyba że dwa lata temu zjawił się u Wereszyckiej jakiś obcy starszy mężczyzna. Powiedział, że jest w tych stronach przejazdem, a napotkawszy na jej nazwisko, chciałby wiedzieć, czy nie jest przypadkiem żoną Mariana Wereszyckiego, jego przyjaciela z lat okupacji. Gdy potwierdziła, zaczął wypytywać o jego losy, powojenne dzieje. Stary kolega z partyzantki, ot taki standardowy ludzki typ. Przedstawił się jako Kowalewski. Ale przynajmniej dwie rzeczy wzbudziły podejrzliwość Brzeskiej co do szczerości jego intencji - podejrzliwość tak wielką, że podzieliła się swymi obawami z rodziną. Po pierwsze - nigdy wcześniej podobni „koledzy” nie pojawiali się w życiu Wereszyckiego. Nie było żadnych listów, kombatanckich wspominków, kontaktów. Wereszycki programowo

odciął się od przeszłości i nikt nigdy go nie niepokoił. To jedno. A rzecz druga, to sprawa nazwiska, na niektóre miał jakoby natrafić „przypadkiem”. To było niemożliwe, bo w rodzinnych stronach Teresa zawsze występowała pod nazwiskiem panięńskim, a jej mąż zniknął przecież kilkanaście lat wcześniej. I nie zostawił raczej w okolicy przyjaciół. To właściwie wszystko. Kowalewski wyjechał, a wątpliwości pozostały.

- Ależ to, co mówisz jest prawdziwą sensacją!

- Wiem - z wrodzoną skromnością odparł Artur.

- Z tego by wynikało, że „tym człowiekiem” może być mój ojciec!

- Albo Kowalewski.

- No tak... Ale klucz do całej sprawy ma w swych rękach Brzeska. I dlatego tak kategorycznie w imię tajemnicy męża, wystąpiła przeciwko mojemu związkowi z Agnieszką.

- Ciężka to musi być tajemnica, skoro nawet Agnieszka nic nie powiedziała.

- Coś musiała powiedzieć, skoro Agnieszka pisze o „zemście”.

- No właśnie, zemście za co?

- Nie wiemy, ale mam nadzieję, że już niedługo...

- Nie ciesz się przedwcześnie, w końcu teraz znów nie wiemy, gdzie szukać Brzeskiej - zachnął się Artur.

- Zaraz, zaraz - coś mi zaświtało w głowie - jeżeli ów Kowalewski miałby być moim ojcem, to przecież Brzeska musiałaby go poznać. Bo poznała mnie na fotografii...

- Wszystko to są teorie - machnął ręką Artur - a nam potrzeba konkretów. Aha, ze zdjęciami sprawa przedstawia się następująco - dostałem je od Janka i oddałem do zakładu chemigrafii w naszej prasowej drukarni. Zrobili metalowe klisze, które przekazałem do BWA, a zdjęcia trzymałem jeszcze jakiś czas w szufladzie. Kiedyś przypadkiem obejrzał je Jacek Borkowski, który przygotowywał w „Żaku” wystawę „Portretów młodych twórców” i postanowił włączyć je do ekspozycji. Tyle. Wystawy nie widziałem, nie wiem nawet, czy się odbyła. Jeśli chcesz iść tym tropem - proszę bardzo.

- A ty co masz zamiar robić?

- Chciałbym usiąść teraz przy twoim biurku z notatkami, dziennikiem Agnieszki i innymi papierami i spróbować jakoś to wszystko uporządkować.

- Proszę bardzo.

- I daj mi jeszcze listę rzeczy, które zginęły podczas włamania.

- Po co? - byłem bardzo zdziwiony.

- Nieważne... Przecież mówię ci, że chcę uporządkować wszystko.

Zostawiłem Arturowi notatki, których potrzebował, dorzuciłem klucze do mieszkania i wyszedłem. Była siódma. Artur obiecał zrobić wyśmienitą kolację na dziesiątą. Cieszyła mnie ta perspektywa, bo znałem już poprzednie występy redaktora w roli kucharza. Był doskonały, czego niestety nie można było powiedzieć o wartości mojej lodówki.

Pojechałem do „Żaka”, studenckiego klubu, który okupował potężne eklektyczne gmaszysko przy prominentnym skrzyżowaniu w centrum Gdańska. Wiedziałem, że tu najłatwiej mogę znaleźć Jacka Borkowskiego, działacza, artystę, menagera.

W „Żaku” trwała już w najlepsze dyskoteka. Kupiłem, nolens volens, bilet i wszedłem do przyciemnionego hallu, zalewanego ze wszystkich stron kaskadami dźwięków i migotliwego światła. Śpiewała grupa „Boney M.”, której przy najlepszych chęciach nie mogłem lubić tak, jak kiedyś lubiłem „Doorsów”.

W barze było odrobinę ciszej i tu, na wysokim stołku, zastałem Jacka. Mrugnąłem do Bożenki, która odwzajemniła się przesłanym pocałunkiem. Wypiliśmy z Jackiem po piwie, zanim powiedziałem mu o zdjęciach - oględnie, bo dość już miałem wtajemniczenia w swoje sprawy obcych ludzi. Zamyślił się głęboko, a potem raptownie ruszył w czeluście budynku. Dreptałem za nim.

Weszliśmy do niewielkiego, nieprawdopodobnie zaśmieconego pokoju. Wszędzie wały się stopy papierzysk, rulony plakatów, jakieś instrumenty muzyczne, płyty, obrazki i paczki z książkami. Zewsząd - z szaf, szuflad, półek, wylewał się papier. Ale Jacek znał swoje królestwo nadspodziewanie dobrze. Pogrzebał przez chwilę w jakiejś szufladzie, potem - odsuwając na bok zdezelowaną perkusję - w drugiej, aż wreszcie wyciągnął triumfalnie w moją

stronę plik fotografii. Nie było wątpliwości - chodziło mi właśnie o te zdjęcia.

Ale było ich ledwie kilkanaście, podczas gdy Janek mówił o kilkudziesięciu.

- Sam wiesz, jak jest - wzruszył ramionami Jacek - to należy do wszystkich i do nikogo.

Ogarnął ruchem ręki swoje królestwo.

- Chcesz coś? To bierz! Może płytę albo tomiki poetyckie, albo trochę plakatów z Izabellą Trojanowską? Proszę bardzo.

- No tak - westchnąłem - ale komu mogłoby zależeć na moich podobiznach?

- Stary - zachnął się Jacek - tu ma dostęp setka ludzi. A w ciągu ostatnich dwóch lat było ich ze trzystu. żadna milicja świata nie pomoże.

- Wiem, wiem... Czekaj - przypomniałem sobie - co się właściwie stało z wystawą? Była czy nie?

- jeszcze nie, ale ciągle ją szykujemy. Trochę to długo trwa, no ale właściwie nikomu się nie śpieszy.

- Rozumiem. A kto ją przygotowuje?

- Komisarzem jest Ed Uhnalik. Chyba go znasz? Zaraz, zaraz, przecież on może coś wiedzieć o tych zdjęciach... Chcesz, to dam ci jego adres?

Jacek mówił nadal, ale już go nie słuchałem. Jeszcze raz Ed! Do znudzenia i konsekwentnie - w różnych, najbardziej niespodziewanych miejscach łamigłówni, której sensu wciąż nie mogłem zrozumieć. Pożegnałem się z Jackiem i pojechałem do siebie na Zaspę.

W mieszkaniu nie było ani Artura, ani kolacji. Jedynym śladem, jaki po nim pozostał była leżąca na biurku kartka tej treści: *Chcę jeszcze parę szczegółów posprawdzać, więc wychodzę. Czekaj od rana na mnie w domu i nigdzie nie wychodź. Teraz będziemy już działać razem.* Dobre i to.

Zjadłem kolację i poszedłem spać. Może to dziwne, ale zasnąłem kamiennym snem.

19.

Spałem tej nocy długo i spokojnie; obudziłem się późno, bardziej ubawiony niż zły z powodu przespanego południa.

Zadzwoił telefon - jak wtedy, przed dwoma tygodniami, kiedy również przespałem południe, tego dnia, w którym zaczął się mój bardzo długi czerwiec. A może to wszystko nieprawda? Może przespałem te dwa tygodnie i dopiero teraz dzwonek telefonu wywoływał mnie spośród zmarłych? Może dopiero teraz dzwoni Ed?

Z pewnym wahaniem podniosłem słuchawkę. To nie był Ed: dzwoniła pani Fabjańska - wzruszona, zmęczona i wdzięczna. Właśnie dostała wiadomość, że jej mąż jeszcze dzisiaj będzie zwolniony i jechała po niego na Okopową. Potem chciała odwiedzić mnie, żeby - jak powiedziała - „podziękować za wszystko”. Nie mogłem jej odmówić, umówiliśmy się na trzecią.

Ta rozmowa wprawiła mnie w dobry humor. Z lekkim sercem wstałem z łóżka i po kwadransie, wykąpany i ogolony, krzątałem się już po kuchni. Właśnie miałem wbić pierwsze jajko w skwierczący na patelni tłuszcz, gdy rozległ się donośny brzęczyk u drzwi. Przykręciłem gaz i nawet nie wkładając koszuli, pobiegłem otworzyć. W progu stał Artur, promienny i tajemniczy, w za grubej kurtce i za ciężkich butach jak na ten piękny, czerwcowy dzień. Wszedł, nie - raczej wpłynął do mieszkania na smudze zapachu luksusowej wody po goleniu. Uśmiechnięty, choć milczący, zdjął z kuchenki patelnię i z triumfalną miną otworzył swoją zawsze wypchaną torbę.

- Za wcześniej jeszcze na oblewanie sukcesów - powiedział - ale myślę, że możemy sobie pozwolić na lepsze śniadanie.

Wyciągnął z torby wędzonego węgorza, płat łososia i krążek salami. Gwizdnąłem przeciągle.

- Jesteś tak uradowany, jakbyś już rozwiązał wszystkie zagadki.

- Ciepło, ciepło...

- Nie rozumiem?

- No właśnie - a ja rozumiem prawie wszystko!

To stwierdzenie odniosło, oczywiście, planowany przez Artura skutek. Opadłem na krzesło z rozdziawionymi ustami.

- Więc mów!

- Spokojnie, spokojnie. Najpierw śniadanie. Nie chcę cię zmartwić, ale to może być nasz jedyny posiłek w dniu dzisiejszym. Czekają nas pracowite dni.

- Czy to znaczy, że nic się nie dowiem?

- Dowiesz się wszystkiego - w odpowiednim momencie. Sam się zresztą wszystkiego domyślisz - kawałek po kawałku.

- Artur, zlituj się...

- Nie mogę - mój przyjaciel był okrutny - muszę jeszcze przedtem sprawdzić kilka szczegółów. A poza tym emocje szkodzą trawieniu.

- Przecież szczegółami miałeś zająć się wczoraj?

- Wczoraj myślałem. A dziś od świtu ciężko pracuję. Dzwoniłem do British Airways, LOT-u, kilku hoteli...

- Ale po co, na Boga?!

- Dowiesz się wszystkiego... w odpowiednim momencie.

Cóż było robić - zaparzyłem herbatę i przez następny kwadrans pracownicy poruszaliśmy szczękami. Wreszcie Artur zapalił papierosa, wypuścił kilka kółek i powiedział:

- Zacznijmy od tego, co ma ścisły związek z dzisiejszym dniem, a nie zdarzeniami sprzed dziesiątków lat. Zafrapował mnie jeden szczegół - list z Paryża, adresowany do ciebie, który znalazł się w posiadaniu Eda. I to list pisany przez nieznaną Francuzkę, władającą najpewniej polskim, która już przed laty korespondowała z twoją matką. Wydało mi się to zupełnie bezsensowne. Bo i jak Ed mógł wejść w posiadanie tego listu, skoro ty nigdy nie widziałeś go na oczy? Przekupienie listonosza, włamanie do skrzynki? To wszystko jest wykonalne, ale pod jednym warunkiem - trzeba nie tylko oczekiwać takiego listu, ale również wiedzieć, kiedy nasza nieruchawa poczta zechce go dostarczyć. A skąd mógł to wiedzieć Ed, skoro ty sam nie miałeś o całej sprawie pojęcia? I wtedy przypomniałem sobie, że na kopercie wcale nie było twojego adresu, oddartego wraz z jakimiś obliczeniami. To podsuwało jedyne logiczne rozwiązanie - że ktoś, najpewniej sam Ed, koresponduje z panią Nathalie jakjejtam, podszywając się pod twoją osobę, ale podając swój adres. Prawdopodobne? Owszem. Ale po co? Korespondencja nie mogłaby być celem samym w sobie dla wyrafinowanego oszusta. I wtedy uderzyła mnie data na stemplu

pocztowym, data, którą ty przegapiłeś. List został wysłany z Paryża jakieś trzy tygodnie temu, a w Warszawie znalazł się na dwa dni przed telefonem Eda do ciebie. Wkrótce potem Ed gubi przypadkowo kopertę. A więc nosi ją ze sobą - list ma dla niego jakieś znaczenie, ale już nie tak wielkie, by obchodzić się z nim z szacunkiem. Co by z tego wynikało? Że korespondencja tylko coś przygotowuje i że cel został osiągnięty! Tym celem mogłoby być spotkanie adresata i nadawcy. I tu puściłem się na spekulacje czysto teoretyczne, ale jak się okazało - logiczne. Posłuchaj: Ed nie mógłby wyjechać z Polski jako Janusz Smólski, to jasne, a gdyby to zrobił z własnym paszportem, ryzykowałby zdemaskowanie. Pozostaje odwrotna możliwość - że pani de Villars-Bourdon ma przyjechać do Polski. Tu, na własnym terenie, Ed z powodzeniem mógłby udawać ciebie, legitymując się nie paszportem, a konkretnymi rodzinnymi pamiątkami, które tak niedawno stracił na skutek kradzieży prawdziwy Janusz Smólski.

- Zaraz, zaraz, zakładasz jakby a priori, że pani de Villars musi mieć jaki związek z prawdziwym Smólskim i jego rodziną.

- Ależ to nie jest żadne a priori, kochany - zachnął się Artur. - Przecież ta pani pisała do twojej matki na temat ojca. Prawda?

No tak, Artur rzeczywiście, przemyślał prawie wszystko. Pozostawało mi tylko słuchać.

- Oczywiście - ciągnął dziennikarz - to była tylko hipoteza. A więc należało ją potwierdzić. Przez cały ranek dzwoniłem do przedstawicielstw zachodnich linii lotniczych - rachunek przyślę ci przy okazji - i trafiłem: pani de Villars przyleciała przedwczoraj do Warszawy samolotem British Airway z Paryża. Dobre?

- Znakomite! - potwierdziłem. Efekt był rzeczywiście kolosalny.

- To nie wszystko. W LOT-cie upewniłem się, że ta dzielna dama dziś o pierwszej, o - dokładnie w tej chwili - przylatuje do Gdańska, a w „Grand-Hotelu” poinformowano mnie, że od dziś czeka na nią apartament.

- Ależ to niezwykle! Miałeś niewiarygodne szczęście.

Artur obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem.

- Jakie szczęście, chłopie, po prostu logika prób i błędów.

- Ale ja i tak nic nie rozumiem. A przede wszystkim: po co Ed Uhnalik albo ktokolwiek inny miałby się u Boga Ojca podszywać pod moją osobę?

- Wszystko zrozumiesz w odpowiednim momencie. Mam na ten temat pewną teorię. Ale nie uprzedzajmy wypadków, bo czas i tak działa na naszą korzyść. Będziemy siedzieli tutaj, spożywali te dary boże i czekali, aż teoria sama się potwierdzi.

- Albo runie - dodałem.

Co tu ukrywać, nie cieszyła mnie perspektywa biernego oczekiwania w domu na sprawdzenie się Arturowych wizji, podczas gdy ktoś bezczelnie działa pod moim nazwiskiem.

Odezwał się telefon - nagle, jak na zamówienie. Artur podskoczył do aparatu. Chwilę słuchał w milczeniu, rzucił w słuchawkę kilka słów, znów słuchał, wreszcie powiedział: „Czekam za godzinę” i rozpromieniony zwrócił się do mnie.

- Mam swego człowieka na lotnisku, właśnie dzwonił. Pani de Villars przyleciała z Warszawy o trzynastej piętnaście. Czekał na nią Ed z kwiatami i taksówką. Ta Francuzka znakomicie mówi po polsku, choć w ogóle jest sucha, kostyczna i niemłoda, prawdziwa wielka dama.

Teraz i mnie udzieliło się jego podniecenie.

- Czyli, że teoria się potwierdza?

- Oczywiście.

- Arturze, miej litość nade mną, co się tu dzieje!

- Stawki tej gry nie znam - Artur zaskoczył mnie swoją skromnością.

- No dobrze, ale przecież Ed prowadzi od dłuższego czasu jakąś intrygę i to zawiłą. zauważ: to on ma dostęp do zdjęć, które oddałeś Borkowskiemu (Artur nie wydawał się być zdziwiony tą wiadomością), on pracuje w „Panoramie” z wisią, on informuje Fabjańskiego o tym, że Wisia jest modelką, co przecież było tajemnicą, on też pierwszy dzwonek do mnie z wiadomością o powrocie Agnieszki. Czy nie za dużo tych przypadków?

- To nie są przypadki, rzecz jasna, ale jak wygląda cała prawda jeszcze nie wiem. To wszystko się skomponuje...

- Wiem, w odpowiednim momencie...



- No właśnie. Jeśli chcesz jeszcze trochę poteoretyzować, to wiedz, że sądzę, iż korespondencja pani de Villars z mniemanym Januszem Smólskim dotyczyła jego, to znaczy - twego - ojca. To pani musiała być z nim kiedyś związana, może jest jego krewną, skoro szukała go już w latach pięćdziesiątych. Może szukał go nadal, może - dla odmiany - ma jakieś zlecenie od niego dla syna.

- Ależ na Boga, Arturze, z tego musiałoby wynikać, że Ed jest znakomicie zorientowany w mej przeszłości. A przecież nie wystarczą do tego rodzinne pamiątki. Poza tym twoja teoria ma jeden słaby punkt - Ed nie mógł mieć nic wspólnego z moim ojcem, bo jest po prostu za młody. Przecież on jest najwyżej o parę lat starszy ode mnie.

- A jednak w jakiś sposób wpadł na trop całej sprawy. I postanowił wykorzystać twoją niewiedzę. Kto wie, może dla jakichś celów poinformował Brzeską, kim jest adorator jej córki? Może to jemu zawdzięczasz zerwanie?

Artur ugodził mnie celnie, choć jego słowom towarzyszył ironiczny uśmiezek. Wymówiwszy się pilnymi telefonami, zniknął w większym pokoju, zamykając za sobą starannie drzwi.

Zostałem sam w kuchni, nad brudnymi talerzami i szklanką wystygłej herbaty. Bezmyślnie gapilem się na bloki po drugiej stronie dawnego lotniska. W jednym z nich mieszkała Halinka Waniewicz, na upartego mogłem nawet odszukać wzrokiem jej okna. Ten widok przypomniiał mi wczorajszą rozmowę. Ależ tak, Artur zdaje się mieć rację - w jego teorii, której mi jeszcze do końca nie wyjawiał, zazębiają się wszystkie wątki. Artur jest pewien - choć nie ma na to dowodów - że włamania do mego mieszkania dokonał Ed, chcąc zdobyć rodzinne pamiątki. Przy tej okazji wziął również kolczyk z granatów, pozostawiony przez Agnieszkę. I oto ten sam kolczyk znajduje się w posiadaniu Wisi. Dziewczyna decyduje się oddać oba kolczyki Agnieszce i równocześnie poczynić jej jakieś wyznaczenie. To może być tylko jedno - przyznanie się do udziału w Edowych intrygach przeciw mnie, a być może i - pośrednio - Agnieszce. Ten przełom mógł nastąpić pod wpływem wyrzutów sumienia, ale powody mogły być - również dużo bardziej prozaiczne. Być może Wisia po prostu przestraszyła się zdemaskowania, kiedy siostra powiedziała jej o śledztwie podjętym przez Artura.

Wszystko się zgadza, wszystko do siebie pasuje. Nawet głos w słuchawce telefonu, który sennie wziąłem za głos Brzeskiej, mógł należeć do Wisi. Chodziło przecież o wywabienie mnie z domu.

Wszystko się zgadza z wyjątkiem jednego szczegółu. Przecież Wisia chce oddać Agnieszce - za pośrednictwem Halinki - nie jeden, a dwa kolczyki. Parę. Połączoną po latach. Bo drugi kolczyk wziął przecież ze sobą w drogę ojciec Agnieszki. Więc Wisia albo Ed musieli mieć jakiś kontakt i z tą sprawą. Ale jaki?

Artur skończył już telefony i notował coś w małym notesie. Szybko, z podnieceniem, w które wprawiło mnie moje odkrycie, zreferowałem swoje wątpliwości.

Dziennikarz był cudownym pozerem, ale kiedy chodziło o sprawy naprawdę ważne - rezygnował z rytuału gry. Teraz złapawczy się za głowę, wykrzyknął:

- No tak! Właśnie o tym zapomniałem. Wiedziałem, że czegoś mi brakuje. Musimy natychmiast porozmawiać z Halinką. Może mieć jeszcze jakieś wiadomości.

Spojrzał na zegarek i przygryzł nerwowo wargi.

- Za chwilę powinien być telefon. Ja muszę czekać, ale ty mógłbyś do niej pójść. Choć nie, lepiej nie... ja jestem z nią bardzo zaprzyjaźniony.

A ja wcale - pomyślałem. Z kłopotu wybawił nas telefon. Artur porwał słuchawkę i trzymał ją przy uchu przez dłuższą chwilę.

- Dziękuję bardzo - powiedział wreszcie - i dzwoni, jak tylko coś się wydarzy.

Rzucił słuchawkę i zerwał się z miejsca.

- Przed dziesięcioma minutami Ed wybiegł jak szalony z pokoju pani de Villars i popędził taksówką w stronę Gdańska. Zdaje się, że wynajął ten samochód na cały dzień. Mój człowiek dzwonił dopiero teraz, bo postanowił sprawdzić na wszelki wypadek, czy z tą Francuzką wszystko w porządku. Zadzwoił pomyłkowo do jej pokoju. Odebrała natychmiast. W każdym razie mamy co najmniej pół godziny - do następnego meldunku - więc biegnijmy do Halinki.

Ale nie dane nam było wyjść w ciągu najbliższego kwadransa. Gdy kładłem już rękę na kłamece triumfalnym sygnałem odezwał

się brzęczyk. W progu stała moja kochana, droga i zupełnie nieoczekiwana ciocia Julia!

Milczeliśmy jak zamurovani, ale ciocia, nie dostrzegając naszego zdumienia rzuciła się na szyję mnie a potem Arturowi, pośpiesznie zlustrowała całe mieszkanie, wreszcie zakotwiczyła w kuchni. Na jej komendę przynieśliśmy z windy bagaże, postawiłem wodę na herbatę. A ciocia mówiła, mówiła, mówiła.

- Cieszę się, że wreszcie tu jestem, bo podróż miałem wyjątkowo ciężką w tym upale. Mogłeś wyjść Januszkę na dworzec po starą ciotkę... No tak, pamiętam, nie wiedziałeś o moim przyjeździe. Dzwoniłam kilka razy z dworca, ale stale było zajęte.

Z wielkim trudem udało mi się dojść do słowa.

- Bardzo się cieszę, że ciocia przyjechała - pogoda ładna, plaża już się zaczyna - plotłem coś trzy po trzy.

- Jaka plaża! - przerwała mi ciocia - ja przyjechałam do ciebie! Jesteś taki zaniedbany, że strach patrzeć. A mieszkanie, kuchnia! Przecież to Sodom i Gomora! Tak to jest z tymi kawalerami, prawda panie redaktorze? - zwróciła się do Artura, którego poznała już kiedyś wcześniej.

Artur pośpiesznie pokiwał głową; widziałem, że siedzi jak na szpilkach.

- Ale teraz się tobą zajmę - ciągnęła ciocia, wkładając równocześnie kuchenny fartuch i zabierając się do mycia naczyń. - Przywiozłam konfitury, grzybki w occie i różne inne marynaty. Przydadzą się na przednówku...

Nie wytrzymałem:

- Ciociu, jesteś cudowna...

- Wiem.

- Ale my z Arturem jesteśmy bardzo zajęci...

- No to sobie nie przeszkadzajcie, niech mi tylko który naskrobie ziemniaków do obiadu, a poza tym...

- Ciociu, czy pamiętasz moją wizytę w Zamościu? Moje poszukiwania ojca? I Agnieszki?

- Ależ oczywiście, ja właśnie...

- Jestem taki zdenerwowany, bo właśnie ta sprawa zbliża się do finału.

- To wspaniale - ciocia była zachwycona.

- Tak, ale my nie mamy czasu!
- No to już lećcie, biegnijcie, ja tu wam zrobię obiad.
- Nie pogniewasz się, ciociu?
- Ani troszkę.

Pocałowałem ciotkę Julię w policzek.

- Jeszcze jedno - odezwał się Artur - gdyby ktoś do mnie dzwonił, proszę powiedzieć, że będę za kwadrans i prosić o meldunek. Niech pani użyje tego właśnie sformułowania „proszę o meldunek”. Będzie dzwoniła kobieta.

- Doskonale, doskonale - zgodziła się ciotka - zapiszę dokładnie ten meldunek.

Artur raptownie poderwał się z miejsca.

- Przed dom Halinki zajęchała taksówka. I stoi już ładnych parę minut. Czeka. To może być Ed!

- Biegniemy.

Wypadliśmy jak szaleni z mieszkania. Windy nie było, więc Artur runął na strome schody. Ja za nim. Doleciał nas jeszcze głos ciotki Julii:

- Januszk, wiesz, przypomniałam sobie nazwisko tego mężczyzny...

- Potem, ciociu, potem! - zawołałem, zeskakując dwoma susami na półpiętro, zupełnie nie wiedząc, o kogo mogło jej chodzić.

Do domu Halinki nie było daleko - najwyżej dwieście metrów, dystans starej lotniskowej płyty. Już u celu Artur przyhamował, wyciągnął z kieszeni notatnik i przerzucił kilka kartek.

- Zgadza się - wykrzyknął. - Zanotowałem numer wynajętej przez Eda taksówki. To ten sam wóz.

Rzeczywiście, pod blokiem stała taksówka - biały polonez z numerem bocznym 147. Silnik miała włączony, choć kierowca spokojnie czytał gazetę.

- Ja pobiegnę na górę - instruował mnie Artur - a ty ściągnij windę na dół i ją zablokuj. Boję się, że on może zrobić krzywdę Halince - dorzucił, widząc mój pytający wzrok i pobiegł szybko na szóste piętro.

Ściągnąłem windę i wsunąłem stopę między drzwi a żelazną futrynę. Teraz nie mogła odjechać. Modliłem się tylko, by nie przyszła jakaś staruszka albo kobieta z dzieckiem. Nie mogłem

przecież tej windy zmonopolizować. Na szczęście nikt nie nadchodził, było prawie cicho, tylko gdzieś daleko szczekliwie gadało radio.

I wtem usłyszałem warkot odjeżdżającego samochodu. Puściłem drzwi i wybiegłem z domu. za późno! Polonez zgrabnie wykręcił na podjeździe i odjechał, wzbijając chmurę kurzu. Pasażerem, który siedział obok kierowcy, był niewątpliwie Ed Uhnalik.

- Januuusz! - usłyszałem z wysoka głos Artura. Machał do mnie przyzywająco z okna kuchni. Pośpiesznie wjechałem windą na szóste piętro i wszedłem do znajomego mieszkania.

Halinka, cała i zdrowa, siedziała w kuchni. Płakała rozpaczliwie, krztusząc się wodą, którą usiłował wlać jej do ust Artur.

- Uciek! - zawołałem.

- Wiem, ten drań jest przebiegły. Zobaczył nas przez okno, więc pobiegł szybko po schodach na dziesiąte piętro, przeszedł łącznikiem do sąsiedniej klatki i spokojnie zjechał sobie windą.

- Ale o co tu chodzi? - pytałem.

- zaraz się dowiemy... No, jak się czujesz, Halinko?

- Już lepiej - próbowała się uśmiechnąć - dziękuję wam bardzo.

Jeszcze ciągle pochlipywała, ale widać było, że wraca do siebie.

- Opowiedz, co się stało - zachęcał ją Artur.

- Sama właściwie nie wiem, nic z tego nie rozumiem... zadzwonił dzwonek u drzwi. Otworzyłam. To był Ed Uhnalik. Usiadł tu w kuchni, bo właśnie robiłam obiad, zaczął mnie wypytywać o Wisię. Zdziwiła mnie jego wizyta - był odświętnie ubrany, pachnący, a równocześnie - jakby zdenerwowany. Wreszcie spytał mnie wprost, czy nie wiem, co się stało z kolczykami Wisi. Ja spytałam, czy chodzi mu o te, które wcześniej widział pan - zwróciła się do mnie - i chciałam mu pokazać te kolczyki, a wtedy Edek rzucił się na mnie i chciał mi je wyrwać z ręki. Zaczęłam się bronić. Ciągnął mnie za włosy, uderzył w twarz. STaliśmy koło okna, Edek musiał was zobaczyć, bo zaklął i zaczął mnie walić pięściami po głowie. Nie wytrzymałam i rzuciłam mu te kolczyki w twarz. Chwytał je i wypadł z mieszkania... Po chwili wbiegł tu Artur.

- No uspokój się, dziecinko - tulił ją dziennikarz.

- Ale powiedzcie mi, o co mu właściwie chodziło? To było dla mnie takie straszne. Najlepszy przyjaciel...

- Jak to? - wykrzyknęliśmy obaj.

- No, to może przesada. Ale przecież znaleźliśmy się od dziecka.

- Halinko... Artur prawie brutalnie potrząsnął zapłakaną dziewczyną - to szalenie ważne! Opowiedz nam wszystko po kolei.

- Właściwie nie ma o czym opowiadać. Znam Edka od urodzenia, bo pochodzimy z tego samego miasteczka w Zielonogórskim, z Gozdnicy. Mieszkaliśmy właściwie pod Gozdnicą, a nasze domy miały wspólne podwórko. Zawsze bardzo go lubiłam, i Wisia też, chociaż był od nas znacznie starszy.

- Więc Wisia też?

- Oczywiście! Ona tylko dlatego przyjechała na studia do Gdańska, że Edek ją do tego namówił. Miała w nim tutaj oparcie.

- No tak, to wiele wyjaśnia - zamyślił się Artur.

- A kolczyki? - wtrąciłem się. - Czy nie wie pani, o co mu mogło chodzić?

- Nie mam pojęcia - wzruszyła ramionami. - Chociaż teraz przypominam sobie coś, co może mieć z tym jakiś związek. Pamięta pan - znowu zwróciła się do mnie - opowiadałam o tej ostatniej nocy Wisi, kiedy nie mogła zasnąć i dała mi kolczyki? Tej nocy spała źle, rzucała się, krzyczała. W końcu zapaliłam światło i spytałam, czy czegoś nie potrzebuje. Poprosiła o szklankę wody. Półprzytomnie powiedziała, że miała zły sen. Zaczęłam ją tulić i pocieszać, a ona powiedziała coś takiego: „Dwóch panów poszło do lasu, a wrócił tylko jeden. Łopatę postawił do kąta, a mnie dał kolczyk z granatów”. Wtedy zapłakało dziecko, musiałam je przewinąć. To trwało z kwadrans. Kiedy wróciłam, Wisia już drzemała. Ja też byłam strasznie zmęczona. Położyłam się w jej łóżku, przytuliłam ją do siebie - tak robiłyśmy w domu, kiedy przychodziły nocne strachy. Wisia wyszeptwała jeszcze: „Ty byłaś malutka i strasznie płakałaś”, a potem obie zasnęłyśmy. Rano wzięłam to wszystko za senne koszmary, zresztą sądziłam, że ostatnie zdanie Wisia mówiła jakby do mojego dziecka, które wcześniej płakało. Ale teraz myślę, że ona mogła mówić o czymś, co zdarzyło się w dzieciństwie. Bo ja ciągle mam wrażenie, że już kiedyś, przed laty, widziałam u Wisi podobny kolczyk. Znalazłam go w jej szufladce,

którą zawsze zamykała na klucz. Raz zapomniała. Wisia strasznie mnie skrzyczała i potem kolczyk zniknął... jakby się rozplynął. Ale wtedy był na pewno tylko jeden!

Milczała chwilę, wreszcie zwróciła się do Artura.

- Czy ty coś z tego rozumiesz?

- Tak, rozumiem - dziwnie poważnie powiedział mój przyjaciel - teraz rozumiem już bardzo dużo.

Wstaliśmy.

- Halinko - Artur był znowu serdeczny i uroczy - spróbuj jakoś wytrzymać do jutra. Wkrótce wszystko będzie już jasne.

Ucałował ją i wyszliśmy.

- A ty rozumiesz? - spytał mnie już w windzie.

- Rozumiem - przytaknąłem - ten „pan ze snu” to człowiek, do którego pojechał Wereszycki. I po tym spotkaniu jakby rozplynął się w powietrzu. A kolczyk dostała Wisia.

- To straszne - wzdrygnął się Artur - ten człowiek na pewno zabił Wereszyckiego. Ale dlaczego? Wisia musiała wyczuć instynktem dziecka, że stało się coś złego. Ta łopata, brrr... A kiedy zobaczyła kolczyk Agnieszki - ona przecież nosiła go bardzo często - zaczęły ją dręczyć wyrzuty sumienia. Nieokreślone, niejasne. To o tym chciała rozmawiać z Agnieszką.

Wyszliśmy na zalaną słońcem płytę Zaspy. Mewa śmieszka wywróciła nad nami w powietrzu koziółka i popłynęła w kierunku morza.

- To było chyba właśnie tak - podsumował Artur. - Już wiemy, dlaczego Wisia nie mogła się spotkać z Agnieszką. I chyba już wiemy, kto ją zabił.

- Przecież nie Ed? Wtedy, w sześćdziesiątym piątym, kiedy zginął Wereszycki, był jeszcze bardzo młody.

- Miał dziewiętnaście lat. To mógł być on.

- Albo odziedziczył po kimś całą tę tajemnicę.

- Chwileczkę - przypomniało mi się - Ed ma alibi, jeśli chodzi o śmierć Wisi. Nie było go wtedy w Gdańsku.

- Podobno, tak twierdzi milicja. Och, Janusz, im więcej wiemy, w tym ciemniejszym jesteśmy lesie.

Weszliśmy do mojego bloku. Gdy milcząc jechaliśmy windą, myślami byłem już przy pani de Villars i mojej ciotce. Dwóch starszych paniach, które w przedziwny sposób złączył ze sobą los.

Ciotka spisała się na medal. Podbiegła zaraz do nas z notatnikiem. Była bardzo przejęta.

- Melduję, że telefon dzwonił przed kilkoma minutami. Ta pani powiedziała tak, cytuję: „Ed przyjechał taksówką i poszedł na górę. Po chwili zeszli oboje do restauracji na obiad. Widziałam, jak Ed pokazuje starszej pani jakieś zdjęcia, papiery i śliczne kolczyki. Potem wyszedł na chwilę i dał klucz od pokoju tej Francuzki jakiemuś innemu mężczyźnie. Klucz miał w kieszeni, bo to on zamykał drzwi. Teraz spróbuję się rozdzielić. Koniec”. Ależ to fascynujące - emocjonowała się ciotka - choć nic z tego nie rozumiem.

- Muszę się przyznać szanownej pani, że ja również! - szarmancko zapewnił Artur.

- Ależ Arturze - nie wytrzymałem. - Miarka się przebrała. Oni tam okradają nieszczęsną kobietę, a my czekamy. Trzeba natychmiast interweniować. Najlepiej zadzwonię do Leszczuka.

- Ani się waż! Czy ty mnie masz za idiotę? To jeszcze nie jest decydująca chwila. Chyba sobie nie wyobrażasz, że Ed jest małym złodziejaszkiem, który dla dwóch walizek zmontowałby całą tę intrygę?

- Więc o co mu chodzi?

- On, a właściwie oni - grają o jakąś większą stawkę. Ten drugi, jak sądzę, poszedł tylko sprawdzić- coś w pokoju pani de Villars. Jestem tego pewien. A ona jest na razie bezpieczna. Przecież nie zamordują jej w biały dzień w restauracji „Grandu”!

- O czym wy mówicie, na Boga?! - przeraziła się ciotka.

- Niech się szanowna pani nie denerwuje - znów znalazł się Artur - ja czuwam nad wszystkim. I wszystko się wkrótce wyjaśni.

- Więc co mamy robić? - spytałem.

- Czekać, po prostu czekać na następny telefon.

Ustałem mu z niechęcią. Cóż, nie było wyjścia, przecież to Artur trzymał w rękę wszystkie nici tej sprawy. Ciotka wycofała się do kuchni, skąd zaczęły dolatywać smakowite zapachy, Artur najspokojniej w świecie sięgnął do swej torby i zagłębił się w lek-



turze jakiejś książki. Pomyślałby kto: spokojne, czerwcowe popołudnie.

Zadzwonił telefon. Artur odrzucił książkę, ciotka wychynęła ciekawie z kuchni. Meldunek był taki: ten drugi mężczyzna zabrał w pokoju Francuzki około kwadransa. Potem wyszedł i czekał koło szatni. Ed przeprosił Francuzkę, kupił w szatni papierosy, a przy okazji zamienił kilka słów z tym drugim mężczyzną i odebrał od niego klucz. Obiad trwał jeszcze ze dwadzieścia minut, potem Ed odprowadził damę do jej pokoju. Na pożegnanie powiedział: „Do zobaczenia wieczorem, przyjadę po szóstę”. Odjechali tak-sówką.

- Zuch dziewczyna! - zawołał Artur.

- Jaka dziewczyna? - spytałem.

- Dowiesz się w odpowiednim momencie!

- Tylko kiedy on nastąpi...

- Już niedługo. Myślę, że nadeszła pora, by złożyć wizytę pani de Villars. Do wieczora mamy sporo czasu.

- Ależ po co?

- Żeby uświadomić jej mistyfikację Eda i dowiedzieć się, dlaczego ona przyjechała do Polski.

- To mogliśmy zrobić już wcześniej.

- Owszem, ale nie chciałem płoszyć naszych ptaszków. Muszę ich złapać na gorącym uczynku. I złapię.

Ciotka Julia, przejęta ostatnimi wydarzeniami, chwyciła mnie nieśmiało za łokieć.

- Januszkule, wybaczyć starej ciotce nadmiar odwagi, ale ja właściwie po to przyjechałam do Gdańska, żeby ci powiedzieć o tym mężczyźnie.

- Jakim mężczyźnie, ciociu? - naprawdę nie rozumiałem, o co jej chodzi.

- Tym, którego miałam sobie przypomnieć...

Przerwał nam brzęczyk. To była pani Fabjańska; zapomniałem zupełnie o umówionym na trzecią spotkaniu.

Artur, który poczuł się od razu nieswojo - zemknął do drugiego pokoju. Ciocia, obiecawszy kawę, zniknęła w kuchni. Zostaliśmy sami. Fabjańska, ożywiona i ładna, z pałającymi oczyma, mówiła szybko:

- Myślę, że znajdziemy jeszcze okazję, by wspólnie z mężem podziękować panu za wszystko. Teraz wpadłam tylko na chwileczkę, bo pamiętam o pana kłopotcie, a Zdzisław wreszcie mi wszystko opowiedział.

Byłem tak odległy myślami od Fabjańskiego i jego spraw, że z trudem uświadomiłem sobie, o czym właściwie mówiła ta kobieta.

- Myślę o tej wizycie pana dziewczyny u mego męża. Ona przyszła bardzo wzburzona anonimowym listem, który dostała. To było ponad rok temu, wiosną. Ale to nie ja napisałam ten list - uśmiechnęła się.

Weszła ciotka z kawą. Fabjańska podziękowała i ciągnęła swoją opowieść.

- To był wstrętny list - donos na pana i tę nieszczęsną Wisię, ze zdjęciami, które miały udowodnić pana zdradę. Perfidia była w tym, że to właściwie nie był anonim. Ten, kto go wysłał podpisał się nazwiskiem mego męża. I nawet podał adres. Dlatego pani Agnieszka przyszła właśnie do nas. A Zdzisław bardzo się przejął - po pierwsze Wisią, po drugie - tym, że dała się sfotografować, a wreszcie - poznał na zdjęciach jedno z pomieszczeń naszej willi. Skoro ktoś robił zdjęcia - miał też dowód przeciw niemu. Zdzisław rozmawiał potem na ten temat z Wisią, ale ona wszystkiego się wyparła, twierdziła, że to fotomontaże. To wszystko właściwie, co wiem o tej sprawie.

Podziękowałem jej serdecznie - Artur miał rację, z godziny na godziną ten dzień dostarczał wyjaśnień poszczególnych elementów łamigłówek. Chciałem skończyć jak najszybciej rozmowę z Fabjańską, ale ona zapaliła papierosa i ciągnęła: - Ale jest jeszcze jedna sprawa, która może pana zająć. Poczucie lojalności każe mi o tym panu powiedzieć. Kiedy przyszłam dziś rano po męża, porucznik Leszczuk poprosił mnie o chwilę rozmowy. Oczywiście - zgodziłam się. Porucznik i jeszcze jakiś kapitan, który był przy rozmowie, najpierw trochę kluczyli, aż wreszcie zaczęli mnie wypytywać o pana.

- Jak to?

- Chcieli wiedzieć wszystko, co wiem na pana temat. Jak się poznaliśmy, co pan mówił, dlaczego zdecydował się mi pomagać.

Wszystkie szczegóły. Powiedziałam im prawdę - całą prawdę, bo uważam, że postąpił pan uczciwie i szlachetnie.

- A pani postąpiła słusznie.

- Cieszę się, że pan tak uważa. Ale to jeszcze nie wszystko. Również dziś rano, przed zwolnieniem, przesłuchiowano Zdzisława. Leszczuk interesował się bardzo Wisią, wszelkimi informacjami na jej temat. Podsunęli też Zdzisławowi kolorowe zdjęcia biżuterii, były to jakieś kolczyki, pytając, czy widział je kiedyś u Wisi. Tak się dziwnie złożyło, że mój mąż rzeczywiście widział u niej kiedyś taki koleżyk. Powiedział o tym milicjantom, a oni wydawali się bardzo poruszeni. I to już chyba naprawdę wszystko.

Podziękowałam Fabjańskiej bardzo serdecznie. Ledwie wyszła, wyskoczył ze swej kryjówki Artur, za nim ciotka. Musiałem powtórzyć im szczegółowo całą rozmowę. Mój przyjaciel wydawał się rozczarowany, machnął nawet lekceważąco ręką, ale ja poczułam lekki niepokój. Kiedyś wreszcie uwolnię się od tego Leszczuka? - pomyślałam.

20.

I wywołałam wilka z lasu. Nie minął nawet kwadrans, gdy ktoś energicznie zastukał do drzwi. Ciotka otworzyła i... do mieszkania wkroczyła cała kawalkada: porucznik Leszczuk, kapitan Pietraszek, dwaj umundurowani i uzbrojeni milicjanci.

Artur miał szybszy refleks niż ja. Już kroczył w stronę Leszczuka z wyciągniętą ręką i słowami powitania na ustach. Ale i Artura, i mnie, i nawet oszołomioną ciotkę zmroził dziwny, gniewny wyraz twarzy obu oficerów.

- Obywatel Janusz Smólski? Obywatel Artur Dembowski? - spytał oficjalnie Pietraszek i, nie czekając na odpowiedź, dorzucił: Aresztuję obywateli pod zarzutem udziału w morderstwie, oszustwie i włamaniu.

Milczałam, zbyt zaskoczony, by cokolwiek powiedzieć, ale Artur... Artur zaczął się głośno, wesoło śmiać!

Mundurowi milicjanci szcękneli kajdankami, Leszczuk zastygł z urzędowym nakazem aresztowania w rękę, a Artur ciągle, nieprzerwanie zanosił się śmiechem.

- Proszę nie błaznować! - rzucił ostro kapitan i dopiero te słowa przyhamowały wesołość dziennikarza.

Artur wyciągnął chusteczkę, hałaśliwie wytarł nos i najspokojniej w świecie powiedział:

- Wiem, że trudno będzie panom w to uwierzyć, ale zaszło gigantyczne, absurdalne nieporozumienie!

Był tak pewny siebie, że Leszczuk przez moment się zawahał, ale kapitan był zdecydowany.

- Idziemy - rzucił stanowczo i kajdanki zamknęły się na naszych dłoniach.

- Panowie - Artur również stał się stanowczy - dajcie mi pięć minut, a wszystko wam wyjaśnię. W przeciwnym razie pani de Villars może naprawdę zginąć!

Musiało to zabrzmieć przekonywająco, bo Leszczuk spojrział jakby błagalnie na swego przełożonego, a ten zasepił się i po krótkiej chwili skinął głową.

- Zgoda, niech pan mówi. Ale krótko.

Artur nie zużył nawet pięciu minut; po prostu zreferował wszystkie wydarzenia dzisiejszego dnia -wydarzenia, które znaliśmy z tajemniczych telefonicznych relacji.

- Czy o tę sprawę panom chodzi? - spytał na koniec.

- Tak, ale pańska doskonała znajomość faktów tylko pana obciąża.

- Nie! Bowiem to nie ja, przepraszam - to nie my obstawialiśmy od razu panią de Villars!

- No dobrze - zadecydował kapitan - sam fakt, że pan mówi poprawia już pana sytuację. W końcu możemy to wszystko łatwo sprawdzić. zawołajcie Kotłubaja!

Jeden z milicjantów uruchomił od razu kieszonkową krótkofalówkę i po kilku minutach zjawił się w mieszkaniu cywilny funkcjonariusz. Musiał widać czekać na dole w radiowozie.

- Sierzancie - spytał kapitan - czy w tych obywatelach rozpoznajecie pasażerów białego poloneza?

Sierżant przecząco pokręcił głową.

- Melduję, że to nie oni, panie kapitanie.

Odetchnęliśmy z ulgą, a Pietraszek jakby się jeszcze bardziej zasepił.

- Cóż, to jeszcze niczego nie dowodzi - powiedział - ale poprawia panów sytuację.

- Jeśli da mi pan jeszcze kwadrans, kapitanie, ta sytuacja będzie znakomita - uśmiechnął się Artur.

- No dobrze, zgoda - zdecydował Pietraszek. - Gdzie możemy spokojnie porozmawiać?

- Może w drugim pokoju? - zapytałem.

- Ale bez tych bransoletek! - dorzucił Artur.

Pietraszek zgodził się na wszystko. Zdjęto nam kajdanki i Artur z oficerami zniknął w drugim pokoju. Mnie zignorowali. Siedziałem pod czujnym okiem mundurowych milicjantów. Atmosferę rozładowała dopiero ciotka - ochłonęła szybciej niż ja i, za zgodą bruchatego sierżanta Kraykowskiego, zaparzyła herbatę.

Artur konferował z oficerami dobre pół godziny. Ale gdy wreszcie wyszli zza dokładnie zamkniętych drzwi od razu zrozumiałem, że dziennikarz odniósł całkowite zwycięstwo. Potwierdził to Pietraszek, podchodząc do mnie z wyciągniętą dłonią:

- Przepraszam pana za to nieporozumienie. Zresztą zdążymy jeszcze sobie wszystko wyjaśnić. A teraz trzeba działać!

W zupełnie już oczyszczonej z nieufności atmosferze, nad szklankami gorącej herbaty, Artur wyłożył nam swój wspianiały plan. Obaj oficerowie go przyjęli, pozostawało więc tylko - czekać. Czekać na telefon, który równie dobrze mógł w ogóle nie zadzwonić.

Modliłem się w duchu, by Artur nie popełnił błędu. I Artur, jak zwykle, okazał się nieomylny. Telefon zadzwonił, trochę przed szóstą, kiedy zdążyliśmy już stracić nadzieję i... zjeść ogromny obiad podany przez ciotkę Julię. A więc miały się sprawdzić przewidywania Artura!

Drżącą dłonią ująłem słuchawkę telefonu.

- Czy mogę rozmawiać z panem Januszem Smólskim? - odezwał się miły głos starszego pana.

- Tak jest, słucham.

- Mówi profesor Bohomolec. Jestem przejazdem w Gdańsku i obiecałem Agnieszce Wereszyckiej, że się z panem skontaktuję. Ona chciałyby się z panem zobaczyć...

A więc jednak Artur miał rację. Przewidział przebieg tej rozmowy z diabelską dokładnością!

- Ależ jestem gotów. W każdej chwili - odpowiedziałem szybko.

- No właśnie... Agnieszka prosiła, żeby pan do niej przyjechał jak najszybciej. Najlepiej jeszcze dzisiaj.

- Bardzo chętnie, tylko nie wiem, gdzie ona jest.

- Już panu tłumaczę. Znajdzie pan Agnieszkę w obozie naukowym pod Krynica Morską, na Mierzei. Czy pan wie, gdzie jest ośrodek wypoczynkowy uniwersytetu?

- Ale oczywiście - potwierdziłem, chociaż nie miałem zielonego pojęcia.

- Obóz rozbiliśmy w pobliżu ośrodka. Więc trafi pan bez trudu.

- Bardzo dziękuję, jestem panu szalenie wdzięczny za ten telefon.

Drobiazg, mimo mi, że mogłem to dla Agnieszki załatwić. Tylko niech pan się pośpieszy, żeby zdążyć przed zmrokiem.

- Już wyjeżdżam.

Odłożyłem słuchawkę i natychmiast, bez chwili zwłoki, wybiegłem z mieszkania. Wszyscy porwali się z miejsc, kapitan wydawał jakieś polecenia przez krótkofalówkę a Artur chował do pawlaczka nie rozpakowane jeszcze walizki ciotki Julii. Ale w tej chwili najważniejsze zadanie należało do mnie. Najważniejsze, choć wcale nie najtrudniejsze.

Wybiegłem z domu, wskoczyłem do samochodu i z głośnym rykiem silnika odjechałem w stronę wiaduktu łączącego Zaspę z Wrzeszczem. Ale wcale nie wybierałem się do Krynicy. Zaparkowałem samochód zaraz za wiaduktem, gdy tylko zniknąłem z pola widzenia ewentualnego obserwatora i przesiadłem się do niepozornej syrenki prowadzonej przez mojego dobrego znajomego - sierżanta Pigłowskiego. Nie minęło nawet pięć minut od czasu, kiedy wybiegłem z bloku, gdy zajechaliśmy już z powrotem.

Mieszkam w wielkiej dziesięciopiętrowej szafie, w ostatniej, najbliższej morza klatce. Teraz wszedłem do klatki pierwszej,

wjechałem windą na dziesiąte piętro i łączącymi się ze sobą korytarzami poszedłem w stronę własnego mieszkania. Kiedy zbliżyłem się do niego na dystans jednej klatki, minął mnie młody mężczyzna w roboczym kombinezonie, który na mój widok hałaśliwie wytarł nos. Wiedziałem co to znaczy: winda została zablokowana na pięć minut, dzięki czemu zdążyłem wrócić przed nieproszonym, choć już oczekiwanym gościem, którego postanowiliśmy zbiorowo przywitać.

Zamknąłem za sobą drzwi na klucz i wycofałem się do małego pokoju, pełniącego rolę pracowni. Pozornie w mieszkaniu nie było nikogo, ale wiedziałem, że w wielkiej ściennej szafie schowali się Pietraszek, Leszczuk i, oczywiście, Artur. Przyłączyłem się do nich, z trudem siadając w ciasnym, śmierdzącym naftaliną kącie.

Czekaliśmy. My skupieni, dysząc sobie nawzajem miarowo w kartki - w szafie, a inni - ludzie kapitana Pietraszka - w najbliższej okolicy mieszkania. Więc w suszarni (tam również schroniła się ciotka), maszynowni dźwigu, kilku samochodach na parkingu.

naftalina kręciła w nosie. Kichnąłem, co wywołało niecierpliwie kuksaniec Artura. Skąd tu właściwie naftalina? - pomyślałem. To chyba kolejny ślad Agnieszki, bo ja nigdy się nie przejmowałem stanem swojej garderoby.

„Uwaga zbliża się. To może być on” - zagadała nagle krótkofalówka kapitana, po czym zaległa cisza tak wielka, że stukot zatrzymującej się na moim piętrze windy zabrzmiał niemal jak wystrzał. Wstrzymaliśmy oddech. Rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi, a po chwili - długiej jak wieczność - chrobot przekręcanego w zamku klucza. Więc jednak Artur miał rację! Jego przewidywania sprawdzały się co do joty i wszyscy doskonale wiedzieliśmy, co będzie dalej.

Ktoś wszedł do mieszkania. zamknął za sobą drzwi i cicho, kocimi krokami zaczął przemierzać pomieszczenia. Otworzyły się drzwi pracowni. Mężczyzna postąpił krok do przodu, zapewne rozejrzał się badawczo, po czym wyszedł, zamykając za sobą starannie i te drzwi.

„Teraz” - powiedział cichutko kapitan i lekko, na palcach, wyszliśmy z naszego niewygodnego schowka. Zbliżała się już osiem-

nasta trzydzieści, a więc orientacyjna godzina wizyty, którą w mieszkaniu Janusza Smólskiego miała złożyć madame de Villars.

Nie czekaliśmy długo. Znowu szczęknęła winda, ktoś energicznie przekręcił klucz w zamku i usłyszałem niemal wesoły głos Eda Uhnalika: „Jesteśmy na miejscu, ciociu, to właśnie moje skromne mieszkanie”. Zdziwiłem się: „Ciociu”? - jak to „ciociu”... przecież Julia jest w suszarni. I wtedy zdałem sobie sprawę, że to pani de Villars musi być moją ciotką.

Ale nie było już czasu na rozmyślanie. Ed otworzył drzwi od sąsiedniego pokoju, usłyszałem zdumiony głos pani de Villars: „Pan tutaj?! i w tej samej chwili Pietraszek i Leszczuk wpadli gwałtownie do pokoju i rzucili się na siedzącego w fotelu mężczyznę. Runęliśmy z Arturem za nimi, równocześnie ktoś wpadł do mieszkania z zewnątrz - poznałem sierżanta z obstawy - jeszcze ktoś inny chwycił za łokcie Eda. Było po wszystkim.

W fotelu siedział, przygwożdżony z obu stron uściskiem ramion oficerów, dystyngowany starszy pan, którego twarz wydała mi się znajoma. I gdyby nie ciężki rewolwer, który wypadł mu z dłoni po ciosie Leszczuka, można by pomyśleć, że to kolejne tragiczne nieporozumienie.

- Kim pan jest? - spytał Pietraszek.

Mężczyzna roześmiał się szyderczo. I w tym momencie przypomniałem sobie, gdzie i kiedy widziałem starszego pana. Ale nim zdążyłem wymówić jego nazwisko, odezwała się francuska dama, która w ogóle wykazywała zadziwiające opanowanie.

- Ależ to Ryszard Uhnalik, mój szwagier.

Tego było już dla mnie za wiele! Więc pani de Villars miałyby być nie tylko moją ciotką, ale i - ciotką Eda?

- No właśnie - zza pleców sierżanta wyłoniła się Julia - nikt nie chce mnie słuchać, ale teraz wreszcie powiem, bo to przecież chyba ważne. Tym mężczyzną, który opiekował się matką Janusza po jej przyjeździe do Polski, a potem adorował ją przez kilka lat, był właśnie Ryszard Uhnalik. Więc może...

- Oczywiście - wykrzyknął Artur - to jest ostatnia cegielka, której nam brakowało. Teraz wszystko jest jasne!

Opadłem na fotel. Błędnym wzrokiem patrzyłem na krzątanicę milicjantów, zakładanie kajdanek i pracę krótkofalówek. Artur i



Julia zajęli się panią de Villars (wciąż nie mogłem nazwać jej w myślach „ciotką”), Leszczuk rewidował kieszenie Uhnalików i z triumfem wręczył Pietraszkowi mały, skomplikowany klucz.

Teraz wiedziałem już wszystko. Wiedziałem, że Michał Wider-ski i Marian Wereszycki to jedna i ta sama osoba. Nareszcie kupi-łem, wyhandlowałem od losu tę tak drogą, okrutną wiedzę. Dla wszystkich był to dzień wielkiego sukcesu, dla mnie -klęski, której świadomość przygniatała barki.

Milicjanci kończyli już swój rytuał. Wyprowadzono aresztowa-nych, kapitan wydawał cicho polecenia podwładnym. Tylko Lesz-czuk przypomniał sobie o mym istnieniu. Podszedł, patrząc na mnie współczująco.

- Więc pan dopiero teraz zrozumiał, o co chodziło Agnieszce?

Patrzyłem na niego w odrętwieniu. Wyczytał odpowiedź z mo-jej twarzy.

- Przecież tego można się było domyślać już dawno - powie-dział ze zwyczajnym ludzkim współczuciem. - I wyszedł.

Dopiero gdy padło to imię, spychane jakby przeze mnie w pod-świadomość, stanął mi przed oczami jej obraz.

Agnieszko, dlaczego nie mogę cię odzyskać? Dlaczego taką klęskę zgotował nam los - moja miłości, moja Agnieszko, moja siostró?

21.

Następnego dnia, trzydziestego dnia czerwca, w moim miesz-kaniu zebrało się kilka osób najżywiej zainteresowanych drama-tem, który skończył się tak niespodziewanym finałem. Po szoku, jaki przeżyłem poprzedniego dnia, zdążyłem już trochę przyjąć do siebie, więc nie czułem się źle w roli gospodarza. Przejęła ją zresztą na siebie w znacznym stopniu ciotka Julia.

Był oczywiście Artur z Dorotą Wileńską (to ona spełniła rolę tajnego detektywa i naszego telefonicznego informatora), centralne miejsce zajął porucznik Leszczuk, obok przycupnęła Halinka Wa-niewicz. Osobny telefon przygotowałem dla mojej nowej, świeżo przez los mi danej ciotki Natalii de Villars-Bourdon z domu WERE-

szyckiej. Brakowało pani Fabjańskiej, która nie chciała rozstawać się z mężem i umówiła się ze mną "na potem". No i brakowało Agnieszki, ale nasze spotkanie i tak było już niedalekie.

Czułem się dobrze w towarzystwie tych ludzi, bardzo mi bliskich po ostatnich trudnych tygodniach. Nawet ciotka Natalia, po przegadanej serdecznie noc, straciła swą kostyczność i nie naturalny spokój.

Popijając kawę i koniak przydźwigany w wielkiej butli przez Artura, czekaliśmy na ostatniego gościa - Janka Marszałkowskiego. Nie był on, w przeciwieństwie do pozostałych, zainteresowany osobiście w zamkniętej właśnie sprawie, ale zależało mi na jego obecności.

Wreszcie zjawił się i Janek - mokry i zziębnięty; ostatni dzień czerwca przywrócił nam październikową aurę. Janek mieszkał blisko i pewnie dlatego zawsze się do mnie spóźniał.

Mogliśmy zaczynać. Wszyscy to wyczuli, bo nagle zamilkli i skierowali wzrok na Leszczuka.

- Zebraliśmy się tutaj - zaczął uroczyście porucznik - nieoficjalnie i towarzysko, żeby wspólnie zrekonstruować przebieg sprawy, która w aktach milicyjnych zostanie odnotowana jako "Sprawa koleczka z granatów". Bo też od tego cacuszka wszystko się zaczyna i na nim kończy... Właściwy początek tej historii sięga roku 1950, kiedy to wraca do Polski Anna Smólska, matka Janusza. Na Zachodzie zostaje jego ojciec Marian Wereszycki vel Michał Widerski, poważnie ranny w wypadku samochodowym, który przeszkodził zawarciu małżeństwa. Anna Smólska nie miała właściwie w Polsce rodziny, poza obecną tu panią Julią, swoją rodzoną siostrą. Natomiast Wereszycki miał dwie siostry - starszą o siedem lat Natalię i młodszą o trzy lata Zofię. Natalia wyjechała, jeszcze w latach trzydziestych, na studia do Paryża i tam poznała swego przyszłego męża Xaviera de Villars-Bourdon, starszego od niej o pięć lat i zmarłego w 1978 roku. Zamieszkała w Paryżu, a po wybuchu wojny - w Kanadzie. Pan de Villars służył w marynarce francuskiej, a później brytyjskiej jako wyższy oficer, pensjonowany w randze wiceadmirała. Po rezygnacji ze służby wojskowej mąż pani Natalii został mianowany francuskim gubernatorem na Marty-

nice. Było to w roku 1947. Mówię o tym wszystkim bardzo szczegółowo, ale te szczegóły mają swoje znaczenie.

Wszyscy gorliwie skinęli głowami.

- Druga siostra Mariana, Zofia - podjął Leszczuk - wyszła za mąż jeszcze w czasie wojny za Ryszarda Uhnalika, inżyniera-leśnika, i po wyzwoleniu zamieszkała razem z nim we Wrocławiu. Tu przychodzi na świat w 1946 Edward Uhnalik, powszechnie znany jako Ed. Czy te wszystkie szczegóły rodzinne zgadzają się? - spytał nas z powagą porucznik.

Najbardziej powołana do odpowiedzi była ciotka Natalia i ona też przyznała porucznikowi rację.

- Oczywiście, zaraz po zakończeniu wojny rozpoczęłam korespondencyjne poszukiwanie rodziny. Ale nie było to proste. Zarówno Zosia, jak i Marian po prostu nie wiedzieli, gdzie mnie szukać, a ja zgłosiłam w Czerwonym Krzyżu nazwisko Wereszycykich, nie wiedząc, że oboje występują pod innymi. To było zresztą nierozsądne ze strony Mariana - ten upór przy okupacyjnym pseudonimie.

- Przyznam szczerze - włączył się Leszczuk - że zupełnie tego nie rozumiem.

- Myślę, że Marian pozostał przy pseudonimie, bo był to nie tylko pseudonim okupacyjny, ale również literacki. Pod tym nazwiskiem drukował wiersze, pod tym nazwiskiem był pamiętany - jeśli ktokolwiek go pamiętał. A Marian chciał pisać. Ale wróćmy do roku 1950. To wtedy udało mi się wreszcie odnaleźć i zobaczyć brata. Leżał w szpitalu, był jeszcze bardzo pokiereszowany i niespokojny o los brzemiennej Anny. Żegnaliśmy się w smutnym nastroju i wtedy, kierowana nagłym odruchem, zdjęłam z uszu kolczyki z granatów, bardzo stare i cenne, i wręczyłam je Marianowi - dla nieznannej mi Anny. Teraz pan powinien chyba ciągnąć dalej tę opowieść - zwróciła się do Leszczuka.

- Zgoda. Tymczasem Anna mieszkała już w Polsce. Zatrzymuje się we Wrocławiu u Uhnalików. Tak wcześniej uradzono listownie, bo Marian z Zofią skontaktował się jeszcze w 1947. Ale dosłownie na miesiąc przed przyjazdem Anny Zofia umiera na gruźlicę, na którą chorowała od lat. Janusz rodzi się wkrótce po przyjeździe Anny do Wrocławia jako wcześniak. I wtedy zaczyna

się akt pierwszy tego dramatu - Ryszard Uhnalik zakochuje się bez pamięci w swojej szwagierce. Anna ma dopiero dwadzieścia dziewięć lat, jest bardzo piękna, a przy tym delikatna i bezbronna. Uhnalik szaleje, jest to uczucie namiętne i okrutne, ale Anna mu nie ulega. I sercem, i myślami jest zawsze z Marianem i bliskim, maleńkim Januszem. Wtedy Uhnalik postanawia zmienić taktykę. Nie ujawnia jej więcej uczuć, ale chce skazać Annę na swą łaskę i niełaskę, wręcz zmusić do tego, by przyjęła jego opiekę. Ucieka się do starej, choć wstrętnej intrygi - niszczy listy nadchodzące od Mariana i nie wysyła tych, które pisze Anna. Tylko pierwszy, z wiadomością o narodzinach dziecka, dociera do adresata. Ten list bardzo dopinguje Wereszyckiego, który przedwcześnie wstaje z łóżka i musi położyć się znów na skutek powikłań. Anna szaleje z niepokoju, myśli o najgorszym, ale instynktownie nie ufa Uhnalikowi. Nie przekonuje jej nawet podstawiony przez niego „kombatant”, który zapewnia ją o śmierci męża i innych, który był jakoby świadkiem jego ślubu. Zdesperowana i pełna lęku decyduje się w końcu na stanowczy krok - zabiera Janusza i wyjeżdża z nim do Szczecina. Jest im szalenie ciężko, ale Annie udaje się skończyć studia i wychować naszego gospodarza. Przez cały ten czas - kilka następnych lat - Uhnalik bombarduje ją listami, ale Anna milczy. Nie chce mieć nic wspólnego z Uhnalikiem. To dlatego Janusz nigdy nie dowiedział się od matki, że ma gdzieś wujka i kuzyna.

Tymczasem Uhnalik z synem zostaje we Wrocławiu. Uczucia kłęska, którą przeżył wypacza jego charakter, staje się źródłem ślepej, nieuniknionej nienawiści do świata. Jej ofiarą pada wkrótce Marian, który niespodziewanie wraca do Polski w kilka zaledwie dni po ucieczce Anny. Pierwsze swe kroki kieruje oczywiście do Uhnalika. Ten nie stracił jeszcze wówczas nadziei na zdobycie Anny, boi się też ujawnienia swych intryg i zemsty Mariana. Oszukuje więc swego gościa mówiąc, że Anna związała się z innym mężczyzną i wyszła za niego za mąż. To miałoby tłumaczyć brak odpowiedzi na listy Mariana, który szaleje, choć - podobnie jak Anna - nie dowierza szwagrowi. Ale nie wystarcza mu czasu na sprawdzenie tych wiadomości. W kilka dni po powrocie do Polski zostaje aresztowany w Warszawie. Zarzuty, które mu postawiono były poważne i, oczywiście, najzupełniej fałszywe. Sprawcą tego

aresztowania, czy mówiąc wprost - donosicielem - był, jak można się domyślić, Ryszard Uhnalik, który zlikwidował w ten sposób niebezpiecznego rywala. Proces Wereszyckiego i innych mu podobnych ciągnie się bardzo długo. Prokurator widzi w używaniu pseudonimu okoliczność obciążającą, Marian - udowadnia, że używanie nazwiska, pod którym był dobrze znany w czasie okupacji może świadczyć tylko o jego niewinności. Zostaje skazany, ale wątpliwości dotyczące nazwiska sprawiają, że początek kary odbywa jako Michał Widerski. To wtedy spotyka go w więzieniu major Suchecki. Przychodzi wreszcie rok 1955 i ojciec Janusza, już jako Marian Wereszycki, opuszcza więzienie. Ma trzydzieści sześć lat, jest sterany życiem, samotny jak palec, nie ma wykształcenia, przyjaciół, mieszkania. Postanawia zerwać z przeszłością, nie szukać Anny ani Uhnalika. Wybiera wyjście ludzi przegranych - wierzy w najgorszą z możliwych wersji prawdy. W parę miesięcy po opuszczeniu więzienia dostaje ostrego ataku ślepej kiszki. Trafia do szpitala i jego los niespodziewanie się odменя. W szpitalu poznaje bowiem młodą praktykantkę - studentkę medycyny Teresę Brzeską. Spotykają się codziennie przez kilkanaście dni na szpitalnej sali, a gdy Marian przychodzi do siebie - zamieszkują razem. W pięćdziesiątym szóstym Teresa kończy dwadzieścia jeden lat i drugi rok medycyny. Biorą ślub. Następne lata są ciężkie, zwłaszcza że po roku rodzi się Agnieszka. Teresa nie przerwa studiów i Marian zajmuje się wszystkim - domem, dzieckiem, zarabianiem pieniędzy. Z nowej roli - ojca rodziny - wywiązuje się bardzo dobrze. Pracuje dużo, ponad siły, byle Teresa mogła skończyć studia i nawet znajduje czas, by nocami pisać powieść kryminalną, którą wydaje pod pseudonimem w 1959. Wreszcie Teresa zostaje lekarzem. To wielka ulga. Mogą pozostać w Warszawie, urządzić się. Ale wtedy odzywają się teściowie, którzy nie mogą wybaczyć Marianowi, że „ukradł” im młodzieńką córkę. Namawiają do powrotu w rodzinne strony. Wereszycki zgadza się, choć z ciężkim sercem, i jeszcze w tym samym roku wjeżdżają do Bartoszyca. Teresa pracuje jako lekarz, robi specjalizację z pediatrii, Marian - znajduje nieciekawą, urzędniczą pracę w nadleśnictwie. Spełniają się powoli jego najgorsze obawy. Starzy Brzescy zrobili wiele, żeby odzyskać córkę, ale nie są w stanie zaakceptować zięcia i

nawet Teresa nie potrafi ich nawzajem zbliżyć. Zresztą jest zajęta - pracą, nauką, córeczką... A Marian w małomiasteczkowych hierarchiach nie znaczy wiele, jest „mężem swojej żony”. Niepowodzeniem kończą się również jego plany literackie - kolejne wydawnictwa odrzucają ową powieść, którą w końcu niszczy. Powoli dojrzewa w nim decyzja wyjazdu z kraju. Ale o tym może opowie pani de Villars, bo mnie już trochę zaschło w gardle.

Leszczuk przypiął się do wystygłej kawy i wypił duszkiem całą szklankę. Ciotka Natalia zapaliła papierosa - długiego, cienkiego dunhlilla i podjęła przerwana przez Leszczuka opowieść.

- Biedny Marian! Zmarnował sobie życie przez kilka kłamstw tego krętacza. Wtedy był jeszcze tylko krętaczem... Zresztą Uhnalik zwiódł nas wszystkich - Mariana, Annę, mnie. Kiedy Marian wyjeżdżał do Polski dałam mu nasz paryski adres, wciąż aktualny, bo przesyłano nam na Martynikę całą korespondencję. Ale on nie pisał. Po trzech latach ja sama napisałam do Uhnalika, którego adres miałam od brata. Ryszard odezwał się bardzo szybko. Potwórzył w liście swoje kłamstwa na temat Anny. Twierdził, że nie wie nic o losie Mariana - przypuszczał, że Marian w ogóle nie wrócił do kraju. Wkrótce po tym dostałam lakoniczny list od Anny Smólskiej, która odnalazła mnie przez francuską ambasadę. Anna opisywała swoje przejścia i pytała, czy nie wiem czegoś o losie Mariana. Ten list wydał mi się dwuznaczny. Uwierzyłam, niestety, Uhnalikowi, który - jak sądziłam - nie miał powodu, by miał okłamywać. Odpisałam jej krótko i niemal niegrzecznie. Więcej już się nie odezwała. Tymczasem ja - szukałam Mariana po całym świecie. Bezskutecznie. Kiedy wreszcie wyszedł z więzienia od razu do mnie napisał i - strasznego pecha. Gdyby napisał choć kilka miesięcy wcześniej - wydałyby się kłamstwa Ryszarda i być może wszystko udało by się naprawić. Niestety, pod koniec 1954 roku mój mąż sprzedał nasz stary dom w Paryżu. Kupili go obcy ludzie, urządzono tam jakieś biuro i kiedy nadszedł list od Mariana, poczta zwróciła go z adnotacją „adresat nieznan”. Marian bardzo się tym martwił, ale właśnie poznał Teresę i... udzielił abolicji swej przeszłości. Ciotka Natalia milczała przez chwilę. Wreszcie podjęła znowu przerwany wątek.

- Jesteście państwo, jak sądzę, ciekawi skąd właściwie wiem o tym wszystkim. To proste. Z listów Mariana z roku 1965. To było wtedy, kiedy zdecydował się wyjechać z Polski. Nie uciec, nie zrejterować... Marian niczego nie przesądzał, wiem o tym najlepiej. Po prostu chciał wyjechać na jakiś czas, zmienić otoczenie, środowisko, pracę. Odnalazł mnie za pośrednictwem ambasady - jak niegdyś Anna. Jego list bardzo mnie poruszył. Z jednej strony byłam uradowana, z drugiej - bolałam nad jego obojętnym, przy najmniej pozornie, stosunkiem do Anny i syna. Tym razem Uhnalik miał szczęście po raz drugi. Marian pisał oczywiście o „postępkach” Anny i swoim uwięzieniu, ale pisał z perspektywy lat i... nie wspominał w ogóle o swoim spotkaniu ze szwagrem. Odpowiedziałam bratu natychmiast, może w zbyt ostrym tonie, robiłam wyrzuty z powodu Anny, wytknęłam nawet, że nie oddał jej kolarzyków. Równocześnie posłałam mu oficjalne zaproszenie, opłaciłam podróż samolotem i przekazałam przez bank poważną sumę - było to pięć tysięcy dolarów - prosząc, by oddał te pieniądze Annie i synowi. Wysyłając list do Mariana, napisałam równocześnie do Uhnalika. Korespondowałam z nim zdawkowo już od dawna i nawet zrobiłam mglistą obietnicę zaproszenia do Paryża, gdzie mieszkaliśmy znów z mężem. Uhnalik bardzo palił się do tego wyjazdu, a ja czułam się zobowiązana wobec wszystkich krewnych. Już dawno zdecydowaliśmy, że nie mając własnych dzieci, przeznaczymy pewne sumy dla potomstwa Mariana i Zofii. Ale wracając do głównego wątku: prosiłam w liście Uhnalika, by zawiózł Mariana do Anny, pośredniczył między nimi. Ja sama nie miałam już nawet jej adresu, który wraz z listem zniszczyłam. Mariana powiadomiłam o tej korespondencji, podałam mu nawet adres szwagra i prosiłam, by się z nim skontaktował. Skąd miałam wiedzieć, że ten list odsłoni Marianowi prawdę. Było już dla niego jasne, że Ryszard przemilczał przede mną wszystko, co wiedział o nim. A motyw takiego zachowania mógł być tylko jeden - chęć ukrycia, że to on, Uhnalik, wepchnął Mariana do więzienia. Wtedy, w 1965, postanawia rzeczywiście „rozliczyć się z przeszłością”, choć inaczej, niż ja to sobie wyobrażałam. Dostaje paszport i... wyjeżdża do Gozdnicy, gdzie przeniósł się z Wrocławia Uhnalik. Mam przy sobie list, który Marian napisał na kolanie - na dworcu

autobusowym w Zielonej Górze, tuż przed ostatecznym spotkaniem. Brzmi on tak: *Droga siostrzyczko, a więc stało się - wyjeżdżam do Ciebie. Wszystko już spakowane i pożegnane. Moja biedna żona do końca nie chciała mnie zrozumieć. Boję się - ona mi nie wierzy. Ale przecież nie rozstajemy się na zawsze! Wybacz, ale Anna, nawet jeśli ją spotkam, nie dostanie obu kolczyków. Najwyżej jeden, bo drugi dałem mojej najdroższej córeczce. Sam nie wiem, po co właściwie piszę ten list, za kilka dni będę przecież w Paryżu, prędzej pewnie niż on. Choć kto wie, czeka mnie jeszcze bardzo ważny rachunek, który chcę wyrównać z losem. I naprawdę nie wiem, jaki będzie wynik. Czekaj więc na mnie siostrzyczko choćby dziesięć lat, tak jak cierpliwie dotąd czekałaś. Ja też byłem cierpliwy, ale koniec już z tym. Całuję cię. Twój Marian.*

Ten list zjawił się oczywiście w Paryżu przed Marianem. Bo on nie zjawił się nigdy. Nie byłam nawet zmartwiona, byłam zagniewana. Fałszywie odczytałam zakończenie listu i sądziłam, że Marian jednak uciekł - gdzieś, na drugi koniec świata. Utwierdził mnie w tym przekonaniu Uhnalik, pisząc gorliwie, że odwiózł Mariana do Szczecina, gdzie Marian widział się z Anną. Potem miał wsiąść na handlowy statek i odpłynąć. To też wzbudziło moje podejrzenia wobec... brata, bo przecież miał już lotniczy bilet do Paryża, pytałam go o szczegóły tego wyjazdu. Odpowiadał gorliwie, ale niby to ze wstydem przyznał, że nie widział na własne oczy, jak Marian daje pieniądze Annie. I to właściwie wszystko - głos zaczął się jej łamać. - Wszyscy wiemy, że było zupełnie inaczej

- Tak - włączył się energicznie Leszczuk - pora, by ktoś panią zastąpił w tej opowieści. Może pani? - zwrócił się do Halinki Wawniewicz.

- Och, ja tak niewiele wiem... Ale oczywiście postaram się wszystko opowiedzieć. W 1965 roku miałam zaledwie sześć lat, a Wisia - osiem. Mieszkałyśmy w Gozdnicy, na skraju miasteczka, pod lasem. Sąsiedni domek zajmowali Uhnalikowie, więc mimo znacznej różnicy wieku dobrze znałam Edka, który czasami nawet się z nami bawił. Znałyśmy, oczywiście, również jego ojca, starego Uhnalika. I obie trochę się go bałyśmy, choć zawsze był grzeczny i



elegancki. A o tym tragicznym zdarzeniu może jednak pan opowie - zwróciła się do Leszczuka - bo ja przecież i tak nic nie pamiętam.

- Dobrze - przystał porucznik - nie znamy dziś szczegółów spotkania i rozmowy tych dwóch mężczyzn, ale podstawowe fakty ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość. Uhnalik przeraził się panicznie wizytą Mariana. Bał się zdemaskowania, które mogło za sobą pociągnąć zemstę szwagra, ale bał się też kompromitacji w oczach pani de Villars. Z jej listu wiedział już, że Marian się nie „wygadał”, więc wiele sobie obiecywał po przyszłym wyjeździe do Paryża. A na przeszkodzie stał Marian. Mając na dodatek pięć tysięcy dolarów w kieszeni - co też, zapewne, miało swoje znaczenie. Nie wiemy dziś, jak namówił Wereszyckiego na wspólny spacer do lasu. Ale poszli we dwóch, a wrócił sam. I „odstawił łopatę do kąta”. Tak, proszę państwa, sen Wisi Szewczyk nie był fantastyczną wizją, był wspomnieniem. Obie dziewczynki bawiły się wtedy w ogrodzie i widziały powrót Uhnalika z lasu. Wisia musiała wyczuć coś groźnego, przestraszyła się, zaczęła płakać. Była już dość duża, by wiele zrozumieć. Uhnalika ogarnęła panika. Podeszedł do dziewczynki, czymś ją postraszył, czymś ujął. Wreszcie - przekupił, dając, trochę mechanicznie, kolczyk znaleziony w kieszeni Mariana. I Wisia zapomniała. Zapomniała na bardzo długo, ale jednak nie na zawsze...

- I na tym - ciągnął Leszczuk - kończy się akt drugi tej tragedii. Nikt Mariana nie szukał, nikt nie zgłaszał jego zaginięcia. To była zbrodnia prawie doskonała. Ale cóż - przestępców bardzo często gubi poczucie bezkarności. Uhnalik, tym razem na spółkę z synem, postanowił dokonać jeszcze jednej mistyfikacji. Zaczęło się to wszystko dwa lata temu, kiedy Ryszard przeczytał w „Przekroju” artykuł na temat wielkich kolekcji biżuterii. Wśród nich wymieniono kolekcję rodu de Villars-Bourdon, znajdującą się obecnie w rękach ostatniego potomka rodu, emerytowanego admirała, który właśnie zmarł. Tymczasem stosunki Uhnalika z Natalią nie były dobre, Ryszard już dawno skompromitował się w jej oczach.

- Tak, to prawda - włączyła się ciotka Natalia - już wcześniej straciłam do niego całe zaufanie. Był u mnie, w Paryżu, dwukrotnie - w 1967 i 1972. Zostawił po sobie bardzo złe wrażenie. Zewnętrznie ogładzony i układny, niemal dystyngowany, ukrywał pod

tymi pozorami naturę chama i człowieka bezwzględneho. Gdy podjął próbę, zresztą nieudaną, szantażowania jednego z moich przyjaciół - wyprawiał go natychmiast do kraju, wyposażając na pożegnanie w pięć tysięcy dla Edwarda. To zamykało nasze rachunki i oświadczyłam mu bez ogródek, że czuję się zwolniona ze wszystkich zobowiązań.

- Był więc rok 1978 - przejął pałeczkę Leszczuk - i Ryszard Uhnalik rozmyślał gorączkowo nad sposobami dalszego „obsku-bywania” swej szwagierki. Pomógł mu w tym niesamowity, niezwykły przypadek. Było nim spotkanie i - potem uczucie, Janusza i Agnieszki, zupełnie nieświadomych swego pokrewieństwa. Uhnalik junior mieszkał w Gdańsku już od dawna i znał Janusza przełotnie od paru lat, choć długo nie wiedział, że są kuzynami. Bo też Ed długo nie orientował się w ciemnych sprawkach swego ojca. Ale cztery lata temu przyjeżdża do Gdańska Wisia Szewczyk - trochę przyjaciółka, trochę wychowanka Eda. Zaczyna studia na polonistyce i tu poznaje Agnieszkę Wereszycką. Chyba państwo rozumiecie, skąd wziął się późniejszy, przedziwny stosunek Wisi do Agnieszki? Kluczem jest znów kolczyk z granatów, który Agnieszka nosi bardzo często w lewym uchu. Dziewczyny stopniowo zaprzyjaźniają się, Agnieszka opowiada o kolczyku, o zniknięciu ojca. Wisia nigdy się jej nie przyznaje, że ma drugi kolczyk. Pamięta zresztą tylko jedno - że dostała go od starego Uhnalika. Ale kiedy? Za co? Nie wie... Gdy Ed dowiaduje się o jej przyjaźni z Agnieszką jest bardzo zaintrygowany. Czym? Ależ to proste - przecież Agnieszka nosi to samo nazwisko, co jego dawno zmarła matka. Opowiada o wszystkim ojcu. Stary Uhnalik jest zaskoczony, ale domyśla się, że Agnieszka musi być córką Mariana z drugiego małżeństwa. Bardziej jednak interesuje się wiadomością o Januszu Smólskim. Każe Edowi zbliżyć się do niego i ten zbiera szybko wszystkie potrzebne informacje. Wiedzą już, że Anna nie żyje i że Janusz nie ma pojęcia o losie swego ojca i jego rodziny. Taki rozwój wypadków zachęcił Ryszarda do zaplanowania nowej intrygi. On sam był już u pani de Villars spalony, podobnie Ed. Ale pozostawała jeszcze Agnieszka i Janusz - dzieci Mariana, które również miały prawo liczyć na hojność ciotki. Najpierw Uhnalik planuje dotrzeć do Paryża przez Agnieszkę. Chce wybać grunt,

więc jedzie do Bartoszyca i przedstawia się jako Kowalewski. Ale ten podstęp spełza na niczym - Teresa jest nieufna i Uhnalik rezygnuje. Upewnia się natomiast, że Brzeska niczego się nie domyśla, nie wie o istnieniu Natalii i przypuszcza, że Maria po prostu od niej uciekł. To dla Uhnalika bardzo ważne - uznaje, że może działać bezkarnie. Wtajemnicza w swoje plany Eda i wspólnie piszą list do pani Natalii podpisany nazwiskiem Janusza. A teraz może znów oddam głos pani Natalii, bo ona przecież ten list dostała.

- Zgoda - skinęła głową moja ciotka. - Opowiem teraz o swoich rozterkach związanych z tą korespondencją. Kiedy dostałam list od mniemanego Janusza, w pierwszej chwili bardzo się ucieszyłam. Już wcześniej postanowiłam, że wrócę na stałe do Polski, odnajdę Annę i drugą rodzinę Mariana. Uhnalikowie zredagowali ten list bardzo zręcznie - „Janusz” pisał, że mój adres ma od przypadkowo spotkanego Ryszarda i że pisze do mnie dopiero teraz, gdyż matka za swego życia była przeciwna jakimkolwiek kontaktom. Jedyną intencją tego listu miała być chęć odnalezienia ojca, którego Janusz nie widział od roku 1965. I tu Uhnalikowie przesadzili w szczegółach. Otóż napisali, że przy rozstaniu w Szczecinie Marian podarował Annie kolczyki, które dla niej przeznaczyłam, o czym Ryszard wiedział z naszej dawnej korespondencji. Nie omieszkiał oczywiście dodać, że była to „jedyna rzecz”, jaką dostała wtedy matka Janusza. Uprawdopodobniało to wersję Uhnalika o tym, że Marian wywiózł z Polski te pięć tysięcy przeznaczone dla Janusza, ale stało w jaskrawej sprzeczności z listem samego Mariana. Straciłam zupełnie zaufanie do mojego korespondenta - podejrzewałam najgorsze. Po dłuższych wahaniach postanowiłam jednak podtrzymać listowny kontakt i przyspieszyć wyjazd do Polski. Teraz może pan?

Leszczuk skłonił głowę.

- Wymiana listów trwała, tymczasem Ed zauważył przy jakiejś okazji kolczyk z granatów w uchu Agnieszki. Sfotografował ją ukradkiem i pokazał zdjęcie ojcu. Wpadli w panikę: Ryszard rozpoznał kolczyk z kompletu, który rzekomo miała dostać Anna. Ale groźniejsza była sprawa, o której wiedział tylko Ryszard - że drugi kolczyk ma Wisia, bliska znajoma Agnieszki. A przecież Wisia mogła sobie wszystko przypomnieć. Dodatkowe zagrożenie stwa-

rzał związek Janusza i Agnieszki. Nie wiedzieli o swoim pokrewieństwie, ale przecież i ta sprawa mogła się wydać. A wtedy wypłynęła by ponownie tajemnica ojca. Ed postanowił działać. Już wcześniej dysponował kompletem zdjęć Wisi wykonanych w trakcie jej „zawodowego” seansu na Cienistej, gdzie jak państwo wiecie, był zakamuflowany dom schadzek. Ed znał dobrze tę willę, gdyż opracował na zlecenie Fabjańskiego „architekturę wnętrz”. Nie był on nadzwyczajnym projektantem, ale miał za to wiele wrodzonego sprytu i domyślił się natychmiast przeznaczenia domu. Zaproponował więc, że sam będzie pracował nad elementami wykończenia i w kilku pokojach, przysposobił zręczne schowki mieszczące, choć z trudem, stojącego człowieka. Robił to wszystko, oczywiście, z zamiarem szantażowania Fabjańskiego. I w tym też celu zrobił zdjęcia, które czekały na odpowiedni moment. Ed spreparował z nich fotomontaże, licząc, że za jednym zamachem doprowadzi do zerwania Agnieszki z Januszem, i z Wisią. Plan ten powiódł się, jak wiemy, tylko częściowo - Agnieszka rzeczywiście zerwała z Wisią.

- Chwileczkę - podniosła rękę Dorota - nie rozumiem jednej rzeczy... O ile wiem, Ed podpisał anonim ze zdjęciami nazwiskiem Fabjańskiego. Dlaczego - przecież rezygnował w ten sposób z planowanego szantażu.

- Wcale nie! - zaprzeczył Leszczuk - Ed chciał upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i gdyby sama pani Fabjańska nie napisała do nas, następny anonimowy list otrzymałby Fabjański. Byłby to list z żądaniem pieniędzy. Ale faktem jest, że Ed tracił już zainteresowanie „kolorami do wynajęcia” wobec wielkich nadziei wiązanych z panią Natalią.

- Może jestem bardzo głupia - westchnęła Dorota - ale nie rozumiem, jakie korzyści miał przynieść Uhnalikowi ten cały szwagier.

- Ma pani rację, to słuszne pytanie - zgodził się Leszczuk. - Myślę, że pierwszy list napisali bez żadnego szczegółowego planu, po prostu licząc na ponowne nawiązanie kontaktu. Potem pojawiła się nadzieja na pięć tysięcy, których jakoby Janusz nie dostał. Aż wreszcie, kilka miesięcy temu, pojęli, że mogą grać o znacznie większą stawkę: kolekcję biżuterii de Villarsów.

Leszczuk spojrział wymownie na ciotkę Natalię. Starsza pani westchnęła.

- Obawiam się, że to moja wina. Bo i ja, niestety, zaczęłam intrygować. Cóż, kolekcja de Villarsów rzeczywiście istnieje i jest bardzo cenna. Kolczyki z granatów, bardzo stare, były jednym z najskromniejszych jej elementów. Kiedy nabrałam nieufności do mego korespondenta - postanowiłam zastawić pułapkę. W którymś z listów spytałam, czy Janusz ma jeszcze kolczyki po matce, i przy tej okazji wspomniałam coś o kolekcji. Pisałam, że to ona właściwie trzyma mnie w Paryżu, jest bowiem zabytkowa i nigdy nie uzyskam zgody na jej wywóz z Francji. Było to kłamstwo brzemienne w konsekwencje... Uhnalikowie odpisali natychmiast, że "Janusz ma kolczyki", co upewniło mnie, że jest to jakaś mistyfikacja. Równocześnie doradzili mi w liście, żebym zdeponowała kolekcję w safesie Banc Nationale de France, gdzie „podobno” można przechowywać różne przedmiot latami. Podobno?!... Oczywiście, tak, ale skąd mógł o tym wiedzieć jakiś polski młodzieniec? Tu Ryszard grubo przesadził - tylko on mógł wiedzieć, że mam safes w BNF, bo sam kiedyś pomagał mi wydobyć coś ze skrytki. Zgubiła go pewność siebie i przekonanie, że rada, skoro zabrzmi bezinteresownie, nie będzie podejrzana. Była! Ale odpisałam, że tak właśnie postąpię i oznaczyłam termin swego wyjazdu do Polski na 29 lipca, czyli na wczoraj.

- List z Paryża - podjął opowieść porucznik - dopinguje Uhnalików do szybkiego działania. Muszą koniecznie zdobyć rodzinne pamiątki Janusza, by podbudować jego tożsamość. Namawiają do współpracy Wisię, która chce się zemścić na Januszu i Agnieszce. Dodatkowym impulsem jest dla niej powrót Agnieszki i obawa, że ta dwójka znowu się połączy.

- Chwileczkę - przerywa Artur - Wisia nie wie nic o pokrewieństwie Agnieszki i Janusza. Sądzi, że zerwanie nastąpiło po intrydze ze zdjęciami... Tymczasem powody były inne i chyba trzeba o tym powiedzieć...

Leszczuk uśmiechnął się niepewnie i spojrział pytająco na mnie.

- Niech pan mówi - skinałem głową - ja już wiem o wszystkim, a sądzę, że wszyscy tu zebrani również mają do tego prawo.

- No cóż, zgoda. Agnieszka zrywa z Januszem pod wpływem matki. Początkowo Brzeska nie ma nic przeciw temu związkowi, ale kiedy z biegiem czasu dowiaduje się coraz więcej o Januszu, zaczyna się intuicyjnie czegoś domyślać. Teresa wie oczywiście, że Marian miał przed nią dziecko z inną kobietą, ale nie zna nawet jej nazwiska. Zresztą - Wereszycki powtarza jej wersję, w którą sam wierzy - wersję Uhnalika. Który - jako pan Kowalewski - zjawia się niespodziewanie w Bartoszycach i pyta mimichodem o „pierwszą żonę Mariana”, która podobno mieszka samotnie w Szczecinie i jest architektem. Uhnalik popełnia tu drobny, ale istotny błąd - nazwał Annę Smólską „samotną”. Kiedy Agnieszka opowiedziała matce bardziej szczegółowo o Januszu, ta przypomniała sobie rozmowę z Kowalewskim. Spytała w liście o zawód zmarłej pani Smólskiej, a gdy Agnieszka odpisała - natychmiast wezwała ją do siebie. Była już wtedy prawie pewna, że Janusz i Agnieszka są rodzeństwem. Powiedziała o tym Agnieszce bardzo oględnie, ale dziewczyna i tak była wstrząśnięta. Matka, bardzo stanowczo, prosiła Agnieszkę o zdjęcie Janusza. Dziewczyna wróciła do Gdańska, a po pewnym czasie przywiozła portret swego narzeczonego. Brzeska była przerażona! Podobieństwo Janusza do Mariana było jej zdaniem ogromne, a równocześnie - miała wrażenie, że z portretu patrzy na nią Agnieszka. Bo państwo - zwrócił się do mnie Leszczuk - jesteście rzeczywiście bardzo do siebie podobni. Uderzyło mnie to odrazu. Ale wracajmy do wątku: Brzeska kategorycznie zażądała od córki zerwania. Agnieszka zgodziła się, prosząc tylko o miesiąc, ten miesiąc, który mieliście spędzić na Kaszubach. Skończyło się na dziesięciu dniach. Brzeska ściągnęła córkę telegramem do domu, bo miała już dostateczny dowód pokrewieństwa. Zdobyła go niemal przypadkiem. Rok wcześniej na zagranicznej wycieczce poznała doktora Czyżewskiego mieszkającego w Anglii. Wywiązała się między nimi przyjaźń, potem korespondencja. W końcu Brzeska przyjęła propozycję małżeństwa i w sierpniu miała wyjechać na kilka miesięcy do Londynu. Wcześniej jednak napisała do Czyżewskiego w sprawie Mariana i Anny. Czyżewski, który miał dużo kontaktów w śród angielskiej Polonii, znalazł bardzo szybko dawnego kolegę Mariana, który nie tylko znał bardzo dobrze Smólską, ale nawet odprowadzał ją na pociąg

do Polski. Wobec siły faktów Agnieszka podporządkowała się woli matki i obie wyjechały do Anglii. Agnieszka postanowiła dosłownie „uniknąć z pana życia”; prawda wydawała się jej tak dramatyczna, że chciała pana przed nią bronić. I stąd cała jej tajemniczość... A teraz wróćmy do chwili obecnej. Kilkanaście dni temu Agnieszka wraca do Polski. Postanawia, że nie może bez końca uciekać przed Januszem, ale nie jest jeszcze przygotowana do spotkania. Zresztą chce się przedtem rozliczyć z przeszłością i podejmuje własne śledztwo dotyczące losów ojców. Przyjeżdżają wszyscy do Sopotu, bo tu chcą się osiedlić po ślubie Czyżewscy. W tym celu kupują przez pośrednika willę, która należała przedtem do Fabjańskich. To przypadek, ale brzemienny w skutkach. Bo willę na Cienistej miał wciąż na oku Ed, przypuszczający, że na terenie posesji Fabjański ukrył swoje mityczne „skarby”. Gdy zaczął się remont i przebudowa willi - Ed podejrzewał w tym podstęp. A już w zupełne osłupienie nie wprawił go fakt obecności w tym miejscu... Agnieszki. Nie wiedział o co chodzi, ale postanowił wypłoszyć całą kompanię z Sopotu. Zorientował się, że Agnieszka unika Janusza, więc jego właśnie „napuścił” na całe towarzystwo. I ten sposób przyniósł efekty. Wisia informuje Janusza o willi, czego konsekwencją jest spotkanie z Brzeską i - króciutkie - z Agnieszką. To wystarcza - dziewczyna rozkleja się, a przestraszona Teresa zarządza natychmiastową przeprowadzkę do mieszkania Czarnego, który w ogóle o tych wszystkich kompilacjach nie ma pojęcia. Agnieszka postanawia jednak zobaczyć Janusza - ale nie ma odwagi po prostu pójść do jego mieszkania. Jedzie do Sopotu, trafia do kawiarni „SPATiF”-u. Trochę pije, trochę popłakuje. Rozmawia z Nelly Ładnowską, potem ktoś jej mówi, że widział Janusza w „Panoramie”. Agnieszka chce tam iść, ale w kawiarni zjawia się jej matka i odsyła dziewczynę pod opiekę Czyżewskiego z powrotem na Zaspę. W mieszkaniu dziewczyna zostawia torebkę, którą znajduje Nelly i oddaje... Wisi Szewczyk jako przyjaciółce Agnieszki. To cenna zdobycz i Uhnalik decyduje się działać natychmiast. Wisia idzie do mieszkania Justyny, gdzie „pilnuje” Janusza, a Ed jedzie na Zaspę i przy pomocy kluczy Agnieszki dostaje się do mieszkania. Znajduje szkatułkę z dokumentami i przegląda jej zawartość, gdy dzwoni telefon. To Wisia ostrzega, że Janusz w

pośpiechu wyszedł z przyjęcia. Spłoszony Ed wybiega z mieszkania zabierając szkatułę, ale - nie zamykając drzwi. Tymczasem Janusz wcale nie jedzie do domu, tylko śledzi Teresę wracającą na Zaspę...

- Nie rozumiem po co ona w ogóle poszła na wernisaż? - spytała Dorota.

- Chyba przez zwykłą ciekawość. Chciała poznać Janusza. Wracajmy jednak do Eda. Wyszedłszy od Janusza, poszedł na postój taksówek. Nieco okrężną drogą, żeby się czasem na niego nie natknąć. A jednak tak się stało - pod domem Czarnego Ed widzi, jak Janusz wskakuje do fiacika i odjeżdża. Łapie przejeżdżającą taksówkę, tę samą, którą przyjechała Brzeska - i jedzie za Januszem na Cienistą. Tam wysiada, śledzi go i widzi, jak Janusz włamuje się do willi Czyżewskiego. Bardzo to Eda niepokoi, bo nie rozumie motywów Janusza. Następnego dnia naradzają się wspólnie - Ed i jego ojciec. Stary jest niezadowolony z efektów „wizyty” syna na Zaspie. Nie zamknięte drzwi, a co gorsza, kradzież tylko szkatułki mogły się wydać Januszowi bardzo podejrzane. W tej sytuacji Ryszard decyduje się na ponowne włamanie. Jeszcze tej nocy Wisia, podając się za Brzeską, dzwoni do Janusza i wywabia go do Gdyni. Janusz przesypia noc na parkingu, a w tym czasie Uhnalikowie plądrują jego mieszkanie stwarzając wrażenie, iż jest to zwyczajny napad rabunkowy. I wtedy w ich ręce trafia kolczyk z granatów! Mają więc komplet, gdyż Ryszard już dawno upewnił się, że Wisia nadal przechowuje swój kolczyk. I teraz muszę wprowadzić do tej opowieści swą skromną osobę. Ponad pół roku temu Brzeska wystąpiła o rozwód z Wereszyckim. Była to sprawa właściwie formalna, bo przecież mąż opuścił ją kilkanaście lat temu. Sąd usiłował go jednak odnaleźć i wtedy - wybuchła bomba! Okazało się, że Wereszycki nigdy nie opuścił kraju. Bardzo tym przejęta Teresa usilnie prosiła swego warszawskiego adwokata o podjęcie poszukiwań i przekazała mu to, co wiedziała o Smólskiej, przypuszczając, że Marian mógł wrócić do niej. Adwokat skontaktował się z milicją. Ustalono, że syn Anny Smólskiej mieszka w Gdańsku i mnie powierzono zadanie przeprowadzenia z nim rozmowy. Zanim się do tego zabrałem, przeprowadziłem mały wywiad i ... dowiedziałem się natychmiast o związku Janusza z



własną siostrą, choć Brzeska wcale o tym nie wspomniała. Byłem bardzo zaintrygowany, nawet zaszokowany i poinformowałem o swych zainteresowaniach komendę dzielnicową. Kiedy więc Janusz zgłosił włamanie, sierżant Kraykowski natychmiast mnie o tym powiadomił. To dlatego właśnie ja zjawiłem się tutaj po włamaniu, no i... nie było w tym przypadku. Pan Janusz usiłował wtedy ukryć przede mną to i owo. Wyczułem to intuicyjnie, ale sądziłem, że raczej stara się kogoś ukryć, nie zaś - prowadzić własne śledztwo. Tymczasem prywatne śledztwo rzeczywiście trwało i redaktor Dembowski zaangażował panią Halinę Waniewicz, rodzoną siostrę Wisi Szewczyk. Siostry spotykają się i Halinka mówi Wisi o wszystkim. Szewczykówna jest wstrząśnięta, domyśla się od razu że Agnieszka postanawia dociec losów ojca. A przecież wie, że to ona sama - i jej kolczyk - jest łącznikiem między znanymi i nieznanymi losami Wereszyckiego. Inna rzecz, że spotkanie - po latach - z Ryszardem Uhnalikiem odświeża jej świadome i... podświadome wspomnienia. W pierwszym odruchu Wisia dzwoni do Eda i mówi o poszukiwaniach Artura i Agnieszki. Potem jednak przychodzi refleksja i jeszcze tego samego dnia, wieczorem, Wisia dzwoni do Czarnego. Umawia się z Agnieszką. Jest zdecydowana zerwać z Uhnalikami i opowiedzieć przyjaciółce o historii kolczyka. Ponieważ wciąż trochę boi się Ryszarda, zabiera z mieszkania na Szerokiej kolczyk ukradziony Januszowi i dokumenty Agnieszki, a potem pod wpływem nagłego impulsu zostawia oba kolczyki siostrze. Może to znaczyć tylko jedno - że Wisia obawia się jednak zemsty Ryszarda Uhnalika. Tego samego wieczoru, kiedy Wisia - na wszelki wypadek - nocuje u Halinki, Uhnalikowie odkrywają brak kolczyków. Ryszard boi się, że Halinka przypomniała sobie wydarzenia sprzed lat. Dopiero wtedy wyznaje wszystko synowi, który i tak już domyśla się prawdy i wspólnie postanawiają, że Wisia musi być zlikwidowana. Ed, który obsługuje maszynę „Panoramy” udziela ojcu szczegółowych objaśnień i jeszcze tej samej nocy wyjeżdża do Gozdnicy. Ma dzięki temu niepodważalne alibi. Następnego dnia Ryszard spotyka się z Wisią. Usiłuje jej wyperswadować wycofanie się z udziału w spółce, ale dziewczyna jest zdecydowana. Obiecuje co prawda Uhnalikowi lojalność, ale przyznaje, że chce oddać kolczyki Agnieszce i zrezygnować z

dalszego udziału w całej sprawie. I w ten sposób wdaje na siebie wyrok śmierci. Ryszard odprowadza ją, wciąż przekonując, do tylnego wejścia „Panoramy”, po czym znika. Ale bynajmniej nie rezygnuje. Dzięki Edowi zna doskonale topografię budynku i dostaje się do galerii przez piwnice, mające połączenie z częścią mieszkalną tego samego kompleksu domów. Odnajduje pakamerę, gdzie stoi „Kobieta kosmiczna”. Działa na pewniaka, bo wie, że Wisia rozbiera się w zainstalowanej obok szatni. Spokojnie przelącza układ elektrycznych przewodów, zastawiając śmiercionośną pułapkę, po czym przez nikogo nie widziany wychodzi tylnymi drzwiami. Przedtem poszukuje torebki Wisi - zabiera z niej dokumenty, ale nie znajduje kolczyków. Jedzie więc natychmiast do mieszkania Wisi, które dokładnie penetruje. I tu nie ma kolczyków. Ale Uhnalik nie wie, bo wiedzieć nie może, iż w torebce Wisi są również dokumenty Agnieszki. Wisia chciała je zwrócić dawnej przyjaciółce na umówionym spotkaniu. Te dokumenty znajdujemy my i w ten sposób sprawa zabójstwa nieznannej modelki łączy się z tajemniczym włamaniem do pana Janusza i kradzieżą torebki Agnieszki. Wtedy też jako „specjalista” od Wereszyckich i Smólskich zostaję włączony do śledztwa. Nie idzie ono łatwo, gdyż tożsamość ofiary nie jest znana, a prawie wszyscy ludzie, którzy nas interesują - opuszczają Gdańsk: Janusz, Justyn Czeladzki, Ed Uhnalik, a wreszcie Brzeska z Czyżewskim, Agnieszka z Łukaszem Czarnym. Ten ostatni wyjazd zbiega się w czasie z morderstwem, ale związek jest zupełnie przypadkowy, bowiem w istocie kompania wyjechać miała dzień wcześniej. Czyżewskiego zatrzymały w Sopocie sprawy związane z remontem willi i dlatego spędzili wtorek na Cienistej. Agnieszka z matką i Czyżewskim jadą do Bartoszczyca, zostawiając po drodze Czarnego w Kadynach. Dziewczyna przepakowuje się, zabiera trochę garderoby i matka błękitnym chryslerem odwozi ją do Krynicy Morskiej. Potem Brzeska ze swym przyszłym mężem jadą do Warszawy, by ostatecznie przeprowadzić sprawę rozwodową. My działamy po omacku. Szukamy Janusza, sprawdzamy, czy Agnieszki nie ma w Bartoszczycach. Tu trafiamy na pierwszy trop - wizytę Janusza, który wracając z Zamościa zajął do Bartoszczyca. Przesłuchujemy pana Smólskiego natychmiast po jego powrocie do Gdańska. Wiemy, że kłamie, ale

nie wiemy dlaczego. A że alibi ma niepodważalne - zwalniamy go. Janusz z redaktorem kontynuują śledztwo i znajdują Łukasza, za pośrednictwem którego docieramy do Agnieszki. Tymczasem udaje się nam odnaleźć Czeladzkiego, a za jego sprawą - Eda Uhnalika. Poznajemy wreszcie tożsamość ofiary. W mieszkaniu Wisi znajdujemy zdjęcia a równocześnie dostajemy anonim na temat rzekomych powiązań Janusza z... Fabjańskim i jego nocnej wizycie na Cienistej. Anonim pisze oczywiście Ryszard Uhnalik.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę - przerwała Dorota - przepraszam, że się wtrącam, ale jednej rzeczy nie rozumiem: Jak się to stało, że Uhnalik umknął waszej uwadze?

- Wcale nie umknął - zaprzeczył Leszczuk - był wśród podejrzanych, ale... miał przecież stuprocentowe alibi. Moją uwagę zwróciło natomiast co innego - panięskie nazwisko jego matki, zbieżne z nazwiskiem Agnieszki, którą w pierwszej chwili braliśmy za ofiarę. Natychmiast po aresztowaniu Janusza objawił się nam pan redaktor Artur Dembowski ze swoimi rewelacjami na temat Fabjańskiego. Chylę czoło przed panem redaktorem i jego talentami detektywistycznymi, ale cóż, znacznie części informacji dostarczył panu... Ed Uhnalik, który już wcześniej upatrzył sobie Fabjańskiego jako drugiego, alternatywnego, winowajcę. Dowody przeciw restauratorowi były poważne, więc po prostu musieliśmy go przesłuchać. A on zupełnie się rozkleił i... przyznał do winy. To bardzo skomplikowało całą sprawę i dało Uhnalikom to, na czym im jedynie zależało - kilka dni czasu. Zbliżał się bowiem termin przyjazdu pani de Villars. My dreptaliśmy w miejscu z Fabjańskim, pan Janusz dochodził jego niewinności, redaktor tropił Agnieszkę... Wszystko bezskutecznie. I wtedy postanowiłem przyrzeć się bliżej Uhnalikom. Bardzo szybko ustaliłem pokrewieństwo Eda, Janusza i Agnieszki, odkryłem też, że Uhnalikowie mieszkali w tej samej miejscowości, co Wisia. Ale wszystkie te dane nie układały się w żadną logiczną całość. I dopiero dwa dni temu, w czwartek, wybuchła bomba. Już w środę przyleciała do Warszawy pani de Villars - na dwa dni przed poprzednio zapowiadany terminem. Pani Natalia od razu skontaktowała się z milicją, a mnie przekazano całą sprawę w czwartek. Ustaliłem wraz z kolegami plan działania i pani de Villars, która od tej chwili znajdowała się

już pod naszą opieką, wysłała do Uhnalików telegram zapowiadający swój przyjazd do Gdańska w piątek. Wydawało mi się, że jestem bliski ostatecznego rozwiązania, ale wyszedłem, niestety, z bardzo błędnego założenia. Uznałem, że nadawcą listów do Paryża był naprawdę Janusz Smólski, współpracujący tylko z Edem. Nie mieściło mi się w głowie, że ta mistyfikacja może być aż tak grubymi nićmi szyta. Miałem więc szajkę oszustów i... miałem domniemanego mordercę, którym mógł być tylko - proszę mi wybaczyć - pan redaktor, niewątpliwie należący do spisku. Taki układ tłumaczył prawie wszystko - również niestrudzone poszukiwania Agnieszki, a właściwie, jak sądziłem, jej kolczyka. Pozorowane włamanie, pomoc redaktora i kontrargumenty pana Janusza - wszystko to potraktowałem jako przemyślną grę z nami, mającą odwrócić naszą uwagę od właściwego ośrodka intrygi. Tak to sobie wyobrażałem, ale nie mając żadnych dowodów - musiałem czekać aż do przyjazdu pani Natalii. Nasi ludzie opiekowali się nią dyskretnie od momentu wylądowania w Rębiechowie. Ale jest tam jeszcze jeden obserwator - pani Dorota, działająca na prośbę redaktora, który z ogromną intuicją, muszę to przyznać, przewidywał przebieg wypadków. Mogę tylko schylić przed panem czoło... Jeden z naszych ludzi rozpoznaje Dorotę jako osobę widzianą wcześniej w towarzystwie redaktora i to ostatecznie upewnia mnie o jego udziale w sprawie. Pani de Villars prawie zaraz po przyjeździe pyta o kolczyki, do których jest bardzo przywiązana. Ed wpada w panikę, ale obiecuje przywieźć je na umówiony obiad. Uhnalikowie domyślają się, że muszą być one u Halinki - bo inna możliwość właściwie nie wchodzi w grę. Ed natychmiast jedzie na Zaspę. Śledzimy go, ale znów, niestety, popełniłem błąd zakładając, że panowie przybiegniecie do Waniewiczów ściągnięci tam telefonem Eda. Kiedy w hotelu pojawia się drugi mężczyzna, który wszedł do pokoju pani de Villars i ukradł mały klucz, przyjąłem za pewnik, że był nim pan redaktor. Niestety - westchnął Leszczuk - nie było mnie na miejscu, bo przecież wszyscy panowie mnie znacie i mógłbym się zdekonspirować. Po obiedzie pani Natalia wróciła do pokoju i stwierdziwszy brak kluczyczka natychmiast nas o tym powiadomiła. Właśnie tego się spodziewaliśmy, ale sądziłem, że natychmiast po zdobyciu kluczyczka cała szajka spotka się w

jakimś umówionym miejscu i czmychnie, zostawiając panią de Villars na pastwę próżnego oczekiwania w hotelu na umówioną wspólnie kolację. Posłałem za taksówką radiowóz, ale cóż... nawet milicja miewa pecha. Na wysokości „Olivii” zdarzył się wypadek. Polonez zdążył skręcić w Polanki, a moi ludzie utknęli w bezna-  
dziejnym zatorze. Uznałem, że nie ma na co czekać i razem z kapitanem zjawiliśmy się tutaj. Równocześnie inna grupa zajęła się panią Dorotą. I to właściwie wszystko, bo dalszy ciąg znacie państwo z autopsji...

- Jak to wszystko? - oburzyła się Dorota - po pierwsze jeszcze pan mnie nie przeprosił za to aresztowanie, a po drugie ja wcale nie rozumiem wielu szczegółów.

- Jeśli chodzi o przeprosiny, to proszę je przyjąć od razu - Leszczuk szarmancko ucałował dłoń Doroty - a jeśli chodzi o naszą sprawę... oczywiście, proszę pytać?

- Chwileczkę - wtrącił się milczący dotąd Artur - ponieważ ja pierwszy zrozumiałem o co tu idzie, niech mnie przypadnie przyjemność objaśnienia tego państwu.

- Bardzo proszę - zgodził się Leszczuk.

- Perfidność pomysłu, na jaki wpadli Uhnalikowie, polegała na pozornym braku motywów ich oszustwa. Przecież niczego od pani de Villars nie chcieli, nie prosili nawet o pięć tysięcy, wciąż należące się Januszowi. Postanowili zagrać o najwyższą stawkę: klejnoty de Villarsów zdeponowane w Banc Nationale de France. Potrzebowali tylko jednego - kluczyka do depozytowego safeśu, który otwierało się anonimowo. A Ryszard znał do niego drogę. Działali więc w iście szaleńczym tempie. Kolacja u Janusza była umówiona na pół do siódma, a już na ósmą trzydzieści obaj panowie wykupili bilety na lot do Warszawy. Mieli również paszporty, francuskie wizy i bilety na pierwszy lot do Paryża dziś rano. Z chwilą, gdy weszli w posiadanie kluczyka przeszkodzić mógł im już tylko telefon pani de Villars do banku lub paryskiej policji. Postanowili więc działać na pewniaka. Gdyby Ryszard nie znalazł kluczyka - spotkanie upłynęłoby w miłej atmosferze, a Uhnalikowie poprzestaliby na pięciu tysiącach. Skoro jednak kluczyk wpadł w ich ręce, należało usunąć również panią Natalię. Postanowili to zrobić w tym mieszkaniu, pogrążając w ten sposób ostatecznie

Janusza. Wiedzieli, że nie będą mieli problemu z wywabieniem go do domu - wystarczył telefon Ryszarda udającego profesora. I wiedzieli też że pani de Villars nie znając Gdańska, nie zorientuje się, że Ed nie wiezie jej bynajmniej na ulicę Szeroką. Przyznajcie państwo, że był to w istocie genialny plan.

- O nie, nie - zaprotestował Leszczuk - najlepszy dowód, że plan się nie powiódł. Genialna była natomiast pana dedukcja...

I pośpieszył z gratulacjami. Zapanowała prawie sielankowa atmosfera, którą przerwał milczący dotąd jak grób Janek Marszałkowski.

- No dobrze, ale czemu panowie nie mówicie nic o najciekawszej rzeczy?...

Spojrzeliśmy na niego zdumieni.

- Chodzi mi o klejnoty de Villarsów. Co się właściwie z nimi stało?

Wybuchnęliśmy chóralnym śmiechem, a najgłośniej śmiała się ciotka Natalia.

- Och, bardzo mnie pan rozbawił - powiedziała wreszcie ocierając łzy. - Ale chętnie wyjaśnię. Otóż kiedy zmarł mój mąż, dalsza rodzina zgłosiła do nich pretensje, a ponieważ ja i tak nosiłam się z zamiarem wyjazdu - nie miałam powodu, by bronić swojego tytułu własności. Ustąpiłam kolekcję kuzynom męża za niewielkim odszkodowaniem, a ci natychmiast sprzedali je muzeum. Pieniądze z odszkodowania przeznaczyłam dla Janusza i Agnieszki, a kolekcję - może pan obejrzeć przy okazji pobytu w Paryżu.

Jeszcze raz wybuchnęliśmy śmiechem.

- I to byłaby już chyba pointa tej całej historii - powiedział Artur.

22.

Wszyscy się z tym zgodzili; wszyscy z wyjątkiem mnie. Moja pointa miała dopiero nastąpić, bo przecież wciąż jeszcze nie osiągnąłem swojego celu - nie znalazłem Agnieszki.

Po spotkaniu, które bardzo się przeciągnęło, jechaliśmy z Arturem ruchliwą nadmorską szosą w stronę Krynicy. Byłem właściwie

spokojny - porucznik i Artur widzieli się wczesnym rankiem z Agnieszką i zdążyli jej wszystko opowiedzieć. Nie chciała przyjechać na spotkanie w Gdańsku, ale czekała teraz na mnie w Krynicy.

Milczeliśmy. Od morza wiał słony, lekki wiatr, pachnący rybami, ropą naftową i olejkiem do opalania. Było już późno i słońce szykowało się do upadku w brudne wody zatoki. Artur wciąż przyspieszał, ale gdy wjeżdżaliśmy w opłotki Krynicy i szosa zaczynała odbijać od linii plaż, raptownie zwolnił.

- Może wolisz spacerować się do obozu plaż? Ja pojedę naprzód i przyślę ci Agnieszkę.

Artur potrafił być naprawdę domyślny i delikatny. Wysiadłem z samochodu. Fiat zabuksował w piachu i odjechał. Od strony plaży ciągnęły ostatnie grupki spacerowiczów: chłopcy z piłką do siatkówki, półnagie dzieci z wielkim pontonem, białe jak śnieg szczur lądowy z wielkim tranzystorowym radiem dyndającym na brzuchu. Radio gdało coś o wielkich sukcesach gospodarczych pierwszego półrocza nowej dekady. Było jeszcze ciepło, tak ciepło, że z morza wyszła jakby mi na spotkanie pięknie zbudowana dziewczyna w ociekającym wodą kostiumie kąpielowym. Przypominała Łucję. Powinna ci się podobać - pomyślałem. Znajdź kogoś, znajdź coś, co ci się będzie podobać. Musisz coś znaleźć, bo przecież pora wrócić do rzeczywistości. Skończył się mój bardzo długi czerwiec i zostałem sam na wielkiej planecie rzeczywistości: piaszczystym brzegu zatrutego morza. Razem z zabitym ojcem, umarłą dziewczyną i tonącą miłością. Uświadomiłem sobie, że jestem przecież malarzem. Ta myśl jakby mnie zdziwiła. Co ja mam malować? I po co? Jak namalować na płótnie kłęskę?

Szedłem brzegiem morza, samym brzegiem, w miejscu, gdzie fala raz po raz wygładzała biały piasek. Nie uciekałem przed falą, bo była moją jedyną towarzyszką - nagle zostałem na plaży zupełnie sam. Prawie z niechęcią dojrzałem w oddali małą plamkę czyjejś sylwetki. Ciemniało coraz szybciej, więc dopiero po kilku set metrach poznałem rosnącą postać Agnieszki. Szła boso, prosto na mnie, w leciutkiej, zmoczonej przez fale sukience. Zwolniłem kroku na jej widok, Agnieszka również nie przyspieszyła. Zbliżaliśmy się do siebie coraz wolniej, pewni, że nareszcie nie musimy si

ę śpieszyć. Agnieszka patrzyła mi prosto w oczy, bez uśmiechu, ale jej twarz wyglądał spokoj. Była coraz bliżej, o dziesięć metrów, osiem, pięć.

Lekko podała mi obie dłonie. Patrzyliśmy na siebie nic nie mówiąc długą chwilę. Z ogromną pewnością wypowiedziałem pierwsze słowa powitania:

- Teraz będziemy już zawsze razem, prawda?